

Milena Wójtowicz

Załatwiaczka

Fabryka Słów

2007

Copyright © by Milena Wójtowicz, Lublin 2007
Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2007

Wydanie I
ISBN 978-83-60505-35-9

Wydanie elektroniczne:
© lille, 2009

SŁOŃ NA SZCZĘŚCIE

Wampir stał na werandzie tuż przy ścianie, tak aby cień domu skrywał go przed zabójczym blaskiem słońca. Zaledwie kilka centymetrów od jego stóp podłoga była rozgrzana i ciepła - tylko niecały krok dzielił go od zagłady. Melancholijnie wyciągnął z paczki papierosa i zapalił go. A raczej próbował zapalić, w czym skutecznie przeszkodził mu strumień wody, którą zniecała wylano krwio pijcy na głowę.

Spokojnie schował przemoczonego papierosa do przemoczonej paczki, a paczkę wsadził do kieszeni przemoczonej czarnej koszuli. Potem otarł z twarzy wodę, a z błękitnych oczu odgarnął czarne przemoczone włosy. Wreszcie spojrzał na załatwiaczkę.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Ona nie chciała - zasugerowała niepewnie, przytulając się do nogi słonia. Zwierzak, a właściwie zwierzaczka, bo była to słonica, nietaktownie prychnęła resztką wody z miniaturowego stawu. Kiedy tak stała sobie za domem, zajmowała równo połowę ogródka wampira Phillipa.

Wampir nigdy nie był fanem ogrodnictwa, więc próżno było szukać u niego rabatki z kwiatami. Cały ogród porastała trawa, a wysokie płoty odgradzały go od wścibskich spojrzeń sąsiadów. Podobną rolę miała spełniać krata z bluszczem zawieszona nad tylną częścią działki. Już nie spełniała, bo trzeba ją było zdjąć. Słoń się pod nią nie mieścił. Po ślicznej fontannie nie zostało nawet śladu, a gustowny stawik, w którym tak ślicznie odbijał się nocami księżyc, aktualnie był pusty. Na dnie właśnie dogorywały krwistoczerwone rybki.

- Przypomnij mi, Małgosiu - powiedział łagodnie Phillip, strzepując z ramion wodę i kilka wodorostów - dlaczego nie trzymasz tego u siebie.

- W akademiku? Nie ma miejsca!

- Pani Willoughby zostawiła ci, o ile się nie mylę, dom - wampir dalej mówił tym samym, wręcz chorobliwie łagodnym i wyrozumiałym tonem.

- Wynajęłam go Kasandrze - przypomniała dziewczyna. - Za duży dla mnie. Wolę akademik.

Tak naprawdę to dom pani Willoughby ją przerażał, przynajmniej na początku. Za dużo w nim było... wszystkiego. Staruszka miała nawet wypchanego krokodyla. A poza tym załatwiaczka dostawała dreszczy na myśl, że miałyby tak jak pani Willoughby spędzać dni w pełnym bibelotów saloniku przy staroświeckim telefonie i odbywać kolejne rozmowy, niczym mistrzyni marionetek sterując załatwianiem ze swojego tronu. O nie, plan Małgorzaty był prosty: załatwianie - tak; izolacja od świata - nie, dziękuję. Co jej strzeliło do głowy, żeby podpisać ten kontrakt? Owszem, praca załatwiaczki wydawała się bardziej atrakcyjna od cateringu, ale przecież to była Wielka Brytania, ziemia obiecana polskich pracowników! Na pewno znalazłaby coś innego.

Odziedzyczyła też po staruszce dom, ale nie miała zamiaru dziedziczyć stylu życia. W tym ostatnim Phillip ją w pełni popierał. Wypominał jej tylko, że coraz mniej wagi przywiązuje do wyglądu. W takich chwilach Małgosia uprzejmie pukała się palcem w czoło: niech sam sobie dba o wygląd, esteta jeden. Ona z każdym dniem kontraktu miała coraz mniej czasu. Jedynym plusem było, że w jej nowym zawodzie wygląd naprawdę nie miał znaczenia. Ludzie i nieludzie, z którymi przyszło jej się stykać, cenili przede wszystkim fachowość. A w załatwianiu wszelkich spraw Małgorzata okazała się nadzwyczaj dobra. Wiadomo, Polka potrafi!

- Możesz wprowadzić aneks do umowy najmu - zauważył delikatnie wampir.

Załatwiaczka westchnęła.

- No niby tak, ale Kasandra ma kota. Lila się go boi, prawda? - Poklepała zwierza po trąbie.

Phillip przerwał wyzymanie mankietów koszuli i spojrzał na niszczycielską bestię z nagłym zainteresowaniem. Słonica odpowiedziała mu niechętnym łypnięciem lewego oka. Z tym człowiekiem przy budynku było coś nie tak, od razu się zorientowała. W końcu miała swój rozum, i to całkiem spory.

- Słonie powinny się chyba bać myszy - stwierdził z naganą wampir. Tak przynajmniej wynikało z kreskówek, które kiedyś zdarzyło mu się oglądać. Za jego dziecięcych czasów nie było telewizji i jak mu się wydawało, ludzie byli jacyś łagodniejsi. Jeśli tylko, rzecz jasna, nie gonili go akurat z pochodniami i osikowymi kołkami.

- Ale ten się boi kotów, co ja na to poradzę. - Małgosia wruszyła ramionami. Słoń skorzystał z okazji i spróbował wepchnąć dziewczynie trąbę do kieszeni ogrodniczek.

- Załatw jej psychoanalityka - zasugerował Phillip, obserwując, jak załatwiaczka uprzejmie, ale stanowczo odpycha wścibski nos.

- Bardzo śmieszne.

- A w ogóle to na jak długo masz zamiar to tu zostawić?

- Nie wiem. Zleceniodawca mi nawalił. - Poklepała słonia na pożegnanie po trąbie i dołączyła do wampira na zaciętej werandzie. - Jakiś smarkacz, spietrał się przed matką.

- Załatwiłaś jakiemuś dzieciakowi słonia? - Phillip parsknął zmysłowym śmiechem.

Jak każdy wampir, nie potrafił śmiać się inaczej jak zmysłowo. To było jak cecha gatunkowa, automatyczny seksapil. Dziewczyna czasem żałowała, że nie może go poczuć. Inne kobiety oglądały się za Phillipem z zachwytem i z wywieszonymi językami. Potem wracały do swoich domów i śniły o nim w nocy, a Małgosia nic. Na załatwiaczy urok wampirów nie działał. W jej oczach Phillip był owszem, przystojny, ale nic poza tym. Żadnych trzęsień ziemi.

- Nie ma już innych rzeczy na tym świecie, którymi powinnaś się zająć? - zapytał.

- Nie wybieram sobie zleceń - przypomniała Małgosia. - I nie mogę nikomu odmówić.

To był, musiała przyznać, najgorszy aspekt tej pracy. Każdy, kto wypowiedział formułkę, stawał się automatycznie zleceniodawcą. I wszystko jedno, czego chciał, ona musiała mu to dostarczyć. A niejaki Chris, lat czternaście, chciał słonia. Skąd dzieciak dowiedział się o załatwiaczach, kto powiedział mu, gdzie jej szukać, i kto zdradził formułkę, Małgorzata nie miała pojęcia. Ale uważała, że ktokolwiek by to był, zasługiwał na to, by teraz tego słonia pilnować. Albo przynajmniej szukać dla niego nowego domu.

Na taką myśl z piersi Małgosi wyrwało się ciężkie westchnienie. Nie tak łatwo było znaleźć dobre, duże ręce, takie, które pomieściłyby zwierzaka.

- Jak długo to tu będzie siedziało? - zainteresował się Phillip, jakby odgadując jej myśli. Miał wampirzy stosunek do intruzów: jeśli już takiego nie da się uniknąć, to niech to będzie młoda kobieta z odsłoniętą szyją. Słoń, mimo że według załatwiaczki był płci żeńskiej, nijak do tej kategorii nie pasował. Przede wszystkim miał wyraźne braki w kwestii szyi. A długi nos to nie to samo. Gryzienie kogoś w szyję było przynajmniej podbudowane erotycznie, ale gryzienie w nos?... Uchowaj, Draculo!

- Znajdę kogoś... coś... niedługo - stwierdziła Małgorzata beznadziejnym tonem.

- Oddaj do zoo - zaproponował Phillip. W zasadzie nie korzystał z ogródka i było mu obojętne, co w nim stoi, ale słoń mógł wzbudzić niezdrowe emocje sąsiadów. Zwłaszcza tej staruszki, która mieszkała obok, nosiła tweedowy kapelusik i regularnie piekła ciasteczka,

którymi usiłowała częstować przystojnego wampira. Dawno już by jej przegryzł gardło, gdyby nie była stara i go nie odrzucało.

A nawet jeśli sąsiadka nie będzie mu wtykała nosa do ogródka, to słoń sam w sobie stanowił problem. Był głośny, ruchliwy, musiał jeść i, niestety, nieunikniony był czas, kiedy będzie musiał także wydalać. Zdecydowanie należało się go pozbyć, zanim ten nieunikniony czas nadejdzie.

- Nie mogę, póki oficjalnie nie zatwierdzę zrealizowania zlecenia. Wątpię, żeby dzieciak go wziął, wcale zresztą nie musi. Chciał słońia, dostał słońia. Jak tylko mu o tym powiem, przestaje mnie obowiązywać regulamin. Wtedy załatwię jej transport do rezerwatu w Afryce.

- To jest słoń indyjski - zauważył Phillip.

Załatwiaczka przyjrzała się podejrzliwie najpierw zwierzęciu, potem wampirowi. Nagle się uśmiechnęła. W jej oczach zapaliły się wesołe iskierki i Phillip prawie, ale to prawie był w stanie uwierzyć, że ma przed sobą dziewczynę, która zaledwie półtora roku wcześniej została Miss Studentów. Ale tylko prawie... Niewiele zostało z tamtej ślicznotki. Już nie miała czasu na fryzjera, makijaż i zakupy. Wcześniej nosiła spódnice i szpilki (co w pagórkowatym Exeter wymagało dużego samozaparcia), a teraz ogrodniczki i trampki. Jedno tylko się nie zmieniło - wciąż twierdziła, że skończy studia, i to już za rok.

- No widzisz, nie jest tak źle. Trochę się na zwierzątkach znasz. Popilnujesz jej, a ja załatwię sprawę z tym dzieciakiem, co chciał słońia. I muszę pójść na zajęcia!

- To nie wyrzucili cię jeszcze ze studiów?

- Nie - stwierdziła z satysfakcją Małgorzata. Z kieszeni ogrodniczek wyciągnęła spinkę. Wolną ręką zebrała swoje włosy koloru oberżyny i upięła je w wyjątkowo niedbały kok. Wyglądem i tak już od dawna się nie przejmowała, chodziło tylko o to, żeby nie było jej gorąco w kark. - Moja magisterka wciąż jest aktualna.

Phillip uśmiechnął się lekko. Czasami dziewczyna była wręcz słodko naiwna. Aż szkoda, że nie mógł jej ugryźć. Gdyby choć spróbował, miałby na głowie komando półtrolli z ubezpieczalni i wściekłych prawników Korporacji. Korporacja dbała o swoich pracowników. Tylko i wyłącznie po to, aby nikt nie wykręcił się z dziesięcioletniego kontraktu takim drobiazgiem jak zawał serca, nerwica, paraliż albo niezwykle ostatnio popularne wrzody żołądka.

- Upierasz się, że załatwianie to może być praca na pół etatu. Szkoda, że pani Willoughby przed śmiercią nie odbyła z tobą poważnej rozmowy uświadamiającej.

- O pszczołkach i kwiatkach? - Małgosia uniosła pytająco brwi. - Nie było potrzeby, mama mi o tym opowiadała. A poza tym pani Willoughby była przemiłą staruszką, która

znalazła ciekawy sposób na spędzenie emerytury. Ja nie jestem na emeryturze i nie poświęcę całego mojego czasu załatwianiu!

- Popieram. Ale pani Willoughby wcale nie była przemiłą staruszką. Była wścibską harpią, która czerpała sadystyczną przyjemność z babrania się w cudzym życiu i zawsze zadawała wyjątkowo krepujące pytania.

- Lubieś ją - zauważyła Małgorzata. Przez ostatnie kilka miesięcy całkiem dobrze poznała wampira. Może nawet się z nim zaprzyjaźniła? Tego nie była pewna.

- Szczerze żałuję, że nie dane mi było jej spotkać, kiedy była młodsza - westchnął Phillip.

Sympatię do poprzedniej załatwiaczki i jej następczyni uważał za swoją lekką i może odrobinę wstydliwą słabość. Ale z drugiej strony ze wszystkich ludzi z branży, z którymi miał do czynienia, one były najsympatyczniejsze. No i urozmaicały jego egzystencję, jakby dbając, żeby po tych kilkuset latach życia po śmierci przypadkiem nie zaczął się nudzić. Celowała w tym zwłaszcza Małgosia, czego najświeższym dowodem była stojąca w ogródku słonica.

- Ma na imię Lilianna - rzuciła jeszcze załatwiaczka, pomachała ręką na pożegnanie i już jej nie było.

W ogródku został tylko przemoczony wampir i przyglądające mu się podejrzliwie zwierzę. A, i pani Brown spod numeru dziesiątego wyglądała przez okno z takim zaangażowaniem, że zrzuciła z parapetu doniczkę. Ku szczeremu rozbawieniu Phillipa, kiedy próbowała złapać spadający kwiatek, sama też wypadła przez okno.

Nasłuchując dochodzących z jej ogródka jęków i wrzasków, wampir uśmiechnął się melancholijnie. Jego długie życie było pasmem właśnie takich małych przyjemności.

Małgosia jak zwykle wpadła do sali wykładowej ostatnia. Jeszcze na korytarzu rozmawiała przez komórkę, załatwiając jedno z ostatnich zleceń. Z reguły miewała ich kilka jednocześnie. Na początku było ciężko, w głowie jej szumiało od ciągłych popiskiwań albo melodyjki telefonu, no i od ciągłego gadania z ludźmi, nie ludźmi, zwierzętami i sekretarkami automatycznymi z całego świata. Potem wszystko zaczęło się... w pewnym sensie układać.

Tyle że nie był to sens pozytywny. Po prostu pewne rzeczy wypadały z jej życia jedna po drugiej. Wieczorne wyjścia do pubu, kino, lunch ze znajomymi... Potem odeszły w niebyt zakupy, piętnaście porannych minut, które zwykle poświęcała na makijaż, i wreszcie sen. Z tym nie było łatwo, przynajmniej dopóki nie załatwiła sobie leków antysennyh. Nie

wspomniała o tym wampirowi, chociaż on pewnie tylko pokiwałby głową i powiedział coś o tym, że załatwianie to nie praca na pół etatu.

Ostatnio Małgorzata była coraz bardziej skłonna przyznać mu rację, ale przecież nie głośno. Głośno podkreślała tylko pozytywne aspekty swojej pracy. Była praktycznie wszechmocna, robiła ciekawe rzeczy i poznawała interesujących ludzi, niekiedy martwych, tak jak Phillip. A wszystko dlatego, że kilka miesięcy temu była miła dla pewnej angielskiej staruszki. Nie miała pojęcia, że pani Willoughby ją zapamięta i do tego zapisze jej w spadku dom pod malutkim warunkiem: że dziewczyna, która przecież i tak potrzebowała pracy, przejmie jej licencję na załatwianie. Podpisując dokumenty i w oszołomieniu pytając notariusza, o co chodzi z tym kontraktem i tą pracą, czuła się jak Kopciuszek, który spotkał wróżkę. Cóż, teraz już nawet wyglądała jak Kopciuszek, a wróżka chichotała zza grobu.

Wykład był być może nawet ciekawy, ale nim Małgosia wyrobiła sobie zdanie na ten temat, telefon w jej kieszeni zawibrował. Przyszedł SMS. Rzecz jasna, było to zlecenie:

załatf mi wygranom najlepiej milion £ albo \$

Nie dość, że ten zleceniodawca był na bakier z ortografią, to jeszcze nie potrafił się zdecydować. Tego Małgorzata nie lubiła.

Zignorowała wykładowcę opowiadającego o zarządzaniu organizacjami pozarządowymi i zajęła się pisaniem SMS-a:

1 czy 2 miliony? Musze wiedzieć dokładnie

Tak jak przypuszczała, na odpowiedź przyszło jej trochę poczekać. Załatwiaczka naprawdę uważała, że ludzie powinni najpierw zdecydować, czego chcą, a dopiero potem zwracać jej głowę. Ale tuż przed końcem zajęć jej telefon znowu zawibrował:

5.000.000

Apetyt, jak widać, rzeczywiście rośnie w miarę jedzenia.

Co zrobić, żeby załatwić komuś pięć milionów funtów wygranej na loterii?

Po pierwsze, trzeba wybrać grę, w której główną wygraną będzie pięć milionów funtów.

Po drugie, trzeba się upewnić, że wybrany los zgarnie tę wygraną.

Po trzecie, trzeba dostarczyć wygrany los zleceniodawcy.

W zasadzie bułka z masłem.

Ze zdobyciem tych pieniędzy nie byłoby problemu, Korporacja miała praktycznie nieograniczone fundusze. Niektórych to dziwiło, w końcu załatwiacze nie mogli pobierać

opłat za swoje usługi. Inni, a ci byli w mniejszości, wiedzieli, że załatwianie jest bezpłatne tylko teoretycznie. I wiedzieli, jak wysoka w praktyce jest cena...

Małgosia bardzo lubiła tych innych, głównie dlatego, że z reguły nie korzystali z jej usług. Oczywiście były wyjątki, choćby Phillip. Twierdził, że przez kilkaset lat wysysał z życia po życiu co tylko się dało, nie martwiąc się o ewentualne koszty, i nie zamierza tego zmieniać. Jasne, chyba wiedział, co robi! W końcu miał kilka setek lat na karku, duże doświadczenie pozażyciowe, no i jeszcze był wampirem, pił ludzką krew, uwodził nieszczęsne studentki w okolicznych pubach i klubach, ale to jakoś nie przeszkadzało załatwiacze widzieć w nim dobrego kumpla. Więc się czasem o niego martwiła.

O ile tylko miała czas. W tej chwili nie miała. Musiała rozstrzygnąć pozornie błahą kwestię, jak postarać się, żeby główną wygraną na loterii było pięć milionów funtów, najlepiej nie wzbudzając przy tym podejrzeń. Gdyby wzbudziła podejrzenia, jak nie miałyby na karku kolejne zlecenie, coś w stylu: załatf rzeby skarbowka siem od mnie odczepila. A Małgosia ciągle odczuwała lekkie wyrzuty sumienia, gdy przychodziło do usuwania niewygodnych świadków czy wścibskich urzędników państwowych. Może i trafiły się wśród nich istne wrzody i pijawki, ale żeby od razu zabijać...

W tym momencie wściekła pacnęła się w głowę, bo przypomniała sobie, że miała kogoś załatwić niedrogiemu płatnego zabójcę...

Po wykładzie Małgorzata wróciła do akademika. Wymagało to, jak zresztą pokonanie dowolnego odcinka w Exeter, zejścia z jednej górki i wejścia na drugą. Na tej drugiej górze stały właśnie akademiki - czteropiętrowe pudełka podzielone na kilkunastoosobowe mieszkania. Na szczęście pokoje były pojedyncze. Inaczej jak nie załatwiaczka musiałaby się wyprowadzić. Nie wyobrażała sobie mieszkania i wykonywania swojej pracy z kimś na karku.

Zaraz po wejściu do swojego pokoju włączyła komputer i sprawdziła pocztę. Miała zamiary na trzech zawodowych zabójców, którzy odpowiadali wymaganiom jej zleceniodawcy. Wystarczyło tylko kliknąć „prześlij dalej” i kolejne zlecenie z głowy. Zostały tylko dwa: wygrana na loterii i słoń.

Pięć milionów jako główna nagroda nie rozwiązywało sprawy. Pozostałe wygrane musiałyby być kompatybilne. Małgosia usiadła i zamyśliła się.

Miała dwa wyjścia: albo podrasować jakiś konkurs, zwiększyć wygrane drugiego stopnia i nagrodę główną, albo doprowadzić do kumulacji w jakiejś loterii.

To pierwsze wiązało się z przekupieniem organizatorów, to drugie oznaczało usunięcie kilku wygranych losów. Ponieważ ewentualne koszty nie były istotne, jedynym czynnikiem, który Małgorzata brała pod uwagę, był czas. Jej czas.

Łapówki zawsze zajmowały go dużo. Wymagały pracochłonnych podchodów, kuszenia, a przekupywany często w ostatniej chwili tchórzył i trzeba było korumpować kogoś innego. Choć z drugiej strony wtedy niemożliwe mogło stać się możliwe w ciągu godzin. Kumulacja wygranych potrwałaby nawet ze dwa tygodnie, ale udział załatwiaczki ograniczyłby się do wykonania kilku telefonów i posurfowania po Sieci. A potem mogłaby się zająć słoniem. Ogródki angielskich domów zdecydowanie nie były przystosowane do przechowywania takich zwierząt.

Małgosia zalogowała się na stronie ze światową bazą danych. Internet zdecydowanie ułatwiał ludziom z branży życie. Tylko czarodzieje uparcie negowali jego użyteczność, obstając przy tradycyjnych, bardziej spektakularnych metodach. Ale przecież wszyscy wiedzieli, że z czarodziejami jest jak w tym starym dowcipie: „Ilu czarodziejów potrzeba do wkręcenia żarówki? Jednego. A czy ten czarodziej wkręci żarówkę? Nie, zrobi to jego ego”. Przecież nikt nie może oczekiwać, że ego mistrza magii będzie siedziało w ciemnościach, gdzie nikt nie może go podziwiać.

Najczęstszym tematem dowcipów opowiadanych przez ludzi z branży byli właśnie czarodzieje, chociaż jeśli ktoś Małgorzatę pytałby o zdanie, wróże niewiele im ustępowali.

Wyszukiwarka pozwoliła załatwiaczce znaleźć loterię, w której główna nagroda w ciągu dwóch tygodni mogła urosnąć do pięciu milionów. Oczywiście pod warunkiem, że w tym czasie nikt nie wygra.

To oznaczało, że Małgosia musiała namierzyć przyszłych zwycięzców i wyeliminować ich z gry... nie dosłownie, rzecz jasna. Podobno istnieli załatwiacze, którzy preferowali takie ostateczne rozwiązania. Nic dziwnego. W tej profesji człowiek nabierał niechęci do innych ludzi. Ale Małgorzata jeszcze nie życzyła nikomu źle, poza własnymi zleceniodawcami oczywiście. Miała tylko zamiar upewnić się, że nie będzie żadnych zwycięzców aż do chwili, kiedy kumulacja sięgnie pięciu milionów i zdobędzie ją jej klient.

I właśnie dlatego potrzebny był jej wróż.

Co prawda żaden z nich nie przewidzi wygrywających numerów na loterii. Jedni twierdzili, że są urodzonymi humanistami i od cyfr boli ich głowa, inni - bardziej wycwanieni - że zabrania im tego kodeks etyczny. Ale załatwiaczce etyka wróżów absolutnie nie przeszkadzała, przynajmniej nie przy tym zleceniu. Nie obchodziły jej wygrywające liczby. Obchodzili ją ludzie, którzy mieli je wybrać.

Sprawa była o tyle prosta, że Małgorzacie nie trzeba było wróżby na temat konkretnej osoby, ale loterii. W przeciwnym razie musiałyby zdobywać osobiste przedmioty i pewnie jeszcze osobiście je wróżowi dostarczać (jasnowidze preferowali osobisty kontakt, bełkotali coś o aurze i wibracjach; zdaniem załatwiaczki to była taka sama bzdura jak izolowanie się czarodziejów od pospólstwa, pozerstwo i PR, ot co!). Wobec tego weszła na stronę internetową stowarzyszenia wróżów i w bazie danych znalazła „specjalistę od prognozowania zdarzeń o wielkim ładunku emocjonalnym”, jak się określał.

Rzeczywiście, jak tylko mu powiedziała, że zlecenie na wróżbę ma przyjąć telefonicznie, zaprezentował wielki ładunek emocjonalny. Kaliber tego ładunku jeszcze wzrósł, gdy Małgosia dodała, że nie zamierza ruszyć tyłka ani żadnej innej części ciała do Cardiff, aby asystować przy prognozowaniu razem za swoją aurą i wibracjami. Trochę się uspokoił, dopiero kiedy podała mu adres, na który ma przesłać rachunek.

- Priorytet, jak zwykle - dodała. Każdy inny klient, który śmiałyby się domagać pierwszeństwa, i to przy tak lekceważąco złożonym zleceniu, zostałby odesłany z kwitkiem i dodatkową porcją bluzgów. Ale za załatwiaczką stały pieniądze Korporacji. I dlatego usłyszała tylko oschłe:

- Oczywiście.

Teraz nazwiska osób, które miały wygrać na loterii, i adresy miejsc, gdzie kupią swoje losy, powinny dotrzeć do Małgorzaty w ciągu kilku godzin. A przez te kilka godzin mogła wreszcie zająć się słoniem i tym nieodpowiedzialnym smarkaczem Chrisem, który zamówił zwierzę.

Nie było szans na dopadnięcie chłopaka przez telefon ani za pomocą e-maila (zapobiegliwa rodzicielka najwidoczniej bardzo poważnie traktowała szlabany). Małgorzata zadzwoniła więc po taksówkę i kazała jechać pod szkołę Chrisa. Tam stanęła sobie przy kamiennym murku. Czuła się trochę jak przestępca, zboczeniec czy podglądacz. Kilka miesięcy w tej pracy, a jeszcze nie zubożyła na świat do reszty.

Na szczęście. Na razie.

Chrisa widziała wcześniej tylko raz i kiedy wreszcie dzieciaki wyszły ze szkoły, ciężko go było rozpoznać. Otoczony kamiennym murkiem dziedziniec wypełnił się gromadą zamundurkowanych nastolatków. Wychodzili na ulicę grupkami, po niektórych przyjechali rodzice. Na stojącą przy przystanku autobusowym Małgosię nikt nie zwracał uwagi.

Poza jednym chłopakiem. Wyraźnie speszony nawet zatrzymał się na chwilę. Gdyby tego nie zrobił, pewnie by go nie rozpoznała. A tak sam się zdemaskował.

Załatwiaczka przeszła przez ulicę, nawet nie patrząc, czy coś jedzie. W Anglii samochody miały irytujący zwyczaj nadjeżdżania z niewłaściwej strony, do tego Małgorzata nigdy nie mogła zapamiętać, która strona jest tą niewłaściwą. Zawsze miała wrażenie, że patrzy tam, gdzie nie powinna, więc przestała się w ogóle rozglądać. Korporacja bardzo nie lubiła tracić pracowników przed upływem ich dziesięcioletniego kontraktu i stosowała w takich wypadkach politykę zerowej tolerancji. Tak więc załatwiaczka podejrzewała, że nawet jak ją coś przejedzie, i to ze skutkiem śmiertelnym, to ją wskrzeszą jeszcze tego samego dnia. A przynajmniej zaczną ją wskrzeszać tego samego dnia. Przywracanie martwych do życia było czynnością w zasadzie prostą, choć odrobinę czasochłonną. Małgosia dobrze o tym wiedziała, bo miała kiedyś zlecenie na taką usługę.

Chris rozejrzał się wokół jakby w poszukiwaniu drogi ucieczki. Załatwiaczka miała nadzieję, że chłopak zdaje sobie sprawę, że przed nią nie ucieknie. Mogła go znaleźć wszędzie. Gdyby nie było naprawdę innej możliwości, pozostawało zadzwonić po ludzi z Klanu. Ci nie bawiliby się w podchody, zwyczajnie porwaliby dzieciaka spod szkoły i wywieźli do jakiegoś opuszczonego magazynu nad rzeką.

Ale na razie Małgosia postanowiła być miłą.

Chłopak zdecydował się chyba mężnie stawić czoło rzeczywistości, bo stanął przy bramie szkoły i rzucił załatwiaczce niechętnie spojrzenie spod jasnej szopy włosów.

Niech sobie rzuca. Małgorzaty to nie obchodziło.

- Twoje zlecenie zostało załatwione - powiedziała. To też była obowiązkowa formułka. Jej wypowiedzenie automatycznie odhaczało kolejny punkt na jej liście jako „zrealizowane”.

- A gdzie słoń? - zapytał buntowniczo Chris.

Załatwiaczka wyciągnęła z kieszeni czystą kartkę i nabazgrała na niej adres Phillipa.

- Masz. Słoń czeka na ciebie.

Wiedziała, że wampir nie tknie chłopaka, a trochę szkoda. Nie życzyła smarkaczowi dobrze, chociaż z drugiej strony, gdyby został wampirem, musiałaby się z nim jeszcze długo użerać. Może to i lepiej, że Chris nie był słodką dziewczeczką i Phillip na pewno będzie trzymał swoje zęby z daleka od jego szyi.

Chłopak nie kwapił się, aby wziąć kartkę. Spoglądał na nią trochę z zaskoczeniem, a trochę ze strachem. Co innego zamówić sobie dla draki słonia, co innego usłyszeć, że zwierzak jest gotowy do odbioru.

Obserwującej go Małgosi przyszło do głowy, że on pewnie wcale się nie spodziewał, że tego słonia rzeczywiście dostanie. Założył się z kumplami albo sam wpadł na zwariowany sposób udowodnienia sobie czy im czegoś.

- Kiedy odbiór? - zapytała.

Tak jak tego oczekiwała, Chris zbladł. Pewnie myślał teraz o matce, która zrobiła mu szlaban, i o jej reakcji, gdy kłopotliwy synalek stanie w drzwiach ze słoniem... A, chwila! Słoń nie zmieściłby się w drzwiach. Załatwiaczka miała teraz zamiar wyciągnąć stwierdzenie, że smarkacz nie bierze zwierzaka, i zająć się odstawieniem Lilianny do domu, wszystko jedno, czy to była Afryka czy Indie. Na pewno na każdym kontynencie mają jakieś rezerwy. Znalezienie ich i załatwienie transportu dla słonia to pestka.

- Eee...

- Słuchaj, zamówiłeś słonia, a ja załatwiłam. Więc bierz zwierzaka, bo ja mam na głowie inne zlecenia!

Chris zbladł jeszcze bardziej. Wyglądał gorzej niż ofiara wyjątkowo głodnego wampira. Ale nie ze strachu przed załatwiaczką - wcale jej nie słuchał. Patrzył ponad ramieniem dziewczyny na kogoś innego.

- Zamówiłeś słonia?! - ryknął ktoś Małgorzacie nad uchem. - Niech tylko twoja matka o tym usłyszy! Skąd wzięłeś na to pieniądze?!

Załatwiaczka, licząc w duchu, że nie nastąpiło u niej trwałe uszkodzenie słuchu, odwróciła się. Za jej plecami stał łysiejący facet w średnim wieku o wyjątkowo czerwonej twarzy. Przypominał kolorem truskawkę, a do tego jeszcze zgrzytał zębami i zaciskał pięści. Musiał mieć bardzo dobre ciśnienie krwi i jeszcze lepszy poziom cholesterolu, bo inaczej jak nic zszedłby z miejsca na zawał.

- Tato, to nie tak - jęknął Chris.

Ojciec go nie słuchał, tylko zwrócił całą swoją wściekłość ku Małgosi.

- A tobie co strzeliło do głowy? Kobieto, on ma czternaście lat! Kto przy zdrowych zmysłach załatwia takiemu dzieciakowi słonia?!

Dziewczynę nęciło jak diabli, żeby po prostu zwać przed tatusiem furiatem. Gdyby próbował ją zatrzymać, wezwałaby grupę z ubezpieczalni, a sama pośpiesznie by się zmyła. Ale na miejscu zatrzymało ją poczucie odpowiedzialności za Liliannę. Słonica nie mogła spędzić reszty życia w ogródku Phillipa. Należało coś z nią zrobić. Gdyby Małgosia teraz zwała, Chris pewnie dostałby kolejny szlaban, a ona, żeby się z nim skontaktować, musiałaby wezwać Klan. Już widziała te nagłówki w gazetach: „Tajemniczy napastnicy porywają chłopca”. Nie, lepiej było zostać. Zwłaszcza że Chris właśnie zaczynał ojcu wszystko tłumaczyć. Całkiem rozsądnie zaczął od zapewnienia go, że sprowadzenie sobie słonia nic a nic nie kosztuje. To była tylko część prawdy, ale załatwiaczka nie miała zamiaru go poprawiać. Chciała tylko załatwić sprawę do końca.

Małgorzata zdążyła już zapomnieć, jak skomplikowanymi rozmówcami bywają rodzice. Kiedy wreszcie do ojca Chrisa wszystko dotarło i załatwiaczka wreszcie mogła sobie pójść, czuła głęboką radość, że ona jest już dorosła, samodzielna, ma pracę (może i koszmarną, ale co tam), a jej rodzice są jakieś tysiąc pięćset kilometrów na wschód od Exeter i nie musi im się z niczego tłumaczyć. Dobry nastrój mąciły jej odrobinę dwa nowe zlecenia: Chris stanowczo stwierdził, że nie chce słonia, i podpuszczony przez Małgosię zlecił jej dostarczenie Lilianny do rezerwatu. Niestety, nagle poczuł się ważny i wspaniałomyślny i łaskawym tonem dodał:

- Tylko do takiego najlepszego, wiesz. Widziałem tydzień temu program na National Geographic o takim supermiejscu. Zawieź go tam.

Wtedy załatwiaczka zgrzytnęła zębami po raz pierwszy. Jasne, że nie zawiozłaby Lilianny byle gdzie, ale dobrych rezerwatów było mnóstwo. Czy nie wystarczyłyby którykolwiek z nich, już bez zbędnych komplikacji? A jakby tego wszystkiego było mało, ojciec Chrisa też złożył zlecenie. Pokusa była zbyt wielka, żeby mógł się oprzeć. Tak więc choć Małgosia rozwiązała częściowo problem słonia, to dostała nieplanowaną pracę. Jakby bez tego za często się nudziła!

W akademiku już czekał na nią e-mail od wróża. Wyjątkowo oschły i oficjalny nawet jak na korespondencję służbową. Tylko nazwiska i adresy miejsc, w których kupili losy. Dopasowanie adresów zamieszkania do nazwisk zajęło załatwiaczce dwadzieścia minut. Internet był naprawdę prawdziwym błogosławieństwem w jej zawodzie. Zastanowiłaby się może, jak jej biedni poprzednicy radzili sobie w erze przedkomputerowej, ale nie miała na to czasu. Musiała dopilnować, żeby nastąpiła kumulacja wygranych do magicznej sumy pięciu milionów.

Kiedy lista była już gotowa, Małgorzata sięgnęła po telefon. Zatrzymanie jedenaściorga ludzi na chwilę przedtem, zanim kupią los, to było zadanie w sam raz dla Klanu...

Małgosia często lubiła powtarzać, że to ona jest od brudnej roboty. Owszem, część jej zleceń mieściła się w tej kategorii. Ale nawet brudne sprawy dzieliły się na takie do odprania i brudzące na amen. Obowiązkiem załatwiaczy było załatwić wszystko, ale nikt nie wymagał od nich, żeby przy okazji nurzali się w bagnie. Zadaniem Klanu było zrobić wszystko, zwłaszcza jeśli oznaczało to złożenie na dno zbiornika z błotem. Ktoś w końcu musiał to robić i tym kimś byli ludzie z Klanu. Trafiali tam chyba tylko ci, którzy stracili już wszystko,

łącznie z nadzieją, i nie mieli przed sobą innej drogi. Przynajmniej tak głosiła obiegowa opinia. Całej prawdy nie znał nikt. Ludzie z Klanu byli tajemniczy i nierozmowni. No i skuteczni, a o to przecież chodziło.

- To ja - powiedziała Małgosia, kiedy telefonistka w londyńskim Domu Klanu odebrała telefon.

Nie było sensu przedstawiać się imieniem i nazwiskiem, w tym kraju i tak nikt nie był w stanie ich poprawnie wymówić. Ale w dyspozytorni znali jej numer i wiedzieli, kim jest: załatwiczką z Exeter. Wiedzieli, gdzie wysłać rachunek. Ci z lokalnej, devońskiej Rodziny znali ją nawet osobiście. Dla pozostałych była tylko numerem telefonu.

- Za chwilę wyślę wam e-mail ze szczegółami dotyczącymi zadania. Rachunek do wysłania na zwykły adres, płatność tak jak zwykle. - Zaczekała na potwierdzenie i rozłączyła się.

Klan, podobnie jak wróże, preferował kontakt osobisty, choć telefon do dyspozytorni też traktowali jako miły gest. A zapowiedzenie e-maila czy faksu uznawali za wyraz szacunku. Jedyny, na jaki mogli liczyć. Ludzi z Klanu nie szanowano ani nie poważano w branży. Oczywiście nikt im nie robił afrontów wprost poza czarodziejami, ale czego innego można się było po nich spodziewać! W końcu Klan był zbyt użyteczny i doceniał drobne gesty. Nie oczekiwał, że jego Wielką Szamankę wszyscy nagle zaczną zapraszać na przyjęcia. Wystarczyło, że Szamanki się trochę bano, a do ludzi z Klanu dzwoniło zawsze w razie potrzeby.

Małgosia wysłała e-maila. Kumulacja miała nastąpić dopiero za półtora tygodnia. To wystarczało, żeby rozwiązać problem słonia... i rugby.

Tego właśnie chciał ojciec Chrisa, zagorzały i oddany kibic Czerwonych Kucyków. Jego klub w najbliższą sobotę miał grać mecz ze swoimi odwiecznymi rywalami, którzy byli oszustami, szalbierzami, narkomanami, sługami diabła i prawdopodobnie też masonami. Zdaniem ojca Chrisa, tylko i wyłącznie dlatego jego ukochanej drużynie nie udało się z nimi wygrać ani razu w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Kucyki, żeby w końcu przełamać złą passę, niewątpliwie potrzebowały pomocy samego Boga, a w ostateczności załatwiczki. Wrogów należało trochę osłabić, a resztę zostawić w mocnych rękach zawodników w czerwonych strojach.

Kontuzjowanie wszystkich graczy nie było proste, choć oczywiście wykonalne. Drobne utrudnienie polegało na tym, że mieli doznać tych urazów podczas gry. To wykluczało na przykład wypadki samochodowe w drodze na boisko, deszcz meteorów spadających na stadion i uderzających z chirurgiczną precyzją czy nagłą epidemię grypy. Kontuzje miały

spowodować przegraną, ale nie doprowadzić do przerwania gry. Czerwone Kucyki musiały odnieść druzgocące i na oko w pełni zasłużone zwycięstwo.

Od dnia, kiedy Małgorzata podpisała ten nieszczęsny kontrakt, nauczyła się bardzo szybko wymyślać plany. I co ważniejsze, dowiedziała się, że w jej przypadku ograniczenia praktycznie nie istnieją.

Po dwóch minutach znowu sięgnęła po telefon. Wiedziała już, jak może kontuzjować zawodników. Musiała tylko znaleźć odpowiednią osobę do pomocy. Zadzwoiła do Bena.

Ben Watson był miejscowym czarodziejem, ale poza tym właściwie nie miał wad, jeśli nie liczyć nadmiernie rozwiniętego patriotyzmu lokalnego. Objawiało się to między innymi czynnym uczestnictwem we wszystkich inicjatywach lokalnych: od pikiet w obronie zabytków przez konkurs wypieku ciast aż po aukcję świnek morskich. Fakt, że jego umiejętności kuchenne ograniczały się do zagotowania wody, a do świnek morskich miał uraz z dzieciństwa (jedna pogryzła mu kiedyś nadmuchiwaną piłkę plażową), wcale Benowi w tej działalności nie przeszkadzało. Był chyba jedynym czarodziejem na świecie, w stosunku do którego wszystkie dowcipy okazały się być przesadne, a stereotypowe wyobrażenie o przedstawicielu jego zawodu całkiem nieprawdziwe. Cóż, bez wyjątków nie stworzono by reguł.

- Cześć - powiedziała Małgosia, gdy tylko usłyszała w słuchawce jego przyjemny, poważny głos. - Mam pytanie: takie voodoo z lalczkami to jest możliwe?

- Jest - odparł Ben. Nie dziwiły go zaskakujące pytania dziewczyny, w końcu wiedział, jaką ma pracę. Wszystko rozumiał. To była właśnie jedna z tych cech, która go różniła od kolegów po fachu.

- Mógłbyś? - spytała załatwiaczka. Nie było sensu pytać, czy potrafi. Ben potrafił chyba wszystko. Był jednym z najpotężniejszych czarodziejów na świecie. I guzik go to obchodziło.

- Mógłbyś do soboty?

- Zlecenie lokalne? - w głosie Bena zabrzmiała nieufna nutka.

- Nie.

Mecz miał się rozegrać poza granicami Devonu. Gdyby zlecenie Małgosi dotyczyło krzywdzenia kogoś w okolicy, czarodziej na pewno by wkroczył. Kochał tę ziemię bardziej niż cokolwiek i kogokolwiek innego i za swój przywilej uważał jej ochronę. Był chyba najporządniejszą osobą, jaką załatwiaczka знаła. I prawie nie składał zleceń. Nie tylko dlatego, że wiedział, czym to grozi. On nie musiał korzystać z niczyjej pomocy, sam był wystarczająco potężny, żeby zdobyć wszystko, czego potrzebował. Albo niekiedy to, czego potrzebowała Małgorzata.

- Muszę mieć coś osobistego należącego do tej osoby - oznajmił.

Załatwiaczka w duchu odetchnęła z ulgą. Czarodzieje byli chyba jedynymi, którzy nie bali się zdrzeć z Korporacją. Więc gdyby Ben powiedział „nie”, to znaczyłoby to „definitywne nie”. Zwłaszcza że on miał zasady.

- Nie do tej osoby. Do tych osób - powiedziała szybko dziewczyna.

- Ile ci tych laleczek potrzeba?

Małgosia zamilkła na chwilę.

- A ile osób liczy drużyna rugbyistów?

Wiedziała oczywiście, że w piłkę nożną gra jedenastu zawodników, a w siatkówkę sześciu... Co do koszykówki nie była pewna, ale wydawało jej się, że każda drużyna liczy pięć sztuk. Ale rugby? Kto w to grał? Poza Anglikami, Walijszymi, Irlandczykami, Nowozelandczykami, Francuzami i diabli wiedzą kim jeszcze? Polacy rzadko, a już na pewno nie w telewizji, więc załatwiaczka czuła się w pełni usprawiedliwiona w swojej niewiedzy. Mimo to cierpliwie przeczekała trzydzieści sekund milczącej dezaprobaty czarodzieja. Ben kochał rugby, tak samo jak kochał piasek na plaży w Exmouth, czarne łabędzie z Dawlish i zielone pastwiska wokół Exeter. Rugby było elementem lokalnego folkloru.

- Piętnastu - powiedział. - Potrzebuję czegoś osobistego od każdego z nich.

- Będzie na jutro rano - obiecała Małgosia. - A zdążysz z laleczkami na sobotę?

- Wpadnij w piątek wieczorem - westchnął.

Voodoo nie było proste, nie kiedy chciało się je zrobić porządnie. Do tego nie należało do ulubionych rodzajów magii Bena. Było zbyt... dwuznaczne. Czarodziej lubił proste, czarno-białe kombinacje. Według niego świat powinien dzielić się na dobro i zło, a zadaniem tych białych było chronić szarych ludków tkwiących pośrodku. Więc chronił ich jak tylko mógł. Nie miał ambicji ocalenia całego świata, wystarczyło mu, że zadba o Devon i Kornwalię. To niby nic w porównaniu z całym globem i sześcioma miliardami ludzi, ale Ben i tak był zawsze zajęty. Praca w kilkunastu stowarzyszeniach zrzeszających członków społeczności lokalnych, no i jeszcze magia... Wiedział jednak dobrze, że to małe piwo w porównaniu z życiem załatwiaczki. Miał wrażenie, że następczyni pani Willoughby jeszcze nie do końca zrozumiała, że załatwianie to nie lekka zabawa, tylko potwór niszczący życie. Niedługo to do niej dotrze, tego był pewien.

Jakby mało było Małgorzacie zajęć, pod drzwi jej pokoju ktoś wsunął białą kopertę rozmiaru A4. Załatwiaczka nawet nie rzuciła się, żeby wybiec na korytarz i sprawdzić, kim jest tajemniczy doręczyciel. Te koperty się po prostu pojawiały. Kolejny obowiązek na jej głowie, ot co. Ciekawe, czy gdyby go nie wypełniła, nastąpiłoby coś strasznego, może koniec świata...

Otworzyła kopertę. W środku jak zwykle był obrazek wymalowany farbami na kartonie. Szare tło, a na nim bez ładu i składu, bez żadnej myśli przewodniej natchniona artystka wymalowała straszliwie tandetne czterolistne koniczyny przetykane obłymi piłkami do rugby. Uwagę zwracał kwiatek w doniczce ozdobionej rysunkiem trupiej czaszki. Chaosu twórczego dopełniały szkła powiększające i ciemne, niewyraźne plamy. Kiedy Małgosia patrzyła na obrazek, ten znikał. Po minucie nie było już po nim ani śladu, a wtedy załatwiaczka sięgnęła pod łóżko. Właśnie na takie okazje trzymała tam pędzle i farby. Wzięła wielką puszkę szarej i jeszcze kilka innych, mniejszych. Tym razem wzór był dość skomplikowany, mieszał jej się w głowie niczym parada z okazji dnia świętego Patryka skrzyżowana ze snem szalonego rugbisty i tanim kryminałem.

Zerknęła za okno. Musiała się pośpieszyć. Słońce już zachodziło, a ją czekały poszukiwania.

Zabrała puszki z farbami, cztery pędzle w różnych rozmiarach i pośpiesznie wyszła z akademika. Zeszła ze swojego pierwszego piętra na parter. Tam zatrzymała się. Poszukiwania nigdy nie były łatwe, no bo jak jednocześnie pamiętać ze szczegółami obrazek i szukać właściwej drogi! Nigdy nie było wiadomo, gdzie tego konia tym razem zaniósł. Pozostawało tylko iść przed siebie, zdając się na instynkt.

Małgosia musiała przyznać, że ostatnio ten jej instynkt prowadzi ją coraz lepiej. To miało coś wspólnego z wdrażaniem się w pracę. Trzeba było tylko wsłuchać się w swój wewnętrzny głos.

Schodząc w dół ze wzgórza, na którym stały akademiki, załatwiaczka minęła kilkunastu studentów. O tej porze teren uniwersytetu był spokojniejszy niż zwykle, zajęcia już się skończyły, a nocne życie z definicji miało miejsce w nocy. Tymczasem dopiero zmierzchało.

Budynki uczelni wydawały się opuszczone. Małgorzata nawet do nich nie podchodziła. Jej wewnętrzny głos wciąż mówił coś o koniczynie. Koniczyna na pewno nie rosła na parkingu, na chodnikach czy w bibliotece. Koniczyna rosła na łąkach.

Przyczyn, dla których pomiędzy terenem uniwersytetu a centrum miasta rozciągała się łąka porośnięta bujną trawą i zielskiem, nigdy nie udało się Małgosi pojąć. Ale łąka tam była. I mało tego, kiedy szło się ulicą oddzielającą tę strefę dzikiej zieleni od elegancko

przystrzyżonych trawników, nozdrza atakowała woń naturalnego nawozu, jakim ozdabiały łąkę pasące się na niej krowy. Pastwisko oddzielał od ulicy drewniany płot, na szczęście niezbyt trudny do pokonania nawet dla kogoś obciążonego farbami.

A pokonanie płotu było absolutnie konieczne, bo właśnie na łące, nieopodal pasących się krów, stał gipsowy koń.

Był naturalnej wielkości, miał lekko uniesioną przednią nogę, jakby przymierzał się do biegu. Pomalowano go na niebiesko z dodatkiem wyjątkowo kiczowatych żółtych słoneczek. Krowom jego towarzysztwo nie przeszkadzało. Skubały flegmatycznie trawę, niewzruszone i obojętne tak na obecność konika, jak też na Małgosię, która właśnie odstawiła na ziemię puszki z farbami i pędzle. Schylona przecisnęła się pomiędzy dwiema poprzecznymi żerdziami płotu. Kiedy już była na łące, sięgnęła po swoje pakunki.

Musiała się śpieszyć, słońce już prawie zachodziło, a ją czekało trochę pracy. Obok krów przeszła na palcach, na wypadek gdyby jednak doszły do wniosku, że mają coś przeciwko niej. Nie miały, więc szybko i bezpiecznie dotarła do gipsowego konia.

Postawiła puszki na trawie. W sprawnym otwieraniu wieczek miała doświadczenie, więc już po minucie krowy, gdyby miały ochotę, mogłyby obserwować, jak załatwiaczka energicznymi machnięciami największego pędzla przemalowuje konia na szaro. Ale krów to nie obchodziło.

Zamalowanie całej figury zajęło jej jakieś siedem minut. Było to kwestią wprawy - kiedy robiła to pierwszy raz, męczyła się ponad pół godziny. Farba na szczęście schła błyskawicznie, nie sama z siebie, ale ze względu na dodatek specjalnego utwardzacza, który Małgosia załatwiła sobie w fabryce chemicznej. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby przed naniesieniem kolejnych warstw musiała czekać, aż farba wyschnie.

Sięgnęła po mniejsze pędzelki i zajęła się wzorem. Miała coraz mniej czasu, zbliżała się noc, ale przy szczegółach nie wolno się śpieszyć. Musiały być staranne.

Wykańczała ostatnie koniczyny na końskim pysku, kiedy wśród krów zapanowało drobne poruszenie. Właściwie nie takie drobne, bo krowy nie marnowały czasu na odchudzanie, skoro i tak miały zostać wołowiną, więc kiedy nagle zaczęły oddalać się zrywnym truchtem, niemal zrobiły małe trzęsienie ziemi.

Małgosia postawiła ostatnią kreskę i zadowolona z wykonanej pracy opuściła pędzel. Dopiero wtedy się odwróciła.

Łąka zajmowała zbocze jednego z typowych dla Exeter wzniesień i schodziła łagodnie w dół, tworząc zieloną dolinkę. Tą dolinką właśnie nadchodzili wampir i słońca.

Choć jeszcze nie było całkiem ciemno, słońce już zaszło, więc Phillip mógł bez obaw spacerować po mieście. I spacerował niczym dumny właściciel z ukochanym psiakiem. Tylko że psiak był trochę duży.

Załatwiaczka zostawiła na trawie puszki z farbami i pędzle i wolnym krokiem wyszła im na spotkanie. Wolnym nie dlatego, że tak się zwykle pisze w książkach, ale dlatego, że nagle zrobiło jej się trochę słabo na myśl, co by było, gdyby Phillipa i Liliannę zobaczył na przykład policjant... Jak nic wpadliby w kłopoty. Wyciągnęłyby ich z nich, rzecz jasna, i to jeszcze przed świtem... KONIECZNIE przed świtem, ale ile by ją to nerwów kosztowało! A poza tym i tak już miała na tę noc zaplanowaną masę roboty.

Zauważyli ją. Wampir pomachał ręką, słonica przyśpieszyła kroku.

- Co wy tu robicie? - zapytała oszołomiona Małgosia, odruchowo gładząc nadstawianą jej przez Liliannę trąbę.

- Wyszliśmy sobie na spacer - oznajmił pogodnie Phillip, unosząc lekko głowę i biorąc głęboki wdech. - Świeże powietrze, zieleń, gwiazdy na niebie... czysta przyjemność! - Uśmiechnął się, odsłaniając piękne, białe zęby. Jeśli ktoś nie wiedział, na co patrzeć, widział tylko wspaniały uśmiech. Za to ludzie (i nieludzie) z branży od razu zwracali uwagę na odrobinę zbyt ostre kły. Załatwiaczce zajęło kilka tygodni, zanim nauczyła się dostrzegać takie drobne sygnały, ale teraz jemu podobnych rozpoznawała na pierwszy rzut oka. Wampiry ją zresztą też, chociaż nie miała pojęcia po czym. Jak rozpoznać załatwiacza? Po zaniedbanym wyglądzie? Po wiecznie trzymanej przy uchu komórce?

- A jeśli was ktoś zobaczy?

Phillip machnął lekceważąco dłonią.

- Bez obaw. Dla studentów jeszcze za wcześnie, poza tym zawsze mogę tego kogoś zahipnotyzować.

- A jeśli to będzie facet? - nie ustępowała Małgorzata.

Wampir westchnął ciężko.

- Na facetów też mogę w razie potrzeby rzucić urok. Nawet mógłbym ich pogryźć, ale zdecydowanie wolę kobiety. Ładniejsze szyje, poza tym jest z nimi o wiele więcej zabawy niż zwykle z jedzeniem.

Teraz to załatwiaczka westchnęła. Ciężko. W takich chwilach w naprawdę nieprzyjemny sposób docierała do niej cała prawda o Phillipie. To, że jeszcze bardziej niż każdy facet był... wampirem. Zwłaszcza jeśli chodzi o upodobanie do damskich szyjek i pulsujących na nich tętniczek.

I jak zwykle natychmiast odepchnęła od siebie tę prawdę najdalej jak to możliwe. Straciła już i tak zbyt wielu przyjaciół. Ponoć żebracy nie mają wyboru, to samo dotyczyło się też załatwiaczy. Jej tryb życia i fakt, że o swojej pracy mogła rozmawiać właściwie tylko z ludźmi z branży, sprawił, że oddaliła się od wszystkich z... z tamtego życia. Kiedy po raz setny usłyszeli, że nie ma czasu wyjść z nimi do pubu, na zakupy, pojechać nad morze, nawet porozmawiać, przestali dzwonić. Ona też nie dzwoniła, bo nie miała kiedy.

I w pewnej chwili zrozumiała, że ma do wyboru ludzi z branży albo samotność.

Mimo upływu kilku miesięcy wciąż czuła się nowa i obca. Po pierwsze dlatego, że była Polką, a Anglią, choć w zasadzie nie aż tak od Polski odległa, kwalifikowała się już jako „obca ziemia”. Po drugie, bo jej staż pracy w porównaniu z doświadczeniem innych ludzi z branży był niczym.

Ale sprawy powoli zaczęły iść do przodu. Małgosia okazała się zaskakująco dobra w swoim nowym fachu, a inni zawodowcy potrafili docenić profesjonalizm. Zyskała koleżanki i kolegów, no ale jeszcze nie przyjaciół.

A z Phillipem było tak... łatwo. Dowcipkował na temat jej pracy, miał wyjątkowo nonszalancki stosunek do świata i nie spoglądał na zegarek, kiedy wpadała do niego o najdziwniejszych porach, jeśli akurat była w pobliżu i miała wolną krótką chwilę.

Był też zabójczo przystojny, czarujący i posiadał wręcz zwierzęcy magnetyzm, ale o tym Małgorzata wiedziała tylko w teorii. Jako załatwiaczka była zabezpieczona przed działaniem takich sił mogących zniewolić jej umysł.

- Nie denerwuj się - powiedział miękko, zauważywszy, że jest zmartwiona. Tyle że przypisał jej zaniepokojenie swojemu spacerowi ze słonią. - Naprawdę musieliśmy wyjść. Nie wiem, czy się orientujesz, ale słonie, tak jak pieski, mają swoje potrzeby fizjologiczne.

- Serio? - Załatwiaczka uniosła brwi w udawanym zdziwieniu. - A tego mnie w szkole nie uczyli.

- Bo w twoim zimnym kraju słonie nie chodzą po ulicach - wyjaśnił jej ojcowskim tonem wampir. - A w cudownej słonecznej Anglii... voila!

Jakby dla zaakcentowania jego słów Lilianna uniosła trąbę i zamachała nią, jakby wiwatując na cześć dziewczyny niewidzialnym kapeluszem. Małgosia po prostu musiała się roześmiać. Ostatnio niewiele miała powodów do śmiechu. Z reguły była zbyt zmęczona, żeby wysilić się i choćby ruszyć mięśniami twarzy. W ciągu ostatnich trzech miesięcy... śmiała się tylko wtedy, kiedy Phillip ją rozbawił.

- A poza tym - dodał - wokół mojego domu jest pełno policji. Sąsiadka spod dziesiątego wypadła z okna i, niestety, skołała w ogródku. Rodzina ją dopiero co znalazła. Tragiczne! - westchnął teatralnie, nawet nie próbując ukryć satysfakcji.

Od konieczności zastanawiania się, jak długo sąsiadka konała w tym swoim ogródku i czy przypadkiem Phillip nie spędził popołudnia, wsłuchując się w jej jęki, wybawiło załatwiaczkę rżenie rumaka.

Zapadła ciemność, słoczone na drugim końcu pastwiska krowy były już tylko czarnymi, zafrasowanymi kształtami, ale gipsowego konia dalej trudno było nie zauważyć. Zdawał się emitować własny wewnętrzny blask, zupełnie jakby był radioaktywny. Choć nie był - Małgosia załatwiła sobie kiedyś licznik Geigera i sprawdziła, tak dla własnego spokoju. Teraz stanął dęba, roztrącając przy okazji stojące przy nim puszki z farbą, zarżał ponownie, a potem ruszył galopem w stronę uniwersytetu. Zdawało się, że przeleciał nad płotem, i po chwili słychać było już tylko coraz to odleglejszy tętent kopyt.

- Cholera, znowu zostałam bez farb - westchnęła zirytowana Małgorzata. Nauczona doświadczeniem starała się zawsze trzymać w akademiku pełen zestaw kolorów. Zlecenia na malowanie konia zawsze przychodziły znienacka, nie znała dnia ani godziny. A ona musiała być gotowa nawet na takie bzdury.

- Sharon znowu gdzieś wybyła - stwierdził Phillip.

Małgosia tylko skinęła głową. To było oczywiste, malowanie konia spadało na nią tylko wtedy, kiedy druidkę gdzieś wyniosło. Oczywiście nie mogła liczyć na to, że Sharon uprzedzi ją dzień wcześniej o planowanej podróży. Znikała sobie, a do załatwiaczki przychodziło zlecenie do natychmiastowej realizacji. Niby nic takiego, tylko ten przeklęty koń stał nieruchomo jedynie w dzień i do tego zawsze w innym miejscu - tam gdzie zastał go poprzedni świt. Raz Małgorzacie zdarzyło się jechać za nim aż pod Bath.

- Zawsze mnie zastanawia, dlaczego ona nie może się po prostu przetrzucić na jakiś newsletter - mruknął wampir.

- Jest tradycjonalistką.

- To na słup ogłoszeniowy. Pamflet. Coś normalnego i dosłownego. Co tym razem wymyśliła?

- Tło słoniowoszare. Na nim czterolistna koniczyna, piłki do rugby, kwiatek w doniczce z wymalowaną czaszką, szkła powiększające i jeszcze coś jakby czarne cienie - wyliczyła załatwiaczka. Kiedy tylko skończyła malować, obrazek wyparował z jej głowy. I całe szczęście.

- Słoniowoszary to na pewno aluzja do nas - stwierdził Phillip.

- Koniczyna i piłki są moje - przyznała Małgosia. - Mam nowe zlecenia. Nie wiem, co z resztą.

- Kwiatkiem się nie przejmuj, to wiadomość dla mnie. Chyba jeszcze dziś spotkam tego szaleńca - skrzywił się wampir. Koń krążył nocami po mieście sobie tylko znanymi szlakami. Ale zawsze odnajdywał tych, których dotyczyły obrazkowe listy druidki.

- Uważaj, żeby nie spłoszył Lilianny - zatroszczyła się załatwiaczka.

- A propos Lilianny właśnie! - Phillip poufale poklepał słońcę po żebrach. - Jest niewątpliwie cudowna, ale rozmówiłaś się może z tym smarkaczem?

- Nie chce jej. Ale zlecił mi wysłanie jej do rezerwatu, tyle że do konkretnego.

- Ile to potrwa? - zainteresował się wampir. Dobrze wiedział, że „konkretny rezerwat” oznaczał więcej kłopotów z załatwianiem miejsca, transportu i tym podobnych.

- Postaram się to zrobić jak najszybciej - obiecała Małgorzata. - Zaraz zacznę to załatwiać. - Wyciągnęła z kieszeni telefon. - A tak na marginesie, masz telewizor?

- Oczywiście, że nie! - Phillip był wyraźnie zde gustowany. - Po co mi to pudło? Żeby oglądać kobiety, w których więcej jest botoksu niż słodkiej krwi, i facetów, którzy w porównaniu ze mną są niczym, a robią za idoli milionów kobiet?

- Załatwię ci telewizor. Przyjdę w sobotę, mam zlecenie, które ci się na pewno spodoba - dodała Małgosia, zanim wampir zdążył zaprotestować.

- Tylko plazmowy - rzucił kapryśnie, kiedy klepała Liliannę po trąbie na pożegnanie.

Droga powrotna do akademika upłynęła załatwiaczce na rozmowie z dyspozytornią Domu Klanu. Tym razem nie bawiła się w e-maile i faksy, po prostu zadzwoniła i wyjaśniła, o co jej chodzi. Potrzebowała po jednym osobistym przedmiocie od każdego z graczy pewnej drużyny rugby. Jej zleceniodawca nic nie wspominał o rezerwowych, więc nimi się nie przejmowała. Piętnaście laleczek voodoo to chyba naprawdę było dość, by wygrać jeden mecz. Kradzież musiała nastąpić jeszcze tej nocy, a najpóźniej z samego rana. To dawało Benowi półtora dnia na odprawienie niezbędnych obrzędów, a Małgorzacie czas na zajęcie się znalezieniem rezerwatu dla Lilianny.

Poranne gazety donosiły o serii zuchwałych, bezczelnych i absolutnie szokujących kradzieży w domach zawodników jednej z drużyn rugby. Zginęły między innymi szczoteczka do zębów, brudne skarpetki i pilnik do paznokci. Policja podejrzewała grupę szalonych fanów, a tabloidy zamieszczały zdjęcia zdruzgotanych graczy, którzy zapewniali, że mimo tej straszliwej straty zamierzają *definitely* zagrać w sobotnim meczu i *ofcourse* go wygrać. Któraś z gazet dotarła nawet do trenera Czerwonych Kucyków, który stanowczo zaprzeczył, jakoby on i jego drużyna mieli cokolwiek wspólnego z kradzieżą, i z niesmakiem odrzucił sugestię, jakoby miała to być próba rozstrojenia przeciwnika.

Małgosia nie czytała gazet. Dostała za to e-maila z Domu Klanu z potwierdzeniem wykonania zlecenia i adnotacją, że zamówione przedmioty dostarczono pod wskazany adres. Odbiór pokwitował niejaki Ben Watson.

To oznaczało, że załatwiaczka mogła chwilowo nie zawracać sobie głowy rugby. Sprawa loterii z wygraną rzędu pięciu milionów też chwilowo była poza jej wpływem: ludzie z Klanu zgodnie z instrukcjami uniemożliwiali wywróżonym zwyczajcom wytypowanie numerków. Na trzeciej stronie lokalnej gazety, której Małgorzata nie czytywała, była wzmianka o tajemniczym napadzie na starszego pana. Nieznani napastnicy przetrzymali go w nieznanym miejscu aż do godziny losowania, a potem po prostu wypuścili, w dodatku zacerowawszy mu rozdarty w czasie szamotaniny płaszcz. Jakiś pismak pytał w dramatycznym komentarzu, co rząd ma zamiar z tym zrobić. Rząd jak na razie nie wypowiedział się ani w sprawie staruszka, ani jego płaszcza.

Pozostająca w błogiej ignorancji medialnej Małgosia zajmowała się tymczasem sprawą rezerwatu. Udało jej się ustalić, jaki park narodowy pokazano w telewizji mniej więcej tydzień temu. Właściwie to było ich kilka, a ona wybrała tylko jeden. Oczywiście Chris mógł mieć na myśli zupełnie inny program i zupełnie inny rezerwat, ale załatwiaczka nie zamierzała się z nim konsultować. Powiedział „tydzień temu”? Powiedział. Zlecenie zostało złożone i basta. Małgorzata wybrała po prostu ten park narodowy, który jej zdaniem najbardziej nadawał się dla Lilianny. Teraz musiała tylko załatwić tam dla niej miejsce i w miarę szybki i wygodny transport. Plus, rzecz jasna, pozwolenia, potwierdzenia, świadectwa i masę makulatury niezbędnej, by przewieźć słonia przez pół globu. Bułka z masłem.

Na zjadaniu tej bułki szedł jej cały czwartek i większość piątku. O siódmej wieczorem miała już zarezerwowane miejsce na statku, który odpływał w sobotę, zapewnienie, że kurier dostarczy wszystkie potrzebne dokumenty godzinę wcześniej, a pracownicy rezerwatu powitają Liliannę z otwartymi ramionami.

Małgosia przeciągnęła się i ziewnęła, bardziej z przyzwyczajenia niż prawdziwej potrzeby. Poza sprawą słonia miała aktualnie do załatwiania jedynie loterię i mecz rugby. W pierwszym przypadku musiała na razie tylko nadzorować poczynania Klanu. Zostało jeszcze dwóch zwycięzców do unieszkodliwienia. Potem wystarczyło drobne fałszerstwo i wysłanie kuriera ze zwyciężskim losem do zleceniodawcy. I załatwione.

Po laleczki poszła do Bena pieszo. Mogła zamówić taksówkę, ale po co? Miała chwilę czasu, dlaczego by nie wykorzystać go na spacer? Czarodziej mieszkał tylko o pół godziny drogi od akademików. Co prawda nie była to droga bogata w krajobrazy i piękne widoki, tylko kilka uliczek obficie obsadzonych prawie identycznymi domkami, ale Małgorzacie to nie przeszkadzało. Angielska architektura miała w sobie coś uspokajającego i relaksującego. Akurat tych dwóch elementów w życiu załatwiaczki brakowało.

Nadchodzącą Małgosię Ben zauważył przez okno. Była jeszcze kawałek od jego domu, ale wszędzie rozpoznałby tę sylwetkę. Lekko przygarbiona dziewczyna w ogrodniczkach i trampkach. I z włosami koloru oberżyny, choć nikt poza czarodziejem nie zauważyłby tego z odległości pięciuset stóp.

Od miesięcy wyglądała tak samo. O ile Ben się orientował, kupiła sobie kilka par identycznych ogrodniczek z wielkimi kieszeniami, kilka par trampek i kilka bluz z kapturem. Chyba nawet nie miała pojęcia, że wybrała sobie mundurek.

Załatwiacze nie nosili uniformów, nie w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nie było żadnych przepisów regulujących, jak mają się ubierać. Ale po pewnym czasie prawie wszyscy kończyli w czymś luźnym, wygodnym i z dużymi kieszeniami. Czasem mylono ich z lokalnymi fanami hip-hopu, choć spodnie tych ostatnich były nisko obciągnięte ze względu na powszechnie panującą modę, a nie z powodu notesów i komórek zalegających w kieszeniach.

Tylko pani Willoughby była okazem jedynym w swoim rodzaju. Czarodziej uśmiechnął się na wspomnienie drobnej damy w eleganckim kostiumiku i nieodłącznych szpilkach, która spędzała dnie w salonie swojego domu w towarzystwie kilku telefonów i kurierów przychodzących tak często, że nie było sensu zamykać drzwi. Pani marionetek pociągająca za sznurki - tak mu się zawsze kojarzyła. Dwa kontrakty, dwadzieścia lat załatwiania, a ona uwielbiała to robić do ostatniej chwili. Ben wciąż nie mógł pozbyć się uczucia zaskoczenia, jakiego doznał na wieść, że pani Willoughby umarła. Nie doszłoby do tego, gdyby podpisała trzeci kontrakt. Zawsze sądził, że ona tak właśnie zrobi.

Zgotowała wszystkim niespodziankę, nie tylko umierając, ale i zapisując swoją licencję w spadku ślicznej, energicznej Polce. Może sądziła, że wyświadcza tym dziewczynie przysługę?

Małgosia była już przy niskim murku oddzielającym ogródek czarodzieja od ulicy. Ben poszedł otworzyć jej drzwi.

Pamiętał, jak wyglądała pierwszego dnia kontraktu... To on składał jej pierwsze zlecenie. Dziewczyna była jeszcze ciągle zdezorientowana i nie wiedziała, o co tak właściwie z tym wszystkim chodzi. Prawie nic nie wiedziała.

Znalazł ją wtedy w pubie tuż przy biurze notariusza, u którego pani Willoughby spisała testament. Siedziała w kącie nad nietkniętym piwem i bezradnie przerzucała papiery, którymi zasypał ją prawnik. Regulamin, kontrakt, kilka spiętych spinaczem kartek z niezbędnymi informacjami i to najważniejsze: ogromny notatnik pani Willoughby pełen adresów, numerów telefonów - wszystkiego, co załatwiałce było niezbędne do pracy.

Tego dnia Małgosia nie wyglądała na zawodowca. Miała starannie uczesane włosy, delikatny, ale wykonany wprawną ręką makijaż i różową sukienkę. Kiedyś powiedziała mu, że została raz Miss Studentek. Przywołał wtedy w pamięci obraz tamtej dziewczyny z pubu... Tak, ona mogła być miss. O dziwo, kiedy tylko zaczął z nią rozmawiać, przekonał się, że mogła też zostać dobrym fachowcem. Była bystra, inteligentna i bezpośrednia. Umiała myśleć elastycznie, umiała planować, choć musiała jeszcze się nauczyć, że w jej nowej pracy nie ma żadnych „granic obiektywnych” ani „sił wyższych”.

Otworzył drzwi, zanim jeszcze nacisnęła dzwonek, i wpuścił ją do środka. Kiedy go mijiała, uśmiechając się blado na przywitanie, zauważył, że ma podkrążone oczy... w każdym razie bardziej podkrążone niż zwykle. Zatrzymała się w korytarzu, pod obrazkami z widoczkami Devonu, wyraźnie dając znać, że to będzie krótka wizyta. Nie zamierzała wchodzić dalej.

Małgosia zauważyła, jak czarodziej na nią patrzył. Te same co zawsze spokojne, czujne oczy... i mała kometa niepokoju, która przemknęła tak daleko, że właściwie mogłoby jej wcale nie być. Tak długo, jak mieszkała i pracowała w Exeter, była - jakkolwiek by to zabrzmiało - w polu troski Bena.

Nie oznaczało to bynajmniej, że czarodziej powtarzał jej, że się przemęcza, że nie dosypia, że powinna o siebie zadbać, tak jak to robił Phillip. Chociaż w przypadku Phillipa to wszystko przypominało raczej zaczepki niż prawdziwą troskę. Ben był zupełnie inny, choć z drugiej strony martwił się nie Małgosią jako Małgosią, ale jako załatwiaczką jego ukochanego Exeter.

- Masz dla mnie lalczki? - zapytała.

Skinął głową. Na stoliku przy schodach prowadzących na piętro stało już przygotowane zamknięte pudełko. Małgosia wzięła je, nawet nie zaglądając do środka. Mogła być pewna, że czarodziej idealnie wywiązał się z umowy.

- Wiesz, gdzie wysłać rachunek.

- Dodałem zabezpieczenie - uprzedził ją Ben. - W pudełku są szpilki. Tylko one uaktywnią urok, ale dokładnie w czasie gry. Nie wcześniej. Dźganie laleczek czymkolwiek innym nie wywoła żadnego efektu. Urok wypali się po meczu.

- Nie ufasz mi? - Załatwiaczka prawie się obraziła. Prawie, bo obraza była elementem relacji osobistych. A ją i czarodzieja łączyły tylko stosunki służbowe.

Ben pokręcił głową.

- Voodoo to niebezpieczna sprawa, zwłaszcza takie uroki jak ten. Musiałem mieć pewność, że nikt nie nadużyje zaklęcia. Co, by było, gdyby ktoś wykradł ci laleczki? Sama nie mogłabyś ich zniszczyć, nie bez zabijania ludzi. Musiałabyś odnieść mi je z powrotem, a sama wiesz najlepiej, że mogłabyś nie mieć czasu tego zrobić przez najbliższy miesiąc.

Małgorzata musiała uznać jego argumenty. Miał rację, jak zwykle. I jeszcze ułatwiał jej życie. Nie musiała się martwić, co będzie dalej z laleczkami, zresztą i wcześniej się tym nie martwiła. Nie zawracała sobie głowy tym, co powinna z nimi zrobić po meczu. Prawdopodobnie wetknęłaby pudełko w kąt szafy albo pod łóżko obok puszek z farbami. I natychmiast by o nim zapomniała. O zleceniach nie warto było pamiętać. Wszystko, co było ważne, czyli setki tysięcy adresów, miała w specjalnym notesie.

- Dobry pomysł. Dziękuję.

W jednej ręce trzymała pudełko, a drugą otworzyła sobie drzwi, nie czekając, aż czarodziej to zrobi.

- Dasz sobie radę? - zapytał.

Odwróciła się. Ben stał w drzwiach rosły niczym wiking, prawie całkiem przysłaniając sobą korytarz.

- To tylko zlecenie - powiedziała uspokajająco. - To krzywdzenie ludzi - wypomniął, patrząc jej prosto w oczy. - Za każdym razem gdy wbijesz szpilkę w lalkę, zobaczysz, jak ktoś cierpi. Przez ciebie.

- Przez mojego zleceniodawcę - skorygowała natychmiast. Załatwiacze nie ponoszą odpowiedzialności za skutki wykonywanych zleceń. Tak stało w regulaminie. A regulamin był najważniejszy.

- Dasz radę? - powtórzył.

- Załatwiłam sobie pomoc - wyjaśniła krótko. Nie miała zamiaru mówić, czyja to była pomoc, ale czarodziej i tak się domyślił. Jednak spokojnie zamknął za nią drzwi. Nie trzasnął nimi, nie zaklął, nie zrobił nic.

Ale Małgosia dobrze wiedziała, że absolutnie nie pochwała udziału Phillipa. Ben nie pochwalał niczego, co dotyczyło wampira. W jego osobistej wizji świata Phillip stał po tej złej, czarnej stronie, która zagrażała ziemi czarodzieja. A zadaniem czarodzieja, niczym rycerza okrągłego stołu, była ochrona tej ziemi przed smokami, niszczeniem zieleni, przestępczością nieletnich, spalinami i wampirami.

Jednak musiał tolerować Phillipa, póki ten nie dążył do otwartej konfrontacji i nie robił nic, żeby sprowokować Bena. To chwilami doprowadzało czarodzieja do szału. Gdyby tylko miał powód...

Ale nie miał. Nie miał żadnego powodu.

Po wyjściu z domu Bena Małgosia skręciła w prawo, w stronę uniwersytetu. Jeszcze zanim czarodziej zamknął za nią drzwi, wyciągnęła z kieszeni komórkę. Miała zamiar zadzwonić do Phillipa, sprawdzić, jak się ma Lilianna. Przez ostatnie kilka dni wampir robił za słonioniańkę, bez przerwy narzekając i wyliczając załatwiacze, ile przysług będzie mu za to winna. To ostentacyjne męczennictwo nie przeszkadzało mu chadzać wieczorami z Lilianną na długie spacerunki i ukradkiem podkarmiać ją jabłkami. Na wiadomość, że za dwadzieścia cztery godziny pozbędzie się szarego ciężaru, zareagował ze znacznym entuzjazmem. Po chwili dodał, że marzy o powrocie do dawnego stylu życia, a poza tym nie ma już więcej sąsiadek skłonnych wpaść z okna na widok słonia w ogródku.

To, że ktoś ją śledzi, Małgorzata zauważyła kilka minut po wyjściu od czarodzieja, kiedy już wybrała na komórce numer Phillipa. W jej głowie zaczęła migać czerwona lampka, taki szósty zmysł, który rozwinął się u niej po podpisaniu kontraktu. Na samym początku nawet najłżejsze uczucie zaniepokojenia sprawiało, że wzywała grupę z ubezpieczalni. Dopiero z czasem nauczyła się, że od poczucia zagrożenia do rzeczywistego zagrożenia jest mniej więcej jak z Dublina do Lublina - niby nie koniec świata, ale na piechotę dojszć raczej trudno. A wezwanie pomocy wymagało tylko jednej myśli, ułamka sekundy i komando półtrolli zaraz zjawiało się na miejscu. Dlatego Małgosia spokojnie odczekała, aż wampir zakończy swoje wywody, upewniła się jeszcze, że telewizor dotarł, i zapowiedziała, że wpadnie koło południa. Wyłączyła telefon. A potem po prostu się odwróciła.

Chodnikiem po drugiej stronie ulicy szedł mężczyzna pod pięćdziesiątkę, który zapewne nigdy nie słyszał o zdrowym odżywianiu. A przynajmniej nie o takim odżywianiu, które oznaczałoby pozbycie się opasłego brzucha i alkoholowej opuchlizny z twarzy. Z jakiegoś

powodu uznał, że śledzić załatwiaczkę należy w garniturze. To był chyba najgorszy możliwy wybór, i nie tylko dlatego, że rzucał się w oczy. Biała koszula i krawat podkreślały brzydotę jego twarzy, podwójny podbródek, worki pod oczami i żabie usta.

Nie spodziewał się najwidoczniej, że obiekt jego inwigilacji odwróci się nagle na pięcie i spojrzy mu prosto w oczy, bo zamarł w pół kroku z otwartymi ustami. Teraz już zupełnie przypominał ropuchę.

Małgorzata też stała nieruchomo i czekała, co jej prześladowca zrobi. Ropuch szybko się opanował i wolnym krokiem ruszył dalej, zupełnie jakby nic się nie stało. Skręcił w pierwszą boczną uliczkę.

Załatwiaczka wciąż stała w miejscu, obróciła się tylko lekko, żeby ani przez chwilę nie mieć go za plecami. Dopiero gdy zniknął za zakrętem, sięgnęła po telefon.

- Ktoś za mną szedł od twojego domu - powiedziała, gdy tylko Ben odebrał. - Facet w średnim wieku, taki ropuchowaty...

- Nie przejmuj się nim - wpadł jej w słowo czarodziej. - To policjant.

- Masz policję na karku? - zdziwiła się załatwiaczka. Tego się po Benie nie spodziewała. On był kompletnie antyprzestępczy. - Co zrobiłeś?

- Nic... Trochę za bardzo się interesowałem niektórymi sprawami, a policjanci nie są głupi. Zauważyli, że w mieście dzieje się coś nie do końca wyjaśnialnego.

- Od tego jest Klan - podsunęła Małgorzata. W mieście miało miejsce wiele rzeczy, których nie śniło się filozofom, a tym bardziej policjantom. Jeśli należało usunąć ślady, jedna rozmowa z Klanem rozwiązywała problem. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczyła ją nowa praca. Zawsze dobrze mieć pod ręką kogoś, kto wszystko posprząta.

- Klan nie rozwiąże wszystkiego... - Mogła sobie wyobrazić, jak Ben się w tej chwili uśmiecha, w ten swój lekko smutny, lekko tajemniczy sposób. - Ten policjant dalej za tobą idzie?

- Zawrócił.

- Nie przejmuj się nim - powtórzył uspokajająco. - To ciebie nie dotyczy. Zajmij się zleceniami.

- Jak chcesz.

Rzeczywiście, zajmowanie się sprawami, które jej nie dotyczyły, uważała za stratę czasu. Ale z częścią ludzi, których poznała w pracy, łączyły ją stosunki zahaczające o przyjaźń. Na tej liście był oczywiście Phillip. I Ben.

- Znasz mój numer - powiedziała mu na koniec. Jakkolwiek sucho to brzmiało, znaczyło: „Martwię się o ciebie”.

Czarodziej nie odpowiedział, tylko się rozłączył. Małgosia schowała telefon do kieszeni i wróciła do akademika. Już nikt za nią nie szedł.

Tak jak załatwiaczka podejrzewała, Phillip był zachwycony sobotnią rozrywką. Mecz sam w sobie niewiele go obchodził, tak jak i inne wampiry gardził ludzkim sportem. Istotnie, w porównaniu z przepuszczaniem fortun podczas wyścigów nietoperzy przy pełni Księżyca była to mało subtelna rozrywka. Ale gra połączona z dokonywaniem rytuałów voodoo na graczach, w dodatku własnoręcznie? To wprawiło go w szampański humor. Wręczył nawet Małgosi kubek popcornu. Sam co prawda nie tykał kukurydzy pod żadną postacią, ale jak stwierdził - widział w reklamach telewizyjnych, jak powinno wyglądać wspólne oglądanie meczu. Posiadaczem telewizora był dopiero od dwudziestu czterech godzin, jednak już zdążył zaczerpnąć z tej krynicy wiedzy.

Rezydująca w ogródku Lilianna dostała torbę (a raczej koryto) przysmaków ściśle wegetariańskich. Wampir z rozpędu jej też usiłował dać popcorn, ale załatwiaczka go powstrzymała.

Poprzedzona niezliczoną ilością reklam transmisja wreszcie się rozpoczęła... oczywiście od wyliczania sponsorów. Małgosia, poganiana przez entuzjastycznie nastawionego do całego planu Phillipa, już wcześniej wyjęła z pudełka wszystkie laleczki i ułożyła je jedną obok drugiej na niskim stoliku do kawy. Sama, ściskając swój popcorn, usiadła na obitej białą skórą kanapie. Wampir miał dość minimalistyczne poglądy na dekorację wnętrza, wszystko w jego domu było białe albo czarne. Wyjątek zrobił tylko dla kilku mebli z dębowego drewna, które określał jako „klimatyczne”.

Jednak kanapa nie była ani klimatyczna, ani nawet wygodna - sama skóra i metal. Zresztą w tej chwili Małgosi chyba nigdzie nie byłoby wygodnie. Zaczęła rozumieć, czemu Ben pytał ją, czy da radę. I dlaczego nie powiedziała mu wtedy po prostu: „Tak, dam radę”.

Po wszystkich telewizyjnych rytuałach wreszcie przyszła pora na grę. Już po chwili gromada wielkich facetów rzuciła się w pogoń za owalną piłką i za tym nieszczęśnikiem, który akurat miał ją w rękach. Załatwiaczka sięgnęła po leżącą na stole figurkę, która miała na szmacianych plecach wymalowany ten sam numer co gracz trzymający piłkę. Trzy specjalne szpilki przygotowane przez czarodzieja leżały w równym rzędzie obok.

Małgorzata, nie odrywając wzroku od ekranu, ukłuła lalkę. Rugbista na boisku nagle upuścił piłkę i nie wiedząc czemu chwycił się za pośladki.

- W nogi, teraz po nogach. Będą się fajnie przewracać! - pouczył ją zachwycony Phillip. Zagarnął dla siebie większość laleczek i teraz chwycił je po kolei, i wbijał w nie szpile, zanosząc się diabolicznym chichotem.

Był tak pochłonięty katowaniem rugbistów, że nawet nie zauważył, kiedy Małgosia podrzuciła mu swoje laleczki. Wbijając szpile w szmaciane ciała, czuła się paskudnie. Ale nic nie mogła poradzić, to było zlecenie, a więc sprawa poza jej odpowiedzialnością. Minie kilka dni i w nawale obowiązków załatwiaczka zapomni o nieszczęsnych sportowcach. Z drugiej strony dobijał ją fakt, że właśnie nawaliła. Gdyby nie wampir, nie byłaby w stanie wykonać zlecenia. A zlecenia musiały zostać wykonane bez względu na wszystko.

Kiedy mecz skończył się druzgocącym zwycięstwem Kucyków, Phillip z miną dziecka, któremu kazali iść już spać, odłożył na stół laleczki i szpile. Dopiero wtedy zauważył, że Małgorzata nie brała udziału w zabawie. Siedziała na swoim końcu kanapy z kolanem podciągniętym pod brodę i bardziej niż zwykle bladą twarzą.

- Nie przejmuj się, wszyscy żyją - pocieszył ją niefrasobliwie, szturchając na pożegnanie figurkę z numerem 2. Wampir polubił ją najbardziej, bo niezwykle go rozbawiło, że komentator nazywa tego zawodnika „młynarzem”. Ale rugbista, przy kolegach mikrus: marne metr osiemdziesiąt, ani nie syknął z bólu, ani nie złapał się za żadną część ciała. - Koniec zabawy - westchnął z żalem Phillip. - Ten świętoszek musiał, rzecz jasna, założyć zabezpieczenia. Nie ufał ci?

- Chyba wiedział, że przyjdę z tym do ciebie. - Załatwiaczka spodziewała się, że jej głos będzie drżał, a tymczasem brzmiał wręcz obraźliwie normalnie. - Sama nie dałabym rady.

- Bywa! - Jej towarzysz dalej prezentował pełne rozluźnienie i bez troskę. - Nikt nie jest ideałem. Nie gryź się już tym, faceci są cali i zdrowi, poza ujmą na honorze, rzecz jasna. - Zachichotał. A ponieważ był wampirem, nawet jego chichotanie brzmiało erotycznie. Tyle że na Małgosi nie robiło to wrażenia. Była odporna aż do przesady.

- Nie o to chodzi... w każdym razie nie tylko o to - wyznała. - Gdyby nie ty, nie wykonałabym zlecenia.

Phillip milczał przez chwilę.

- Powiało powagą - stwierdził wreszcie, w widoczny sposób niezadowolony, że ktoś niszczy jego radosny nastrój. - Nie przejmuj się - dodał już miękko. - Nauczysz się. Tylko nie przesadzaj, bo jeszcze staniesz się podobna do mnie.

- Ty prezentujesz, o dziwo, ludzkie uczucia - wytknęła mu Małgorzata, wdzięczna, że wampir znów sprowadził rozmowę na bezpieczniejsze tory. Tak naprawdę nie chciała myśleć o tym, co by się stało, gdyby nie wykonała zlecenia. - W tej chwili na przykład wydajesz się

wyjątkowo empatyczny. - Złudzenie! - Phillip zerwał się z kanapy. - Udoskonaliłem moje zdolności kłamstwa i oszustwa, żeby skłaniać słodkie dziewczeczki do wypłakiwania się na moim ramieniu. Tak słodko przy tym nadstawiają szyjki! - Uśmiechnął się szatańsko.

- Nie lubisz słodkich dziewczeczek - zauważyła załatwiaczka. Też wstała z kanapy i teraz zbierała laleczki do pudełka.

Kilka razy zdarzyło jej się spotkać wampira na mieście, jak wracał z pubu do domu za każdym razem z inną zdobyczą. Żadna nie była słodka. Seksowna, wyzywająca i obowiązkowo wydekoltowana, ale słodka? Nigdy!

- Niekiedy nabieram na nie apetytu. To tak jak z kuchnią tradycyjną: w zasadzie się jej nie lubi, ale czasem człowieka nachodzi.

Małgosia nie mogła stłumić chichotu, jaki wywołało u niej skojarzenie dziewcząt Phillipa z bigosem.

- A teraz dość już tych rozważań kulinarno-psychoanalitycznych - zarządził wampir. - Skoro o dziewczętach mowa, kiedy przyjedzie ciężarówka po moją uroczą lokatorkę?

Załatwiaczka spojrzała na zegarek.

- Za pół godziny.

- Świetnie. Akurat zdążę się przebrać. - Wampir ruszył w stronę schodów prowadzących na piętro.

- Jedziesz z nią? - wydusiła z siebie zaskoczona Małgosia. Tego się po nim nie spodziewała.

- Jedziemy - poprawił ją stojący już na stopniach Phillip. - Co byś nie miała jeszcze do załatwienia, twój telefon na pewno łapie się też na autostradzie. Nie możemy puścić jej samej. Poczują się rozczarowana. Poszedł na piętro, zostawiając na dole zszokowaną Małgosię, która aż usiadła z tego wszystkiego na kanapie. Co mu odbiło? Co się stało z tym wampirem, którego znała? Potrwało chwilę, zanim udało jej się zebrać i stanąć na własnych nogach. Lekko chwiejnym krokiem podeszła do drzwi prowadzących do ogrodu. Lilianna już tam czekała przy dwóch schodkach prowadzących na zadaszoną werandę.

- Co ty mu zrobiłaś? - zapytała ją załatwiaczka, klepiąc szare cielsko. - Nie wiedziałam, że słonie umieją rzucać uroki.

Podróż do Londynu trwała cztery godziny. Małgosia wylądowała w szoferce, podczas gdy Phillip uparł się jechać z Lilianną w skrzyni na pace. Wyjaśnił załatwiacze, że musi, bo tylko tam nie dosięgnie go słońce.

Małgosia natychmiast zrobiła sobie z kabiny kierowcy coś między budką telefoniczną a biurem. Ani na chwilę nie odrywała komórki od ucha. Normalnego człowieka po takim maratonie gadania bolałaby głowa, ale ona miała już w tym wprawę. Na początku martwiła się trochę, że jej tabletki na migrenę, superskuteczne, choć niedopuszczone do użytku ze względu na jakieś działania uboczne, zostały w akademiku. Ale głowa jakoś jej nie bolała.

Cztery godziny to wystarczająco dużo czasu na zorganizowanie fałszerstwa i przekrętu. Unieszkodliwianie niedoszłych zwycięzców loterii szło ludziom z Klanu świetnie i pula wygranej lada dzień miała sięgnąć pięciu milionów. Pozostawał tylko drobiazg: zleceniodawca musiał dostać zwycięski los.

Tu zaczynały się drobne trudności. Wróże odmawiali przewidywania wygranych numerów. Oczywiście Małgosia mogła postarać się i dotrzeć do wyroczni, ale ich było na świecie nawet mniej niż załatwiaczy. Do tego wszystkie mówiły w strasznie zawołowany sposób. Na proste pytanie o wygrywające liczby Małgorzata dostałaby pewnie odpowiedź zawierającą więcej łamigłówek i zagadek niż prorocтва Nostradamusa. Załatwiaczka nie czuła potrzeby wcielania się w supermana od kryptologii i symboli, więc poszła po najmniejszej linii oporu.

Najpierw wygrane numerki, potem losowanie.

Wygrywający los był już gotowy: na fałszerzach, z którymi współpracowała Korporacja, można było polegać. SMS-em Małgosia dostała zestaw liczb i większość drogi do Londynu upłynęła jej na dyrygowaniu przez telefon odpowiednimi ludźmi. Ci mieli stanąć na głowie, by w najbliższą sobotę w losowaniu padły właśnie te numerki.

Niestety, to oznaczało, że załatwiaczka będzie jednak musiała zmarnować czas na wręczenie jednej jedynej łapówki. Klan, któremu zleciła wpłynięcie na przebieg losowania i przemycenie do właściwego miejsca kilku zdolnych techników-wynalazców, nie mógł załatwić wszystkiego. Ona mogła.

Całe szczęście, że już i tak była w drodze do Londynu. Nie mogła powstrzymać małego uśmiešku... Spotkanie w nocy na moście nad Tamizą! Jak w najbardziej szmatławej powieści szpiegowskiej. Gdyby wcześniej wiedziała, co ją czeka, pożyczylaby od Phillipa długi, ciemny płaszcz. Ubranie byłoby na nią za duże, ale za to pasowałoby do konwencji. I gdyby jeszcze w Londynie była ta słynna mgła...

Obrazek, jaki powstał w jej głowie: zdenerwowany łapówkobiorca, ona sama w za dużym płaszczu, pusty most i jeszcze ta mgła... sprawił, że Małgorzata zachichotała pod nosem. W takich chwilach uważała, że ma najwspanialszą pracę na świecie.

Londyn zrobił jej przyjemność i okrył się szczelnie mgłą, która zachwycałaby Kubę Rozpruwacza. Przeprowadzanie Lilianny z ciężarówki na statek przypominało więc tajną akcję szpiegowską.

Na szczęście opiekunowie, którzy mieli ze słonicą płynąć do Indii, byli fachowcami i cała operacja przebiegła bez zakłóceń. Małgosia i Phillip stali na nabrzeżu w charakterze widzów, patrząc po raz ostatni na szare cielsko.

Po kilku minutach dołączył do nich kurier.

- Pani Br...z...eee...?

- Brzeska - dopowiedziała mu załatwiaczka, żeby się nie męczył. - Tak, to ja.

Odebrała kopertę i pokwitowała odbiór. Kurier skinął im głową na pożegnanie i fachowo znikł we mgle.

Małgorzata wytrząsnęła zawartość przesyłki na wyciągniętą dłoń. Ze środka wypadł los. Mała karteczka w czerwonym kolorze. Obok pól z cyferkami nadrukowany był słoń z podniesioną do góry trąbą i zatknietą zawadiacko za ucho czterolistną koniczynką. Tak na szczęście.

- Podobny do Lilianny - skwitował wampir, zaglądając załatwiaczce przez ramię. - Co to?

- Los warty pięć milionów funtów. Wygra w losowaniu w przyszły weekend.

- Nieźle. Czemu ja ci nie składam takich zleceń?

- Bo jesteś upiornie bogaty - przypomniała mu Małgosia. Wampirom, nawet tym najbardziej rozrzutnym, nieźle szło chomikowanie fortun. W końcu miały na to całe lata.

- A, rzeczywiście! - Phillip wydawał się lekko rozczarowany. Wygrana na loterii nigdy mu się nie zdarzyła. A jakie by to było ekscytujące coś wygrać!

Liliannę już umieszczono w przeznaczonym dla niej pomieszczeniu. Ze statku dobiegł odgłos jej trąbienia, a może tylko odległej syreny okrętowej.

Załatwiaczce zrobiło się smutno. Słonica co prawda była kłopotliwa, ale też sympatyczna i taka... solidna. Zupełnie inna niż wszystko wokół Małgorzaty.

- Będę za nią tęsknić - postanowił wampir, wzdychając teatralnie. - A ty?

Małgosia tylko pokręciła głową. Nie mogła tęsknić. Nie miała czasu. Tak właśnie! Bardzo, bardzo dobry powód...

- To tylko kolejne zlecenie - mruknęła. Nie wiedziała, czy przekonała jego, ale siebie na pewno. Znowu miała suche oczy.

- Wpadasz w rutynę. Jeszcze trochę i dopadnie cię całkowita znieczulica - zauważył Phillip. Może załatwiacze tylko się wydawało, ale w jego głosie slychać było żal. A nawet współczucie. Tyle razy jej powtarzał, że marnuje się w tej pracy, może mówił poważnie?

Wzruszyła ramionami. To nie miało znaczenia. Lilianna też już nie miała znaczenia. Jedyne, co było ważne, to kolejne zlecenie. Przed chwilą poczuła w kieszeni wibracje telefonu. Mogła się założyć, że znów ktoś czegoś od niej chciał.

- Wracam do pracy. - Odwróciła się plecami do nabrzeża. Miała godzinę na dotarcie do mostu, na którym będzie czekał jej łapówkobiorec. Wystarczająco dużo czasu, by dojechać taksówką do centrum i może nawet uciąć sobie krótki spacer nad zamgloną Tamizą. To dopiero byłoby klimatyczne! - Idziesz?

Wampir pokręcił głową. Wciąż nie odrywał spojrzenia od statku, od mgły, która go oplatała, i od nocnego nieba, które przesłaniała mleczna kotara. Ten widok coś mu przypominał.

- Zajrzę do tutejszych pubów, kto wie, może mają tu piękne dziewczyny?

- Nie licz, że będę ci życzyć udanego polowania - rzuciła na pożegnanie Małgosia.

- Nie liczę - odpowiedział. A kiedy już była na tyle daleko, że nie mogła go usłyszeć, dodał: - Jeśli kiedyś to zrobisz, to już nie będziesz ty.

ODBICIA

Do północy zostało jeszcze czterdzieści jeden minut. Małgosia zapatrzyła się na lśniące cyferki na tarczy jednego z ośmiu zegarów, które wisiały na ścianie. Ten jeden wskazywał czas w Exeter, pozostałe miały jej przypominać, która jest godzina w innych ważnych miejscach. Na biurku obok pudełka po pizzy i dwóch butelek z wodą stała na wpół opróżniona fiolka z pigułkami. Lekarstwo było jednym z rewelacyjnych, niedopuszczonych do użytku, straszących skutkami ubocznymi specyfików, za które każda armia czy wywiad dałyby swoim generałom obie ręce uciąć. Małgosia miała tego całą półkę. Tylko dzięki proszkom wytrzymywała już dziewiątą dobę bez snu.

Jedenasta dwadzieścia jeden. Koniec osiemdziesięciosekundowej przerwy.

Jedenasta dwadzieścia dwa i zlecenie numer sto siedemdziesiąt cztery...

Choć załatwiaczka pracowała już obojętnie jak automat, przy tym zadaniu skrzywiła się lekko. Kolacja z jakimś piosenkarzem... Ależ ci ludzie mieli pomysły... Dla takich głupot ryzykowali złożenie zlecenia! Małgosia odgarnęła z twarzy pasemko włosów koloru oberżyny i wyprostowała się. Siedziała na łóżku po turecku, na skrzyżowanych nogach ułożyła notes. Uniosła dłoń nad jego okładką i rozczapierzyła palce. Przez chwilę nic się nie działo, po czym nagle kartki zaczęły się przewracać jakby poderwane podmuchem niewyczuwalnego wiatru. Z wyciągniętej dłoni załatwiaczki emanował blask rozświetlający mały pokój niepewnym, lęklwym blaskiem, który budził tylko zagubione cienie przytulone do ceglanych, nieotynkowanych ścian. To wszystko trwało zaledwie kilka sekund wystarczających, żeby notatnik otworzył się na właściwej stronie, odsłaniając wetkniętą między kartki wizytówkę.

Nie zdążyła wybrać numeru. Przeszkodziło *jej* pukanie w okno. Dotąd nikt nie dobijał się do jej pokoju w środku nocy, i to od zewnątrz. Normalny człowiek pewnie by się przestraszył, ale załatwiaczka miała wykupione bardzo dobre ubezpieczenie od napaści i coraz precyzyjniejsze podejrzenia, kim jest nocny gość.

Wetknęła wizytówkę między pierwsze strony notesu i naciągnęła na niego dwie gumki recepturki - jedyne zabezpieczenie, które jeszcze utrzymywało ten stos papierów w całości. Odłożyła zeszyt na szafkę nocną i podeszła do okna. W angielskich akademikach nie było firanek, tylko grube zasłony w nieciekawe wzorki. Małgosia rozsunęła je i uchyliła szerzej okno, żeby Phillip mógł wślizgnąć się do środka.

- Szybciej, nie rób sensacji! - ponagliła go. Przed północą studenci nie byli jeszcze na tyle pijani, żeby wziąć unoszącego się w powietrzu mężczyznę za objaw delirium. - Mogłeś wejść drzwiami - wypomniała delikatniej, zasuwając z powrotem zasłony.

Wcześniej zerknęła na akademik stojący po drugiej stronie trawnika, żeby sprawdzić, czy przypadkiem ktoś nie wyglądał właśnie przez okno i czy teraz szczeka nie wisi mu ze zdziwienia aż do parapetu. Na szczęście okna na wszystkich czterech piętrach, choć oświetlone, były szczelnie zasłonięte. Nie trzeba będzie dzwonić do hurtownika specyfików modyfikujących pamięć krótkoterminową!

- Wchodzić drzwiami? Strata czasu! - Nocny gość machnął niecierpliwie ręką. Wydawał się zdenerwowany i rozkojarzony. Małgorzata nigdy nie widziała go w takim stanie, choć znali się już prawie pół roku.

Phillip był kimś w rodzaju nieoficjalnego przywódcy wampirów z Devonu. I miał ekscentryczne zwyczaje, nawet jak na wampira. Upierał się mieszkać na powierzchni, lubił światło (choć oczywiście przefiltrowane, bo ze zdrowiem nie ma żartów) i regularnie odwiedzał kluby i puby w mieście, wyłuskując z tłumu co ładniejsze studentki, które następnego dnia wracały do domu z dwiema dziurkami w szyi oraz mglistym wspomnieniem kogoś niesamowitego. Po kilku tygodniach anemia im przechodziła i żyły sobie dalej, śniąc czasem nocami o czymś elektryzującym spojrzeniu. Phillip, co akurat nie było zaskakujące, o nich nie śnił. Przede wszystkim dlatego, że wampiry nie mają marzeń sennych. Poza tym, nawet gdyby już zdarzyło mu się jakimś cudem natury doznać nocnej wizji, byłaby to wizja kogoś ważnego, a nie jakichś młodocianych idiotek. Nie zamieniał ich w wampirzyce tylko dlatego, że na myśl o spędzeniu wieczności w ich towarzystwie aż mu drgały nerwy w zębach. Nie zabijał ich też, bo to z kolei byłoby kłopotliwe. A konkretniej, Ben by się przyczepił. Phillip nie przepadał za tym miejscowym czarodziejem, ale nie miał ochoty na otwartą wojnę. Wystarczyły mu te krótkie wypadki między ludźmi i oszalamianie głupich gęsi swoją niesamowitością.

A trzeba mu było przyznać, że rzeczywiście był niesamowity. Przede wszystkim bardzo przystojny, wysoki, obdarzony idealnymi proporcjami ciała i parą błękitnych oczu, których

spojrzenia nie sposób było zapomnieć. Wystarczyło dodać do tego magnetyzm i urok wampira, a wszystko łączyło się w ideał każdej kobiety.

Na Małgosię czar Phillipa nie działał. Korporacja zabezpieczała swych pracowników przed ewentualną interwencją w ich wolną wolę. Tylko dlatego, gdy spotkali się po raz pierwszy, załatwiaczka oceniła wampira jako zabójczo przystojnego, a potem zajęła się już tylko jego zleceniem.

Było to dwa tygodnie po tym, jak Małgorzata odebrała licencję. Wampir potrzebował kolejnej szyby filtrującej słońce - postanowił dobudować sobie okno wykuszowe. Nawet się nie zdziwił, że starą, pocziwą panią Willoughby zastąpiła studentka z Polski. Wręcz przeciwnie, najwyraźniej ucieszyła go odmiana. Z Małgosią można było normalnie pozartować, jeśli tylko miała chwilę czasu. Z reguły nie miała, ale Phillip nie tracił nadziei, że kiedyś zdoła ją skłonić do zrobienia się na bóstwo i pójścia z nim do pubu. Ale tymczasem chodził po pubach sam. Co najwyżej w towarzystwie butelki czerwonego wina, jak ta, z której właśnie pociągnął duży łyk. Załatwiaczka popatrzyła na niego podejrzliwie. Jak zawsze był ubrany z nonszalancką elegancją. Image obojętnego dandysa psuł tylko trunek, który Phillip łapczywie pił z absolutnym brakiem poszanowania zacnego rocznika. Słowem: pił jak menel.

- Coś jest nie tak? - zapytała dziewczyna.

- Załatwisz mi coś - stwierdził.

- Lepiej wyświadczę ci przysługę - rzuciła pośpiesznie Małgorzata.

Oboje wiedzieli, że usługi załatwiaczy były tylko teoretycznie bezpłatne. I mieli świadomość, jak wielka jest cena w praktyce. A rachunek Phillipa był już i tak solidnie obciążony, w końcu jak każdy krwiopijca nie lubił sobie niczego odmawiać.

- Nie. - Wampir pokręcił głową. - Gdyby to była przysługa, mogłabyś odmówić. - Sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobyl stamtąd owiniętą w chusteczkę szklanekę. Na brzegu były ślady szminki. - Masz tu odciski palców i ust. Chcę wiedzieć, kim ona jest, gdzie ją znaleźć i jak ją zdobyć!

Ostatnie słowa zdziwiły załatwiaczkę. Czar Phillipa działał na wszystkie kobiety, a jeśli nawet któraś była wyjątkowo odporna, to mógł ją z łatwością zahipnotyzować.

- Jak to? Nie chciała cię? - słowa wyszły same z ust Małgosi, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Nie! - Wampir zacisnął dłoń na szyjce butelki tak mocno, że szkło zaczęło pękać. - Żadnej reakcji! Obojętność!

- Może była z branży? - podsunęła załatwiaczka, próbując go jakoś pocieszyć. - Nie sądzę. - Phillip postawił szklanekę na biurku. Ostrożnie, jakby zaraz miał dodać: „Zabezpiecz

dowód rzeczowy”. Ale powiedział co innego: - Raczej nie z branży i na pewno nie z Korporacji. Wy nie macie czasu na to, żeby ładnie wyglądać i włóczyć się po klubach. Poza tym nie rozpoznałem jej ani ona mnie.

Małgosia pokiwała głową. Wiedziała, o czym mówił. Ludzie z branży nie mieli najmniejszych problemów z wzajemną identyfikacją. Ona po otrzymaniu licencji bardzo szybko nauczyła się interpretować najdrobniejsze sygnały. Minęło kolejne kilka tygodni, zanim wskazówki zaczęły w mig zmieniać się w prawidłowe wnioski, ale teraz wystarczyła jej sekunda, żeby rozpoznać wampira, czytacza marzeń, maga czy kogoś z Klanu. Oczywiście istniały metody, żeby pozostać anonimowym, ale stosowanie ich było powszechnie uznawane za nietakt. Poza tym strasznie trudno było zdobyć środki do takiego kamuflażu. Małgorzata wiedziała o tym najlepiej, bo właśnie miała zlecenie na taki zestaw.

Phillip opróżnił butelkę i postawił ją na biurku obok szklanki.

- Znajdź ją - powiedział, a w jego głosie słychać było głód i niecierpliwość. - Jak najszybciej.

Załatwiaczka przypadkiem napotkała jego spojrzenie i nie po raz pierwszy uświadomiła sobie, że wampir to nie człowiek, ale bestia. Łatwo o tym zapomnieć przy całej tej otoczce ucywilizowania. Ale teraz po pozorach nie było ani śladu, a w oczach Phillipa czaiło się opętające pragnienie.

Właściwie jego reakcja była w pewnym stopniu zrozumiała. Pierwsza kobieta, której nie udało mu się zdobyć. Pierwsza, która oparła się jego czarowi... Pierwsza w ciągu setek lat... No, oczywiście była jeszcze Małgosia, ale to inna sprawa, odporność służbowa, dlatego jego wampirza męska duma mogła to jakoś przelknąć. Ale tamta kobieta była zwyczajna... Chociaż pewnie nie w oczach Phillipa. Dla niego nie była piękna, cudowna, czarująca. Wampir powoli zaczął sobie zdawać sprawę, że ogarnia go obsesja. A przecież, na całą krew tego świata, to on powinien być obsesją!

Poczuł, że musi się natychmiast napić. Tylko że żadna krew nie była teraz w stanie ukoić jego pragnienia... żadna poza krwią tej jednej kobiety. Pozostawało tylko wino, marna namiastka oferująca równie marne i krótkotrwałe pocieszenie.

Phillip potrząsnął wściekle głową, jakby chciał z niej wyrzucić wspomnienie obojętnych oczu, obojętnych ust, obojętnej, chłodnej twarzy.

- Postaram się ją odnaleźć - obiecała załatwiaczka. - Najszybciej jak tylko się da.

- Nie - warknął wampir. Nie miał czasu na czekanie. - Szybciej.

Odwrócił się i wyskoczył przez uchylone okno bez pożegnania. Małgosi to specjalnie nie obeszło. Zasunęła za nim zasłony, pozostawioną na stole butelkę wrzuciła do kosza.

Nie zdarzyło jej się widzieć Phillipa w takim stanie. Był teraz idealnym materiałem na psychopatycznego prześladowcę. Gdyby Małgosia miała więcej czasu, zaczęłaby współczuć jego biednej wybrance. Ale wolała współczuć sobie, bo właśnie przybyło jej jeszcze jedno zlecenie. Jakby roboty było za mało. Wyciągnęła z szuflady puder. Nie używała go od czasu, kiedy ostatni raz robiła sobie makijaż. Teraz miał okazję znowu się przydać. Delikatnie oprószyła nim szklanę, nakleiła taśmę klejącą, żeby zdjąć odciski palców. Z drugiej szuflady wyjęła aparat cyfrowy i zrobiła kilka zdjęć. W ciągu kilku minut przesłała je do kilkunastu znajomych agentów wywiadu i jeszcze do kilku prywatnych i oficjalnie całkiem niewinnych instytucji. Jej e-mail, tak jak wszystkie e-maile z serwera Korporacji, miał oznaczenie absolutnego priorytetu, co oznaczało, że do rana powinna mieć wyniki. Wtedy dowie się, dlaczego dziewczyna była odporna na urok wampira. Pozostawało jeszcze tylko pobrać próbkę DNA. W tym też załatwiaczka miała wprawę. Trzymała nawet pod łóżkiem komplet próbek z zatyczkami i zestaw tekturowych pudełek. Kiedy już przesyłka zaadresowana do jednego z większych laboratoriów genetycznych w USA była gotowa, Małgosia zadzwoniła po kuriera. Miała kartę stałego klienta w firmie przewozowej i mogła być pewna, że nawet w sobotę o jedenastej pięćdziesiąt dwie w nocy kogoś przyślą.

Ale zanim kurier dotrze na kampus...

Załatwiaczka pośpiesznie odsunęła na bok krzesło, na szaroniebieskiej wykładzinie wyrysowała różową kredą okrąg i ozdobiła go nader niestarannie przerysowanymi z kartki symbolami. Nie zostało jej wiele czasu, a pewne wymagania musiała spełnić, przynajmniej wtedy, kiedy sprawy były załatwiane oficjalnie. Gdy już skończyła malowidło, pozostało tylko zapalić świece. W zasadzie powinny to być gromnice albo coś w tym rodzaju, ale Małgosia wolała fioletowe zapachowe. Zresztą była prawie pewna, że jej gość też takie preferował.

Jeszcze tylko zdjęła szarą torbę z opartego o szafę lustra i ustawiła zwierciadło w kręgu. Było podłużne, wystarczająco wysokie, żeby załatwiaczka mogła się w nim cała przejrzeć. A o to chodziło.

Cyferki na zegarku pokazały 0.00.

Małgosia pośpiesznie wcisnęła „play” na podłączonym do głośników iPodzie. Pokój natychmiast wypełnił ochryply głos recytujący inkantację. Załatwiaczka nigdy nie trudziła się, aby robić to osobiście. W końcu od czego była nowoczesna technika i 4 GB pamięci. Wystarczająco dużo, aby pomieścić niezbędne zaklęcia, uroki i cały ten chłam, jaki magowie wkuwali po nocach, by potem się nim pysznić przed maluczkimi. Taki właśnie jak

czterdziestozwrotkowe Przyzwanie ze szczególnym akcentowaniem na piątą sylabę każdego wersu i osiemnastą każdej strofy.

Załatwiaczka przestąpiła granice kręgu. Stała przed lustrem, zmierzyła wzrokiem swoje odbicie. Potem powoli położyła dłonie na szkle, tak jakby sięgała w głąb, a kiedy iPod skończył odtwarzać plik, pomogła swojemu odbiciu wejść do pokoju.

Przy biurku stały teraz dwie Małgosie, obie w ogrodniczkach, obie w rozciągniętych swetrach, obie w trampkach. Miały identycznie rozczochrane włosy koloru oberżyny, blade twarze i podkrążone oczy. Tylko że jedna z nich przyjrzała się drugiej sobie z niesmakiem.

- Mogłaś się chociaż umalować - powiedziała z wyrzutem. - Nałożyć coś ładnego... Prawdziwa załatwiaczka wzruszyła ramionami. Spodziewała się tych wyrzutów, ale co mogła poradzić?

- Nie miałam czasu.

Tak naprawdę to planowała użyć chociaż tuszu do rzęs i szminki, ale przez zlecenie Phillipa już nie zdążyła. Wiedziała, jak ważny jest wygląd dla wszystkich mieszkańców Świata Luster. Gdyby tylko miała taką możliwość, na pewno spróbowalaby coś ze sobą zrobić.

Ba, patrząc na krzywiącą się lustrzanekę, doszła do wniosku, że istotnie musi coś ze sobą zrobić. Te cienie pod jej oczami na pewno jeszcze wczoraj nie były aż tak sine! Ani cera taka blada. I jeszcze odrosty... No, przynajmniej na to mogła coś poradzić, farba do włosów stała na półce w szafce.

Jej sobowtór, spoglądając na nią, musiał dojść do podobnych wniosków. Tyle że nie wiedział, gdzie jest farba do włosów, bo westchnął rozdzierająco.

- Rozumiem, że jesteś zapracowana - powiedział - ale straszna z ciebie egoistka. Chwila by cię zbawiła? O, i pryszcz ci wyskoczył! - dodało odbicie już znacznie radośniej.

- No to tobie też - odcięła się załatwiaczka. Wiedziała, że chociaż jej aparycja była równie przemęczona jak ona sama, to i tak wygląda lepiej niż pucułowaty grubasek na zdjęciu, które podsunęła lustrzance.

- Nieeee... Ja nie chcę tak wyglądać!

- Nie masz wyboru - przypomniała jej Małgosia. - Oficjalne zlecenie. Facet potrzebuje być w dwóch miejscach naraz.

Takich zleceniodawców jak ten było pełno. Komu nie wydawałoby się kuszące posiadanie sobowtóra, który mógłby zastąpić oryginał w różnych mało interesujących sytuacjach. Lub też, jak to pewnie było w tym przypadku, zapewnić pierwowzorowi alibi.

- Myślisz, że ma romans? - zainteresowało się odbicie. Załatwiaczka już się zdążyła przyzwyczaić do obsesyjnej fascynacji mieszkańców Świata Luster życiem innych ludzi. Sami nie mieli własnych żyć, przynajmniej nie w ludzkim znaczeniu tego słowa. Do tego świata wkraczały, tylko przyjmując wygląd i życie kogoś innego, i nigdy nie zostawały długo. Taki los.

Z tej perspektywy nawet praca Małgorzaty była godna zazdrości. W końcu za dziewięć lat i sześć miesięcy kontrakt się skończy i dziewczyna będzie mogła zacząć wszystko od nowa. Odbicia nie miały żadnych konkretnych planów na przyszłość. Miały tylko negatyw tego, co odbiło się w zwierciadłach. Tylko iluzję rzeczywistości, do której niekiedy pozwalano im wejść.

- Moim zdaniem raczej planuje morderstwo - stwierdziła obojętnie załatwiaczka. Cóż, większość jej zleceniodawców miała mroczne cele i jeszcze mroczniejsze intencje. Małgorzaty moralna strona jej pracy nie interesowała. Nie mogła odmówić wykonania żadnego zlecenia i nie mogła zostać pociągnięta do odpowiedzialności za ich skutki. Miała tylko załatwiać wszystko, czego od niej zażądano. Żadna praca nie służyła lepiej stępieniu sumienia.

Grubasek, który złożył zlecenie na sobowtóra, był zdecydowanie za nerwowy jak na kogoś, kto chce zyskać kilka godzin przy boku kochanki czy uniknąć nudnych obowiązków. Cokolwiek załęgło się pod jego łysiejącą czaszką, z pewnością było opisane w kodeksie karnym. Ale skoro Małgosi to nie obchodziło, jej odbiciu tym bardziej powinno być wszystko jedno.

Załatwiaczka sięgnęła do jednej z szuflad biurka i wyciągnęła żółtą teczkę.

- W środku masz bilet do Londynu - powiedziała. - Jutro o piątej po południu spotkasz się ze zleceniodawcą jako ja. Adres i mapa są w teczce. Autobus odjeżdża za dwie godziny, na miejscu będziesz po szóstej. Zdązysz jeszcze pochodzić po sklepach, w portfelu jest moja karta kredytowa.

Słyszając o karcie kredytowej, lustrzanka aż podskoczyła z radości.

- Zakupy, zakupy!!! - wykrzyknęła. Natychmiast otworzyła teczkę i wyciągnęła ze środka mały różowy portfelik, a z niego kartę. Ucałowała ze szczęścia kawałek plastiku.

Małgosi ta reakcja nie zdziwiła. Nie pierwszy raz miała do czynienia z odbiciami.

Małgosia wyjęła portfelik z dłoni swojego sobowtóra, otworzyła boczną kieszonkę i pokazała drugiej sobie okrągłe dwustronne lustreczko.

- Wiesz, jak się tym posługiwać. Tylko żadnych nieautoryzowanych zmian - rzuciła ostrzegawczo. - Mam za dużo na głowie, nawet więcej niż zazwyczaj, i jeśli coś zbroisz, nie zamierzam cię kryć.

Lustrzanka pokiwała energicznie głową na znak, że rozumie. Dobrze wiedziała, że jeśli przyłapano by ją na czymś nielegalnym, oznaczałoby to duże, duże kłopoty. Może nawet zakaz przechodzenia i odbijania. Skoro załatwiaczka ostrzegła, że nie będzie mogła pomóc, to należało jej słowa brać poważnie. I tak zrobiła dla swojego odbicia więcej niż którykolwiek z jej kolegów po fachu. Więc sobowtór był jej wdzięczny, choć zdawał sobie sprawę, że po tej stronie lustra nie ma nic za darmo. Małgosia była miła nie z dobrego serca, tylko zdawała sobie sprawę, że do załatwiania przydają się znajomi i przyjaciele, więc miły uśmiech może być wart tysiące funtów. No ale była miła i mniejsza o powody.

Ich rozmowę przerwał anemiczny dzwonek do drzwi na piętro. Akustyka w akademiku, łagodnie mówiąc, nawalała. Na końcu korytarza, tam gdzie znajdował się pokój Małgosi, łatwiej było podsłuchać, o czym szepczą piętro wyżej, niż zorientować się, że ktoś chce wejść. O tej porze mogli to być oczywiście jacyś studenci szukający piętra, na którym odbywa się impreza, ale załatwiaczka spodziewała się raczej kuriera. Pośpiesznie chwyciła tekturowe pudełko i otworzyła drzwi.

W nocy, zwłaszcza kiedy w pobliżu nie było nikogo, korytarz sprawiał dość upiorne wrażenie. Nieotynkowane ściany z szarych cegieł, chłodny blask świetlówek, a na jednym z końców tego tunelu jedno jedyne okno, za którym rozpościerała się noc. Na Małgosię ten nastrój nie działał. Od duchów i upiorów, jakie ewentualnie mogłyby się tu gnieździć, miała wykupione ubezpieczenie. Zresztą jej karmiona kiepskimi filmami wyobraźnia podpowiadała, że akademik to raczej teren łowiecki mordercy z piłą mechaniczną uganiającego się za biuściastymi studentkami. Z tym że na jej piętrze spotkałby głównie studentów płci męskiej, charakteryzujących się między innymi brakiem biustu. Każdy rozsądny morderca zabrałby swoją piłę i poszedł dwa piętra wyżej, gdzie mieszkało osiem dziewczyn. - Idź już! - załatwiaczka pogoniła lustrzanekę. - I pamiętaj, immunitet działa tylko do poniedziałku do dziewiątej rano. Postaraj się nie stać wtedy w miejscu publicznym. Policja się czepia, jak kogoś nagle wessie witryna sklepową.

Jej odbicie pokiwało głową. Kiedy immunitet dobiegnie końca, każdy kawałek szkła, kałuża, okno sklepu, szyba autobusu, wszystko mogło stać się wrotami do Świata Luster. A raczej odkurzaczem...

Małgosia szybko poszła do drzwi wejściowych, zanim zrobi to ktoś inny. Ale niepotrzebnie się śpieszyła, o tej porze inni mieszkańcy jej piętra byli pewnie w klubach albo pubach. W końcu sobota to sobota.

Na klatce schodowej, tak jak załatwiaczka się spodziewała, stał kurier. Bez zbędnego strzępienia języka wręczyła mu paczkę i złożyła podpis na zleceniu. Facet bywał pod tym adresem co najmniej cztery razy w tygodniu, więc nie było czego wyjaśniać.

- O, siostra znowu do pani przyjechała - uśmiechnął się kurier, gdy lustrzanka przemknęła obok nich.

- Właśnie wyjeżdża - mruknęła Małgorzata, chowając do kieszeni pokwitowanie. - Do widzenia.

Już miała wrócić do pokoju, ale jeszcze przechyliła się przez poręcz.

- Zamówić ci taksówkę? - zawołała do swojego odbicia, które zdążyło już zbiec na parter.

- Nie! Przejdę się.

- Tylko się nie spóźnij na autobus! - krzyknęła za nią załatwiaczka, ale lustrzanka już wyszła.

Kurier zabrał paczkę i też pośpiesznie zbiegł po schodach, licząc najwidoczniej, że uda mu się dogonić „siostrę” i przejść z nią chociaż te pięćdziesiąt metrów do parkingu. Niewykluczone, że planował subtelny podryw, chociaż te czasy, kiedy Małgosia została Miss Studentek, to już była dla niej era paleozoiczna. Nieszczęsne pół roku w nowym zawodzie spowodowało, że załatwiaczka zaczęła kichać na wygląd, swój i czyjkolwiek inny.

A może kurier chciał tylko zadać kilka wścibskich pytań? W końcu rzadko się zdarzało, żeby ktoś z akademików korzystał z usług firmy przewozowej tak często, że miał już potrójną złotą kartę stałego klienta. Więc dla kurierów studentka w ogrodniczkach przeistoczyła się niemal w *urban legend*.

Nie udało mu się jej dogonić. Zobaczył jeszcze tylko, jak „siostra” dziewczyny idzie wesołym krokiem wzdłuż budynku. Potem skręciła w lewo, w stronę centrum miasta, i tyle ją widział. Rozpłynęła się w ciemności. Tymczasem druga, identycznie ubrana dziewczyna, o włosach ufarbowanych na dokładnie ten sam odcień oberżyny, odwróciła się i wróciła do pokoju. W jej ruchach nie było ani śladu radosnej energii.

O ósmej rano zadzwonił budzik, bynajmniej nie po to, żeby obudzić załatwiaczkę. Dzwonek tylko przypominał, że czas wziąć kolejną dawkę leków pobudzających. Bez nich za

godzinę, góra dwie zwałiaby się jak kłoda i zaczęła odsypiać dziesięć ostatnich nieprzespanych nocy. Albo może zaczęłyby mieć halucynacje? Cokolwiek by się stało, Małgosia nie zamierzała tego doświadczać. Nie przerywając rozmowy telefonicznej, podeszła do biurka i ze zgromadzonego na półkach zbioru fiolek wyłowiła kilka potrzebnych. W sumie dawało to osiem tabletek: trzy czerwone, jedną żółtą, dwie zielone i dwie białe. Połknęła wszystkie po kolei, popijając wodą.

Kolejny dzwonek dobiegł z głośników komputera. Ten dla odmiany oznajmiał przyjście kolejnego e-maila.

Załatwiaczka otworzyła wiadomość. Dostała ją z jednej z tych miłych tajnych instytucji zajmujących się gromadzeniem danych o obywatelach. Treść e-maila była wyjątkowo zwięzła: „Zidentyfikowano obiekt, dane w załączniku, rachunek zostanie przesłany do tego płatnika co zwykle”. Żadnego podpisu, żadnych pozdrowień.

Małgosia otworzyła załącznik i ledwie rzucając okiem na dane, wcisnęła „print”. Z drukarki prawie bezszelestnie wypadały kolejne kartki, a ona kończyła rozmowę. Kiedy się rozłączyła, skreśliła kolejną pozycję z listy. Po dziesiątej przepracowanej nocy zostały jej już tylko cztery zlecenia do wykonania. No i dopilnowanie tych sześciu w trakcie realizacji. Ostatnie kilka dni było naprawdę koszmarne, chyba najgorsze, odkąd zaczęła pracę. Załatwiaczka doszła do wniosku, że jeśli jeszcze kiedyś to się powtórzy, będzie musiała... się z tym pogodzić. Kontrakt opiewał na dziesięć lat i był nierozwiązywalny w żadnych okolicznościach.

Na kartkach, które wyciągnęła z drukarki, widniało zdjęcie dziewczyny, jej dane ze szkoły, z uniwersytetu, z pracy. Nawet rozmiar buta i lista kółek zainteresowań, na które uczęszczała, mając dziesięć lat. Masa bzdur, których Małgorzata nie miała zamiaru czytać, a które uszczęśliwią Phillipa. A przynajmniej będą kolejnym krokiem na drodze, która zdaniem wampira miała prowadzić do jego szczęścia.

Obok drukarki leżała biała teczka. Zawierała kilkanaście arkuszy z teoretycznie supertajnymi danymi. Ich posiadanie podpadało pod szpiegostwo przemysłowe i z tuzin innych wymyślnych paragrafów. Zleceniodawca, który je zamówił, miał czekać na załatwiaczkę o dziesiątej na High Street.

Załatwianie spraw poza akademikiem było żelazną zasadą, której przestrzegała, przynajmniej w odniesieniu do obcych zleceniodawców. Oznaczało to stratę kilkunastu dodatkowych minut potrzebnych, by dotrzeć na miejsce spotkania, ale za to dawało Małgosi złudzenie prywatności. A oprócz tego umożliwiało jej wyrwanie się z akademika na kilka

chwil, popatrzenie choćby przez okno taksówki na zwykły świat. Konieczność wyjścia była świetną wymówką, żeby wziąć prysznic i zjeść kubek lodów czekoladowo-bananowych.

Punktualnie o dziesiątej na rogu High i Gandy Street Małgorzata przekazała białą teczkę ponuremu mężczyźnie w ciemnych okularach i ciemnym garniturze, który chyba naoglądał się za dużo filmów szpiegowskich. „A raczej - sprostowała w myślach załatwiaczka - jego pracodawca naoglądał się za dużo filmów”. Chociaż nie takie rzeczy już widziała w ciągu sześciu miesięcy pracy. Ten przynajmniej nie upierał się przy spotkaniu o północy na cmentarzu albo na rozstajach dróg. Załatwiaczka od kilku dni nie miała okazji zjeść czegokolwiek normalnego i teraz miała zamiar to nadrobić. Cheeseburger był na tyle blisko normalnego posiłku, że wystarczał. Mogła też zamówić colę i frytki na wynos, by pochłonąć to wszystko po drodze do gabinetu czytacza marzeń. To jednak oznaczało, że będzie musiała albo jeść szybko, albo iść powoli, bo czytacz Rashid nie tolerował „śmieciowego żarcia”. Była to zaledwie jedna pozycja z listy wielu rzeczy, których nie tolerował. Istniała też druga lista, Lista Rzeczy, Za Którymi Rashid Nie Przepadał. Gdzieś na jej czele znajdowało się czytanie marzeń ludzi bez ich zgody. Miał jednak podpisany kontrakt z Korporacją i niezależnie od własnych zapatrywań etycznych musiał czasami nagiąć Kodeks. Każdy chciał mieć w końcu dobre układy z załatwiaczami.

Po namyśle Małgosia postanowiła zrezygnować z frytek i zamówiła zamiast tego ciastko. Ale wszystkie spodziewane przyjemności nagle odpłynęły w dal, a prostota okazała się niebywale skomplikowana. Bo załatwiaczka nagle zobaczyła Bena.

Ben Watson był najmłodszym mistrzem magii w Anglii, może nawet w całej Europie, a może i na świecie. Ktoś taki mógł dojść do rzeczy wielkich, zrewolucjonizować magię, ruszyć z posad bryłę świata, a przynajmniej sprawić, żeby ludzie przestali opowiadać żarty typu „przychodzi mag do lekarza...”. Jednak Ben zaraz po uzyskaniu mistrzostwa wrócił do domu, do Exeter, gdzie zajął się pracą na rzecz społeczności lokalnej i działalnością w niezliczonej ilości kółek i stowarzyszeń przyjaciół czegoś. W tym wypadku „coś” obejmowało wszystkie możliwe sprawy w promieniu stu pięćdziesięciu mil. Oprócz tego był chyba jedynym czarodziejem na świecie, o którym i czytacz marzeń, i załatwiaczka, a nawet członkowie Klanu mogli powiedzieć, że jest fachowcem, bez zwyczajnego w takich okolicznościach parsknięcia śmiechem i krzyżowania palców. Nawet Phillip, choć niechętnie, przyznawał, że Watson zna się na rzeczy.

Ale to nie talent Bena sprawił, że Małgorzata wyrzuciła do kosza ciastko i colę i wygrzebała z kieszeni komórkę, żeby zadzwonić po taksówkę. Na to największy wpływ miała kobieta, która razem z nim wchodziła do pubu na śniadanie: jasnowłosa, zielonooka, o pięknie wyrzeźbionych kościach policzkowych. W wieku dziesięciu lat zaczęła chodzić na kółko rzeźbiarskie. Marzyła, żeby zostać piosenkarką, nurkować z delfinami albo poślubić księcia Williama i zostać królową Anglii. Zamiast tego studiowała politologię, a po zrobieniu licencjatu zaczęła pracę w administracji publicznej Devonu. W wolnych chwilach nadal rzeźbiła, najczęściej ptaki. Na imię miała Joanna i całe jej życie było opisane na kilku kartkach, które w tej chwili mięły się w jednej z kieszeni ogrodniczek Małgosi.

Ze sposobu, w jaki tych dwoje rozmawiało, jak żartowało, łatwo było wysnuć wniosek, że Ben Watson był najwyraźniej w bardzo bliskich stosunkach z kobietą, która stała się obsesją Phillipa. Z kobietą, której życie miało stać się zabawką w rękach wampira, jak tylko załatwiaczka wykona zlecenie.

To wykluczało udział Rashida w całej sprawie. On i Ben byli przyjaciółmi - na tyle, na ile pozwalał zawodowy układ. Czytacz na pewno nie zechciałby przyłożyć ręki do niczego, co mogłoby w jakiś sposób uderzyć w czarodzieja. Mógł też znać tę kobietę.

Zanim podjechała taksówka, Małgosia zdążyła dojeść cheeseburgera. Wsiadając do samochodu, przełknęła ostatni kęs.

- Róg Pennsylvania i Hillsborough - rzuciła.

Przez całą drogę nie wykonała ani jednego telefonu. Zajęta była wymyślaniem sposobu, jak osuszyć to bagno, w które zmieniło się jej zlecenie. Kiedy wysiadała z taksówki, już prawie wiedziała, co robi.

Dom na rogu Pennsylvania Road i Hillsborough Avenue był duży, przynajmniej na tle szeregowych domków, z którymi sąsiedował. Miał wykuszowe okna i wieżyczki akurat w takiej ilości, żeby zaspokoić wymagania kogoś, kto wykuszowe okna i wieżyczki uwielbiał, ale nie wpadać przy tym w przesadę. Drewniane ramy okien pomalowano na ciemnozielono, a górne szyby wiele lat temu zastąpiono witrażami. Róże, które na nich przedstawiono, były piękniejsze od tych porastających lekko zaniedbany ogród. Na płocie oddzielającym posesję od ulicy siedział piękny biało-rudy kot. Widać po nim było troskę właściciela - miał wypielegnowane futro i zieloną obróżkę. Pasował do tego miejsca.

Załatwiaczka bez ceregieli otworzyła sobie furtkę, podeszła do drzwi i zaczęła naciskać dzwonek raz za razem. O dziesiątej rano w niedzielę Kasandra z pewnością jeszcze spała snem kamiennym i nieustępliwym, więc trzeba było się przyłożyć, aby ją z niego wyrwać. Po ósmym dzwonku przez uchylone okno na piętrze dobiegł jakiś rumor, więc Małgorzata

przycisnęła jeszcze dwa razy przycisk, tak dla pewności, potem cofnęła się o kilka kroków, żeby było ją widać z okna. W przeciwnym razie Kasandra mogłaby, zamiast zejść i po prostu otworzyć drzwi, zacząć przebierać się w czarną koronkową nocną koszulę, strój niewątpliwie bardziej odpowiedni dla Wielkiej Kasandry, Znawczyni Sekretów Tamtego Świata, Której Wzrok Przenikał Mgły Przyszłości. Ponieważ w przypadku Małgosi nie było po co się wysilać na PR, otworzyła jej drzwi zwyczajna Kas we flanelowej piżamie w misie i z włosami związanymi na czubku głowy białą frotką.

- Jest rano - jęknęła, trąc oczy i przy okazji odgarniając z twarzy rudy loczek.

- Musisz mi kogoś przeczytać - oznajmiła Małgosia, mijając wróżkę i wchodząc do domu.

- Teraz.

Kasandra natychmiast oprzytomniała. Rzuciła niespokojne spojrzenie na ulicę i zamknęła drzwi, prawie przytraskując ogon kota, który zdecydował się wejść do środka.

- Oszalałaś? - wysyczała nerwowym szeptem. - Straciłam licencję, wiesz, co mi robią, jak kogoś przeczytam?!

- Wiem. - Załatwiaczka machnęła dłonią, bagatelizując tym gestem proces, niebotycznie wysoką grzywnę, więzienie o zaostrozonym rygorze i obowiązkową reedukację. - Nikt się nie dowie, mam swoje dojścia.

- Nie. - Kasandra zdecydowanie potrząsnęła rudymi lokami. - Mam karę w zawieszeniu, jeszcze mi ją odwieszają.

- Nie odwieszają - stwierdziła stanowczo Małgorzata. - Mało tego, załatwię ci skrócenie okresu kary. Ile ci jeszcze zostało? Trzydzieści cztery lata? Na pewno uda mi się to zmniejszyć przynajmniej o połowę. Wróżka zmarszczyła nos, wyraźnie się nad czymś głęboko zastanawiając.

- Skrócenie kary i miesięczny czynsz - zaproponowała załatwiaczka.

- Roczny czynsz - rzuciła natychmiast Kas. Jak na kogoś z zawodu metafizycznego miała głowę do interesów i stała wyjątkowo mocno na ziemi, zwłaszcza jeśli chodziło o pieniądze. Jej pieniądze.

- Zgoda - westchnęła Małgosia. - Ale TERAZ.

- Tylko się ubiorę. - Wróżka pognęła na górę.

Do towarzystwa załatwiaczce został jedynie kot, wyraźnie rozczarowany tym, że gość nie zwraca na niego uwagi. Przywykł do zachwytych przechodniów, zresztą było czym się zachwycać. Ale Małgorzata nawet go nie pogłaskała. Poszła do kuchni i nałala sobie szklanek soku. Bez skrupułów poczęstowała się też herbatnikami z puszki. Kot ruszył za nią, gotów ostatecznie nawet się połasić, ale to by nic nie dało. Załatwiaczka już miała w dłoni komórkę i

prowadziła jakąś strasznie ważną rozmowę, tłumacząc komuś, że musi coś zrobić, i to koniecznie, ale to koniecznie zaraz.

Po piętnastu minutach rozległ się dzwonek do drzwi.

- To do mnie! - wrzasnęła Małgorzata w stronę schodów i poszła otworzyć.

Kot skorzystał z okazji, żeby wymknąć się na zewnątrz, z satysfakcją odnotowując przy okazji pełen podziwu okrzyk kuriera. Tak się powinno traktować piękne stworzenia, a nie z obojętnością jak niektórzy. Jednak załatwiaczka nawet nie zerknęła w stronę pupila Kasandry, podpisała tylko formularz, odebrała przesyłkę i zamknęła drzwi.

- Jestem gotowa - oznajmiła wróżka, schodząc po schodach. Po flanelowej pizamie nie było już śladu, zastąpiła ją powłóczysta zielona suknia doskonale pasująca do rudych włosów Kasandry. Złote wisiorki i bransolety ozdobione okultystycznymi wzorami lekko dzwoniły przy każdym jej kroku. Wróżka była skłonna przyznać, że srebro jest w zasadzie bardziej odpowiednie na biżuterię dla osoby parającej się sztuką tajemną, ale jakkolwiek by patrzeć, do rudych włosów i zielonych oczu bardziej jej pasowało złoto. Chrzanić okultyzm, tu chodziło o wygląd! Kas zarzuciła sobie jeszcze na ramiona turkusowy szal haftowany lśniąca nitką i zakręciła się przed lustrem. Chciała też coś zrobić z włosami, ale lepiej było nie wystawiać cierpliwości załatwiaczki na próbę. Zresztą niestarannie upięty kok wyglądał niemal tak dobrze jak kok bardzo starannie upięty w ten sposób, żeby wyglądał na niestarannie upięty.

- Zamów taksówkę - poleciła jej Małgorzata, a sama znalazła w swojej komórce numer Bena. - To ja - powiedziała, kiedy tylko się odezwał. - Mam twoją przesyłkę... Będę w centrum, wołałabym ci ją oddać i mieć kolejne zlecenie z głowy... wiesz, ile mam teraz do roboty... Proszę... Za dwadzieścia minut w Guildhall Shopping Centre. Przy schodach. - Rozłączyła się.

- Nie mówiłaś, że Watson ma z tym coś wspólnego - wytknęła Kasandra, która cały czas stała załatwiaczce za plecami i bezczelnie podsłuchiwała. W zasadzie nie miała nic przeciwko czarodziejowi. Po prostu wołała nie wchodzić mu w drogę. W jej opinii był chorobliwym legalistą, ekoświadkiem i nachalnie wierzył w możliwość zgodnego i pokojowego współżycia między ludźmi. Kasandra natomiast zwykła lekko naginać zasady (w końcu nie dostała tego wyroku w zawieszeniu za nic), marzyła o futrze z szynszyli, a na konfliktach międzyludzkich zarabiała niezłe pieniądze. I, niestety, miała też pełną świadomość, że z nich dwojga to Watson jest potężniejszy. O wiele potężniejszy.

- Nie będzie go tam - odpowiedziała spokojnie Małgosia. - Sama słyszałaś, będzie na mnie czekał w Guildhall. W tym czasie ty wejdiesz do pubu, żeby ją przeczytać. -

Wyciągnęła z kieszeni pomietą kartkę i pokazała wróżce zdjęcie. - Tylko pod kątem idealnego faceta, idealnej randki i tym podobnych. Potem zgrasz mi marzenia na płytę i załatwione.

- Miejmy nadzieję - stwierdziła Kasandra. - Taksówka już podjechała.

Kas wysiadła z taksówki przed pubem. Przez okno widać było jasnowłosą kobietę. Siedziała przy stoliku sama, Ben musiał już wyjść, pewnie poprosił ją, żeby zaczekała. Załatwiaczka miała nadzieję, że tak będzie.

Poprosiła kierowcę, aby wysadził ją na tyłach centrum handlowego. Wchodząc, minęła stojącego na chodniku gipsowego konia. Pomalowany był na różowo i dodatkowo upstrzony czerwonymi serduszkami. Sądziła, że na oczach też będzie miał namalowane serduszka albo chociaż słodkie błękitne ślepia z długimi rzęsami, ale nie. Oczy miał neonowo zielone. A w samym środku źrenic ktoś starannie naszkicował dwie trupie czaszki. A przecież Halloween już dawno minęło.

Małgorzata nie miała czasu przyglądać mu się dłużej, musiała znaleźć Bena. Nie było to trudne, zobaczyła go już z daleka. Wyróżniał się na tle tłumu: wysoki, jasnowłosa, brodaty niczym wiking. Patrzył na boki wyraźnie zniecierpliwiony. Małgosia przyśpieszyła kroku.

- Już jestem, przepraszam, że tak się uparłam, żeby ci to koniecznie teraz oddać, ale nie masz pojęcia, ile mam na głowie, bo od dziesięciu dni nie spałam, a zleceń mi wcale nie ubywa, powariowali ci ludzie, jadę na lekach od zeszłego piątku, jak tak dalej pójdzie, to zanim kontrakt mi się skończy, nie będę miała wątroby albo nerek, albo jednego i drugiego, nie wiem, czy moje ubezpieczenie to obejmuje, będę musiała zadzwonić do Korporacji, a wiesz, jacy oni są, jeśli już, to dostanę odpowiedź za piętnaście lat albo i później, w sumie trudno ich winić... - musiała przerwać dla zaczerpnięcia oddechu, co Ben natychmiast wykorzystał.

- Słuchaj, współczuję ci. Postaram się niczego ci nie zlecać w najbliższym czasie. Niestety, teraz naprawdę muszę już lecieć.

- Kolejne zebranie jakiegoś stowarzyszenia miłośników czegoś? - spytała domyślnie załatwiaczka. - Do ilu już jesteś zapisany? Stu? Jeśli nawet w niedzielę rano masz zebrania, to kiedy ty znajdujesz czas na magię?

- Nie mam zebrania! - Czarodziej zaczynał się już coraz bardziej niecierpliwic.

- A niech mnie! - wykrzyknęła Małgorzata. - Masz dziewczynę! Miło wiedzieć, że ktoś ma czas na życie towarzyskie! - Nie musiała nawet wysilać się na gorycz w głosie, sama jej wyszła.

- Tak... Nie... Nie mam! - zdecydował się wreszcie Ben. Cała ta rozmowa wyraźnie go irytowała. Ale po pierwsze, nie był z natury porywczy, więc krzyczenie na kogoś, żeby się, do diabła, wreszcie odczepił, nie wchodziło w grę, zwłaszcza w miejscu publicznym. A po drugie, starał się być wyrozumiały. Dobrze wiedział, jaką pracę ma Małgosia, i mógł się domyślać, jak wpływa na nią kilka nieprzespanych nocy i nadmiar leków. - Nie mam teraz czasu na rozmowę, ktoś na mnie czeka.

- Kobieta - dopowiedziała natychmiast załatwiaczka.

- Tak... - Zbierał się już do odejścia.

- Jest dla ciebie ważna? To randka? Masz nadzieję, że będziecie razem? - zapytała z głodną ciekawością Małgosia.

Ben rzucił jej pochmurne spojrzenie. Właściwie nie pochmurne, ale gromiące.

- Nie! Nie mam czasu na... Po prostu nie mam czasu! - uciął zdecydowanie rozmowę. - I muszę już iść. Zaczynj sobie oglądać „East Endersów” albo coś... Pożyj sobie ich życiem. Tysiące ludzi tak robią.

- Tysiące ludzi mają czas na opery mydlane... - rzuciła załatwiaczka w stronę jego pleców. Ona nie miała czasu na seriale. Były ważniejsze rzeczy, którymi powinna się zająć. Dlatego właśnie musiała zapytać.

Kasandra dostarczyła płytę po godzinie. Załatwiaczka wydrukowała jeszcze raz akta kobiety, dołączyła do nich CD i wszystko razem wsadziła do teczki. Zamówiony kurier dostarczył ją do Phillipa. Zlecenie zostało załatwione.

Trzecia w nocy stanowiła, przynajmniej w opinii Małgorzaty, upiorną porę, kiedy wszyscy uczciwi obywatele spali, a po świecie pętały się tylko podłe i zapewne także zboczone kreatury. Ona nie musiała się ich obawiać, miała wykupione ubezpieczenie. Pętających się po nocy załatwiaczy też trudno było uznać za uczciwych obywateli.

Zleceniodawca, z którym spotkała się przed dwudziestoma minutami, też był chyba miłośnikiem filmów szpiegowskich. Albo książek, co zresztą na jedno wychodziło. Wyzaczył spotkanie w nocy nad rzeką. Małgosi było właściwie wszystko jedno, i tak ostatnio nie sypiała, o drugiej nad ranem nie miała z reguły problemów z taksówką, bo puby zamykano około północy (to znaczy zaczynało wtedy uprzejmie wypraszać klientów). Zresztą krótko potem miała umówione następne spotkanie, tym razem na dworcu autobusowym. Lustrzanka wracała z Londynu.

Tak naprawdę to nie musiała już przyjeżdżać, mogła tam zostać, a przed dziewiątą znaleźć sobie ustronny kącik z lustrem czy kawałkiem szkła i po prostu wrócić do swojego wymiaru. Ale się uparła. Twierdziła, że przecież musi zostawić Małgorzacie zakupy, które zrobiła. No i kupiła jej prezent... A poza tym...

Małgosia przestała słuchać już przy pierwszym ważnym powodzie. Lustrzanka była wyjątkowo wygadana i jeśli chciała, potrafiła w swoim odbitym rozumku znaleźć uzasadnienie dla wszystkiego. Załatwiacze to właściwie nie przeszkadzało. Nawet lubiła lustrzanek, poza tym co jej szkodziło zrobić odbiciu przyjemność? W końcu obie miały paskudne zawody, trzeba było w takiej sytuacji trzymać się razem.

Nocno-poranna wycieczka na dworzec autobusowy nie była dla Małgosi problemem. Nie musiała nawet robić przerwy w załatwianiu. Do pracy potrzebowała właściwie tylko swojego telefonu komórkowego, cuda techniki wyposażonego w łącze bezprzewodowe, GPS, faks, minikamerę, laser, magnes, emiter fal cieplnych i masę innych ulepszeń. Wszystkie opisano dokładnie w instrukcji opieczętowanej TOP SECRET, której Małgorzata nie miała nigdy czasu przeczytać. Instrukcja leżała w szufladzie razem z innymi, opatrzonymi ostrzeżeniami podobnej treści, tyle że w różnych językach.

Kiedy szła na dworzec, minął ją biegnący koń. Wciąż był różowy, a czerwone serduszka podrygiwały wraz z ruchami jego mięśni. Neonowozielone oczy świeciły w ciemności, tworząc upiorną oprawę dla trupich czaszek, które miał w żrenicach. Na widok załatwiaczki zarżał, ale nie zatrzymał się. Pogalopował dalej, przypominając w świetle ulicznych latarni złowrogą halucynację.

Małgosia nie miała czasu nawet się za nim obejrzeć, bo dostrzegła znajomą sylwetkę. Ktoś jeszcze szedł w stronę dworca sprężystym, pewnym siebie krokiem. Nie ktoś. Phillip!

Załatwiaczka przyśpieszyła. Wampiry zwykle trzymały się z dala od autobusów. Miały dość tradycyjne poglądy na transport. Statek, powóz albo ostatecznie samochód osobowy, najlepiej typu limuzyna, ale autobus, kolej, samolot, cały transport publiczny? Nie! To nie było dla nich. Skoro Phillip szedł na dworzec, to musiało go tam przyciągnąć coś ważnego.

Normalnie Małgorzata nie zawracałaby sobie tym głowy, ale istniało coś takiego jak dobro ogółu, a przynajmniej dobro społeczności, której załatwiaczka z racji wykonywanego zawodu też była częścią. To dobro mogło zostać mocno naruszone, gdyby najpotężniejszy czarodziej i najbardziej wpływowy wampir poszli, w przenośni albo dosłownie, na noże. Jeśli w okolicy miało zacząć się dziać źle, lepiej było o tym wiedzieć wcześniej. Zwłaszcza jeśli jedno ze zleceń dotyczyło utrzymania spokoju w mieście.

I właśnie dlatego Małgosia poszła za Phillipem - w takiej odległości, żeby jej nie zauważył. Nie musiała się bać, że straci go z oczu. Jej wspaniała komórka miała też miniradar, który reagował na ruch, a o tej porze nawet bezdomni spali. Jedynymi godnymi uwagi punktami na wyświetlaczu była ona i wampir. No i jeszcze koń, ale on oddalał się coraz bardziej, aż wreszcie znikł z radaru.

Tak jak się spodziewała, wampir zmierzał na dworzec autobusowy. Minał niski budynek, w którym mieściły się, kasy i sklepy, i zszedł schodami w dół, w stronę przystanków. Kiedy załatwiaczka podeszła bliżej stało się jasne dlaczego. Na ławeczce w przeszklonej poczekalni siedziała dziewczyna, które; marzenia poprzedniego dnia przeczytała Kas. Ta sama, która z racji pracy w administracji publicznej miała zapewnione ubezpieczenie. Oczywiście nie zdawała sobie sprawy, że z inicjatywy Bena już dwa lata wcześniej ubezpieczenie pracowników państwowych zostało wzbogacone o dodatkową opcję. I pewnie nawet urzędnik, który podpisał stosowne zarządzenie, nie wiedział, co ta opcja zawiera. A zawierała między innymi ochronę przed urokami. Wszystkimi. W końcu na tych rzeczach czarodziej się znał. A do tego miał obsesję na punkcie niezawisłości i niezależności funkcjonariuszy publicznych.

Małgosia była, prawdę mówiąc, pod wrażeniem, kiedy w niedzielę po południu przeczytała e-maila z Urzędu Ochrony Rzeczywistości. Miała tam dojścia i wykorzystała je, żeby sprawdzić, dlaczego czar wampira nie zadziałał. Załatwienie takiego zabezpieczenia musiało być niesamowicie trudne i z całą pewnością Ben nie zrobił tego sam. Załatwiaczka podejrzewała, że przyłożyła do tego rękę świętej pamięci pani Willoughby.

Ale teraz nic nie było w stanie ochronić dziewczyny. Nie przed przystojnym, czarującym mężczyzną, który znał wszystkie jej sny i marzenia. Właściwie to wiadomość, dlaczego kobieta była niewrażliwa na jego urok, powinna uspokoić wampira. W końcu skoro Joanna była zwyczajnie obłożona antyurokiem, to nie ma mowy o ujmie na honorze krwio pijcy i jego męskiej atrakcyjności. Ale widocznie Phillip za bardzo pogrążył się w tej swojej obsesji, żeby tak po prostu zrezygnować. Wampiry bywały wręcz szalenie szalenie cenne i

introspektywne. Małgosia dobrze o tym wiedziała, bo już kilka razy musiała załatwiać Phillipowi i kilku jego pobratymcom psychoanalizę.

Dalszy ciąg wypadków był łatwy do przewidzenia: wampir szybko się znudzi swoją krótkotrwałą fascynacją i przestanie udawać księcia z bajki. Może wcześniej zmieni ją w wampirycę, może tylko skosztuje jej krwi. Na pewno za to złamie wybrance serce. A konkretniej: jej serce zostanie złamane, kiedy uświadomi sobie, że zrezygnowała z Bena dla iluzji, i to zębatej. Co do tego, że czarodziej nie był Joannie obojętny, Małgorzata nie miała wątpliwości. Widziała ich razem, to wystarczyło. Jak wszystko, co piękne, to też się musiało skończyć. Ale czy takie sprawy powinny obchodzić załatwiaczkę?

- O, jesteś! - rozległ się tuż nad uchem Małgosi jej własny głos. - Cudownie było! Poszłam do Madame Tussaud's i byłam na zakupach, i na przyjęciu też byłam, ale jako ten gruby facet, to się nie liczy, chociaż szampan był super...

Małgosia odwróciła się w stronę lustrzanki. Jej odbicie nie wyglądało już jak ona... w każdym razie nie wyglądało tak, jak Małgorzacie zdarzyło się kiedykolwiek wyglądać, nawet wtedy, gdy została Miss Studentek. Jej „siostra” wykorzystała wolny czas, żeby o sobie zadbać, ale zrobiła to w stylu ośmiolatki, która nagle dorwała się do upragnionych maminych kosmetyków i ciuchów. Efekt był, łagodnie mówiąc, wyrazisty. Makijaż zbyt mocny, sukienka zbyt krzykliwa, a całość przypominała tandetne disco z lat osiemdziesiątych. Choć diabli wiedzą, może to teraz ostatni krzyk mody? Załatwiaczka nie była na bieżąco. Zresztą to wszystko nic wobec wyrazu szczęścia, jaki malował się na twarzy drugiej Małgosi, i ekscytacji, z jaką tamta ścisnęła kilkanaście toreb z zakupami, swój wielki skarb.

- Kupiłam sobie sukienkę i buty, i spodnie, i bluzkę - ciągnęła lustrzanka. - I apaszkę. Tobie też kupiłam, złotą! I jeszcze znalazłam superbluzę i płaszcz... Zostawię to wszystko u ciebie, dobrze? Na następny raz. Możesz je nosić, jak mnie nie będzie - dodała szczerze, doskonale wiedząc, że Małgorzata nie skorzysta ze wspaniałomyślniej oferty. Żaden z nowych strojów nie miał kieszeni wystarczająco dużych, żeby pomieściły ogromny notes z adresami, podstawowe narzędzie pracy załatwiaczki. - I jeszcze byłam u fryzjera i u kosmetyczki, a w ogóle to miałas rację, alibi chciał, morderca jeden, ale na przyjęciu było fajnie, tylko szkoda, że nie mogłam założyć sukienki, bo wiesz, on był strasznie brzydki, a iść jako taki brzydki facet to właściwie żadna frajda, ale...

Nie zdążyła dodać żadnego „ale”, bo Małgosia gwałtownie zatkała jej usta dłonią i pociągnęła sobowtóra pod ścianę najbliższego budynku. Lustrzanka wytrzeszczyła oczy zaskoczona takim zachowaniem załatwiaczki. Małgorzata była chyba jedną z najbardziej

flegmatycznych osób, jakie zdarzyło jej się spotkać... Przynajmniej tak sądziła aż do tej chwili.

Załatwiaczka nie puszczała lustrzanki, ale poza tym nie zwracała na nią uwagi. Była zbyt zajęta spoglądaniem na ulicę. Ktoś szybkim krokiem zbliżał się do dworca - i, niestety, był to ktoś znajomy.

Małgorzata bez namysłu pociągnęła swoje odbicie za róg budynku, z powrotem w stronę dworca. Rzuciła jedno szybkie, niespokojne spojrzenie na poczekalnię. Jasnowłosa dziewczyna rozmawiała z Phillipem. Nawet z tej odległości widać było, że się śmieje.

- Musisz coś jeszcze dla mnie zrobić - powiedziała załatwiaczka pośpiesznie do swojego sobowtóra. - Nieoficjalnie. Dopilnuję, żeby cię nie nakryli, i załatwię ci za to, co chcesz, nawet weekend na Hawajach albo odbicie jakiejś znanej aktorki na parę dni... - Dobrze wiedziała, czym skusić mieszkankę Świata Luster. Ta, chociaż bała się konsekwencji naginania reguł, to jednak bardzo, bardzo chciała choć przez jeden dzień być kimś sławnym... Albo pojechać na Hawaje, koniecznie zabierając ze sobą nowe ciuchy.

- Ale nikt się nie dowie? - upewniła się jeszcze ostrożnie.

Małgorzata pokręciła głową.

- Słuchaj mnie uważnie - powiedziała. - W poczekalni siedzi dziewczyna, jasne włosy, rozmawia z wampirem...

- No, fajny! - przytaknęła lustrzanka, zerkając we wskazanym kierunku.

- Dasz radę ją stąd odbić?

- Nie bardzo. Z bliska będzie widać...

- On nie może zobaczyć cię z bliska! - zaprotestowała gwałtownie załatwiaczka. - To czarodziej, zorientuje się!

- Czarodziej? - wyraźnie zmartwiło się jej odbicie. - A mówiłaś, że wampir...

- Tamta rozmawia z wampirem. Ty masz udać ją przed czarodziejem.

- Przed czarodziejem? - Lustrzanka prawie popukała się w głowę. - Daj spokój, żeby oszukać czarodzieja, to wystarczy peruka!

- Nie tego. - Małgosia wystawiła na chwilę głowę

zza winkła. Ben był już całkiem blisko. - To zawodowiec. Wiem, wiem - pokiwała głową, widząc minę swojego odbicia. Fraza „czarodziej zawodowiec” zajmowała trzecią pozycję na liście stu najlepszych dowcipów o czarodziejach, i to już od czterdziestu sześciu lat. - Dziwne, ale prawdziwe. Na co czekasz?! - pogoniła ją. - Odbijaj, szybko!

Druga Małgorzata posłusznie sięgnęła po małe dwustronne lustro, które sobotniej nocy dostała od załatwiaczki. Skierowała je w stronę poczekalni i siedzącej tam kobiety. Potem

obróciła je do siebie. Najpierw zaczęła się zmieniać na twarzy, potem przysła kolej na ramiona, plecy, piersi... Po chwili koło Małgosi stała kopia obsesji Phillipa. Niedokładna kopia. Prawdziwa Małgorzata dość się napatrzyła na zdjęcia, żeby zauważyć różnice. Ben też by je na pewno dostrzegł, bo choć to facet, jednak czarodziej. Ale z bliska albo w dobrym świetle. A przecież była jeszcze noc.

- Musisz go stąd odciągnąć. - Małgorzata zabrała swojej towarzysze torby z zakupami i lusterko. - Jak najdalej od dworca. Wybiegnij stąd, zatrzymaj się, żeby cię zauważył, i biegnij dalej. Autobus zaraz podjedzie, oni wsiądą i odjadą. A czarodzieja nie może tu wtedy być, rozumiesz? Nie może ich zobaczyć. Niech pobiegnie za tobą, ale pilnuj, żeby cię z bliska nie obejrzał. Jak będzie za blisko, to znajdź jakiś kawałek szkła i przechodź!

Sobowtórówi wyrwał się jęk zawodu.

- Ale jeszcze nie ma dziewiątej!

- Trudno. Pomyśl o Hawajach. Tylko proszę, nie próbuj się przed nim chować. To naprawdę zawodowiec, znajdzie cię! Jak będzie blisko, przechodź - przypomniła z naciskiem.

- No dobrze - zgodziła się lustrzanka, wciąż lekko nadąsana z powodu straty tych kilku godzin.

Posłusznie wybiegła zza budynku i przystanąła na chwilę na wprost Bena. Musiał dostrzec w niej swoją Joannę, bo też się zatrzymał. Wtedy ona pobiegła dalej przed siebie. Czarodziej zawołał ją po imieniu, ale nawet nie zareagowała. Wobec tego pobiegł za nią, oddalając się od dworca.

Małgosia obserwowała to wszystko przytulona do ściany. Kiedy kroki Bena ucichły w oddali, odwróciła się. Autobus już odjeżdżał, po Phillipie i dziewczynie nie było śladu. Odjechali, a może odeszli, rezygnując z podróży. Cokolwiek by zrobili, zrobili to razem.

Załatwiaczka nie lubiła się wtrącać w czyjeś prywatne sprawy, zwłaszcza w prywatne sprawy tych, których znała. Ale tym razem naprawdę nie miała wyjścia. Otwarty konflikt między Benem i wampirem mógł zagrozić dobru ogółu. A, niestety, ochronę tego dobra ktoś Małgorzacie zlecił. Jak zawsze cała parszywa robota spadała na nią.

Sobota, zdaniem załatwiaczki, była najgorszym dniem tygodnia. Przed wszystkim dlatego, że wtedy puby, kluby i ulice wypełniali ludzie, którzy mieli czas na zabawę. Ona też kiedyś miała... Cały dzień spędziła przy telefonie i komputerze, przeprowadzając męczące

rozmowy i wysyłając kolejne e-maile. Ale dzięki temu już prawie wszystko załatwiła. Dwa ostatnie zlecenia i tak musiały poczekać do jutra, Małgorzata wiele mogła, ale niektóre rzeczy musiały po prostu potrwać. Była jedenasta, a ona taszczyła przez centrum Exeter kilka metalowych puszek, zestaw pędzli i wycięty z kartonu szablon ze złamanym sercem. Właśnie załatwiła ostatnie zlecenie na ten dzień. I teraz miała właściwie resztę nocy dla siebie. Pozostawało tylko zdecydować, czy woli iść do pubu popatrzeć na ludzi, którzy mają czas na znajomych, czy też może lepiej nareszcie pójść spać do akademika.

Z życiem towarzyskim i tak mogła się pożegnać na najbliższe dziewięć i pół roku, a kilka godzin snu...

- Tak myślałem, że to ty - usłyszała nagle tuż obok znajomy głos.

Zatrzymała się. Na chodniku, przed chwilą jeszcze pustym, stał wysoki mężczyzna z ogoloną głową. Ubrany był w czarny kombinezon i wojskowe buty, w dłoni trzymał kominiarkę. Na imię miał Dominik i był dowódcą komanda półtrolli z ubezpieczalni. Kiedy tylko ktoś z wykupioną polisą znalazł się w niebezpieczeństwie, grupa specjalna przybywała, żeby usunąć zagrożenie. Tak właśnie Małgosia go poznała. A tydzień później musiała zostawić Dominika przed wejściem do kina, bo przyszło kolejne zlecenie.

- Praca? - zapytała, zerkając na kominiarkę. Komanda nie wzywano do byle czego, musiało się coś stać.

- Ten wasz czarodziej - wyjaśnił półtroll. - Tak między nami, to nawet normalny facet, chociaż taki zawód sobie wybrał... - Pokręcił kpiąco głową. - Ale problemy ma jak każdy czarodziej. Jakaś wampirzyca mu się naprzykrzała. Stała gościowi pod drzwiami i wrzeszczała, że była głupia i naiwna, że to była straszliwa pomyłka i żeby jej wybaczył. Strasznie zdesperowana. Cały czas powtarzała, że ktoś ją oszukał, a jej tak naprawdę zależy tylko na tym czarodzieju. Mało go to ruszyło, bo dostaliśmy wezwanie, żeby mu ją natychmiast zabrać z wycieraczki. On chyba bardzo nie lubi wampirów... Trochę mi jej szkoda. Nawet niezła dziewczyna i nie robiła kłopotów. Sama sobie poszła, tylko strasznie płakała, że on jej nie chce.

- Blondynka? Świeżo zwampiryzowana? - upewniła się załatwiaczka. Świeżo upieczone wampiry zawsze było łatwo poznać. Mijało kilka tygodni, zanim przyzwyczyły się, że mają nie wychodzić na słońce, że trzeba zawsze nosić chusteczki nawilżające, aby wytrzeć sobie krew z kąćków ust, i w przypadku kobiet, że muszą zmienić kosmetyki, podkład przede wszystkim. Nawet najjaśniejszy, cielisty fluid czy puder wyglądały fatalnie na trupio bladej cerze.

- To ona - przytaknął Dominik. - Znasz ją?

Małgosia pokręciła głową.

- Nie.

„Obsesja. Obsesje się kończą i nic nie zostaje. A może wręcz przeciwnie, skończyły się złudzenia, które zaoferował jej wampir? Przyczyna nie miała znaczenia. Ale konsekwencje mogły być... problematyczne” - pomyślała smutno.

Komandos przechylił głowę, spoglądając na puszki i pędzle, które trzymała w dłoni.

- A ty masz nowe zlecenie?

- Już załatwione. - Wyrzuciła farby do najbliższego kosza na śmiecie. Z puszki z czerwoną odpadła przykrywka, a zawartość oblała niedopałki i gazety. Te kolory już jej się nie przydadzą... Rano będzie musiała zadzwonić do hurtowni. W niedzielę co prawda nieczynne, ale Małgosia miała swoje dojścia. Potrzebowała nowych farb. Niebieski, fioletowy, szary... Coś smętnego, w barwach deszczowego nieba. - To może gdzieś pójdziemy? - zaproponował, uśmiechając się, Dominik. Ten uśmiech naprawdę zmieniał jego twarz: z półtrolla komandosa w miłego faceta.

- Nie jesteś na służbie?

- Chłopaki będą mnie kryć. Ale jakby się coś działo, to się zmyję, trudno. Nie obrazisz się? - Spojrzał na nią pytająco.

- Chyba żartujesz! - Małgosia po prostu musiała się roześmiać. Ona miała się o coś takiego obrazić... Ona?!

A ŻEBY ŻYLI DŁUGO

Niebo wyglądało tak, jakby chciało stać się szare, ale było zbyt leniwe, aby przybrać jakąkolwiek jednoznaczną barwę. W rezultacie tylko przyblakło i uznało, że to wystarczy. Chodniki jeszcze nie wyschły po ostatnim deszczu, a wskazówka barometru spadała w dół, dostarczając ludziom wyjaśnienia, dlaczego nic im się nie chce.

Małgorzaty, rzecz jasna, nie dotyczyło tak przyziemne wytłumaczenie. Nie mogła być senna, niezależnie od ciśnienia, pory dnia czy prozaicznego braku właściwej ilości snu, bo skutecznie uniemożliwiały jej to farmaceutyki, którymi się faszrowała. Nie mogła być zniechęcona i leniwa - brakowało jej na to czasu. Za to była głodna.

Bardzo łatwo mogła coś na to poradzić - na biurku obok laptopa leżało otwarte kartonowe pudełko, które posłaniec przyniósł pół godziny wcześniej. Pizza zdążyła już wystygnąć. Dla załatwiaczki nie stanowiło to problemu, zjadłaby ją nawet na surowo, ale wcześniej musiała skończyć bardzo wyczerpującą rozmowę telefoniczną. Trudno gadać z upartym biurokratą, przeżuając jednocześnie pizzę, wszystko jedno: gorącą, ledwo ciepłą czy zupełnie zimną.

Patrząc tęsknie na ser zasychający wokół pepperoni, Małgosia doszła do wniosku, że życie byłoby o wiele prostsze, gdyby ludzie wiedzieli, jak należy się odnosić do pracowników Korporacji. Ale nie wszyscy wiedzieli, więc zdzierала sobie gardło, przekonując jakiegoś nadętego idiotę, dlaczego ma ruszyć tyłek i natychmiast wysłać kilka plików zawierających tajne dane. Idiota twardo żądał jakichś autoryzacji, więc Małgorzata w końcu się poddała. Autoryzacje mogła załatwić później, a od rozmowy z biurokratą bardziej interesowała ją pizza.

Ze wszystkich rzeczy na świecie tylko jedna stanowiła prawdziwy problem: wypłacanie się z tego przekłętą kontraktu, który ostatnio coraz bardziej uprzykrzał jej życie. Było tylko jedno „ale”: załatwiaczka sama nie wiedziała do końca, czy nienawidzi swojej pracy. Pewnie, trudno o bardziej męczącą i czasochłonną robotę, która trwa dwadzieścia cztery godziny na dobę i zmusza do przyjęcia każdego zlecenia, które spełniało wymogi formalne. Ale

załatwianie było też ciekawe, czasami zabawne, przede wszystkim inne niż zwyczajna posada i dawało możliwość poznawania ciekawych ludzi. Właśnie, interesujących ludzi... półludzi właściwie... Musiała zadzwonić do Dominika. Ale najpierw postanowiła nadrobić zaległości żywieniowe.

Zdażyła zjeść połowę pizzy, kiedy pod oknem rozległo się przeraźliwe miauczenie. Małgosia odłożyła nadgryziony kawałek do pudełka i wyrzała na zewnątrz. Na trawniku pod akademikiem siedziała znana jej już od kilku miesięcy kotka w kolorze kawy z mlekiem. Zwierzak miał zadarty łeb i spoglądał z nadzieją na uchylone okna pokoiów. Kiedy zauważył załatwiaczkę, miauczenie przybrało na sile.

- Już, już...- mruknęła Małgorzata.

Zeszła na parter i otworzyła drzwi wejściowe. Kotka już przed nimi czekała. Natychmiast wślizgnęła się na klatkę schodową i nie czekając na załatwiaczkę, pobiegła schodami na górę, pod drzwi prowadzące na piętro Małgosi. Tam cierpliwie czekała, aż dziewczyna ją dogoni i wpuści do środka. Ktokolwiek projektował akademiki, nie wziął pod uwagę konieczności zainstalowania klapki dla kota. To z kolei oznaczało, że zwierzak musiał być traktowany jak królowa angielska, a Małgorzata robiła za lokaja zmuszonego do wstukiwania kodu i przekręcania klucza pod czujnym spojrzeniem migdałowych oczu. Kiedy wreszcie droga na piętro stała otworem, kotka spokojnie poszła do kuchni, znów zatrzymując się przed drzwiami, które załatwiaczka musiała przed nią otworzyć. Powolne ruchy ogona władczego futrzaka mówiły: „Karma. Szybciej! No, teraz miseczka!”. Cóż, zwierzak umiał tylko przepowiadać czyjaś śmierć - umiejętność dość interesująca, ale bezużyteczna, gdy szło o otwieranie puszek.

- Dawno cię nie było - zauważyła Małgorzata, stawiając przed kotką miskę z zarcie. Choć nie znała się na żywieniu zwierząt, uznała, że najodpowiedniejsza będzie karma z opcją „błyszcząca sierść”. Coś w sam raz dla przedstawicielki sfeminizowanego zawodu... Banshee były bowiem chyba jedyną organizacją odporną na zasady równouprawnienia oraz poprawności politycznej i twardo obstawały przeciw przyjmowaniu mężczyzn. Z drugiej strony były wyjątkowo tolerancyjne, jeśli chodzi o rasę i gatunek ich pracowników. Wszystko jedno, kto czy co dla nich pracowało, byle było płci żeńskiej.

Załatwiaczka przyglądała się, jak kocica je. Ta ją ignorowała, bo dla kotów ludzie to po prostu otwieracze do puszek z karmą, jasny dowód na to, jakie zwierzątka Stwórcy lubił najbardziej. W dodatku kotka nie życzyła sobie przytyć i potrzebowała kogoś, kto pilnowałby jej diety. Ten obowiązek, jak i wiele innych, spadał na Małgorzatę. To ona była tu od brudnej roboty. Chociaż to ostatnie miało się już niedługo zmienić. W umyśle Małgosi,

przyzwyczajonym do rozwiązywania najdziwniejszych problemów, zaczynał się delikatnie rysować plan. Kocica wylizała miszkę, po czym podeszła do drzwi. Na załatwiaczkę nie zwracała uwagi. Zamiast niej mógł równie dobrze znajdować się tu szympan, byle tylko umiał posługiwać się klamkami i potrafił wypuścić kota na zewnątrz.

Małgosia odprowadziła kotkę aż na placyk przed akademikiem i już miała wracać do zimnej pizzy, kiedy ktoś dotąd stojący w cieniu ściany nagle postąpił krok do przodu.

- Zapewne to pani jest w stanie załatwić mi to, czego potrzebuję? - odezwał się. Głos miał niski, starannie modulowany i wręcz poprawnie beznamiętny. Jeszcze zanim Małgorzata się odwróciła, wiedziała, że ma do czynienia może nawet z arystokratą.

Nie ruszyło jej to specjalnie. Widywała już dziwniejszych zleceniodawców. Nie lubiła u siebie znieczulicy zawodowej, ale ta wżerała się w Małgosię jak smar w ręce mechaników samochodowych. Na początku załatwianie było takie zabawne, czuła się prawie jak bogini, ale później... zmieniła się w boginię może i wszechmocną, ale za to mocno zaniedbaną. Że też Dominik mimo wszystko chciał się z nią umawiać... Może wpadła mu w ręce jej fotka z czasów, gdy była Miss Studentek, a może miał zły gust? To akurat nie miało teraz znaczenia, bo i tak nie miała kiedy się z nim spotykać.

„To się musi skończyć” - postanowiła. Niech sobie chrzanią o nierozzerwalności kontraktu, Małgorzata miała zamiar sprawdzić empirycznie, jak to z tym jest. Mogła załatwić wszystko, więc chyba też przedterminowe zwolnienie.

- Zapewne to pani jest miejscową pracownicą Korporacji? - powtórzył niezrażony jej milczeniem mężczyzna.

- Zapewne ja - odparła, a w duchu postanowiła, że jak tylko załatwi to zlecenie, zajmie się wypłatywaniem z kontraktu.

Już dawno straciła zdrowy lęk przed ludźmi wyłaniającymi się skądś nagle czy zagadującymi ją w nocy w ciemnych zaułkach. Taką miała pracę, kontakty ze zleceniodawcami to w końcu podstawa. Poza tym w odwodzie cały czas czekało komando półtrolli z ubezpieczalni. Może z Dominikiem, jeśli to akurat była jego zmiana... Nie znalazła nawet chwili, aby do niego zadzwonić i przeprosić, że zostawiła go w zeszłą sobotę w restauracji. Zresztą pewnie rozumiał... Kelner, głupek jeden, złożył zlecenie i Małgosia musiała pędzić je załatwiać. A zdążyła już zamówić kaczkę w sosie pomarańczowym...

To przypomniało dziewczynie, że na piętrze czeka na nią pyszna zimna pizza. Na drodze do zaspokojenia głodu stał tylko potencjalny zleceniodawca. Był ubrany w garnitur przekraczający pewnie wartość wszystkich stojących na parkingu minimorrisów. Zaś jego twarz, a zwłaszcza spojrzenie nosiło cechy tej mimowolnej, odruchowej arogancji kogoś, kto

zawsze stał wyżej od większości. Poza tą drobną wadą załatwiaczka uznała go za całkiem przystojnego faceta w kategorii „po trzydziestce”.

- Co mam załatwić? - zapytała, próbując wyzerować umysł, aby pragnienie zleceniodawcy zaskoczyło ją choć odrobinę. To właśnie na początku było fascynujące w nowej pracy: niektóre życzenia tak nie przystawały do ludzi, że Małgosia musiała podnosić z podłogi własną opadniętą szczękę. Ale ostatnio coraz rzadziej odczuwała zdziwienie i zaciekawienie.

- Ten kot strasznie miauczał. - Mężczyzna uczynił brodą lekki ruch w stronę, w którą odeszła banshee.

- Była głodna - skwitowała załatwiaczka. Nie miała zamiaru gawędzić o zwierzątkach, chciała dostać zlecenie i iść dojeść pizzę.

- Oboje wiemy, że takie jak ona nie krzyczą bez powodu - stwierdził spokojnie hipotetyczny arystokrata.

Jeśli myślał, że zaskoczy Małgosię swoją znajomością realiów życia, to się zawiódł. Odkąd zaczęła pracę, już nic jej nie zaskakiwało.

- Krzyk banshee zawsze oznacza śmierć - ciągnął zleceniodawca. - W tym wypadku moją. Chyba nie jest niczym dziwnym, że chcę, aby załatwiła mi pani dalsze, dłuższe życie. I w zaistniałych okolicznościach proszę załatwić to jak najszybciej. Potem proszę zadzwonić. - Wręczył załatwiaczce wizytówkę, skłonił lekko głowę i odszedł. Małgorzata wyciągnęła z kieszeni ogrodniczek wypchany notes i nie zdejmując trzymających go w jednym kawałku gumek recepturek, wsunęła wizytówkę między strony. Wcześniej rzuciła okiem na kartonik i nazwisko mężczyzny wydało jej się znajome. Gdzieś je ostatnio widziała, ale to akurat teraz nie miało znaczenia. Jak wizytówka będzie potrzebna, to się sama znajdzie. Tak samo jak wszystkie inne adresy, które miała w swoim notatniku. Wsadziła go z powrotem do kieszeni i najpierw powoli, a potem coraz szybciej ruszyła w stronę, w którą oddaliła się kotka.

- Bansh!

- Jak skłonić banshee do mówienia? - zapytała zdyszana załatwiaczka, gdy tylko Ben Watson otworzył drzwi.

- Nijak - odpowiedział czarodziej. - Koty nie mówią.

- Ja pytam poważnie - obruszyła się Małgorzata. Bieganie nie było jej ulubionym sportem, zwłaszcza że nie sypiała, jadła nieregularnie i żyła na farmaceutykach. Dziwne, że przebieżka po mieście jej nie zabiła.

- A ja ci poważnie odpowiadam. - Ben cofnął się o krok, wpuszczając ją do domu.

Widząc stan dziewczyny, lekko się obawiał, że zaraz mu padnie na progu, niewykluczone, że trupem. Była zdyszana, miała czerwoną twarz i jeszcze na dodatek kulą na lewą nogę. - Znajdź banshee, która jest człowiekiem, i z nią sobie porozmawiaj - dodał, kiedy złapała oddech. - Nasza Bansh najwyżej ci miauknie.

- Nie mnie. Zleceniodawcy - odburknęła załatwiaczka, wchodząc do pokoju. - I w tym cały problem. - Rozejrzała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby usiąść.

W domu czarodzieja o wolne przestrzenie było równie trudno co o tanią parcelę w londyńskim City. Nie chodziło o to, że panował tam bałagan - wręcz przeciwnie, Ben należał wręcz do fanatyków porządku. Tymczasem wiele rzeczy usiłowało ten porządek zakłócić.

W mieszkaniach większości czarodziejów można się było potknąć o magiczne księgi, amulety, artefakty, wypchane zwierzęta, przedpotopowe konserwy z palcami demonów... Czyli o to wszystko, co w mniemaniu właścicieli kolekcji krzychało: „Jestem wielkim magiem, pokłońcie się, nędzne padalce!”. A w mniemaniu reszty świata mówiło: „Tu mieszka kolejny z tej ferajny oszołomów. A tak przy okazji, wiesz, dlaczego czarodziej musi zawsze kupować dwa bilety do kina? Bo jego ego nie będzie przez cały seans czekało za drzwiami!”.

Czarodziej z Exeter, dziwne, ale prawdziwe, oszołomem nie był. Między innymi z tego powodu w jego domu próżno było szukać czegokolwiek, co miało za zadanie tylko magicznie wyglądać. Artefakty, wypchane kruki i palce demonów nie wchodziły w grę. Mimo to Watson nie był wolny od dziwactw, a konkretniej, od jednego dziwactwa: chorobliwego wręcz patriotyzmu lokalnego. W jego domu piętrzyły się stosy starannie poukładanych ulotek na temat ważnych pomników przyrody, utrzymywania czystości w mieście czy historii okolicy. Dodatkowo w równych rzędkach leżały plakaty zapraszające na kolejne spotkanie jednego z kilkunastu, czy może nawet kilkudziesięciu stowarzyszeń przyjaciół czegośtam, do których Ben należał. Na półkach stały książki o dziejach, faunie i florze Devonu, a obok nich poradniki typu „Jak być dobrym sąsiadem” czy „Dlaczego Kocham moją społeczność lokalną?”. Małgosia jakoś zdołała precyzyjnie przycisnąć się obok tych dowodów miłości i dotrzeć do fotela.

- Goniałam ją przez pół miasta - poskarżyła się siadając. - Wstrętna skunksica, nawet nie zwolniła.

- Zwieszczyła komuś śmierć? - spytał domyślnie Ben.

- No. A on chce sobie jeszcze pożyć i ja mam to załatwić - westchnęła Małgorzata. - Ale żeby to zrobić, muszę wiedzieć, jak on umrze! Mam mu załatwić ubezpieczenie od napadu, tarczę od zderzeń z samochodami czy lekarstwo na ptasią grypę? Na tym cholernym świecie jest z milion sposobów, żeby stracić życie. Jeśli mam zapobiec wszystkim, to się w dziesięć lat kontraktu nie wyrobię! Nie wspominając o tym, że nie mam dziesięciu lat. Skoro Bansh już mu miauczała, to umrze niedługo. Chyba sobie załatwię jakiegoś kociego hycła.

- No co ty? - Czarodziej uśmiechnął się pobłaźliwie. Czasami, ale tylko czasami, Małgosia bywała zabawna. Ale zwykle przede wszystkim przemęczona. Zawsze taka zawalona pracą i nie mogła odrzucić żadnego zlecenia... Żadnego. Odepchnął od siebie nieprzyjemne skojarzenia. Przeszłość nie miała już znaczenia. Liczyła się teraźniejszość.

- Banshee takimi prymitywnymi metodami nie złapiesz - powiedział. - Nie skorzystam z bardziej zaawansowanych metod. - Załatwiaczka wbiła spojrzenie w szarozielony dywan. - Nie chcę sobie z niej robić wroga.

Czekał ją przecież skomplikowany proces wyplątywania się z umowy, przy którym na pewno zyska wystarczająco wielu nieprzyjaciół. Nie potrzebowała dodatkowych.

Czarodziej oparł się o szafę z książkami. W zamyśleniu pogładził jasną brodę.

- W takim razie masz cztery możliwości. Możesz dalej uganiać się za Bansh i mieć nadzieję, że ją złapiesz i coś z niej wyciągniesz. Możesz znaleźć inną banshee, najlepiej człowieka, i z nią pogadać, przekupić, w każdym razie dowiedzieć się od niej co i jak. Możesz iść do wróża. No i oczywiście zawsze możesz pogadać ze śmiercią.

- Ostatnia opcja odpada - stwierdziła Małgosia, wstając z fotela. - Tutejszy śmierciak za mną nie przepada.

- Zostały jeszcze trzy - pocieszył ją Ben.

Kocica siedziała na murku dokładnie naprzeciw domu czarodzieja. Pozornie wygrzewała się na słońcu, tyle że słońce wciąż chowało się za chmurami, a przymrużone oczy Bansh spoglądały na drzwi Bena. W końcu się otwały i wyszła załatwiaczka.

- Odczep się - powiedziała, kiedy kotka wstała, przeciągnęła się i podreptała chwilę pa murku, jakby dając znak, że mogą kontynuować gonitwę. - Do jutra będę wiedziała co i jak, i to bez twojej łaski.

Bansh naturalnie nic nie odpowiedziała.

Małgorzata była zdecydowana zabezpieczyć sprawę na wszystkich frontach. Na ekranie laptopa miała otwartą listę członków stowarzyszenia wróżów. Jeden mieszkał w Dawlish, jakieś dwadzieścia minut pociągiem od Exeter. Blisko. Ze zlokalizowaniem drugiej banshee, i to koniecznie człowieka, nie było już tak łatwo. Przede wszystkim przepowiadaczki śmierci były wyjątkowo niechętne biurokracji. Woląły uważać się za coś w rodzaju nieformalnego, luźnego stowarzyszenia, bez statutu, bez administracji, nawet bez corocznych zjazdów. Nie miały też oficjalnej siedziby, adresu, telefonów służbowych, nawet strony internetowej czy e-maila. Jedynym możliwym sposobem poszukiwań była reakcja łańcuchowa. A to oznaczało obdzwonienie dziewięćdziesięciu dziewięciu załatwiaczy i załatwiaczek i spytanie ich wszystkich, czy nie mają namiarów na jakąś banshee, koniecznie człowieka i najlepiej rezydującą w Anglii, a przynajmniej w Europie. Gdyby to nie pomogło, pozostawałoby obdzwonienie z tym pytaniem wszystkich swoich kontaktów, a że miała ich w swoim notesie około miliona, mogło to trochę potrwać.

Przeklęte banshee! Gdyby to od Małgorzaty zależało, załatwiłaby im w ramach pracy społecznej biuro i sekretarkę.

Przez noc załatwiaczka zdążyła sprawdzić parę tropów. Ktoś twierdził, że kilka banshee pracuje dla różnych kanałów telewizyjnych. Podobno chętnie je tam zatrudniają, bo mają niesamowite wyczucie i zawsze pierwsze pojawiają się na miejscu tragedii. W związku z tym Małgosia była w trakcie załatwiania sobie listy najskuteczniejszych reporterek różnych programów informacyjnych. Co zrobi później, jeszcze nie wiedziała, ale rozważała obdzwonienie wszystkich po kolei z pytaniem: „Czy jest pani banshee? A jeśli tak, to przyjedzie pani do Exeter?”.

Rano Małgorzata wsiadła w pociąg do Dawlish i pojechała na umówione wcześniej spotkanie z wróżem. Z ustaleniem z nim terminu konsultacji też nie poszło łatwo, chociaż nie było aż tylu kłopotów co z ludzką banshee. Facet nie chciał rozmawiać z załatwiaczką. Twierdził, że ma zwolnienie dla podratowania zdrowia. Przekonała go dopiero obietnica, że Korporacja zapłaci mu jak za nadgodziny. O ile Małgosia orientowała się w stawkach wróżów, to oznaczało pięciocyfrowy rachunek za piętnaście minut rozmowy.

W pociągu nie traciła czasu, tylko załatwiała autoryzację niezbędną do tego, żeby idiota-biurokrata wysłał jej w końcu tajne dane. Żadne zlecenie nie hańbi, no i nawet szpiegostwo przemysłowe kosztowało mniej nerwów niż znalezienie odpowiedniej banshee.

Dawlish było małym miasteczkiem skupionym wokół wcinającego się w ląd kanału. Wróż mieszkał tuż obok stacji kolejowej. Załatwiaczka musiała tylko przejść kilkanaście metrów wzdłuż wybrzeża. Cały czas miała telefon przy uchu, ale skorzystała z okazji, żeby obejrzeć sobie ocean i czerwone klify. Była już tu kiedyś z powodu zlecenia. Wtedy zdążyła nawet zjeść lody i nakarmić mewy wafelkiem. To znaczy planowała nakarmić czarne łabędzie, ale mewy miały większą siłę przebicia.

Kiedy dotarła pod właściwy adres, przerwała rozmowę. Udało jej się załatwić autoryzację, wystarczyło tylko jeszcze zadzwonić do upartego biurokraty, który już nie będzie miał jak wykręcić się od wysłania jej danych. I załatwione. Został tylko wróż... i może wizyta w cukierni.

Dom pod adresem, który zdobyła, był tak jak inne śliczny, kolorowy i wręcz żywcem wyjęty z powieści o Herkulesie Poirot. Na parterze mieścił się sklepik z pamiątkami, masą kiczowatych figurek i obrazków dumnie wystawionych na widok przechodniów. Małgosia weszła do sieni z boku budynku, a potem schodami na piętro. Wybór takiego skromnego lokalu, do tego w małym nadmorskim miasteczku, był dość zaskakujący jak na wróża. Tacy jak on zwykle pokazywali się przy głowach państw, bywali w towarzystwie, mieszkali w najbardziej snobistycznych dzielnicach. Gdy jednak załatwiaczka zobaczyła jasnowidza, stwierdziła, że nie bardzo przystawał do reszty bractwa, składającego się głównie z wymanikiurowanych bywalców licznych bankietów. Na oko miał dwadzieścia kilka lat, był szczupły i blady, nie nosił jedwabnej koszuli ani złotej biżuterii. Przydługie włosy prawie skrywały duże oczy, przez co wróż wyglądał na wiecznie zadziwionego. Łatwo było zrozumieć, dlaczego jest na urlopie zdrowotnym. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał zemdleć czy zapaść na suchoty. Albo może po prostu namyślić się i wmaszerować pod autobus. Przypominał natchnionego poetę, ale Małgosia już dawno nauczyła się, na własnym przykładzie zresztą, że wygląd nie ma u zawodowca znaczenia. - Potrzebuję informacji - powiedziała bez wstępów, wchodząc do skromnego mieszkanca.

Nie miała czasu na uprzejmości, zresztą biorąc pod uwagę, ile wróż sobie liczył za chwilę rozmowy, znoszenie humorów klientów powinno być wliczone w cenę. Załatwiaczka, nie czekając na zaproszenie, usiadła na kremowej sofie. Jasnowidz, wciąż chyba niezdecydowany, czy mdleć, czy nie, przysunął sobie krzesło i zajął miejsce naprzeciw niej. Jak dotąd nie odezwał się ani słowem, co trochę Małgosię zaczynało irytować. Nie

przyjechała tu przecież po to, żeby z nim rozmawiać czy podziwiać tapetę w różyczki, którą wyłożone były ściany. Z kalendarza wyciągnęła wizytówkę zleceniodawcy. Trzymając ją ostrożnie, za sam róg, podała wróżowi.

- Ten facet niedługo umrze. Muszę wiedzieć kiedy, gdzie, jak. Wszystko, co może się przydać do powstrzymania tego przykrego zdarzenia.

Jasnowidz popatrzył na nią tymi swoimi ogromnymi oczami, aż się dziwnie poczuła. Na szczęście przeniósł wzrok na wizytówkę. Przez dłuższą chwilę wlepiął w nią spojrzenie, wreszcie wyciągnął ręce i wziął kartonik ostrożnie, samymi czubkami palców.

Załatwiaczka obserwowała to, nie dając po sobie poznać zniecierpliwienia. Jasnowidzenie musiało potrwać, o ile się orientowała. Miała tylko nadzieję, że wróż jej tu nie zemdleje. A przynajmniej że nie zemdleje, zanim nie wyjawi przyszłości jej zleceniodawcy.

Siedział z wizytówką w dłoniach jakieś dziesięć minut, wpatrując się w nią tak intensywnie, że aż mu te błękitne oczy zaczęły łzawić. Wreszcie odsunął od siebie ręce. Małgosia zrozumiała, że oddaje jej kartonik i wzięła go z jego chudych palców.

- I co? - zapytała po kilku minutach, bo mężczyzna jakoś nie kwapił się, żeby zacząć mówić.

Wróż popatrzył na Małgorzatę tak, że gdyby nie miała wykupionego ubezpieczenia, to może by się nawet przestraszyła.

- On nie umrze - powiedział wreszcie. Głos miał cichy i lekko świszczący. - Na pewno nie w najbliższym czasie. Pomyliłaś się.

Załatwiaczka spojrzała na niego z niedowierzaniem. Ona mogła się pomylić. Ale nie banshee. Banshee nie myliły się nigdy.

- Sprawdź jeszcze raz - poleciła.

Jasnowidz wziął od niej wizytówkę i kilkakrotnie obrócił ją w palcach. Przeczytał nazwisko, stanowisko, numer telefonu. Wzruszył ramionami, pokręcił głową.

- Nie zanosz się na śmierć - powtórzył.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Małgorzaty. Odchyliła się, skrzyżowała ramiona i rzuciła mężczyźnie spojrzenie spode łba. Dobrze wiedziała, że nie ma predyspozycji do straszenia ludzi, i mocno tego teraz żałowała. Wróż był zdecydowanie za mało współpracujący. A miała tylko wykonać to ostatnie zlecenie i zacząć obmyślać plan zerwania kontraktu! Dlaczego sprawy musiały się komplikować?

- Banshee mu wyła - rzuciła, jakby wyzywając wróża.

Ponownie wzruszył ramionami. Do tego ruchu wydawał się być po prostu stworzony. - Może wyła komuś, kto stał obok - podsunął, najwyraźniej próbując pomóc. Ale było po nim

widać, że chciałby, aby załatwiaczka już sobie poszła. Od początku nie miał ochoty na jej wizytę i dał się przekonać tylko świetnymi warunkami finansowymi. A teraz zrobił to, czego od niego oczekiwała, i chciał znowu zostać sam.

Małgosia pokręciła głową. Oprócz Bansh i zleceniodawcy pod akademikiem była tylko ona. A o siebie nie musiała się martwić, na czas kontraktu miała wykupione ubezpieczenie pracownicze od wszystkiego. Korporacja nie lubiła tracić pracowników. Nawet pani Willoughby, mimo że blisko stuletnia, umarła ze starości dopiero dzień po zakończeniu kontraktu.

Wstała i wyciągnęła z kieszeni kartonik, który wyglądał, jakby wycięto go ze starego tekturowego pudła. Na wizytówce nie było żadnego nazwiska czy loga firmy. Tylko adres, a właściwie numer skrytki pocztowej. Ta skrytka pocztowa to było wszystko, co ludzie, nawet ci z branży, powinni wiedzieć o siedzibie Korporacji.

- Rachunek wyślij na ten adres.

Zabrała wróżowi wizytówkę zleceniodawcy i poszła złapać najbliższy pociąg do Exeter. Na lody nie miała już ochoty.

Zaraz po wyjściu z dworca w Exeter Małgorzata natknęła się na Bansh. Kotka siedziała na chodniku i patrzyła na nią swoimi jasnozielonymi oczami. Załatwiaczka odpowiedziała jej zirytowanym spojrzeniem. Głupi zwierzak, mogłaby sięść metr dalej i może ktoś by ją przejechał. Choć brytyjscy kierowcy w przeciwieństwie do polskich mieli zwyczaj unikać pieszych, w tym także zwierzątek. Może troszczyli się o karoserie swoich samochodów?

- Czy ty jesteś pewna, że on umrze? - zapytała natarczywie Małgorzata.

Bansh przez chwilę machała ogonem, jakby rozważała ten koncept, po czym zadarła łeb do góry i rozdarła się jak tylko koty potrafią.

- Dobra, dobra! Dotarło - rzuciła jej na pożegnanie załatwiaczka, zatykając uszy i oddalając się pośpiesznie. Jakby ją ktoś przydybał przy tak rozpaczliwie miauczącym sierściuchu, to jak nie oskarżyłby Małgosię o znęcanie się nad zwierzętami. Już ludzie zaczęli się oglądać.

Była prawie pod akademikiem, kiedy zapiszczała jej komórka. SMS zawierał nazwisko i numer telefonu. Ktoś wreszcie zlokalizował ludzką banshee. Małgosia zatrzymała się wpatrzona w wyświetlacz.

Po chwili namysłu szybkim krokiem ruszyła do swojego pokoju. Bansh zwieszczyła jej zleceniodawcy śmierć. Wróż twierdził, że nic takiego się nie stanie. Załatwiaczka lubiła, kiedy sprawy szły prosto, łatwo, bez komplikacji. I aby tak się stało, postanowiła zasięgnąć trzeciej opinii.

Ściągnięcie drugiej banshee do Exeter było najłatwiejszą częścią całej operacji. Wystarczyło tylko zadzwonić. Każdy wiedział, że Korporacja dobrze płaciła konsultantom, więc Małgosia nie musiała się nawet specjalnie wysilać. Banshee wydebiła tylko jeszcze zwrot kosztów dojazdu i zapowiedziała, że będzie następnego dnia koło południa.

Załatwiaczka umówiła się z nią na spotkanie pod katedrą, bo w hotelu naprzeciwko mieszkał zleceniodawca. Małgosia wolała, żeby banshee obejrzała go dyskretnie i możliwie z oddali. Lepiej było mu nie mówić, że istnieją pewne wątpliwości co do jego rychłej śmierci. Wiadomość typu: „Zaszła pomyłka, jeszcze trochę pożyjesz”, z pewnością by faceta ucieszyła, ale do obowiązków Małgorzaty nie należało uszczęśliwianie ludzi. Ona miała tylko załatwiać zlecenia.

Na trawniku wokół siadało coraz więcej studentów chcących zjeść swój lunch na świeżym powietrzu. Oblepili murki, trawę, ktoś oparł się plecami o gipsowego konia, całego czarnego i wymalowanego w gustowne kościotrupki. Postawienie tu takiej figury ludzie musieli uważać za świetny żart, nawet robili sobie przy niej zdjęcia.

Nadchodzącą banshee Małgosia rozpoznała już z daleka. Nie dlatego, że kobieta wyróżniała się z tłumu - przeciętna czterdziestolatka w beżowym kostiumie z różową apaszką na szyi. Po prostu mało kto, idąc ulicą, zniechęca wrzeszczał ludziom w twarz.

Z tego właśnie powodu ludzkie banshee były kłopotliwe towarzysko. Niekiedy nawet zamykano je za zakłócanie porządku publicznego.

Załatwiaczka rozejrzała się dyskretnie po placu. Policji na razie chyba nikt nie wezwał. Wyciągnięcie kobiety z aresztu nie stanowiło wprawdzie problemu, ale po co było wprowadzać dodatkowe komplikacje. Już i tak nie najprostsze zlecenie ciągle napotykało nieprzewidziane trudności.

Banshee też nie miała kłopotu z rozpoznaniem załatwiaczki. Kim innym mogła być dziewczyna w ogrodniczkach, z niestarannie związanymi włosami, nieustannie rozmawiająca przez telefon?

Kiedy kobieta w beżu była już blisko, Małgosia zakończyła rozmowę. Jej zlecenie na szpiegostwo przemysłowe zostało wreszcie załatwione, teraz mogła się zająć już tylko ratowaniem życia kolejnego zleceniodawcy.

Przesunęła się odrobinę i gestem wskazała banshee miejsce obok siebie na kamiennym murku.

- Pora lunchu, facet zaraz powinien wyjść - powiedziała. Przewidująco załatwiła sobie wcześniej rozkład dnia tego arystokraty.

Nie czekały długo. Zleceniodawca wyszedł z hotelu kwadrans po pierwszej. Nie zauważył ich. Małgosia już miała szturchnąć banshee i wskazać jej obiekt, ale zobaczyła, że kobieta otwiera usta do krzyku. Załatwiaczka błyskawicznie wyciągnęła z kieszeni mały pojemniczek ze sprayem i psiknęła jej na język.

Nieszczęsna przepowiadaczka śmierci zakrztusiła się, rozkaszała, ale nie pomogło - nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Sorry - rzuciła Małgorzata, spoglądając za odchodzącym zleceniodawcą. - Ale to ma być dyskretna obserwacja. Napijesz się kawy i znowu będziesz mogła mówić. I opowiesz mi, co się z nim stanie.

Dlaczego akurat kawa działa jako antidotum na spray pozbawiający głosu, Małgosia nie wiedziała. Szczerze mówiąc, nawet jej to nie obchodziło. Interesowało ją za to, co banshee ma do powiedzenia na temat śmierci zleceniodawcy. Siedziała naprzeciw niej w kawiarni i czekała, aż kobieta odzyska głos.

Ta dopiła swoją kawę i odchrząknęła kilka razy na próbę.

- Lepiej? - zapytała załatwiaczka.

- Lepiej. - Banshee wciąż była lekko zachrypnięta, ale mogła mówić, z tym że nie za głośno. - Ciekawy wynalazek.

- Tajny - skwitowała Małgorzata. Miała całą kolekcję takich tajnych, pożytecznych wynalazków załatwianych wedle aktualnych potrzeb. Przelotnie pomyślała, że za tym aspektem swojej pracy będzie chyba trochę tęsknić. Fajnie mieć w szafie w akademiku

rzeczy, o jakich nie śnił nawet dostawca Jamesa Bonda. - Co z moim zleceniodawcą? Bo to, że umrze, jest jasne. Pytanie tylko: kiedy, gdzie i jak.

Banshee w zamyśleniu popatrzyła na dno swojej filiżanki. Wyglądało to, jakby zamierzała czytać z fusów, choć przecież nie potrzebowała żadnego „sprzętu”. Ona po prostu wiedziała.

- Za kilka dni... chyba.

- Chyba? - Małgosia spojrzała na nią podejrzliwie.

- To wszystko jest bardzo niejasne. - Banshee dalej oglądała filiżankę i nie dostrzegła morderczo znękanego spojrzenia załatwiaczki. - Umrze na pewno, za kilka dni, ale wszystkie detale... są bardzo rozmyte... Potrzebuję więcej czasu - powiedziała zdecydowanie, wstając od stolika. - Pochodzę za nim, zobaczę, czego jeszcze uda mi się dowiedzieć. Zadzwoń, jak coś się wyjaśni. - Wyszła z kawiarni, zanim Małgosia zdążyła otworzyć usta.

To zlecenie coraz bardziej wkurzało załatwiaczkę. Poczekać, aż zleceniodawca zginie, i wskrzesić go później byłoby prawdopodobnie łatwiej. Co tam prawdopodobnie, na pewno byłoby łatwiej. Miała już zlecenia na wskrzeszenia, coś takiego mogłaby załatwić w piętnaście minut, ewentualnie trochę dłużej, w zależności od stanu zwłok, plus około osiem godzin na dostawę niezbędnego sprzętu. Ale nie, jej zadaniem było zapobiec śmierci zleceniodawcy. I choć efekt ten sam, musiała załatwić to dokładnie tak!

A druga banshee, zamiast rozwiązać sprawę, zaczęła ją dodatkowo komplikować. Dziewczyna nie kupowała jakoś tego gadania, że na niektóre sprawy potrzeba czasu. Załatwiaczka nie miała go prawie nigdy. I dobrze wiedziała, że jeśli tylko człowiek się odpowiednio mocno postara, to ten czas wcale nie jest potrzebny. Nie miała zamiaru czekać, miała za dużo własnych spraw na głowie: odzyskać wolność i żyć długo i szczęśliwie bez regulaminu wiszącego nad jej głową niczym miecz Damoklesa. Ale żeby tak się stało, najpierw musiała sprawić, żeby jej zleceniodawca też żył długo i szczęśliwie i żeby Banshee przestała mu co noc miauczeć pod oknem. Przynajmniej przez najbliższe czterdzieści lat.

Kiedy tylko banshee znikła jej z pola widzenia, załatwiaczka wyciągnęła z kieszeni telefon. Mogli się z miejscowym Panem Śmiercią nie lubić, ale oboje byli zawodowcami. I czas był najwyższy, żeby ze sobą pogadali jak fachowiec z fachowcem.

O czwartej po południu centrum handlowe było pełne ludzi. Może nie aż tak pełne jak w czasie przerwy na lunch, ale i tak dojście do baru ze świeżymi sokami wymagało kluczenia pomiędzy dziećmi, dorosłymi i emerytami.

To śmierciak zaproponował to miejsce i Małgosia była zdania, że nie mógł wybrać lepiej. Nie udało jej się zjeść lodów w Dawlish, ale teraz miała szansę na wypicie słodkiego koktajlu z owoców i jogurtu. Wpatrywała się właśnie w tablicę z menu, kiedy śmierciak stanął obok. Był chudy, średniego wzrostu i, co wyjątkowo mało zaskakujące, ubierał się na czarno. Czarne spodnie, czarny sweter, czarne glany i czarny płaszcz. Czarne były też oprawki okrągłych okularów. Tylko włosy miał w kolorze jasny blond.

Kompania Śmierci działała na zasadzie franchisingu. Każdy region miał własnego mrocznego kosiarza. Załatwiaczka już na samym początku swojej pracy zwróciła uwagę na dziwną prawidłowość: w Anglii stanowisko śmierci piastowali prawie wyłącznie mężczyźni, za to w Polsce symboliczną kosę wręczano tylko płci pięknej. Oczywiście rozmowy kwalifikacyjne w kraju Piastów najlepiej przechodziły blade kandydatki, a na Wyspach anemiczni kandydaci, ale wymogów dotyczących wyglądu nigdy w ofertach pracy nie zamieszczano - to byłoby niezgodne z prawem. Kiedyś Małgorzata z ciekawości zapytała o ten dziwny podział Bena. Jego odpowiedź była równie prosta, co zadziwiająca: gramatyka. Dla Anglików śmierć była mężczyzną, czyli śmierciakiem, dla Polaków kobietą. Kompania w ramach respektowania różnic etnicznych starała się tego podziału trzymać.

Z tego powodu właśnie po Exeter krążył Pan Śmierć, a imię jego brzmiało Gareth.

- Dobra robota - stwierdził na przywitanie. - Dla mnie duży sok marchewkowy.

Małgosia złożyła zamówienie: sok dla śmierciaka i koktajl bananowy dla siebie.

- Co miało znaczyć „dobra robota”? - zapytała, kiedy pracownik baru wpychał jedną po drugiej dwadzieścia marchewek do maszyny wyciskającej.

- Wykończyłaś faceta - wyjaśnił pogodnie Gareth.

- Jak to wykończyłam? - skrzywiła się załatwiaczka. Nie lubiła głupich żartów, zwłaszcza z jej osoby. - Przecież mam zlecenie na uratowanie mu życia! On jeszcze żyje, prawda? - zaniepokoiła się. Tylko tego brakowało, aby umarł, w czasie kiedy będzie mu załatwiała dłuższe życie. Straszne byłyby kłopoty, no chyba żeby mu załatwiła przywrócenie do życia, ale nieoficjalne zlecenie tego formatu strasznie ciężko byłoby ukryć przed Korporacją.

- Żyje, żyje - uspokoił ją śmierciak. - Do jutra.

- Cholera jasna! Do jutra?! - Małgosia prawie upuściła swój koktajl. Tego się nie spodziewała. Ale przynajmniej wreszcie ktoś był konkretny i rzeczowy, a nie wciskał jej

bdzury o tym, że zleceniodawca przeżyje albo i nie przeżyje. Dlaczego od razu nie poszła do Wszechwiedzącego Faceta Z Kosą? A, prawda! Nie lubili się.

- Tak, jutro koło południa - spokojnie potwierdził Pan Śmierć. - Gdzie?

- Na Oxford Road albo gdzieś w pobliżu.

- Jak?

- Nóż, urok, wściekła bestia... Mordercy jeszcze nie zdecydowali - wyjaśnił Gareth - a ja nie jestem jasnowidzem.

Istotnie, nie był nim. Jeśli ktoś miał odejść z tego świata, śmierciak dowiadywał się o tym dopiero w momencie, kiedy lekarze uzgodnili diagnozę czy zabójca dopracował swój plan. Nie wcześniej.

- Uduszę tego przekłętą wróża - obiecała załatwiaczka. Najpierw upewni się, że zleceniodawca jest cały, zdrowy i ma perspektywy, a potem wsiądzie w pierwszy pociąg do Dawlish. Wcześniej jeszcze zadzwoni i zapyta Dominika, czy jego zespół przyjmuje prywatne zlecenia. - Kto ma go zabić?

- Wróż właśnie - zachichotał Gareth. - I ta banshee spoza miasta.

Małgorzata udławiła się swoim koktajlem. Przez chwilę nie mogła złapać tchu, potem zaczęła straszliwie kaszleć. Śmierciak czekał spokojnie, aż jej przejdzie, sącząc swój sok marchewkowy.

- No co? - Wzruszył ramionami, kiedy załatwiaczka rzuciła mu pełne pretensji spojrzenie załamanych oczu. - Wiedziałbym, gdybyś miała od tego umrzeć.

- Wróż i druga banshee? - upewniła się, kiedy już mogła mówić.

- Tak. Ty ich do niego doprowadziłaś.

- Ale... dlaczego? - Małgorzata nie była w stanie wymyślić, po co wróż i banshee mieliby zamordować zupełnie im obcego człowieka tylko dlatego, że skontaktowała się z nimi w jego sprawie. Śmierciak oczywiście wiedział. Każdy kolejny detal układanki pod tytułem „Morderstwo” docierał do niego, gdy tylko morderca o tym pomyślał.

- Wróż go zna. Twój zleceniodawca trochę mu podrzucał karierę. Wróż pracował dla jego konkurencji, ale twój zleceniodawca wynajął kontrwróża. W ten sposób wykiwał tę drugą firmę. Naszego wróża zwolnili, dziewczyna go rzuciła... Takie tam, jak w telenoweli. Dlatego teraz robi za pustelnika. Kiedy poszłaś do niego w sprawie zleceniodawcy, nie dość, że przypomniałaś facetowi o jego koszmarze, to jeszcze, wróżąc, zobaczył siebie, jak wymierza sprawiedliwość. Trudno się spodziewać, żeby ci powiedział: „Tak, on umrze, i to z mojej ręki”.

Małgosia zaklęła bardzo brzydko, ale po polsku, więc nikt ze stojących obok ludzi nie zrozumiał. Zlecenie nie tylko jej się skomplikowało, ale jeszcze zawiązało na supełek. A w dodatku chwila, w której sięgnie po swoją wolność, była coraz dalsza.

- A ta banshee? - zapytała z niechęcią. Sama babę do miasta sprowadziła. To jak wyhodować sobie żmiję na własnym łonie!

Gareth pociągnął soku przez rurkę.

- Ma chorobę zawodową.

- Że co? - Załatwiaczka nigdy nie interesowała się specjalnie medycyną pracy, chyba że w grę wchodziło jej ubezpieczenie albo miała zlecenie z tego zakresu.

- Banshee czasem odbija - wytłumaczył śmierciak, całym sobą dając do zrozumienia, że właśnie przystosowuje swoje ogromne obszary wiedzy do jej nędznego poziomu. Małgorzacie jego nastawienie wisiało, chciała tylko wyciągnąć z Garetha, dlaczego wszyscy chcą zabić jej zleceniodawcę. A właściwie wystarczyłoby jej, gdyby wiedziała, jak ma ich powstrzymać.

- Tak to już jest - ciągnął - jak się co chwila wieszczy komuś śmierć. To dość aspołeczne, rozumiesz. Prościej mówiąc, banshee lubią, żeby ich prorocтва się spełniały. Niektóre bardziej niż inne. Jak zawieszczą komuś śmierć, a ten ktoś jakimś cudem nie umrze, robią się strasznie chore. Więc starają się jak mogą, żeby do takiego cudownego ocalenia nie doszło...

- Chwileczkę - przerwała mu Małgorzata. Próbowwała ułożyć sobie słowa śmierciaka w jakąś logiczną całość, w coś, co pozwoliłoby jej się skupić na sposobach zapobieżenia nieszczęściu. - Wróż zobaczył siebie zabijającego z zemsty mojego zleceniodawcę, więc nic mi o tym nie powiedział, za to jutro pojawi się na Oxford Road i spróbuje go zabić?

Gareth pokiwał głową.

- A ta przyjezdna banshee chce, żeby zleceniodawca umarł zgodnie z przepowiednią, więc ukryła to przede mną, żebym nie mogła zatrzymać wróża?

- Może do tego podejść trochę bardziej dosadnie - skorygował z filozoficznym uśmiechem śmierciak. - Jeśli nawet uda ci się zatrzymać wróża, to banshee i tak zrobi wszystko, żeby ofiara zginęła.

- Sama go zabije?

- Możliwe, możliwe. Już tak bywało. Do zobaczenia jutro na Oxford Road - rzucił jej na pożegnanie. Odszedł, sącząc sok marchewkowy. Załatwiaczka została sama ze swoim rozrastającym się zleceniem, ale też z nadzieją, że w końcu uda jej się problem rozwiązać. Przynajmniej wiedziała, kto stanowi zagrożenie. Teraz należało to zagrożenie po prostu zneutralizować. I to w ciągu najbliższych dwudziestu godzin.

Po powrocie do akademika weszła do Sieci i połączyła się z bazą danych stowarzyszenia wróżów. Kontrwóżów było w niej tylko kilku, w końcu to męcząca dziedzina, dostępna tylko najbardziej utalentowanym. Czytanie przyszłości to właściwie całkiem prosta sprawa. Ale ukrywanie jej przed oczami kolegów po fachu albo podsuwanie im fałszywych obrazów już wymagało mistrzostwa.

Małgosia nie była specjalnie wybredna. Zadzwoiła do pierwszego z listy i wynajęła go od zaraz, płacąc podwójną stawkę. Kiedy już była pewna, że wróż z Dawlish nie będzie w stanie przewidzieć jej kolejnych poczynań, mogła zastanowić się, jak uratować zleceniodawcę. A w jej zawodzie człowiek uczył się myśleć szybko.

Spojrzała na trzymany w dłoni telefon. Na wyświetlaczu migał numer, który prawie bezwiednie przed chwilą wybrała. Przez moment wpatrywała się w ekranik, jakby nie do końca rozumiejąc, co się dzieje, ale nagle ją olśniło. Uśmiechnęła się. Plan był gotów, zleceniodawca zostanie uratowany. Wybrała polecenie „zadzwoń”. W słuchawce usłyszała znajomy głos. - To ja - powiedziała. - Przepraszam za tamtą sobotę, wiesz, jaką mam pracę. Teraz właściwie dzwonię służbowo...

Wróż szedł chodnikiem tuż przy ścianie pubu, jakby chciał w nią wsiąknąć. Był blady, ale to w jego przypadku nie było niczym niecodziennym. Podobnie jak lunatyczny wyraz twarzy. Od codzienności odrobinę odstawał tylko pistolet, który ścisnął w dłoni. Oczywiście jasnowidz nie był na tyle głupi, żeby paradować z bronią na wierzchu. Schował ją do kieszeni kurtki. Ze spuszczoną głową szedł w stronę Oxford Road.

Nie musiał patrzeć przed siebie. W swojej wizji widział siebie idącego tą ulicą i zabijającego człowieka, który był sprawcą jego upokorzeń. Tak musiało być. Wiedział, że postępuje słusznie, że nie zawaha się i strzeli. Nie wiedział tylko, co będzie potem, tego wizja nie precyzowała. Ale czy to ważne? Ważne, że potem będzie lepiej. Wszystko się jakoś ułoży.

Był już bardzo blisko. Ale kiedy skręcił we właściwą ulicę, prawie się z kimś zderzył. Wymamrotał jakieś przeprosiny i chciał minąć przechodnia, ale nie pozwolono mu na to. Ktoś złapał go za jedno ramię, ktoś za drugie. Wróż podniósł głowę i zobaczył dwóch ogromnych mężczyzn z gatunku tych, co to spędzają bardzo dużo czasu na siłowni, a w przerwach wychodzą sobie na dwór pobić kogoś na śmierć.

Ci dwaj, którzy trzymali go jak w imadle, na szczęście nie wyglądali, jakby mieli zabierać się do bicia. Nie uśmiechali się złośliwie, nie krzywili, po prostu patrzyli na niego, chyba sprawdzając, czy nie spróbuje jakichś sztuczek. Na to nie mieli co liczyć, wróż był wróżem, nie Jackie Chanem.

Trzeci mięśniak stanął tuż przed nim. Jasnowidz poczuł się, jakby go otoczyły góry i zasłoniły mu na zawsze słońce. Wszyscy trzej napastnicy byli wysocy, mieli włosy ostrzyżone prawie do skóry i nieruchome, niemal kamienne twarze. Ten, który stał na wprost wróża, sięgnął w jego stronę, ale nie po to, żeby go uderzyć, ale żeby wyciągnąć mu z kieszeni broń. Uniósł pistolet na wysokość oczu niedoszłego mordercy.

nie musiał nawet go unosić, żeby zrobić na kimś wrażenie. - Zrozumiano?

Jasnowidz wlepił w niego przerażone spojrzenie, potem zerknął na dwóch mężczyzn, którzy trzymali go za ramiona. Wszyscy byli, co tu dużo mówić, straszni. Nie dość, że wielcy i umięśnieni, ogoleni prawie na łyso, to jeszcze czuł w nich jakiś kamienny chłód. Jakby nie byli ludźmi.

Nagle do niego dotarło. Oni byli z branży. Teraz dostrzegał drobne wskazówki nierozpoznawalne dla kogoś, kto nie wiedział, w czym rzecz.

Gorączkowo przeszukiwał własną pamięć. Niespecjalnie słuchał na obowiązkowym szkoleniu z zasad współżycia społecznego. Zresztą wróże najczęściej mieli do czynienia ze zwykłymi ludźmi. A zwykli ludzie zwykle im nie grozili. Ci właściwie też nie wygłaszali żadnych konkretnych gróźb. Nie musieli. Sami w sobie już byli wystarczającym ostrzeżeniem. Dlatego jasnowidz grzecznie wysłuchał krótkiego pouczenia o tym, dlaczego ma nigdy, ale to nigdy nikogo nie mordować. Za pouczeniem nie nastąpiła wprawdzie seria uwag na temat „co ci zrobimy, jak nie posłuchasz”, ale wróż był inteligentnym człowiekiem i sam sobie tę część dopowiedział.

Najbardziej się zdziwił, kiedy napastnicy po prostu go wypuścili. To znaczy niezupełnie wypuścili, ale nie pobili go i pozwolili mu odejść, chociaż jeden z nich wciąż trzymał jego ramię w żelaznym uścisku. Nalegał, że odprowadzi wróża do stacji kolejowej.

Dwaj pozostali mężczyźni gdzieś znikli. Ulica była prawie pusta, jeśli nie liczyć zwyczajnych, nieszkodliwych przechodniów. I banshee.

Obserwowała całe zajście z bezpiecznego schronienia w czyimś ogródku. Elegancka czterdziestolatka kucająca za cudzym żywopłotem raczej nie należy do codziennych widoków, ale na szczęście nikt jej nie zauważył. Kiedy mięśniacy zniknęli jej z oczu, wyszła na chodnik i otrzepała kostium. Cóż, wyglądało na to, że będzie musiała zająć się pewnymi sprawami osobiście.

Z kieszeni zakietu wyciągnęła rękawiczki. Wkładając je, myślała o tym, że życie byłoby o wiele prostsze, gdyby ludzie umierali wtedy, kiedy powinni. Ale nie, oni byli głupi i uparci. Przyprawiali ją o ból głowy. Właściwie to już czuła, że nadchodzi koszmarna migrena. Musiała się pośpieszyć, usunąć problem, zanim ból będzie nie do zniesienia.

Wyglądziła zmarszczki na rękawiczkach. Na filmach mordercy z reguły mieli czarne, skórzane, ale ona wolała lateksowe. I te, i te zostawiały ślady, które dobry ekspert kryminalistyczny mógł zauważyć, tym jednak banshee się nie martwiła. Miała znajomości w branży, ludzi, którzy mogli dopilnować, żeby pewne zagadki pozostały nierozwiązane.

W torebce czekała już przygotowana strzykawka. Nóż czy pistolet nadawały się dla morderców, a ona była po prostu narzędziem przeznaczenia. Zabijanie nie sprawiało jej przyjemności, raczej ją irytowało. W końcu musiała naprawiać cudze niedociągnięcia, każdego by to wkurzyło.

Ofiara... nie, nie „jej” ofiara, tylko ofiara tego głupca, który dał się złapać... Ofiara miała lada chwila dojść na miejsce swojej śmierci. Banshee wsunęła dłoń do torebki i wymacała futerał, w którym trzymała strzykawkę. Nie chciała się przecież przypadkiem ukłuć.

Była tak skoncentrowana na wypatrywaniu nadchodzącego mężczyzny, że nagle, delikatne klepięcie w ramię zupełnie ją zaskoczyło. Banshee odwróciła się, otwierając usta, aby zapytać, o co, do diabła, chodzi, kiedy poczuła znajomy zapach sprayu odbierającego głos. Zacisnęła wargi, ale było już za późno.

Podniosła głowę, żeby spojrzeć na napastników, którzy dopuścili się tej podłości. Było ich dwóch, to oni wcześniej zatrzymali niedoszłego mordercę. Jeden stał przed nią, drugi zaszedł ją od tyłu. Banshee sięgnęła po strzykawkę... Wiedziała, że jej się nie uda - gdyby którykolwiek z nich miał zginąć, zawieszczylaby to - ale mimo wszystko spróbowała. Taki zwykły ludzki odruch, chęć obrony. Ten, który stał przed nią, wyrwał jej torebkę, zanim zdążyła wyciągnąć strzykawkę z futerału. Ten z tyłu chwycił ją za ramiona. Jego uścisk był jak imadło, kobieta nie mogła nawet się ruszyć, podczas gdy pierwszy półtroll zaklejał jej usta taśmą, tak dla pewności.

W zasadzie banshee widziały tylko nadchodzącą pewną śmierć i wtedy zaczynały ją wieszczyć, ale zdarzały się wypadki, że to ich uparte, złośliwe wieszczenie przyciągało zagładę. Małgosia bardzo wyraźnie powiedziała, że nie życzy sobie żadnego nadprogramowego ryzyka ani dodatkowych komplikacji. Patrzyła przy tym Dominikowi prosto w oczy, a on jej tylko przytakiwał. Też był zdania, że należy unikać komplikacji. Komplikacje były czasochłonne, a on miał nadzieję, że jak już załatwiaczka upora się ze zleceniem, to uda im się wyskoczyć chociaż na godzinę na wczesny lunch.

Małgosia stała po drugiej stronie ulicy, oparta o płot otaczający parking. Na ogrodniczki naciągnęła bluzę, a na twarz kaptur. Mimo to śmierciak nie miał kłopotów z identyfikacją. Poznał ją po trampkach.

- Nieźle - ocenił, spoglądając na dwa półtrolle odholowujące zszokowaną banshee do stojącej nieopodal karetki. - Dokąd ją zabierają?

- Na leczenie. Sam mówiłeś, ma chorobę zawodową.

Pokiwał głową z uznaniem. Trzeba było załatwiaczkę przyznać, że naprawdę znała się na planowaniu.

- Skąd wzięłaś taką brygadę? - zapytał. - To półtrolle z ubezpieczalni. Nie wiedziałem, że robią prywatne zlecenia.

- Mam dojścia - wyjaśniła Małgorzata. - Prywatne. Jeden z półtrolli wsiadł z banshee do karetki. Kiedy samochód odjechał, drugi ruszył w stronę załatwiaczki, patrząc przy tym podejrzliwie na jej rozmówcę. Śmierciak był trochę niezyciowy, ale nie głupi.

- Spotykacie się? - zapytał.

- Tak... Nie... Niezupełnie - zdecydowała się wreszcie Małgosia. - Sam wiesz, jakie jest życie.

- Nie wiem - stwierdził Gareth.

Załatwiaczka spojrzała na niego z ukosa, ale nic nie powiedziała, bo Dominik był już przy nich.

- Fajnie z tobą pracować. - Uśmiechnął się.

Odpowiedziała mu uśmiechem, przeprowadzając jednocześnie w myślach pośpieszne kalkulacje. Miała w tej chwili jeszcze trzy zlecenia, ale mogły poczekać z godzinę... albo dwie. I tak zarywała każdą noc z powodu pracy, więc właściwie nic nie stało na przeszkodzie, żeby zrobić sobie teraz małą przerwę... Taki przedsmak wolności, która ją czeka, jak już znajdzie sposób na rozwiązanie kontraktu.

Stojący obok śmierciak chrząknął znacząco. Małgosia przypomniała sobie o dobrych manierach.

- To jest Dominik - przedstawiła półtrolla. - A to Gareth, miejscowy... Chwileczkę! - urwała nagle. Zmarszczyła brwi i ze świeżo rozkwitłymi podejrzeniami spojrzała na Pana Śmierć. - Co ty tu jeszcze robisz?

Odpowiedź uświadomiła sobie dokładnie w chwili, gdy skończyła mówić. Odwróciła się gwałtownie w stronę Oxford Road. Jej zleceniodawca przechodził właśnie przez ulicę. Na skraju chodnika siedziała Bansh i miauczała przeraźliwie, choć można się było tego domyślać tylko po ruchach jej pyszczka. Dźwięki zagłuszał klakson ciężarówki, która właśnie z pełną prędkością nadjeżdżała ulicą. Zleceniodawca nie miał szans.

- Cholera jasna! - wyrwało się Małgosi, gdy spojrzała na to, co zostało z przystojnego mężczyzny o arystokratycznych manierach. - Będę miała kontrolę. Jak nic audyt mi zrobią! A ty? - Odwróciła się gwałtownie w stronę śmierci. - Przecież ty, do diabła, musiałeś wiedzieć!

Gareth przezornie odsunął się o krok, ale nie wyglądało na to, żeby załatwiaczka planowała użyć przeciw niemu przemocy.

- Wiedziałem - przyznał.

- Nie powiedziałaś mi!

- Bansh zależało, żeby faceta szlag trafił. - Śmierciak uśmiechnął się i błysnął zza okularków błękitnymi oczami. A potem odszedł, jasnowłosy chudzielec w czarnym płaszczu, ciemna plamka na tle społeczeństwa.

- Cholera. Mówiłam, że on mnie nie lubi - warknęła Małgosia. - A ty? Co ty do niego miałaś? - zapytała kotkę, która podeszła bliżej i przysiadła przy płocie, obserwując z niejaką satysfakcją tłumek zbierający się wokół miejsca wypadku. - Masz chorobę zawodową. Musisz iść do weterynarza.

- Nie uda nam się wyskoczyć na ten lunch - stwierdził rozczarowany Dominik. Niestety, załatwiaczka nie miała teraz głowy, aby się ucieszyć, że jemu w zasadzie też trochę zależy.

- Będę miała kontrolę - powiedziała. - Lada chwila zwali mi się na głowę audyt. Czego, do jasnej cholery, tak ci zależało? - spytała ponownie Bansh, która nawet nie raczyła odwrócić w jej stronę głowy. Głupia kocica właśnie utrudniła Małgorzacie życie, jakby nie dość było w nim już komplikacji. Z kontrolą na głowie załatwiaczka miała szansę stracić resztki prywatności. A próba wyplątania się z kontraktu... O tym mogła na razie zapomnieć, może nawet na długie „na razie”.

Do ciała przez tłumek gapiów przecisnął się policjant. Ktoś musiał sprawdzić dokumenty ofiary, bo ludzie zaczęli sobie podawać nazwisko. Do Małgosi nagle dotarło, gdzie je wcześniej słyszała. Zanim zdążyła ubrać swoją myśl w słowa, odezwał się Dominik:

- Czy to nie był ten facet od laboratoriów i eksperymentów na zwierzętach?

Załatwiaczka pokiwała głową. Nawet jej się coś na ten temat obiło o uszy, chociaż w zasadzie z braku czasu nie oglądała telewizji ani nie czytała gazet. Eksperymenty na zwierzętach... Znowu spojrzała na Bansh. Z naganą.

- Następnym razem - wycodziła - po prostu złóż zlecenie!!!

Kotka tylko przeciągnęła się i odeszła, lekko machając wyprostowanym ogonem. Małgosia i Dominik zostali sami, jeśli nie liczyć trupa, tłumu ludzi, nadjeżdżającej karetki, radiowozu i jakby mało było tego wszystkiego, dzwoniącej komórki załatwiaczki.

Małgorzata wyciągnęła telefon z kieszeni i spojrzała na wyświetlacz. Korporacja.

- No i mam kontrolę - stwierdziła ponuro i z rezygnacją. - Zadzwoń. Kiedyś - rzuciła półtrollowi na pożegnanie.

Odeszła pośpiesznie, jak zwykle ze słuchawką przy uchu.

SERCE

Krawędzie biurka zaczynały się powoli rozmywać, jakby były świeżo namalowane farbami, na które właśnie ktoś wylał wodę. Małgorzata podniosła dłoń na wysokość twarzy. Jej palce były przezroczyste i traciły kształt. To coś oznaczało, ale nie mogła sobie przypomnieć co. Miała wrażenie, że jej mózg przestaje pracować, zupełnie jakby też się rozmywał.

Do tego zaczęła mieć halucynacje. Wydawało jej się, że brązowa plama, która prawdopodobnie kiedyś była drzwiami, otwiera się. Za nią powinna być jasnoszara plama - ściana korytarza, ale zamiast niej pojawił się czarny kształt. Nie tylko się pojawił, ale jeszcze posuwistym ruchem wpłynął do pokoju.

I coś mówił. Małgosia nie była w stanie rozróżnić słów, ale docierały do niej dźwięki. Bardziej przypominały echo niż słowa.

Dlaczego wszystko było takie rozmazane?

Czarny kształt zbliżył się do siedzącej na łóżku dziewczyny. Dalej coś mówił, chyba. Do Małgorzaty nic nie docierało. Dlaczego? Przecież jeszcze kilka minut wcześniej wszystko było w porządku, siedziała nad kolejnym zleceniem, strasznie absorbującym... Zapomniała.

- Fioletowa fiolka z tabletkami - wyrzuciła z siebie, licząc na to, że jest jeszcze w stanie mówić wyraźnie.

Swoje słowa też słyszała jak przez kłęby waty, ale miała nadzieję, że jej gość, kimkolwiek by był, zrozumiał. Na szczęście się nie myliła. Czarny kształt zmienił położenie, a po chwili poczuła, że kładzie jej coś na dłoni. Natychmiast odkręciła zatyczkę i wyciągnęła z fiolki trzy tabletki. Połknęła jedną po drugiej. Załatwiaczkę nęciło jeszcze, żeby wziąć czwartą, ale to mogłoby być za dużo. Małgosia nie wiedziała, jak długo jeszcze przyjdzie jej żyć na lekarstwach antysennyh. Lepiej było nie zwiększać dawki.

Kilka minut potrwało, zanim w uszach przestała czuć watę, a sprzęty, na które patrzyła, przestały się rozmywać. Małgorzata wciąż nie mogła uwierzyć, że zapomniała wziąć leków.

Bez nich jak nic spędziłaby co najmniej tydzień, śpiąc non stop. Kiedyś planowała je wreszcie odstawić, ale jeszcze nie teraz. Teraz nie miała na to czasu, zwłaszcza że dopiero poprzedniego dnia pozbyła się wreszcie kontroli.

- Dziękuję - powiedziała.

Rozmazane krawędzie powoli zaczęły się wyostrzać, kolorowa mgła rzedła i kształty sprzętów stojących w pokoju nabierały konturów. Biurko, krzesło, łóżko, szafa, półki... a, i niespodziewany gość.

Żeby mu się przyjrzeć, załatwiaczka musiałaby wstać z łóżka albo tylko zadrzeć głowę, ale za to porządnie. Zrobiła to drugie, jej organizm wciąż jeszcze był spragniony snu, lepiej było go teraz nie nadwerężyć bez potrzeby.

Facet miał prawie dwa metry wzrostu i konsekwentnie preferował czerń, zaczynając od butów, przez spodnie, sweter, aż po czarne oczy. Włosy miał ciemnobrązowe, za to twarz i dłonie, jakby dla urozmaicenia, strasznie blade. Małgorzata przez chwilę nawet rozważała możliwość, że ma przed sobą wampira, ale wampiry były zdecydowanie bardziej stylowe. Mężczyzna stojący przy jej łóżku nie miał stylu, miał tylko czerń, zapadnięte policzki i zmarszczki wokół ust, jakby przez całe życie ciągle krzywił się z niezadowoleniem.

- Te leki zniszczą ci organizm - stwierdził obojętnie, biorąc z rąk dziewczyny fiolkę i czytając drobne znaczki na etykiecie. Małgosia nigdy nie patrzyła na napisy na opakowaniach. Na ulotki z zaleceniami, ostrzeżeniami i skutkami ubocznymi też nie. Po co miała się niepotrzebnie denerwować?

- Za parę lat załatwię sobie przeszczep ważniejszych organów - wzruszyła ramionami.

Po wyrazie twarzy mężczyzny nie sposób było stwierdzić, czy potraktował jej słowa poważnie, czy jako żart.

- Małgorzata Brzeska, załatwiaczka? - upewnił się. Nawet nieźle sobie poradził z wymową jej imienia i nazwiska, tutejsi mieli z tym z reguły problem. Małgosia już się przyzwyczała, że przy załatwianiu jakichkolwiek formalności lepiej od razu samej przeliterować: „Bi-er-zet-i-es-key-ej”.

- Aha - pokiwała głową. - A za to, że byłeś tak miły, żeby podać mi leki, i jeszcze zatroszczyłeś się o mój organizm, dam ci dobrą radę: nie składaj zlecenia. Znajdź inny sposób, który nie ma ukrytych opłat.

Nie powinna tego mówić. W zasadzie regulamin tego nie zabraniał, ale gdyby ta przeklęta kontrola wróciła i na przykład podsłuchiwała pod drzwiami, Małgorzata miałaby przewalone na resztę kontraktu. Nie spuściliby z niej oka - koniec z marzeniami o znalezieniu sposobu na wcześniejsze zakończenie umowy.

Na twarzy mężczyzny pojawił się lekki sarkastyczny uśmiezek.

- Doceniam to ostrzeżenie, ale nie ma innego sposobu. Szczerze mówiąc, wątpię, czy nawet ty będziesz w stanie mi to załatwić.

Małgosia pozwoliła sobie na wytrzeszczenie na niego oczu. Załatwiacze mogli załatwić wszystko. Naprawdę WSZYSTKO. To było pierwsze, co przyszło jej do głowy. A po drugie, jeśli będzie pierwszą załatwiaczką w historii Korporacji, która w ciągu trzech tygodni nie zrealizowała dwóch zleceń, to jak nic przyślą jej drugą kontrolę. A może nawet trzecią.

- W takim razie słucham.

Punkt pierwszy regulaminu brzmiał: „Załatwiaczka nie może odmówić przyjęcia zlecenia”. A żaden z nielicznych paragrafów nie wspominał o zleceniach niemożliwych do wykonania. Niektóre mogły być co najwyżej... problematyczne.

- Załatw mi moje serce. Z powrotem - wyrzucił z siebie mężczyzna. Sprawiał wrażenie człowieka wyjątkowo oschłego, dla którego mówienie o własnych, prywatnych sprawach jest męką. A to zlecenie najwyraźniej dotyczyło spraw osobistych. Małgorzata zadarła mocniej głowę, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Można jaśniej?

„Załatw mi moje serce. Z powrotem”. To mogło znaczyć wszystko: kobieta mu je zabrała, komuś je przeszczepili albo może przegrał je w karty. Małgosia już dawno nauczyła się, że niemożliwe nie istnieje, a żyć można nie tylko bez serca, ale i bez innych istotnych, wydawałoby się, organów.

Jej zleceniodawca spojrzał na nią chłodno.

- Nie obowiązuje cię dyskrecja, prawda?

Załatwiaczka była pod wrażeniem. Mało kto znał regulamin. Większość potrafiła tylko wypowiedzieć formułkę, co, niestety, wystarczało do złożenia zlecenia.

- Nie. Ale przecież i tak będę musiała się dowiedzieć - wytknęła. - I dowiem się, bo nie ma informacji, której nie byłabym w stanie zdobyć. A będę o wiele pozytywniej nastawiona do kogoś, kto zamiast dokładać mi dodatkowych trudności do mojej już i tak parszywej pracy, powie zwyczajnie, o co chodzi. Może nawet będę dyskretna. Jak ci się to nie podoba, napisz skargę do Korporacji. Najwyżej mi przyślą następną kontrolę.

Na twarzy mężczyzny znów pojawił się ten sam sarkastyczny, absolutnie pozbawiony radości uśmiezek.

- Długo jesteś w branży?

- Dziesięć miesięcy.

Nie miała pojęcia, co go to obchodziło. W przypadku załatwiaczy doświadczenie właściwie nie miało znaczenia: w ciągu pierwszych kilku tygodni albo człowiek łapał, o co chodzi, albo błyskawicznie kończył jako wrak. Małgosia, mimo że zaniedbana, zmęczona i pochłaniająca końskie dawki różnych nielegalnych farmaceutyków, wrakiem nie była.

„Jeszcze” - dodała wsielczo w myślach. Jeszcze nie. A zostało grubo ponad dziewięć lat kontraktu...

- Jakiś problem? - zapytała, bo jej zleceniodawca milczał. Istnieli ludzie, którzy potrafili samym milczeniem sprawić, że inni czuli się z nimi źle, i on, niestety, był jednym z nich. Cisza coraz bardziej Małgorzacie przeszkadzała.

- Zastanawiam się, czy jesteś odpowiednią osobą - powiedział wreszcie.

- Na to już trochę za późno - zauważyła trzeźwo załatwiaczka. - Szczerze żałuję, że nie zadałam sobie tego pytania przed moimi drzwiami, ale teraz zlecenie zostało już złożone. Niezależnie od tego, co mówiłam, wołałabym jednak nie mieć drugiej kontroli. Jeszcze smród się ciągnie po tej pierwszej.

Znowu skrzywił usta w pseudouśmiechu. Zaczynał Małgosię lekko irytować. Co prawda teraz irytowało ją wszystko. A najbardziej, że gdy pierwszy raz trafił jej się zleceniodawca, który najwyraźniej znał reguły gry i któremu nic nie musiała wyjaśniać, to on miał jakieś wątpliwości. Kretyn! A jakby tego było mało, za każdym razem, kiedy wykrzywił usta, załatwiaczka miała wrażenie, że połowa konwersacji rozgrywa się bez jej udziału.

Jakby mało było tej irytacji, Małgorzatę zabolęła duma. Nie przypuszczała, że coś takiego ma. Wydawała się sobie zawsze zbyt zmęczona na to, by jeszcze pielęgnować miłość własną.

- Dlaczego mam być nieodpowiednia? - zapytała może odrobinę zbyt zaczepnie. Wśród załatwiaczy nie było lepszych i gorszych, nikt nie przyznawał tytułu „Załatwiacza Roku”, być może dlatego, że nikt z Korporacji nie miał czasu na bankiety. Liczyła się tylko skuteczność. Małgorzata nie była do końca pewna, co działo się z tymi, którzy sobie nie radzili. Nie słyszała o nikim, kto zawaliłby dwa zlecenia pod rząd. A przecież załatwiacze byli tylko ludźmi. Musieli zdarzać się wśród nich i tacy, którzy popełniali za dużo błędów. Tymczasem na temat tych nieudaczników branżowa opinia publiczna milczała. Ktoś mniej doświadczony mógłby dojść do wniosku, że właśnie w tym tkwił haczyk: raczej trudno usłyszeć o kimś, kto znika bez wieści, więc ci, którzy zawiedli... Ale nie, Małgosia za dobrze znała Korporację, by uwierzyć takim plotkom. Nikt nie pozbywał się załatwiaczy przed upływem kontraktu. Chociaż naprawdę chciała się dowiedzieć, jaka była oficjalna polityka firmy w takich przypadkach. - Dlaczego mam być nieodpowiednia? - powtórzyła, bo zleceniodawca nie

raczył odpowiedzieć. Za to przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw niej, więc chyba się tych swoich wątpliwości pozbył.

Małgorzata miała teraz okazję lepiej mu się przyjrzeć bez zadzierania głowy. Uderzyło ją, jak bardzo jest blady... chyba nawet bardziej niż ona i jej znajomy wampir Phillip. Facet wyglądał, jakby nie spał co najmniej tak długo jak załatwiaczka, ale nie miał tabletek antysennyh. Po obu stronach dużego, prostego nosa widać było ogromne cienie pod oczami. A same oczy...

Małgosia nie cofnęła się tylko dlatego, że jej już nic nie dziwiło. Sama siebie zaczęła podejrzewać o znieczulicę - Phillip ją ostrzegał: tak to się skończy. I chyba właśnie doszła do tego punktu. Oczy nieznanego nie były ciemne, jak początkowo zdawało się załatwiaczce. Ich nie było, choć nie do końca. Tam, gdzie powinny być tęczówki i źrenice, zdawały się rozpoczynać tunele prowadzące w pustkę. Chociaż gdyby Małgorzata miała zgadywać, obstawiałaby, że na ich końcu znajduje się piekło. Może niejedno.

Jej zleceniodawca musiał być przyzwyczajony do dziwnych reakcji na swój wygląd, bo obserwował dziewczynę, jakby czekając, co powie. Małgosia nie powiedziała nic, tylko spojrzała mu prosto w te straszne oczy. Pytająco.

Piekła piekłami, ale tu i teraz działo się jej zwyczajne, wypełnione pracą życie.

- Nie wiesz, co to oznacza, prawda? - zapytał prawie łagodnie.

Załatwiaczka uniosła brwi. Nie wiedziała, o jakie „to” chodzi.

- Moje oczy to skutek uboczny - wyjaśnił z westchnieniem.

- Czego?

- Utraty serca.

Małgorzata sięgnęła po pękaty notes spięty dwiema gumkami recepturkami i długopis. Spomiędzy sfatygowanych okładek wydobyła czystą, choć lekko pomiętą kartkę z nierówno oddartym brzegiem. Coś jej mówiło, że zapowiada się na długą rozmowę. Jej zleceniodawca nie wyglądał na takiego, co chętnie mówi o sobie, więc mogła śmiało założyć, że wydobywanie z siebie tej całej, może nawet krótkiej historii zajmie mu trochę czasu. Poza tym wołała zrobić notatki, tabletki antysenne mogły jeszcze nie w pełni zacząć działać. Wołała się zabezpieczyć. Podłożyła sobie pod kartkę swój notes, żeby mieć twardą podkładkę, i spojrzała wyczekująco na tajemniczego mężczyznę. Tak jak przewidywała, nie było mu łatwo zmusić się do mówienia. Minęło kilka minut, zanim wreszcie otworzył usta. Małgosia czekała cierpliwie, powtarzając sobie w duchu, że ma być dla niego miła... a przynajmniej ma nie być niemiła.

Mężczyzna wreszcie się przełamał.

- Byłem czarodziejem - zaczął.

- Gratulacje - mruknęła załatwiaczka. Nie mogła się powstrzymać. - Przynajmniej z jednego bagna wyszedłeś.

Rzucił jej ostre, karcące spojrzenie, więc się zamknęła. Była rozżalona na świat, ale wyładowywać złość na zleceniodawcy, zwłaszcza takim, który znał regulamin, nie należało do dobrych pomysłów.

- Właśnie z powodu takich... powszechnie panujących przesądów... postanowiłem stać się kimś więcej.

- Pozbyłeś się serca, żeby cię już dowcipy o czarodziejach nie bolały? - spytała uprzejmie Małgosia. Zarobiła przez to kolejne kose spojrzenie, tym razem niezasłużone. Nie miała zamiaru się z niego nabijać, chciała tylko nieco przyspieszyć rozmowę.

- Postanowiłem sięgnąć po wielką moc - skorygował, nie spuszczać z niej swoich strasznych, pustych oczu. - Ale potęga nie przychodzi łatwo i nie bez pewnych kosztów. Ten, kto chce się stać wszechpotężny, musi być gotów wyrzec się kilku rzeczy, choćby człowieczeństwa.

- Zaczyna się od serca - odpowiedziała Małgorzata. Coś takiego kiedyś obilo jej się o uszy. Najpierw serce, bo w nim zawierały się uczucia. Potem sumienie... Nie pamiętała, co trzeba było później wycinać, ale potęga, prawdziwa potęga, naprawdę wiele kosztowała.

- W moim przypadku skończyło się na sercu. - Zleceniodawca nie patrzył już na załatwiaczkę, tylko na ścianę za jej plecami, jakby właśnie tam przewijały się teraz jego bolesne wspomnienia. - Nie posunąłem się dalej, bo... Nieważne dlaczego. - Otrząsnął się i znów spojrzał na Małgorzatę twardo i niemal nienawistnie, jakby ostrzegając, żeby nie ryzykowała zadawania pytań.

Załatwiaczka i tak nie zamierzała tego robić. Swoje własne uczucia upchnęła głęboko, obiecując sobie, że kiedyś do nich wróci. Na razie znów miała na głowie swoją pracę i tylko to się liczyło.

Jak zwykle.

- Czyli mam załatwić ci z powrotem serce - podsumowała urzędowym tonem. Jeśli chodziło o jej osobiste zdanie, to całą tę historię można było streścić w paru słowach, a te wszystkie nieżyczliwe spojrzenia, skrzywienia ust i zaciskanie długich, białych palców były absolutnie niepotrzebne. Ale cóż, widać nawet byli czarodzieje nie pozbywają się całkiem skłonności do bufonady i PR.

Jednak przez wytworzoną przez zleceniodawcę atmosferę i koszmar kilku ostatnich dni Małgosia poczuła, że bez tabletek uspokajających się nie obejdzie. Miała je, rzecz jasna, na

podorędziu, a konkretniej, na półce nad biurkiem, tam gdzie stały jej zapasy superskutecznych, choć niedopuszczonych do produkcji i dystrybucji leków.

Wystarczyło tylko sięgnąć na półkę albo nawet poprosić tego niedoszłego pana świata, żeby je podał. Ale jakoś nie mogła się przemóc, żeby zażyć leków przy nim.

- Realizacja zlecenia może trochę potrwać - oznajmiła, starając się przybrać swój najbardziej profesjonalny ton. - Zadzwoń, jak wszystko zostanie załatwione.

Nie był to zbyt uprzejmy sposób na zakończenie rozmowy, ale też jej słowa nie zabrzmiały zbyt chamsko. I la szczęście podziałały.

Człowiek bez serca podniósł się z krzesła i wyszedł bez żadnego pożegnalnego gestu czy słowa. Załatwiaczka odczekała, póki jego kroki nie umilkły w korytarzu. Ale nawet wtedy jeszcze się nie ruszyła. Dopiero kiedy przez uchylone okno usłyszała, że ktoś idzie chodnikiem wzdłuż akademika, odetchnęła z ulgą. Sama nie wiedziała do końca, co było takiego w zleceniodawcy, że czuła się w jego obecności tak niepewnie. Uznała, że to musiało mieć coś wspólnego z jego brakującym sercem.

Wstała z łóżka. Odłożyła notes i niezapisaną kartkę na biurko. Możliwość wypuszczenia ich wreszcie spomiędzy zaciśniętych palców była ulgą nieporównywalną z niczym. Niestety, niemal od razu dłonie Małgosi zaczęły się trząść. Nie było jej łatwo sięgnąć po stojące na półce tabletki. Tych uspokajających starała się nie używać zbyt często, trzymała je właśnie na takie okazje jak ta. Ciężko było wydobyć pastylki z fiołki, ale po kilku nerwowych minutach wreszcie się udało. Zażyła dwie, a po krótkiej chwili wahania jeszcze trzecią. Cóż, dopóki pracowała dla Korporacji, uzależnienie jej nie groziło. A że wypłatane się z kontraktu stało pod coraz większym znakiem zapytania, Małgorzacie już nawet nie zależało. Na niczym. Zaczęła rozpoznawać u siebie pierwsze objawy depresji i znieczulicy. Nie podniosło jej to na duchu, ale na razie nie sięgała po czwartą tabletkę. Postanowiła poczekać. Dzień się jeszcze nie skończył, a przed nią falował ocean niezłatwionych jeszcze spraw, z których każda mogła ją do reszty zdołować. Nie, czwartą tabletkę lepiej było zachować na popołudnie.

Może z powodu leków, a może dzięki temu, że jej wytwarzający atmosferę zleceniodawca wreszcie sobie poszedł, Małgosia już po kilkunastu minutach poczuła się lepiej. Przynajmniej na tyle lepiej, na ile to było w jej sytuacji możliwe.

Żałowała, że w mieście nie ma Phillipa. On by coś wymyślił, by ją rozbawić, rozpogodzić. Ale wampir był daleko, sama nie wiedziała gdzie. Nie widziała go od czasu historii z tą jego obsesją na punkcie Joanny, przyjaciółki Bena, jednego z najpotężniejszych czarodziejów... Joanna, załamana, rozżalona i już przemieniona przez wampira, wróciła do

Exeter po tygodniu tylko po to, żeby błagać maga o przebaczenie i przekonać się, co on myśli o wszystkich krwio pijcach bez żadnych wyjątków, nawet dla niej.

Wszystko, co się stało, nie było właściwie winą Małgorzaty. Regulamin zwalniał załatwiaczy z odpowiedzialności za konsekwencje wykonywanych zleceń. A mimo to...

Widziała się z Benem już kilka razy, wszystko było tak jak dawniej. Czarodziej musiał się domyślać, że Małgosia odegrała w wydarzeniach pewną rolę, ale nigdy o tym nie wspomniał. Cały Ben. Szanował zobowiązania zawodowe innych. Pewnie nawet nie miał do załatwiaczki żadnych pretensji, przynajmniej nigdy nie dał jej nic odczuć. A ona zwyczajnie bała się zapytać. Za każdym razem, kiedy się z nim widziała, czy to w celach służbowych, czy na jednym z tych niby-nie-służbowych-ale-z-pewnością-nie-przyjacielskich spotkań ludzi z branży, planowała, że w końcu może niby przypadkiem, niby mimochodem poruszy ten temat.

Zawsze tchórzyła, kiedy tylko Ben odwracał głowę w jej stronę i spoglądał na nią pytająco tymi swoimi spokojnymi błękitnymi oczami, czekając, co Małgosia powie.

Zawsze wtedy mówiła coś zupełnie innego, niż zamierzała, odgarniając przy tym za ucho włosy koloru oberżyny. Próbowwała nad tym panować, ale ten gest zdradzał, że jest zdenerwowana.

Teraz znowu to robiła. Jedną ręką przekręcała klucz w drzwiach swojego pokoju, a drugą odsuwała z twarzy te przekłete kosmyki. Czasami dochodziła do wniosku, że prościej byłoby po prostu się ostrzyć, na lyso najlepiej albo na zapałkę, jak Sharon. Ale obcięcie włosów oznaczałoby, że właśnie pozwoliła pracy wpłynąć na kolejny aspekt swojego życia i wyglądu.

I właśnie dlatego włosy Małgosi zawsze były długie i zawsze ufarbowane na ten sam kolor. Dla zasady.

Załatwiaczka spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. W zasadzie nie było jeszcze późno, z sąsiednich akademików wychodzili studenci, niektórzy dopiero teraz wyruszali na podbój okolicznych pubów. Małgorzata wyminęła wesołe grupki. Ona nie wybierała się ani do centrum miasta, ani na kampus. Kiedy tylko doszła do ulicy, skręciła w lewo, w stronę wzgórz obsadzonych domkami jednorodzinnymi. Przyszło jej do głowy, że może powinna uprzedzić czarodzieja o swojej wizycie. W końcu była już, teoretycznie, późna noc.

Nie zwalniając kroku, wygrzebała z kieszeni komórkę. Wybrała numer.

- To ja - powiedziała, gdy tylko po drugiej stronie słuchawki usłyszała głos Bena. Na szczęście nie był zaspany. - Mogę wpaść na pół godziny? Potrzebuję porady zawodowej.

- Czekam - stwierdził po prostu i zakończył połączenie.

Od swojego zleceniodawcy Małgosia dowiedziała się tylko, że usunął sobie serce. To za mało, potrzebowała więcej informacji. Ale wyciąganie ich od tego małomównego, ponurego mężczyzny, który na domiar złego wzbudzał w niej dziwny niepokój, byłoby koszmarem. Lepiej i łatwiej odwiedzić Bena. Czarodziej w przeciwieństwie do swoich kolegów po fachu miał głowę na karku, a jego wiedza wykraczała daleko poza poradnik „Jaki styl podkreśli twoje wspaniałe ego? Wskazówki dla początkujących adeptów”.

Jeśli ktokolwiek w okolicy wiedział, o co chodzi z tym usuwaniem istotnych organów, to właśnie on.

Było już wpół do dwunastej, kiedy załatwiaczka zatrzymała się przed dobrze jej znaną furtką. Domek Bena prawie nie odróżniał się od innych przy tej ulicy, może tylko ogródek miał bardziej zadbane, okna idealnie wyszorowane, a tabliczka z napisem „Three Trees” aż lśniła. Tylko w oknie czarodzieja paliło się światło. Ulica była kompletnie wyludniona, Małgosia nie słyszała nawet silników samochodów przejeżdżających w oddali. A mimo to nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ktoś ją obserwuje. To było denerwujące uczucie i w normalnych okolicznościach zapewne zaczęłaby się rozglądać wokoło, może trochę nerwowo. Ale tabletki uspokajające zrobiły swoje. Nie miała się czym przejmować. Tylko kompletny szaleniec zaatakowałby kogoś z Korporacji. A jeśli nawet, to tak jak wszyscy załatwiacze miała wykupione najlepsze ubezpieczenie. Komando półtrolli zawsze czekało gotowe pojawić się na miejscu i złoić każdemu potencjalnemu napastnikowi skórę.

Małgorzata nie zawracała sobie więcej głowy tym dziwnym uczuciem, pchnęła furtkę i weszła do przydomowego ogródka. Ben otworzył jej drzwi sekundę po tym, jak przycisnęła dzwonek. Kiedy wchodziła, wyjrzał ponad jej ramieniem na ulicę.

- Dalej ci ten gliniarz siedzi na karku? - zainteresowała się uprzejmie załatwiaczka.

- Co?... A, tak, czasami. Trochę jest namolny. - Czarodziej, wciąż ze wzrokiem utkwionym w ciemnej ulicy, powoli zamknął drzwi.

Małgosia zatrzymała się w holu. Dom Bena byłby idealną scenerią do kolejnego odcinka programu BBC o klasycznych angielskich wnętrzach. Panna Marple Agathy Christie czułaby się u niego jak u siebie. Oczywiście najpierw z wszelkich płaskich powierzchni musiałyby zniknąć ulotki, broszury, foldery i inne znaki tego, jak bardzo czarodziej kocha okolicę i w ile lokalnych inicjatyw jest zaangażowany. - Przepraszam, że zawracam ci głowę w środku nocy,

ale potrzebuję pilnie informacji - zaczęła załatwiaczka. - Mam przecucie, że to nie jest sprawa na telefon.

Ben spojrział na nią pytająco spod swoich jasnych, krzaczastych brwi.

- Chodzi o usuwanie serca dla potęgi - wyjaśniła.

Czarodziej odwrócił się i starannie przekręcił zamek w drzwiach. Potem wyminął Małgorzatę i wszedł do pokoju.

- Masz rację - powiedział. - To nie jest sprawa na telefon.

Nie czekając na zaproszenie, dziewczyna podążyła za nim. Pokój był jak zwykle wypełniony materiałami dotyczącymi jakiejś najnowszej akcji społecznej. Małgosia ostrożnie przecisnęła się między nimi, usiłując niczego nie zrzucić. „Bezpieczne Exeter” - przeczytała mimochodem hasło kampanii. Cóż, ona chętnie podarowałaby swoje bezpieczeństwo miastu, gdyby ono mogło dać jej w zamian wolność od Korporacji.

Ben, mający o wiele większą wprawę w poruszaniu się po swoim zagraconym domu, był już przy oknie i zdejmował stosy broszurek z dwóch foteli. Jeden z nich podsunął Małgorzacie.

- Masz zlecenie na załatwienie komuś wielkiej potęgi? - zapytał, siadając naprzeciw.

- Raczej na odwrót. Mój zleceniodawca usunął sobie serce i teraz chce je z powrotem.

Czarodziej wyraźnie się odprężył. Widać sięganie po wielką moc okupione taką ceną musiało być czymś strasznym i niepokojącym. A gdyby ktoś złożył Małgorzacie takie zlecenie, musiałyby je wykonać. Niezależnie od konsekwencji, których najwyraźniej Ben bardzo się obawiał.

- Chyba usuwanie sobie serca nie jest czymś, co robią porządni ludzie - westchnęła załatwiaczka.

- Po pierwsze, to jest nielegalne - wyjaśnił czarodziej. - Oficjalnie nikt nie chce mieć z takim procederem nic wspólnego, tym bardziej z tymi, którzy go choć częściowo przeszli. To już nie są ludzie, nie według naszych definicji. I na pewno nie czarodzieje, nie czarownice. Każdy trzyma się od nich z daleka.

- To wyjaśnia, czemu zależy mi na odzyskaniu serca - mruknęła Małgosia.

- Owszem - zgodził się Ben. - To jak odzyskanie życia.

- Ale chyba niewiele mi to daje, prawda? W końcu mam odzyskać jego serce, a nie wnikać, czemu to zrobił.

- To oznacza, że trudno ci będzie to serce odzyskać. Nikt się oficjalnie nie przyzna, że wie cokolwiek o tym procederze albo że zna ludzi, którzy się tym parają.

Małgorzata machnęła lekceważąco dłonią, prawie przy tym strącając stos ulotek, który leżał na stoliku obok jej fotela.

- To akurat najmniejszy problem - powiedziała. - Żebyś ty wiedział, ile ja rzeczy załatwiam nieoficjalnie i wręcz nielegalnie. Zdaje się, że mam smykałkę do kombinowania, zapewne odziedziczoną po babci, weterance socjalistycznego kolejkowania - dodała refleksyjnie. - Powiedz mi tylko tak w zarysie, kto usuwa serca. Jacyś czarodzieje degeneracji?

- Skąd! - obruszył się Ben. Wiedział, jakie opinie krążą o jego kolegach po fachu, ale absolutnie ich nie podzielał. Pod tym względem był chyba lekko ślepowy, tak przynajmniej zawsze uważali załatwiaczka i czytacz marzeń Rashid. - Do usunięcia serca trzeba specjalisty. Chirurga. Kogoś, kto zna się na anatomii i do tego ma odpowiednie przygotowanie magiczne. Nie jest łatwo usunąć serce, nie zabijając przy tym pacjenta.

- W takim razie muszę znaleźć tych chirurgów - stwierdziła Małgorzata. - I dowiedzieć się, co robią z wyciętymi organami. Mam nadzieję, że mają pojemną zamrażarkę. I że są w jakimś spisie branżowym. Chociaż skoro mówisz, że działają nielegalnie, to pewnie są niezłe zakamuflowani. Będę musiała wynająć detektywa, jak nic.

- To nie będzie potrzebne - uspokoił ją beznamiętnie Ben, tak jakby rozmawiali o fachowcach od ogrodnictwa czy innej spokojnej i legalnej pracy. - Mam ich adres.

Załatwiaczka, która właśnie wstawała z fotela, zatrzymała się w pół ruchu.

- To coś, co dają czarodziejom pierwszego dnia pracy? Taki zestaw na wszelki wypadek? Lusterko, książka „Jak kochać siebie i swoje ego”, oprawiona w ramki lista dziesięciu powodów, dla których czarodziej jest lepszy od reszty ludzkości, a na wypadek, gdyby to nie podziałało, numer telefonu do zakładu usuwającego serca? - zażartowała. Stary dowcip sam się pchał na usta, chociaż normalnie nie pozwoliłaby sobie na opowiadanie takich kawałów w obecności Bena. Głupie tabletki uspokajające. Trzeba było wziąć tylko dwie.

Czarodziej spojrzał na nią z niezmienionym wyrazem twarzy. Trudno było odgadnąć, o czym myśli, ale chyba zorientował się, że Małgosia nie jest do końca sobą. - Jakiś czas temu uznałem, że mogą mi się przydać namiary na kogoś o... określonych kwalifikacjach.

Chwilę potrwało, zanim do załatwiaczki dotarło, co znaczą te słowa. Różowa mgiełka, którą otoczyły ją tabletki uspokajające, zaczęła się gwałtownie rozwiewać, ustępując miejsca ciemności.

- Planowałeś to zrobić? - zapytała zszokowana Małgorzata. Usiadła z powrotem na fotelu. Nie byłaby w stanie stać, jej nogi zrobiły się miękkie jak z waty.

- Myślałem o tym - skorygował łagodnie Ben. - To nie to samo.

Małgosia nagle straszliwie pobladła. Zawsze była niezdrowo anemiczna, do tego miała cienie pod oczami, ale w tej chwili bardziej niż zwykle przypominała upiora z marnego horroru.

- To przeze mnie, prawda? - właściwie nawet nie pytała, stwierdzała tylko przerażający fakt. - Przez to cholerne zlecenie Phillipa? Przez Joannę? Przez to, że ci nie powiedziałam?

Zwłaszcza to ostatnie ciążyło jej niczym kamień młyński. Kiedy już naprawdę miała wszystkiego dość, kiedy była zmęczona i marzyła o tym, żeby wreszcie rzucić tę pracę w cholerę i odespać wszystkie zarwane noce, czasem przychodziły wyrzuty sumienia. Nie było ich wiele, załatwiaczka już dawno nauczyła się oddzielać pracę od sumienia, nawet jeśli kompletnie poległa na polu oddzielania pracy od życia prywatnego. W takich właśnie chwilach powracało pytanie, czy dobrze zrobiła, odcinając czarodzieja od dworca autobusowego w pewną poniedziałkową noc. - Nie. To nie przez ciebie. - Ben nie patrzył na nią, tylko wyglądał przez okno. Błyszczący w świetle latarni bluszcz oplatał kamienny murek.

- Pierwszego dnia twojego kontraktu zleciłem ci dbanie o utrzymanie spokoju w mieście.

Małgosia skinęła głową. Ze swojego miejsca nie widziała twarzy czarodzieja, tylko jego plecy, jak zawsze wyprostowane. Z wyglądu przypominał jej wikinga, dzielnego i niezłomnego.

- Pamiętam. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, jakie to paskudne zlecenie.

- Wiem - powiedział po prostu. I po chwili dodał: - Uznaję je za zrealizowane.

Ktoś normalny rzuciłby mu się pewnie na szyję, ale załatwiaczka zdenerwowała się jeszcze bardziej. I to czym? Zrealizowaniem kłopotliwego zlecenia, tym, że miała je z głowy?!

- Nie możesz - wyrzuciła z siebie.

Koniec każdego innego zadania przyjąłaby z ulgą, ale nie tego. Kiedy czarodziej pierwszego dnia jej kontraktu nakazał jej dbać o spokój w mieście, nie rozumiała jeszcze, co to oznacza. Przez pierwsze trzy tygodnie wydawało jej się, że ma zapobiegać wszystkim przestępstwom, pijackim wygłupom studentów, nawet zbyt gwałtownym burzom. Dopiero z czasem do niej dotarło, że z większością potencjalnych zagrożeń Ben doskonale radzi sobie sam, a pozostałe... cóż, pozostałe były po prostu elementami porządku naturalnego. Małgosia musiała czuwać tylko nad jedną sprawą, której czarodziej nie do końca kontrolował: jej zadaniem było pilnować, żeby on i Phillip nie za często wchodzili sobie w drogę. Wampir i Ben mogli się nie lubić, ale gdyby dwóch najpotężniejszych rezydentów zaczęło się nie lubić za bardzo, całe Exeter i jeszcze tereny w promieniu trzydziestu mil zmieniłyby się w pole bitwy.

A teraz czarodziej oznajmiał jej, że już nie musi się przejmować tym zleceniem, bo zostało zrealizowane. To zupełnie tak, jakby właśnie poinformował załatwiaczkę, że skorzysta z pierwszego lepszego pretekstu, by wypowiedzieć zniechęconym wampirom, a zwłaszcza Phillipowi, wojnę totalną. Jedno było pewne - koniec czasów spokoju.

- To przeze mnie - powtórzyła tępo. Czuła się, jakby ktoś ją walnął wielkim młotem w głowę. - Przez to, że podałam Phillipowi Joannę na tacy.

- Zapytałaś - przypomniał jej Ben. Mówił tak spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie, a nie o złamanym sercu i rozwianym złudzeniu. - Gdybym wtedy udzielił ci innej odpowiedzi, może sprawy potoczyłyby się inaczej. Chcę, abyś wiedziała: doceniam to, że zapytałaś. I rozumiem, dlaczego postąpiłaś tak, a nie inaczej. To należało do twoich obowiązków. Wykonałaś je bez zarzutu.

- Ale uznajesz zlecenie za zrealizowane - wypomniła głuchym głosem Małgosia.

- To było nie fair obciążać cię tym wszystkim - powiedział spokojnie czarodziej. I to go zdradziło.

- Jesteśmy zawodowcami. Kolegami, nie przyjaciółmi - przypomniała mu Małgorzata, nagle kamiennie spokojna. Już wiedziała, na czym stoi, już wiedziała, o co chodzi w tej rozmowie. - Nie liczy się, czy coś jest fair. Tu nie chodzi o mnie. Ben milczał. Wciąż stał przy oknie, wciąż nieruchomy. Załatwiaczka w myślach policzyła do dziesięciu. Potem do dwudziestu. A on nadal nic nie mówił.

- Wyobraź sobie przez chwilę, że jednak jesteśmy przyjaciółmi - zaproponowała wreszcie. - I powiedz mi, o co tak naprawdę chodzi.

Żadnej odpowiedzi.

- Jeśli nie chcesz rozmawiać ze mną, załatwię ci psychoanalityka - zasugerowała w desperacji Małgosia.

Czarodziej odwrócił lekko głowę. Z jego gęstej brody wyrżał lekki uśmiech.

- Może to nie byłby taki zły pomysł - powiedział miękko.

Teraz to załatwiaczka milczała. Całe trzydzieści sekund. Potem zaczęła szperać po kieszeniach w poszukiwaniu telefonu i notesu.

- Gdzieś tu miałam numer - mruzczała pod nosem. Przy okazji niechcący znów potrąciła stos ulotek na stoliku. Tym razem już skutecznie. - A niech to! - Ukłękła, żeby je pozbiierać.

Czarodziej oderwał się od kontemplowania ciemności za oknem i poszedł do rozsypanych papierów. Opadł na kolana obok Małgosi i pomógł jej układać broszurki w równe stosy.

- Joanna wróciła.

Załatwiaczka podniosła gwałtownie głowę znad już ułożonej kupki. Miała rację. Od początku chodziło o Joannę.

- Wiem, tydzień po tym, jak wyjechała.

- Nie. - Ben był wyraźnie zaskoczony, że Małgorzata o tym wie. Chyba spodziewał się, że szczegóły powrotu wampirzycy zna tylko on i komando półtrolli, które wezwał, by usunęło przemienioną Joannę sprzed jego drzwi. - Wróciła teraz. Niedawno. Jeszcze raz. Co noc stoi po drugiej stronie ulicy. Już nawet przestała błagać o wybaczenie. Tylko tam stoi. Co noc.

Małgosia przeniosła wzrok z rozsypanych ulotek na mrok za oknem. Przypomniała sobie, że kiedy wchodziła do ogródka, wydawało jej się, że ktoś ją obserwuje.

- Teraz też? - spytała.

Ben powoli skinął głową.

Dziewczyna nerwowo odgarnęła włosy z twarzy. Głupie kosmyki nie chciały siedzieć za uchem. Tak naprawdę to nie miała się czego bać, półtrolle z ubezpieczalni były naprawdę morderczo skuteczne i szybkie, a poza tym to przecież nie ona, tylko czarodziej był nękany przez wampirzycę. Ale załatwiaczce przyszło do głowy, jak oszalała z miłości Joanna może zinterpretować nocne odwiedziny innej kobiety w domu jej ukochanego. Albo, co chyba było jeszcze gorsze, mogła dowiedzieć się, co Małgosia miała wspólnego z uwiedzeniem jej przez Phillipa. W takiej sytuacji nawet trzy tabletki uspokajające to za mało.

- Możesz wezwać grupę z ubezpieczalni - poradziła załatwiaczka Benowi. - Odstraszą tak jak poprzednio.

- Skąd o tym wiesz?

- Znam jednego z nich - przyznała się dziewczyna. - Prywatnie.

Czarodziej odłożył ostatnie ulotki na stół. Wydawał się żywo zainteresowany słowami Małgorzaty. Chociaż może po prostu potrzebował zająć swój umysł czymś, co pozwoliłoby mu zapomnieć o Joannie. - I jak wam się układa? - zapytał Ben.

- Wcale - odparła szczerze Małgosia. - Ja nigdy nie mam czasu. A on... Sama nie wiem, czemu jeszcze sobie mnie nie odpuścił.

- Może mu zależy...

Załatwiaczka była zdziwiona. Nie spodziewała się takiej rozmowy, nie z nim. Nigdy wcześniej nie zahaczali nawet o tematy związane z życiem prywatnym.

- Nawet jeśli, i tak nic z tego nie wyjdzie. Czeka mnie jeszcze dziewięć lat kontraktu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie tyle czekał. Lepiej od razu dać sobie z nim spokój, zamiast łudzić siebie i jego, ale... fajnie pomyśleć, że jest w moim życiu coś poza załatwianiem.

Wcale nie musiała mu o tym opowiadać. O Dominiku nie wiedział nawet Phillip, a jeśli jednak wiedział, to udawał, że nie wie. Półtroll i te wszystkie nieudane randki były prywatną sprawą Małgosi, a mimo to postanowiła powiedzieć o nich czarodziejowi. Ona, chociaż nie powinna, wiedziała o jego uczuciach i o Joannie prawie wszystko, więc czuła, że w ramach zadośćuczynienia jest winna czarodziejowi swoją historię. Jeśli tylko chciał ją znać.

Ale chyba nie chciał, bo tylko zamyślony poprawiał broszurki, żeby równo leżały.

- To jak, zadzwonić do niego? - Załatwiaczka wyjęła komórkę. - Weźmie swoją grupę i usuną stąd Joannę w mgnieniu oka.

- Co? - Ben podniósł głowę gwałtownie wyrwany ze swoich myśli. - Nie, to nie będzie potrzebne. Nie mam powodu, żeby na nią nasyłać bojówkę półtrolli. Kilka tygodni wcześniej nie miał takich skrupułów. Coś się zmieniło, choć Małgosia nie wiedziała jeszcze co.

- Wybaczyłeś jej?

- Nie miałem jej czego wybaczać. Nie zrobiła nic złego. Tylko... nie jest już sobą. Jest wampirem. A to nie jej wina, tylko Phillipa.

Załatwiaczka rozsądnie pozostawiła to bez komentarza. Zresztą co miała powiedzieć? Z faktami nie było się co kłócić. Gdyby nie obsesja Phillipa... I, sięgając dalej w przeszłość, gdyby Ben nie rozszerzył ubezpieczenia urzędników państwowych o odporność na czar wampirów... I gdyby nie obsesja czarodzieja na punkcie bezpieczeństwa, niezawisłości i uczciwości, która pchnęła go do tych działań...

Gdyby te wszystkie okoliczności nie nałożyły się na siebie, świat byłby lepszym miejscem, a Małgorzata nie musiałaby się martwić o przyszłość.

Wstała z podłogi.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała oficjalnym tonem. - Dasz mi namiary na tych chirurgów?

Ben sięgnął po jedną z broszurek i starannie wykaligrafował na niej adres i telefon. Małgosia nie skomentowała faktu, że znał je już na pamięć.

O pierwszej w nocy uliczki Exeter były kompletnie opuszczone. Życie tętniło tylko wokół High Street, gdzie mieściły się wszystkie popularniejsze puby, i na kampusie. Dzielnice małych, kształtnych, typowo angielskich domków przypominały miasteczka duchów. W żadnym oknie nie paliło się światło, nikt poza Małgorzatą nie szedł chodnikiem. Nawet żaden samochód nie przejechał.

Załatwiczka usiłowała sobie przypomnieć, czy oglądała jakiś horror dziejący się właśnie w takiej dzielnicy. Nic jej nie przychodziło na myśl. Większość znanych jej filmów grozy działa się na amerykańskiej prowincji, być może właśnie dlatego, że na pozór wyglądała ona bardzo niewinnie. Angielskie dzielnice domków jednorodzinnych reżyserzy horrorów wyraźnie sobie odpuścili, a niesłusznie.

W nocy, kiedy wokół panowała martwa cisza, a okna były ciemne, wśród tych małych, podobnych do siebie domków robiło się naprawdę strasznie. Zwłaszcza jak się miało świadomość, że mrok skrywa rozżaloną wampirzycę.

Małgosia nie była specjalnie lękliwa, ale atmosfera na nią podziałała. Tu ciemność, tam pustka, gdzieś niedaleko Joanna. Mało brakowało, a załatwiczka wezwałaby komando z ubezpieczalni tylko po to, żeby ktoś ją odprowadził do akademika. Dominik na pewno nie miałby nic przeciwko.

Kiedy gdzieś niedaleko rozległy się czyjeś kroki, Małgorzata prawie podskoczyła. Ale zaraz przypomniała sobie, że przecież wampiry poruszają się bezszelestnie, więc to na pewno nie Joanna. Podobno gdzieś w okolicy widziano wilkołaka, ale to była tylko plotka, którą usłyszała ostatnio od Kasandry. Inaczej Ben już dawno by się z bestią rozprawił. Nie tolerował zagrożeń na swoim terenie, między innymi dlatego wampiry były mu taką solą w oku. Nic nie mógł z nimi zrobić, nie miał możliwości, by je powstrzymać przed polowaniem. Były z branży i miały swoje prawa, swoich prawników, nawet swój kodeks. Czarodziej robił, co mógł, żeby je zniechęcić do Devonu, ale nie zawsze mu się to udawało. Najlepszym przykładem był Phillip, który uważał konflikt z Benem za cudowne urozmaicenie nudnych dni.

Wszelkie obawy Małgorzaty zniknęły, gdy w świetle latarni zobaczyła sylwetkę zbliżającej się osoby. Jej nie sposób było z nikim pomylić, a już na pewno nie z wilkołakiem czy wampirzycą.

Nadchodząca kobieta była bardzo wysoka i bardzo szczupła. Przypominała chodzącą trzcinę, a to wrażenie potęgował jeszcze jej strój: luźna koszula z płótna i długa, powłóczysta spódnica, które zawsze zdawały się lekko drgać na wietrze, nawet jeśli nie wiał choćby najłżejszy zefirek. Ubranie wisiało na swojej właścicielce niemal jak na strachu na wróble, poza tym było zdecydowanie za lekkie jak na letnią, ale nie najcieplejszą noc.

Kiedy podeszła bliżej, światło latarni padło na jej twarz i Małgosia zobaczyła rysy jak z posągu - wszystko było idealne: oczy, brwi, nos, usta. Włosy miała ostrzyżone niemal do skóry, co jednak wcale nie czyniło z niej chłopczycy, tylko podkreślało doskonały kształt głowy i uszu.

Kobiecie towarzyszył pies pasterski, który na widok załatwiaczki zamerdał ogonem. Zdarzało się, że kiedy Sharon gdzieś znikala, jej towarzysz przychodził pod akademik Małgosi i czekał na posiłek. Na wypadek takich odwiedzin dziewczyna zawsze miała pod ręką torbę psiej karmy... Biorąc pod uwagę, ile rzeczy musiała mieć na wszelki wypadek pod ręką, dziwne było, że w ogóle mieściła się jeszcze w swoim pokoiku.

Pies, choć niewątpliwie nie był suką, z nieznanych Małgosi przyczyn nosił imię Janeeyere. Dlaczego akurat takie, nikt nie był w stanie dociec, a pytanie o to Sharon nie miało sensu. I tak by nie odpowiedziała, a jeśli nawet, to taką plątaniną słów, że trzeba by lat i instrukcji obsługi, żeby odgadnąć ich sens.

Phillip zawsze twierdził, że druidka jest niespełna rozumu. Ben uważał, że Sharon ma dostęp do spraw, o których inni śmiertelnicy mogą tylko marzyć. Niewątpliwie wiedziała więcej od wszystkich ludzi z branży. Krążyły plotki, że wie wszystko, zna przeszłość i przyszłość, o takim drobiazgu jak terażniejszość nie wspominając.

Jednak Małgosia nie miała żadnej swojej teorii na ten temat. Jeśli spotykała Sharon, starała się być miła. A kiedy przychodziło jej przemałować w zastępstwie druidki konia albo nakarmić psa, nie narzekała. Nie głośno.

Sharon podeszła do załatwiaczki, ani odrobinę nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy, nie zwolniła ani nie przyspieszyła kroku. Zupełnie jakby spodziewała się, że zastanie Małgorzatę w tym miejscu i o tej porze i już od rana odmierzała swoje kroki tak, by teraz zatrzymać się tuż przed nią.

- Nadchodzi zło - powiedziała uroczyście swoim pięknym, dźwięcznym głosem.

- Myślisz? - Załatwiaczka zmarszczyła brwi. - Mnie się wydaje, że nadchodzą po prostu kłopoty. Wielkie kłopoty.

Nie wiedziała, co wyniknie z problemów uczuciowych Bena. Na razie był spokój... Na razie Phillipa nie było w mieście. Gdyby udało się go jakoś skłonić, żeby nie wracał... Małgosi by go brakowało, ale dla wspólnego dobra... Tylko że - co sobie właśnie uświadomiła - dbanie o to dobro nie było już jej obowiązkiem.

- To będzie zło - powtórzyła Sharon. - Zobaczysz.

Odeszła, nie oglądając się za siebie. Nawet gdyby Małgosia ją zawołała, druidka nie zwolniłaby kroku. Taka już była. Janeeyere pobiegł za nią.

Już po chwili załatwiaczka została sama na ciemnej, cichej ulicy.

- Zobaczą - mruknęła pod nosem. - Tego się właśnie boję, że zobaczą.

Kiedy tylko Małgorzata wróciła do akademika, zalogowała się na stronie Korporacji. Na swoim koncie miała już zarejestrowane nowe zlecenie, to na odzyskanie serca. Otworzyła okienko z danymi zleceniodawcy. Alan... To imię zupełnie, ale to zupełnie do niego pasowało. Alanowie powinni mieć długie blond loki, romantyczny wyraz twarzy i jeszcze jakiś instrument muzyczny, najlepiej lirę, mandolinę albo jakieś inne bardowskie badziewie.

Podniosła wzrok znad monitora. Na półce, tuż na krawędzi, stała fiołka z tabletkami uspokajającymi. Na wierzchu, na przykrywce, leżała jedna pastylka, ta zostawiona na później. Małgorzata sięgnęła po nią. Przez chwilę wahała się: zażyć lekarstwo czy wyrzucić do kosza. Wreszcie po prostu odkręciła fiołkę i dorzuciła pigułkę do pozostałych. Na później. Wydrukowała sobie dane swojego zlecenia. Złożyła kartkę i wsunęła między kartki notesu razem z broszurką, na której Ben zapisał jej zamiary na chirurga.

Z lekarzem musiała porozmawiać osobiście, co do tego nie miała wątpliwości. Do nielegalnej praktyki nie dzwoni się z uprzejmą prośbą o informacje na temat jednego z pacjentów, a konkretniej, wyciętego mu nielegalnie organu. Zresztą do legalnej w sumie też.

Małgosia musiała gabinet odwiedzić osobiście, i to najlepiej z zaskoczenia. Nie uśmiechało jej się to, zwłaszcza kiedy załatwiaczce przyszło do głowy, że może przeszkodzić chirurgom podczas operacji. Brrr! Małgorzata dostawała rozstroju nerwowego na myśl, że na święta trzeba szlachtować karpie, a co dopiero mówić o szlachtowaniu człowieka, nawet pod znieczuleniem.

Pozostawało mieć nadzieję, że w chwili jej wizyty akurat nikt nie będzie usuwał serca.

Sięgnęła po telefon. Załatwienie sobie samolotu, który polecą do Niemiec i z powrotem, zajęło jej piętnaście minut. Co prawda z Exeter samoloty latały w dziwne miejsca, na przykład do Transylwanii na „One Day Dracula Trip”, czy jak się ta atrakcja nazywała, ale taki drobiazg jak wyczarowanie maszyny nie był dla niej problemem. Miała wprawę, a Korporacja pieniądze.

O siódmej rano załatwiaczka siedziała na tylnym siedzeniu czarnego pancernego samochodu z rodzaju tych, jakimi wozi się głowy państw, wrednych tajemniczych milionerów lub w ostateczności gwiazdy filmowe. Małgosia nie kwalifikowała się do żadnej z tych trzech kategorii, ale pracowała w Korporacji. A Korporacja wzbudzała respekt, choć nie taki, aby kierowca z limuzyną sam czekał na pasażerkę. Nie, to Małgorzata musiała sobie załatwić.

Szofer w ciemnych okularach wioził ją do małego niemieckiego miasteczka, w którego nazwie tak uroczo pobrzmiwały aż dwa umlauty. Nad zielonymi wzgórzami wzeszło już słońce, oświetlając równe drogi, zadbane pobocza i małe, kolorowe domki skupione w schludne, klimatyczne miasteczka. Okazjonalnie na horyzoncie przemykał zarys jakiegoś zameczku.

Małgosia ku własnemu zdumieniu akurat nie musiała nigdzie dzwonić. Mogła oprzeć głowę o oparcie siedzenia i spoglądać za okno na łagodnie monotonne łąki. Jednak bezruch i kojące widoki nie wpływały relaksująco na załatwiaczkę. Podejrzewała, że nawet gdyby zażyła pół fiolki swoich tabletek uspokajających, to też by nie pomogło. Zupełnie jakby wszystko sprzysięgło się przeciw niej. Poza tym w głębi serca Małgorzaty zalegał dziwny, męczący niepokój. Może nawet strach. I nie chciał odejść.

Kierowca zjechał z autostrady i załatwiaczka mogła obejrzeć sobie miasteczko, w którym rezydowali ludzie usuwający serca. Nielegalne gabinety lekarskie powinny być zatęchłymi norami w podłych dzielnicach. Przynajmniej tak się zawsze Małgosi wydawało. Tymczasem się myliła.

Dzielnica nie była wcale taka podła, ot, przeciętne przedmieścia. Gabinet mieścił się w jednym z zadbanych, kolorowych domków na samym skraju miasteczka. Z zewnątrz nic nie zdradzało, że to właśnie tu dokonuje się nielegalnych operacji. Ba, w ogródku rosły nawet wyjątkowo zadbane róże.

Kierowca zgodnie ze wskazówkami pasażerki zaparkował w pewnym oddaleniu od domku, ale tak, żeby Małgorzata mogła widzieć drzwi. Załatwiaczka wyciągnęła z kieszeni notes i lekko odgięła okładkę. Nie musiała grzebać w zebranych tam papierach, broszurka od Bena sama wleciała jej do ręki. Dziewczyna zadzwoniła pod zapisany przez czarodzieja numer.

Dopiero po siódmym sygnale ktoś odebrał.

- Halo? - powiedział zaspany męski głos.

- Jestem z Korporacji - oznajmiła Małgosia. - Będę u pana za pięć minut. Muszę panu zadać kilka pytań. - I zakończyła połączenie.

Nie troszczyła się o to, czy jej dopiero co obudzony rozmówca w ogóle wie, czym jest Korporacja. Jeśli wiedział, tym lepiej. Jeśli nie, to przynajmniej sama nazwa brzmiała na tyle tajemniczo, żeby wzbudzić jego niepokój. A ktoś, kto para się nielegalnym zajęciem, musi mieć wiele różnych powodów do niepokoju. W takiej sytuacji wiadomość, że tak naprawdę chodzi tylko o kilka odpowiedzi, będzie dla lekarza wielką ulgą. No i zachętą do rozmowy. Na to właśnie liczyła Małgorzata.

Tym bardziej nie miała zamiaru czekać tych pięciu minut. Wsunęła telefon do kieszeni i wysiadła z samochodu. Wolnym krokiem podeszła do domku chirurga, wyminęła piękne czerwone róże i zadzwoniła do drzwi.

Nikt nie otworzył, choć w domu na pewno ktoś był. Słyszała jakieś szemranie i szuranie, jakby po drugiej stronie drzwi odbywała się cicha konferencja. Załatwiaczka zadzwoniła jeszcze raz, tym razem przytrzymała przycisk całe trzydzieści sekund.

Ludzie w domu musieli zrozumieć, że trzymanie jej w nieskończoność pod drzwiami nic im nie pomoże. Małgorzata nie miała zamiaru dać się zniechęcić. Gdyby nie chcieli jej wpuścić, zawsze mogła zadzwonić po Klan. Gdzieś w pobliżu na pewno była Rodzina. Klan był wszędzie.

Już miała sięgać po komórkę, kiedy drzwi odrobinę się uchyliły. Na tyle, że w szparze dojrzała twarz młodego, jasnowłosego mężczyzny, który wyrzucił z siebie kilka szybkich, nerwowych słów. Na ile Małgosia się orientowała, mówił coś o pomyłce i o tym, że nie wypada nachodzić ludzi o tej porze. Załatwiaczka szczerze pożałowała, że w liceum nie przykładła się pilniej do lekcji języków. Teraz nie była w stanie odpowiedzieć.

Sama była sobie winna. Po pierwsze, mogła się w liceum uczyć, a nie imprezować. Po drugie, mogła przewidzieć, że w Niemczech ludzie mówią po niemiecku. No i przyzwyczała się do wszechobecnego angielskiego tak bardzo, aż prawie zapomniała o istnieniu innych języków obcych. Pewnie, czasem musiała korzystać z pomocy tłumacza, ale tym razem założyła, że skoro namiary dostała od Bena, to chirurg będzie mówić po angielsku.

Nic z tych rzeczy. Ten człowiek pewnie nawet nie zrozumiał, co powiedziała przez telefon. Element zaskoczenia szlag trafił. Duży błąd.

Jedną ręką sięgała już do kieszeni, żeby znaleźć telefon i zadzwonić po tłumacza, kiedy szarpnięte nagle drzwi otworzyły się szerzej. Młody człowiek był tym tak samo zaskoczony jak ona. W domu był jeszcze ktoś: pulchny staruszek średniego wzrostu, w bluzie i spodniach chirurga. Nawet miał na przyodziewku kilka czerwonobrunatnych plam. Teraz, kiedy drzwi się otwarły, Małgosia mogła zobaczyć, że i jasnowłosa mężczyzna jest tak ubrany.

No tak. Jeden lekarz to przecież za mało, żeby przeprowadzić operację. Właściwie to jeszcze powinna się gdzieś kręcić pielęgniarka.

Starszy chirurg w porównaniu ze swoim asystentem wydawał się oceanem spokoju. Wizyta gościa o tak wczesnej porze ani trochę nie wytrąciła go z równowagi.

- Spokojnie - powiedział po angielsku, kładąc swojemu koledze dłoń na ramieniu. - Nie ma się czym denerwować. Pani jest z Korporacji, prawda?

Małgorzata skinęła głową. Poczwała ulgę, że tłumacz nie będzie potrzebny.

- No właśnie! - ucieszył się starszy. - Od dawna współpracuję z Korporacją i śmiem twierdzić, że jak dotąd obie strony były z tej współpracy nad wyraz zadowolone.

To miało sens. Małgosia mogła sobie wyobrazić, że załatwiacze często korzystali z usług lekarza, który bez zbędnych pytań wykona nawet najbardziej niewłaściwy etycznie zabieg. Tym lepiej. To oznaczało, że chirurdzy będą skłonni do pomocy.

Młodszy lekarz ciągle wydawał się nie do końca przekonany, ale wpuścił Małgorzatę do środka. Kiedy weszła, wystawił głowę na zewnątrz, obrzucił okolicę nieufnym spojrzeniem, po czym zamknął drzwi na wszystkie zasuwki, dokładnie na trzy.

- Musi pani wybaczyć mojemu koledze - ciągnął tymczasem drugi chirurg. - Od niedawna jest w branży, wcześniej operował tylko w zwykłym szpitalu. Ale cóż, latka leca, a mój poprzedni asystent miał drobny wypadek, więc potrzebowałem nowego. Trochę potrwa, zanim się wdroży, ale za to ma złote ręce.

Małgosia uśmiechnęła się uprzejmie. Starszy najwyraźniej był z gatunku tych, którzy uwielbiają mówić. Gdyby coś odpowiedziała, rozmowa mogłaby się jeszcze przeciągnąć. Lepiej było milczeć i czekać, aż wreszcie do niego dotrze, że załatwiaczka nie przyszła tu na pogawędkę.

- Ach, ale do rzeczy! - zreflektował się wreszcie lekarz. Zdążył już wyjaśnić Małgorzacie, jakież to straszny problem znaleźć w dzisiejszych czasach odpowiedniego asystenta i jakie starszy miał szczęście, że w pobliskiej klinice zatrudniono tego oto utalentowanego młodego człowieka. - Nie lubimy tu podawać nazwisk. Moi pacjenci znają mnie jako doktora Franza, a to... może mieć pani problemy z wymową... jest doktor Grzegorz.

- Małgorzata - powiedziała załatwiaczka po polsku. - Nie będę miała problemów.

Grzegorz był najwyraźniej zaskoczony, no i chyba emigracja nauczyła go, że Polak Polakowi wilkiem. Patrzył na dziewczynę coraz podejrzliwiej.

- Naprawdę chodzi mi tylko o kilka pytań - zapewniła go. - Potrzebuję informacji do realizacji kolejnego zlecenia.

Doktor Franz pokiwał głową.

- Tak, tak. Przejdźmy do rzeczy. Na dole - uczynił gest w stronę drzwi prowadzących najwyraźniej do piwnicy - czeka na nas pacjent. Dopiero co skończyliśmy operację. Pacjentem opiekuje się teraz siostra Helga, ale niedługo będziemy musieli do niego zajrzeć. Sala operacyjna w piwnicy... Cóż, trudno było oczekiwać, żeby urządzili ją w salonie.

- Usuwacie serca? - zaczęła Małgosia.

Stojący obok niej Grzegorz nagle wyraźnie się zainteresował. Nie umknęło to uwagi starszka, który wyjaśnił z lekkim uśmiechem:

- Mój młody kolega wiele słyszał o takich operacjach. Ale nie miał jeszcze okazji przy żadnej asystować. To rzadki zabieg, trudny i pociągający za sobą straszliwe konsekwencje dla pacjenta. Niewielu się na to decyduje.

„Nic dziwnego” - pomyślała załatwiaczka. Widziała przecież Alana, spoglądała w jego oczy. Życie bez serca... Czy potęga naprawdę była tego warta?

Czy cokolwiek było tego warte? Ben nie pożył większej mocy, niż posiadał, a mimo to rozważał poddanie się zabiegowi. Żeby móc spojrzeć na Joannę stojącą noc w noc naprzeciw jego domu i nie czuć nic. Żeby wreszcie odnaleźć spokój.

- Co robicie z usuniętymi sercami? Wyrzucacie je?

- Nie, skąd! - Doktor Franz zamachał nerwowo rękoma, prawie zrzucając przy tym stojące na komodzie wazoniki. - To by była zbrodnia! Nigdy w życiu!

Chwilę potrwało, zanim się uspokoił. Jeszcze kilka minut oddychał szybciej niż zwykle, a twarz miał w lekko różowym odcieniu. Dopiero kiedy już doszedł do siebie i dostrzegł niezrozumienie na twarzy Małgorzaty, pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Wycięte serce to potężny artefakt. Nosi w sobie ślad potęgi swojego poprzedniego właściciela i cząstki mocy, której zdobycie ma być okupione jego utratą. Wielu czarodziei, tych, co parają się nielegalną magią, wiele by dało za takie serca. Ale my jesteśmy uczciwi. Klienci przychodzą do nas pozbyć się organów, a nie zyskać wielkie kłopoty.

- Przechowujecie je?

- Nie - pokręcił głową chirurg. - To by było zbyt niebezpieczne. Ktoś mógłby się włamać i je zdobyć. Usunięte serce należy zniszczyć. Nie robimy tego osobiście, nie mamy warunków. Zlecamy to Klanowi.

Małgosia powstrzymała westchnienie. No ładnie! Klan był wyjątkowo skuteczny, jeśli chodzi o usuwanie zwłok, niewygodnych dowodów, świadków, więc zapewne też serc. Do tego ludzie z Klanu byli wzorami dyskrecji. Wydarcie z nich informacji o jakiegokolwiek wykonanej pracy było niemożliwe nawet dla Korporacji.

Ale Małgorzata musiała wszystko sprawdzić.

- Mam jeszcze jedną prośbę - powiedziała. - Jeśli zadzwoni do was ktoś z Domu Klanu, potwierdźcie, że udzieliliście mi zgody na zdobycie informacji o sercu jednego z waszych pacjentów.

- Którego? - zapytał natychmiast zaciekawiony Grzegorz. Przysłuchiwał się całej rozmowie w milczeniu, chłonąc każde słowo. Rzeczywiście od niedawna musiał być w branży i niewątpliwie podobała mu się taka odmiana po monotonnej i męczącej pracy

zwykłego lekarza. Jego koledzy dalej będą usuwać wyrostki, podczas gdy on pozna sztukę usuwania serca, i to tak, że pacjent zostanie przy życiu.

- Nie mogę powiedzieć - ucięła Małgosia. Nie miała obowiązku ukrywać danych zleceniodawcy, ale Alanowi zależało. Nie robiła tego oczywiście dlatego, żeby mu zrobić przyjemność. Była dyskretna, bo znający regulamin zleceniodawca mógł jej jeszcze narobić kłopotów. Tylko dlatego.

- Potwierdzimy - zapewnił ją doktor Franz, zanim młody lekarz zdążył otworzyć usta. - Naprawdę chcesz iść do Klanu i pytać o serca? Wiesz, że oni nie lubią mówić.

Załatwiaczka wzruszyła ramionami. Jakby miała jakiś wybór!

- Taka praca - mruknęła.

Młodszy lekarz najwyraźniej chciał zapytać ją o tę pracę, ale Małgorzata nie miała zamiaru mu na to pozwolić. Śpieszyła się, a poza tym nie chciała ryzykować, że jej rodak złoży zlecenie. Niewątpliwie po jej wyjściu starszerek wyjaśni wszystko asystentowi, oby razem z tym, co było zawsze wypisane na dole strony drobnym druczkiem. A jeśli wtedy Grzegorz zechce złożyć zlecenie... Cóż, to ona miała ich numer telefonu, nie oni jej.

Już stała przy drzwiach, kiedy tknęła ją jeszcze jedna myśl.

- Odsyłacie każde serce osobno?

- Oczywiście - powiedział doktor Franz, odsuwając zasuwę, żeby mogła wyjść. - Od razu po usunięciu. Człowiek z Klanu zawsze na nie czeka już podczas operacji. Nie możemy ryzykować, że wpadnie w niepowołane ręce.

- Dzięki za informacje - rzuciła na pożegnanie.

Za jej plecami dwaj lekarze konferowali szeptem. Było oczywiste, że Grzegorz zadaje właśnie swojemu mentorowi masę trudnych pytań.

Klan dzielił się na cztery Domy, którymi kierowały Wielkie Szamanki tyleż tajemnicze, co wzbudzające strach. Zważywszy na hierarchiczną strukturę organizacji, ktoś musiał stać ponad nimi, ale kto to był, nie wiedzieli chyba nawet najbardziej doświadczeni wróże.

Czy może raczej: nie ośmielali się dowiedzieć. Kto chciałby spotkać uosobienie wszystkich lęków?

Małgosia nie miała zamiaru tego robić. Ale podejrzewała, że bez spotkania z Wielką Szamanką się nie obejdzie.

Żadnych telefonów ani e-maili. Klan doceniał, gdy go szanowano. Tę sprawę też należało załatwić osobiście.

Jeszcze z Heathrow, zanim taksówka zawiozła ją pod londyński Dom Klanu, załatwiaczka zadzwoniła do zleceniodawcy. Jego numer telefonu, tak jak nazwisko i adres, były zawarte w opisie zlecenia.

Małgosię zawsze śmieszyli ludzie, którzy upierali się spotykać z nią po cmentarzach, w opuszczonych fabrykach, na rozstajach dróg i koniecznie o północy albo o trzeciej nad ranem. Mogli się maskować jak chcieli, i tak z chwilą wypowiedzenia formułki trafiali do bazy danych.

Wsiadając do taksówki, miała już przy uchu telefon. Zleceniodawca odebrał po trzecim sygnale. Nie obudziła go chyba, ale głos i tak miał nieprzyjemny. Zupełnie jakby chciał zachęcić rozmówcę, by ten jak najszybciej rozłączył się i skoczył z mostu.

Załatwiaczka musiała jednak zadać ważne pytanie. No i rzucać się z mostu też nie zamierzała, a nawet gdyby, nie by to nie dało. Korporacja w mgnieniu oka wyciągnęłaby Małgosię z Tamizy, wykurowała z hipotermii, w razie potrzeby wskrzesiła i w ciągu trzech dni odesłała z powrotem do pracy, żeby wypełniła kontrakt do końca.

Jak dobrze było mieć świadomość, że pracodawca o nią tak dba...

- To ja, Małgorzata. Załatwiaczka - dodała natychmiast. Po co przedstawiała się imieniem? Przecież nigdy tego nie robiła. - Potrzebuję jednej informacji - kontynuowała, mając nadzieję, że Alan jej słucha. Nie odezwał się ani słowem, nie słyszała nawet jego oddechu. - Kiedy kazałeś usunąć sobie serce?

- Cztery lata temu - jego głos w słuchawce brzmiał tak lodowato, że aż dziwne, jakim cudem komórka Małgosi od tego nie zamarzła.

- A dokładniej?

- Szesnastego listopada. Godzinę też mam ci podać? - teraz zrobił się sarkastyczny.

- Nie, to wystarczy. Dziękuję.

Rozłączyła się.

Miewała różnych zleceniodawców, ale żaden nie był tak... odstręczający. Czy może raczej: żaden nie budził w niej takiego niepokoju i pragnienia, by ukryć się przed nim najlepiej za jakimiś grubymi, solidnymi drzwiami zamkniętymi na klucz, który tylko ona będzie miała.

Właściwie to rozsądniej byłoby uciec na koniec świata czy gdzieś w jego okolice. Tam też na pewno były jakieś drzwi. Może nawet takie, do których zrobiono tylko jeden klucz.

Klan mógł uchodzić w branży za instytucję niemal z marginesu, ale z pewnością sam nie podtrzymywał tego wizerunku, przynajmniej jeśli chodzi o wybór siedziby. Londyński Dom mieścił się w jednej z imponujących kamienic w samym centrum miasta, tuż nad Tamizą, mniej więcej w połowie drogi między Tower a Millenium Bridge.

Niezależnie od pory roku na trasach spacerowych wzdłuż rzeki zawsze pełno było ludzi. Nie tylko turystów, ale też mieszkańców, a w porze lunchu dodatkowo biznesmenów zachodzących do klimatycznych restauracji, które tłoczyły się tu zupełnie jak przechodnie.

Biorąc pod uwagę, że praca Klanu wymagała często spokoju i dyskrecji, lokalizacja była beznadziejna. Ale od czego są dźwiękoszczelne ściany i okna, dodatkowe wejścia, ukryte przejścia ciągnące się kilometrami pod miastem i strażę? W wielonarodowym tłumie spacerującym nad Tamizą zawsze kręcili się ludzie z Klanu. Niekiedy było ich nawet więcej niż przypadkowych przechodniów. Pilnowali, żeby nikt niepowołany nie zbliżył się za blisko.

Dbanie o dyskrecję w takim miejscu było zadaniem karkołomnym i prawdopodobnie kompletnie nieopłacalnym. Ale nie o opłacalność tu chodziło.

Dom Klanu mieścił się w najbardziej prestiżowym miejscu, tam gdzie swoje biura otwierały największe firmy. Chyba tylko filia w City niosła ze sobą wyższą pozycję, ale tam dbanie o tajemnicę byłoby o wiele trudniejsze, jeśli w ogóle możliwe. W City znajdowały się tylko biura, ludzie pracowali od dziewiątej do piątej, podczas gdy nad Tamizą zawsze, niezależnie od pory dnia i godzin pracy, można było liczyć na większy lub mniejszy tłum. A w tłumie łatwo się rozpłynąć.

Klan nie mógł liczyć na szacunek w branży, może dlatego swoją siedzibę zmienił w miejsce wzbudzające respekt wśród tych, którzy nie wiedzieli, co tam się mieści. Idealne proporcje, dopracowane szczegóły, poczynając od mosiężnej klamki przy drzwiach, a kończąc na rzeźbie stojącej przed wejściem. Gdyby Małgosia miała zgadywać, obstawiałaby, że w budynku mieści się jakiś szacowny bank albo firma obracająca miliardami dolarów. Przy drzwiach stał nawet portier, z profesjonalnie obojętnym wyrazem twarzy gotów wpuścić każdego, kto ośmielił się przejść przez wspaniałe drzwi.

Oczywiście nikt się nie ośmielał. Zwykli przechodnie nie mieli po co, a ci z branży, odprowadzani czujnymi spojrzeniami kręcących się wokół strażników, omijali go szerokim łukiem.

Małgosia nie mogła tego zrobić. Czowała na sobie wzrok ludzi z Klanu, kiedy zamiast przejść obojętnie obok Domu, skręciła i skierowała się prosto w stronę drzwi.

Z każdym jej krokiem tłum wokół załatwiaczki zmieniał skład, jak powiedziałby alchemik. Coraz mniej było zwykłych przechodniów, coraz więcej tych noszących stygmaty. Dla ludzi z branży twarze tych z Klanu zdawały się żarzyć wewnętrznym, lekko przymglonym światłem.

W oczach Małgorzaty przechodnie wokół zmieniali się stopniowo w lunę otaczającą ją coraz ciaśniej niczym klatka. Ale nie zatrzymali jej, czego trochę się obawiała. Portier z daleka wyglądał profesjonalnie, ale zwyczajnie. Z bliska był wręcz przerażający. Jego twarz nosiła tyle stygmatów, że Małgosia nie mogła nawet rozróżnić, gdzie kończy się nos, a zaczynają usta. Spoglądanie na niego przypominało wpatrywanie się w żarzące się węgle aż do momentu, kiedy znów buchną z nich płomienie, niemal oślepiając patrzącego.

Załatwiaczka starała się nie dać po sobie poznać, że się coraz bardziej boi. Jak długo postępowała zgodnie z niepisаныmi zasadami, była bezpieczna. Ale i tak, mijając zgiętego w ukłonie portiera i przechodząc przez otworzone przez niego drzwi, czuła się, jakby zstępowała do piekła. Zupełnie jak Orfeusz. Trzymaj się zasad, nie oglądaj się, a wszystko będzie dobrze. Tyle że Orfeusza na dno Hadesu sprowadziła miłość, a ją obowiązek.

A poza tym Hades z całą pewnością nie umywał się do holu na parterze Domu Klanu.

Pomieszczenie było ogromne, zajmowało chyba cały poziom. Przez drzwi z przydymionego szkła nie przedostawał się gwar ulicy, nie było też żadnego innego źródła dźwięku. Tylko niesamowita cisza.

Podłogę wyłożono szarym kamieniem. Małgosia pogratulowała sobie w duchu, że już dawno zamieniła obcasy na trampki. Jej szpilki jak nic stukałyby przy każdym kroku, burząc tę niemal świętą ciszę. To dopiero dawałoby złowrogi efekt!

W samym centrum holu znajdował się słup. Ciemna obudowa skrywała szyb dwóch wind. Przynajmniej Małgorzata założyła, że były to windy. Nie dostrzegła jednak żadnego guzika ze strzałką ani ekraniku wyświetlającego numer piętra. Tylko dwie pary lśniących rozsuwanych drzwi.

Tuż obok wind za szarym, wręcz klinicznie czystym kontuarem siedziała recepcjonistka. Ubrana była w czarny żakiet i białą bluzkę, na szyi miała szarą apaszkę. Niewielki stygmat na jej twarzy jaśniał na tyle lekko, że przy odrobinie wysiłku można było dostrzec pierwotne rysy twarzy.

Do kieszeni żakietu miała przypiętą srebrną plakietkę identyfikacyjną. Bez imienia czy nazwiska.

Załatwiaczka podeszła do kontuaru. Kiedy była już blisko, na twarzy recepcjonistki pojawił się profesjonalny, plastikowy uśmiech z gatunku tych, które obejmują wargi, ale nie

sięgają oczu. Chociaż tego ostatniego nie dało się stwierdzić: stygmat przesłaniał oczy kobiety tak jak u każdego z Klanu.

- Witamy w Domu. - Głos miała dźwięczny, ale absolutnie pozbawiony intonacji. - W czym mogę pomóc?

- Jestem z Korporacji - powiedziała Małgosia. - Chciałabym rozmawiać z Wielką Szamanką. Proszę zapytać, czy zechce mnie przyjąć.

Recepcjonistka skinęła głową, ale nie uczyniła najmniejszego ruchu. Załatwiaczka czekała cierpliwie. Po mniej więcej pięciu minutach drzwi jednej z wind rozsunęły się.

- Matka Meza czeka - oznajmiła kobieta za kontuarem.

Małgorzata weszła do windy. No i stało się, ruszyła do piekła. Tyle że winda, zamiast ze znaczną prędkością zacząć spadać w dół, ruszyła w górę powoli i delikatnie. Nikt przecież jeszcze nie udowodnił, że piekło jest pod ziemią.

Winda była denerwująco powolna. A może tylko miała do pokonania bardzo długą drogę? Tego załatwiaczka nie mogła stwierdzić, bo nie miała nawet na czym zaczepić spojrzenia. Na gładkich metalowych ścianach nie było nic: ani przycisków z numerami pięter, ani ekraniku, ani guzika alarmu, nawet małej plamki brudu. Małgosia dotąd nie cierpiała na klaustrofobię, ale teraz czuła, że atak jest blisko.

Nagle winda łagodnie wyhamowała. Metalowe drzwi rozsunęły się bezszelestnie, ukazując pomieszczenie, które podobnie jak hol było ogromne, ale przynajmniej nie przypominało już rozmiarami hangaru.

Załatwiaczka wyszła z windy i nie zwalniając kroku, rozejrzała się. Ściany i sufit miały kolor śniegu, podłogę wyłożono wykładziną tak jasną i czystą, że aż strach było po niej chodzić. Za to wszystkie meble kontrastowały głęboką czernią. Czarne były też gabloty zawieszane na ścianach, a porozwieszaną w nich zabytkową broń najwidoczniej dobierano pod względem koloru, a nie wartości antyku. Jasny dowód na to, że po wnętrzu szalał jakiś projektant, pewnie z tych z wyższej półki.

Czarne było również biurko ustawione tyłem do okna, podobnie jak dwa fotele przed nim. Ogromne obrotowe krzesło, na którym siedziała Wielka Szamanka, obito skórą też czarnej barwy. Matka Meza mogła mieć równie dobrze trzydzieści, jak i czterdzieści lat. Jej twarz przypominała maskę: jasna cera, intensywnie wytuszowane rzęsy, oczy podkreślone eyelinerem tak mocno, że czarne linie przebijały się przez stygmat, i czerwone usta. Ciemne,

krótkie włosy gładko zaczesana w stylu lat dwudziestych. Ubrana była w czarny garnitur. Przez niesamowicie długie nogi i ramiona przywodziła na myśl czarnego pająka.

Na jej lewym policzku, tuż przy nosie, lśnił stygmat ciągnący się w górę po skroni aż do linii włosów, zakrywając przy okazji całe lewe oko i większą część prawego. Druga kreska schodziła w dół po szczęce, szyi, wzdłuż obojczyka, by zniknąć pod garniturem. Lekki blask sączący się spod lewego mankietu zdradzał, że stygmat obejmował też ramię.

- Załatwiaczka? - zapytała uprzejmie Wielka Szamanka. Miała głęboki głos, a każdą głoskę wymawiała ze staranną, wyuczoną intonacją beznamiętnego lektora.

- Matka Meza? - odparła Małgosia. To była tylko uprzejma formalność, obie dobrze wiedziały, kogo mają przed sobą.

Meza lekkim, płynnym gestem wskazała załatwiaczce jeden z foteli. Małgosia usiadła.

- Słucham?

Żadnych uwag o tym, że rzadko ktoś osobiście zagląda do Domu, żadnej bezsensownej pogawędki. Ludzie z Klanu zawsze byli boleśnie rzeczowi, co akurat Małgosia ceniła. Też nie miała czasu na rytuały towarzyskie.

- Potrzebuję informacji. Cztery lata temu szesnastego października z Niemiec wysłano wam do zniszczenia serce. Muszę dostać oficjalne potwierdzenie, że serce zostało nieodwołalnie zniszczone, lub jeśli tak się nie stało, informację o losach organu - wyrzuciła z siebie załatwiaczka. Obmyślała ten komunikat przez całą drogę powrotną do Anglii.

Twarz Wielkiej Szamanki nawet nie drgnęła.

- Obowiązuje nas tajemnica - powiedziała Meza.

- Wiem - stwierdziła spokojnie Małgorzata. - Mam zgodę osób, które przekazały wam serce do zniszczenia. Możecie ją potwierdzić.

Wielka Szamanka lekko skinęła głową. Było oczywiste, że ją potwierdzą. Małgosia wolała nie myśleć, co by się z nią stało, gdyby doktor Franz, dajmy na to, zmienił zdanie.

- Zgoda naszego klienta nie wystarczy. - Meza oparła łokcie na biurku. - W przeciwieństwie do Korporacji my musimy być dyskretni. Nie łamiemy naszych reguł, nawet jeśli nasi klienci tego wymagają.

- Zlecenie, jakie mi złożył mój klient, zmusza mnie do uzyskania tej informacji.

Po przywódczyni Domu trudno było poznać, czy zrozumiała wiadomość ukrytą za tymi słowami. Małgosia uprzejmie starała się ją poinformować, że jeśli nie uzyska tego, czego potrzebuje, po dobroci, będzie musiała wziąć to siłą, choć doprawdy nie miała pojęcia, jak to zrobić. Wiedziała tylko, że musi dostać oficjalne potwierdzenie, czy serce zostało zniszczone. Bez tego nie mogła oficjalnie uznać zlecenia za niewykonalne.

- Kim jest ten klient? - padło błyskawiczne pytanie.

- Właścicielem serca - odpowiedziała krótko Małgorzata. Mezie to wystarczyło. Splotła dłonie na wysokości ust, jakby głęboko medytowała, ale na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Zaczekasz tu - zdecydowała po chwili Wielka Szamanka. - Ty musisz zdobyć informację, my musimy jej strzec. Żadna ze stron nie chce konfliktu. Pomówię z Matką Matek.

Wstała zza biurka i opuściła pokój. Małgosia nawet nie ośmieliła się odwrócić, żeby spojrzeć, czy Meza wchodzi do windy. W końcu jak tylko Orfeusz się odwrócił, to wszystko spaprał. Lepiej było nie ryzykować.

Kiedy tak załatwiaczka słuchała kroków odchodzącej Wielkiej Szamanki, przyszło jej do głowy, że właśnie stała się jedną z nielicznych osób, które wiedzą, kto stoi na czele Klanu. Matka Matek... Nie było to wcale zaskakujące.

Na powrót Mezy przyszło Małgosi czekać dwie i pół godziny. Przez cały ten czas siedziała na swoim fotelu, zmieniając tylko pozycję, żeby jej nogi nie zdrętwiały. Jedyne głowy starała się nie odwracać. Była prawie, ale to prawie pewna, że pod ścianą przy windach stoi ktoś z Klanu.

Prawie całkiem pewna.

Na szczęście za biurkiem Wielkiej Szamanki znajdowało się ogromne okno dające świetny widok na przeciwległy brzeg Tamizy. A konkretniej, na czubki kamienic na tym przeciwległym brzegu. Załatwiaczka policzyła wszystkie widoczne cegły, okna, belki, nawet przelatujące ptaki. W swojej supernowoczesnej komórce miała kilka gier, ale nie ośmieliła się w takim miejscu nawet pomyśleć o rozrywkach. Dzwonić do kogokolwiek i załatwiać zaległych zleceń też się nie ośmieliła. Tylko siedziała.

Po raz pierwszy od kilku miesięcy nie robiła kompletnie nic.

Kiedy z tyłu dało się słyszeć czyjeś kroki wytłumione przez miękką wykładzinę, Małgosia nawet nie drgnęła. Trochę się bała, czy Wielka Szamanka nie dojdzie do wniosku, że może lepiej załatwiaczkę wyeliminować wraz z jej kłopotliwym zleceniem, ale zaraz stłumiła obawy. Klan nie pchałby się w otwarty konflikt z Korporacją.

Zanim Meza wyminęła ją i usiadła z powrotem za swoim biurkiem, Małgorzata zdążyła się jeszcze zastanowić, czy komando z ubezpieczalni jest przygotowane również na szybką

teleportację do Domu Klanu. W zasadzie powinni się przy niej pojawiać, zawsze gdy była w niebezpieczeństwie albo czuła się zagrożona... A wchodząc do Domu, tak się czuła.

Postanowiła po powrocie do akademika sprawdzić warunki swojego ubezpieczenia. Ot tak, na wszelki wypadek, gdyby jeszcze kiedyś przyszło jej bawić się w Orfeusza i zejść, a raczej wjechać windą do piekła.

Z twarzy Wielkiej Szamanki nie dało się nic wyczytać. Tak samo z jej gestów.

- Rozmawiałam z Matką Matek. Uzyskasz oficjalne potwierdzenie, ale tylko i wyłącznie do wiadomości Korporacji.

Małgosia skinęła głową. Miała nadzieję, że zleceniodawca nie będzie zbyt uparty ani zbyt wścibski. Nie mogła mu powiedzieć, skąd wie, że serce zostało zniszczone, a bała się, że ją przejrzy, jeśli tylko zechce. Właściwie nawet się nie bała, była pewna.

Matka Meza zrobiła krótką przerwę, po czym kontynuowała, tym razem oficjalnym tonem, jakby cytowała formułkę:

- Serce zostało zniszczone w dniu, w którym je dostarczono.

- Całkowicie? - upewniła się załatwiaczka. Przyszło jej do głowy, że gdyby, dajmy na to, zostały jakieś popioły, powinna je zebrać na szufelkę i dostarczyć Alanowi. Może nawet dałoby się z nich ulepić nowe serce...

- Tak. Niszczenie serc to skomplikowany proces - wyjaśniła Meza. - Organ musi zostać całkowicie unicestwiony, nie może po nim pozostać żaden ślad. Ani w sensie przestrzennym, ani w żadnym innym. Człowiek, którego serce zniszczono, nie tylko jest go pozbawiony. Z jego wspomnień wymazane zostają wszelkie emocje powiązane z sercem. Jest tak, jakby go nigdy nie miał.

- Nie ma żadnego sposobu na odzyskanie organu? Może gdyby udało mi się zdobyć maszynę czasu i wziąć od was serce tuż przed zniszczeniem... Tylko głośno myślę - dodała szybko Małgorzata, widząc, jak twardnieją rysy Wielkiej Szamanki. Po raz pierwszy okazała jakieś emocje. Szkoda tylko, że od razu negatywne. Zresztą gniew zaraz znikł, ustępując miejsca pięknej masce.

- Nie mogę ci tego zabronić. Ale wiedz, że tym samym podpiszesz na siebie wyrok absolutnej śmierci. Klan zawsze wykonuje zadania zlecone mu przez klientów. Nie obchodzi nas, czy w przyszłości zmienią zdanie. Liczy się teraźniejszość. - Mam w regulaminie zapis, że nie mogę dać się zabić przy załatwianiu - stwierdziła ponuro Małgosia. - Czyli nie ma szans na odzyskanie serca? Mój zleceniodawca nie będzie zadowolony. - Westchnęła. Nie mogła sobie wyobrazić wkurzonego Alana. Emocje... jakiegokolwiek emocje, nawet te pochodzące z gruczołów, nie z serca, jakoś do niego nie pasowały. Ale mogła sobie

wyobrazić, jak marszczy gniewnie brwi, robi się wyjątkowo sarkastyczny, a potem pisze stos skarg do Korporacji, która reaguje przysłaniem do Małgorzaty miliona kontroli.

- Sam jest sobie winien - głos Mezy był twardy i bezlitosny. - Ponosi konsekwencje swoich wyborów. Jeśli nie umie stawić im czoła, jest tchórzem i słabeuszem. Nie zasługuje na drugą szansę. Nikt nie zasługuje.

Załatwiaczka dyplomatycznie milczała. Dobrze wiedziała, jak fanatyczni w swoich poglądach są ludzie z Klanu. Ben twierdził zawsze, że wierzą w to wszystko dla swojego własnego dobra. Te przekonania, choć bezwzględne i okrutne, pozwalały im zrozumieć, dlaczego stoczyli się aż na samo dno i dlaczego powinni być z tego dumni.

Phillip za to zawsze uważał ich za bandę nieco denerwujących, ale użytecznych sekciarzy. Czasem dorzucał jakiś nieśmieszny dowcip o praniu mózgow bez wirowania.

- Dziękuję za pomoc. - Małgosia wstała z fotela. Po dwóch i pół godzinie siedzenia nie była pewna, czy jej nogi przypadkiem nie zapomniały, do czego służą, ale na szczęście działały prawie bez zarzutu. Były tylko trochę zeszywniałe.

- To nie precedens - ostrzegła ją na pożegnanie Wielka Szamanka. - Tylko wyjątek.

Małgosi pozostawało tylko spotkać się ze zleceniodawcą i poinformować go, że jego zlecenie jest niemożliwe do zrealizowania. W takich sytuacjach, wyjątkowo rzadkich, Korporacja wypłacała odszkodowanie. Nie byle jakie, bo miliardowe. Alan miał się stać bardzo bogatym człowiekiem, ale Małgorzata jakoś wątpiła, czy pieniądze zrekompensują mu brak serca.

Przelotnie, ale tylko przelotnie, zastanowiła się, dlaczego zapragnął je odzyskać. Motywy zleceniodawców nie były w końcu jej sprawą, a ciekawość już dawno ustąpiła miejsca obojętności. Jednak ten przypadek był inny niż wszystkie.

Do Alana zadzwoniła zaraz po wyjściu z Domu Klanu. Umówiła się z nim na dziewiątą wieczorem na High Street. Sama nie wiedziała dlaczego, przecież mogła przekazać mu wszystko przez telefon. Ale coś kazało jej zająć się tym osobiście. „Pewnie strach” - zdecydowała po namyśle. Strach o to, że rozwścieczony były czarodziej narobi jej kłopotów.

Kilka minut przed dziewiątą czekała już na miejscu. Wieczór był chłodny, więc na ogrodniczki narzuciła bordową bluzę. Usiadła na jednej z metalowych ławek.

Jej zleceniodawca zjawił się punktualnie. Już z daleka go rozpoznała i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że byłby z niego o wiele lepszy Pan Śmierć niż z Garetha. Alan górował

wzrostem nad większością ludzkości, do tego był szczupły. Ubierał się na czarno, a zdjęciem jego twarzy można by straszyć małe dzieci. Nie dlatego, że była brzydka. Jeśli chodzi o urodę, była właściwie przeciętna. Ale rysy zastygły w wyrazie wiecznej złośliwości. I pustki. Ta pustka wyzierała z jego oczu, upodabniając go do żywego upiora.

Małgorzata wstała i wyszła mu naprzeciw. Spotkali się na wysokości lustrzanego obelisku z wypisanymi zagadkami.

- Zlecenie jest niemożliwe do zrealizowania - powiedziała na przywitanie. - Twoje serce zostało zniszczone. Utylizacja odpadów. Nic po nim nie zostało. W żaden sposób nie da się go odzyskać. - Sama nie wiedziała, dlaczego stara się to wszystko powiedzieć jak najszybciej. Może żeby mieć go jak najszybciej z głowy? Niepokój, który czuła, kiedy zjawił się w jej pokoju w akademiku, powrócił. - W takich sytuacjach Korporacja wypłaca odszkodowanie, znają numer twojego konta. Przelew nastąpi w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Dopiero kiedy skończyła mówić, odważyła się zadrzeć głowę i spróbować wyczytać z jego twarzy jakąś reakcję. Sama nie wiedziała, na co liczyła, czy może raczej czego się bała.

Alan spoglądał gdzieś w przestrzeń prawie obojętnie. Na stojącą obok załatwiaczkę chyba wcale nie zwracał uwagi, równie dobrze mogłoby jej w ogóle nie być. Pomyślała, że to idealna chwila, aby odejść i nie widzieć więcej tego dziwnego człowieka. Wystarczyło go wyminać, pójść w dół ulicy i skręcić przy pierwszej możliwości. Zniknąć mu z oczu.

Tak właśnie miała zamiar zrobić. Ale zanim odeszła, spojrzała jeszcze raz w górę, na zastygłą twarz i ciemne oczy. Z dołu nie było widać przerażającej pustki, jaką w sobie miały. - Miałeś rację - dodała nagle pod wpływem jakiegoś przekłętą impulsu. - Nie byłam odpowiednią osobą.

Wydawało się, że jej słowa przełamały jakiś urok, który trzymał Alana w miejscu. Gwałtownie opuścił głowę, a jego nieludzkie oczy napotkały spojrzenie Małgosi.

Może powinna uciec z krzykiem, ale dotarło do niej, że wcale się go nie boi. Niepokoił ją, no i nic przyjemnego mówić komuś: „Twoje serce przepadło”, ale to wszystko. On nie był straszny.

- Nic straconego - stwierdził sarkastycznie. - Jeszcze możesz okazać się odpowiednia. Załatw mi serce. Nie moje. Po prostu serce. Zrozumiałaś?

Skinęła głową. Alan odwrócił wzrok i odszedł szybkim krokiem pogrążony w swoich ponurych rozmyślaniach. Załatwiczka stała w miejscu, spoglądając za nim aż do chwili, kiedy całkiem znikł jej z oczu. Wtedy sięgnęła po komórkę, żeby zadzwonić po taksówkę.

Nie zdążyła jeszcze wybrać numeru, kiedy gdzieś w pobliżu rozległ się tętent kopyt. Gipsowy koń musiał krążyć gdzieś w pobliżu. Sądząc z szybkości uderzeń, galopował.

Małgosia na wszelki wypadek zrezygnowała chwilowo z taksówki. Jeśli tym razem któraś z wiadomości wymalowanych na szalonym rumaku była skierowana do niej, chciała jej się dobrze przyjrzeć.

Powoli ruszyła w stronę, z której dobiegały dźwięki. Nie uszła nawet kilku kroków, kiedy tętent przybliżył się, a po chwili zza zakrętu wypadł koń.

Na jej widok zatrzymał się, a potem jeszcze stanął dęba, z dumą pokazując zdobięce go rysunki.

Małgorzata stała nieruchomo, chłonąc każdy szczegół. Na boku zwierzęcia wymalowany był dość kiczowaty pejzażyk, łąka i błękitne niebo. Tyle że na niebie widziała nadciągające ciemne chmury, przez kontrast ze słodyczą ściekającą z obrazka wręcz złowrogie. Łąka też nie była do końca idealna. Gwałtownie kończyła się przepaścią w którą skakały czy może spadały małe czarne figurki. Inne ludziki czekały w kolejce na łące niczym jakieś ucywilizowane lemingi.

- Wszyscy spadamy w otchłań - mruknęła załatwiaczka. - Sharon, powiedz mi coś, czego nie wiem.

Jakby na komendę koń zatańczył na tylnych nogach obracając się wokół własnej osi, tak że Małgosia mogła sobie obejrzeć jego drugi bok. Tam już nie było kiczowatych pejzażyków.

Przez chwilę dziewczyna miała wrażenie, że patrzy na plakat reklamujący jakiś horror, tak to na pierwszy rzut oka wyglądało. Drugi bok konia był czarny, a na samym środku widniała twarz z otwartymi ustami, wyszczerzonymi długimi kłami i szczupłe dłonie zaopatrzone w wielkie szpony. Wyglądało to, jakby jakaś straszliwa osoba dotąd ukryta we wnętrzu gipsowego zwierzęcia właśnie przebijała się na wolność wściekła i dysząca zemstą. Twarz, włosy, dłonie, wszystko było wręcz przerażająco realistyczne.

Załatwiaczka od razu rozpoznała Joannę.

Koń zarżał triumfalnie i pogalopował dalej, mijając nielicznych studentów, którzy już o tej wczesnej porze wyruszyli do pubów. Jedna czy dwie osoby obejrzały się za nim, ale zauważywszy brak reakcji innych ludzi, uznały, że to musi być halucynacja.

Małgosia zorientowała się, że wciąż ściska w dłoni komórkę. Schowała ją do kieszeni. Zmieniła plany. Nie potrzebowała taksówki, jeszcze nie miała zamiaru wracać do akademika.

Słońce już zaszło, ale wciąż było za jasno. Przemienione już jakiś czas temu, ale nadal niedoświadczone wampiry miały to do siebie, że nie wychodziły ze swoich nor, póki na zewnątrz nie rozlała się ciemność absolutna. Profilaktycznie. Trzeba było setek lat, żeby nabrały takiej arogancji, jaką prezentował na przykład Phillip, spacerując po mieście tuż po zachodzie słońca i tuż przed świtem.

Na całkowity zmrok postanowiła poczekać w pubie nad kuflem piwa. Ale kiedy weszła do lokalu, zobaczyła, że tam powoli rozkręca się wieczór latynoski, a nad barem wisi lista adekwatnych do okazji drinków. Małgosia uśmiechnęła się pod nosem i zamówiła tequilę sunrise.

W pewien przewrotny sposób pasowało to do sytuacji.

Z racji wczesnej pory były jeszcze wolne miejsca siedzące. Załatwiaczka zajęła jedno z nich i szącąc powoli swojego drinka, zaczęła obmyślać plan.

Podstawowym problemem był brak dokładnych danych. Wzory na koniu mogły, choć nie musiały dotyczyć jej osobiście. Były po prostu informacjami, które zdaniem druidki w jakiś sposób powinny Małgorzatę zainteresować.

Phillip miał rację, Sharon mogłaby wreszcie zapoznać się z nowoczesną techniką i zacząć wysyłać newsletter. W końcu wszyscy w branży mieli e-maile, natomiast mało kto miał chęć i czas bawić się w zagadki.

Małgosia założyła, że domniemany atak wampirzycy dotyczy jednak jej. Diabli wiedzą co się Joannie uwidziało, czy miała zamiar się na nią rzucić z zazdrości czy z zemsty, to nie było ważne. Wampirzyca już dawno musiała stracić rozsądek, przynajmniej w kwestiach dotyczących Bena. Naprawdę kochała go całym sercem... które przestało już bić.

W tej sytuacji załatwiaczka postąpiłaby najrozsądniej, wzywając komando z ubezpieczalni, żeby mieć eskortę. Widok roślących półtrolli powinien krwiopiczynie zniechęcić.

Ale Małgosia dopiła swojego drinka i upewniwszy się, że już się ściemnia, ruszyła do akademika na piechotę. I to okrężną, odludną drogą: ścieżką wzdłuż dolinki z pastwiskiem i krowami. W zasadzie był to skrót, ale żeby dojść do tego skrót, Małgorzata musiała wpierw nadłożyć drogi, oddalając się od zabudowań uniwersytetu i kampusu.

Sama nie wiedziała, skąd w niej nagle ta szaleńcza odwaga. Może dlatego, że dopiero co wjechała windą do piekła i zużyła cały zapas strachu? Nie, to nie była prawda. Wciąż trochę się bała. Ale mimo to zaciskała wargi i szła dalej, zbliżając się coraz bardziej do ciemnej ścieżki ze szpalerem zarośli po każdej stronie.

Może dlatego, że wciąż czuła się winna wobec Bena i bardzo chciała jakoś tę swoją winę zmazać? Nie była pewna, czy usunięcie Joanny to najlepszy pomysł, ale co innego mogła zrobić? Czarodziej nienawidził wampirów, teraz chyba bardziej niż kiedykolwiek.

Jedyne, co Małgosia mogła zrobić, to upewnić się, że wyglądając przez okno na ulicę, Ben będzie widział tylko i wyłącznie ciemność. Nic więcej.

Może też odwagi dodawała jej świadomość, że komando z ubezpieczalni przybędzie, gdy tylko poczuje się zagrożona. Wystarczył ułamek sekundy, by półtrolle dotarły na miejsce akcji. Nikt nie miał z nimi szans.

I na tym właśnie Małgorzata opierała swój plan.

Ścieżka była kompletnie pusta. W ciągu dnia korzystali z niej głównie rowerzyści, piesi częściej wybierali drogę przez zabudowania, nie ulegając urokom natury.

Po obu stronach chodnika rosły gęste krzaki, latarnie dawały dokładnie tyle światła, ile było trzeba, by oświetlić ścieżkę, a wszystko, co znajdowało się poza nią, pozostawić w kompletnej ciemności. Krzaki przerzedzały się tylko w miejscach, gdzie od głównej drogi odchodziły boczne alejki. Wtedy widać było ciemne płoty i tyły domów.

Małgosia szła powoli, nawet bardzo powoli. Wokół było denerwująco cicho, brakowało jej dźwięku, na którym mogłaby się skupić, którego mogłaby się przestraszyć. Nie wiedziała, czy Joanna jest w pobliżu, i nie miała jak tego sprawdzić. Wampiry poruszały się bezszelestnie, nie było co liczyć na suchą gałązkę, która w strategicznym momencie pęknie pod czyjąś stopą.

Kampus był już blisko, przynajmniej tak się załatwiacze wydawało. Przez te drzewa i krzaki tworzące zielone szpalery przy ścieżce nic nie widziała.

Ale na razie nikt jej nie zaatakował. Sama nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Wampirzyca była... kolejną kłopotliwą sprawą, którą należało załatwić, i to jak najszybciej. Ze względu na Bena.

Kiedy pchnięta gwałtownie Małgorzata padała na chodnik, zdążyła pomyśleć z nutą wyjątkowo wisielczego humoru, że krwiopijczyni właściwie wyświadcza jej przysługę. Właśnie wchodził w życie plan, w którego powstaniu miała swój udział tequila sunrise.

Załatwiaczka nie zdążyła się przestraszyć, nie zdążyła nawet spojrzeć wampirzycy w twarz i sprawdzić, czy rzeczywiście wyszczerza zęby tak jak na malunku druidki. Ledwo została zaatakowana, już na ścieżce pojawili się jej obrońcy.

Ubezpieczalnia z właściwą sobie chytryością opatentowała technikę teleportacyjną, oficjalnie po to, żeby cywile nie blokowali komandosom kanałów pod - czy może nadprzestrzennych. Nieoficjalnie w branży krążyła opinia, że ubezpieczyciel jest po prostu parszywym monopolistą.

Małgosia przychyliła się raczej do opinii nieoficjalnej, chociaż w zasadzie to było jej wszystko jedno. Ważne, że komando półtroli docierało na miejsce ułamek sekundy po wezwaniu.

Czyjeś mocne ręce chwyciły dziewczynę i podniosły z ziemi. Kiedy spojrzała w górę, rozpoznała swojego wybawcę.

Dominik... no tak. Prawie zawsze, kiedy miała kłopoty, trafiała na jego zmianę. Szczęście, pech albo przeznaczenie. A może nic z powyższych.

Na jego twardej, niemal kamiennej twarzy pojawiło się zatroskanie.

- Wszystko w porządku? Zraniłaś się. - Ujął jej dłonie i odwrócił wewnętrzną stroną do góry. W świetle latarni widać było zdartą skórę i trochę krwi. Ból w kolanie podpowiedział Małgorzacie, że pewnie tam też ma zadrapania. Spojrzała w dół. No tak, nogawka już nasiąkała krwią.

Półtroll też to zauważył.

- Mamy apteczkę na wyposażeniu - oznajmił. - A jakby co, zabiorę cię do szpitala.

- Apteczka wystarczy. - Chwilowo zapomniała o własnych obrażeniach, bardziej zajmowała ją Joanna.

Wampirzycę przytrzymało dwóch komandosów. Szarpała się, ale z dwoma półtrollami naraz nawet ktoś z jej siłą nie mógł sobie dać rady. Trzeci przymierzał się właśnie do założenia Joannie czegoś na kształt kagańca. Urządzenie wyglądało koszmarnie, ale Małgosia nie zamierzała współczująco wykrzyknąć czegoś w stylu: „Czy to naprawdę konieczne?!”. Jasne, że to było konieczne. W końcu zęby wampirzycy prawdopodobnie dałyby radę przegryźć nawet skórę Dominika i jego podwładnych.

Mimo że półtrolle miały naprawdę twardą skórę.

Po raz pierwszy Małgosia mogła przyjrzeć się Joannie w jej nowej, nieumarłej postaci. Kiedy ją ostatnio widziała, kobieta opuszczała Exeter w towarzystwie Phillipa. Na pierwszy rzut oka niewiele się zmieniła. W przeciwieństwie do większości wampirów, preferujących stylowe, dość charakterystyczne stroje, wciąż ubierała się jak... zwykła dziewczyna. Spódnica, bluzka, sandały. Trzeba też było uważnego oka, aby dostrzec, że jej naturalna karnacja to efekt samoopalacza wspomaganego przez staranny makijaż. Nawet niektórzy mniej doświadczeni ludzie z branży mogliby w pierwszej chwili pomylić wampirzycę z kimś żywym. Jedyne, czego nie dała rady ukryć, to odrobinę za długie kły i czerwony blask w oczach - znak, że zwęszyła krew załatwiaczki.

Dominik wyciągnął skądś apteczkę i zajął się dezynfekowaniem zadrapań na dłoniach Małgorzaty. Robił to sprawnie i delikatnie. Jeszcze nim Joanna zrozumiała, że jest bez szans, i przestała się wreszcie szarpać, jej niedoszła ofiara miała już obandażowane ręce.

Półtroll popatrzył wokół siebie.

- Nie ma tu żadnej ławki - powiedział z troską. - Siądziesz na chodniku? Muszę obejrzyć twoje kolano.

Załatwiaczka wyglądała, jakby dopiero teraz go zobaczyła. Spojrzała na swoje dłonie niczym ktoś, kto właśnie obudził się z narkozy i ze zdumieniem ogląda opatrunki. Była pochłonięta tylko obserwowaniem wampirzycy.

- To ją zwinęliśmy parę miesięcy temu spod domu czarodzieja, prawda? - upewnił się Dominik. Nie pamiętałby może tej akcji, gdyby nie to, że potem poszli z Małgosią do pubu.

Dziewczyna pokiwała głową. Pozwoliła się posadzić na chodniku i nie protestowała, kiedy podwijał jej nogawkę, żeby obejrzyć kolano. Kiedy dezynfekował ranę, posłała mu lekki uśmiech. Półtroll też się uśmiechnął.

Od kilku miesięcy miał układ z centralą - jeśli tylko był na służbie, przydzielali mu każde wezwanie z okolic Exeter. Zawsze to szansa, że natknie się przy okazji na załatwiaczkę albo że wezwanie będzie pochodziło od niej. W końcu tak rzadko miał okazję widywać Małgosię przez tę jej koszmarną pracę. W tym tempie mógł mieć nadzieję, że w ciągu dwóch lat uda im się umówić może na cztery randki, z których nie będzie musiała pędzić coś załatwić.

Już dawno doszedł do wniosku, że nic nie szkodzi. Poczekaj. Nawet jeszcze dziewięć lat. Dla półtrolli czas nie miał aż takiego znaczenia.

Małgorzata znowu patrzyła na wampirzycę, która przestała już całkiem walczyć i tylko spoglądała na dziewczynę czerwonymi, szalonymi oczami.

- O co w tym wszystkim chodzi?! - wrzasnęła nagle, jakby do niej dotarło, że to ostatnia szansa, aby zdobyć jakiegokolwiek odpowiedzi. - Kim ty jesteś?! Kim ty jesteś dla niego?!

Kaganiec nie mógł powstrzymać wampirzycy od histerycznych krzyków. Zrobił to dopiero środek uspokajający, który wstrzyknęli jej w szyję. Momentalnie zamilkła i zwiotczała. Gdyby komandosi nie trzymali Joanny, upadłaby na ziemię. Potrwało z minutę, zanim zamknęła oczy. Spojrzenie jej zmętniało, ale nie odrywała go od Małgosi.

- Kim ty dla niego jesteś?... - ledwo wyszeptła wampirzyca.

- Nikim - mruknęła załatwiaczka, chociaż Joanna nie mogła jej już usłyszeć.

Dziewczyna wstała podtrzymywana przez Dominika. Kiedy stanęła na własnych nogach, od razu poczuła się lepiej. Atak, choć spodziewany, lekko nią wstrząsnął. Chociaż może bardziej szokujący był widok wampirzycy tak desperacko starającej się wyglądać jak zwykła kobieta.

Nie było w tym nic dziwnego, Ben w końcu nie znosił wampirów.

- Co z nią? - tuż nad uchem Małgorzaty rozległ się głos Dominika.

- Ja decyduję? - zdziwiła się załatwiaczka.

- W zasadzie tak. Korporacja na pewno wystąpi z oskarżeniem swoją drogą, ale możesz wtrącić swoje. Oskarżyć ją o zamiar przegryzienia gardła albo o próbę wpłynięcia na twoją wolę... Czego ona właściwie od ciebie chciała? To jest ta sama, którą kazał nam usunąć spod swojego domu tutejszy czarodziej, ten, jak mu tam, Wilson?

- Watson - poprawiła go Małgosia. Na pierwsze pytanie nie odpowiedziała, zajęta była planowaniem. Na szczęście miała wprawę w podejmowaniu szybkich decyzji.

- Możesz przy okazji odstawiania jej przed trybunał złożyć wniosek w moim imieniu? Ja nie mam czasu iść osobiście, sędziowie zrozumieją. - To było oczywiste, każdy z branży rozumiał sytuację załatwiaczy. Może poza czarodziejami, ale oni, zamiast stać w kolejce po swój zasób empatii, stanęli jeszcze raz w tej z napisem „ego”. W końcu to też było na E, więc bilans się zgadzał.

- Jasne.

Małgosia wiedziała, że półtroll się zgodzi. Miała lekkie wyrzuty sumienia, że go wykorzystuje. Co innego, gdyby się naprawdę spotykali, wtedy miałyby pełne prawo prosić, żeby coś dla niej zrobił. A oni tylko umawiali się na randki, z których dziewczyna zwykle musiała wychodzić, zanim jeszcze się zaczęły.

Jednak Dominika jakoś to nie zniechęcało.

- Powiedz im - zaczęła - że wnioskuję o wydanie jej zakazu zbliżania się do mnie na odległość bliższą niż kilometr. I tak dla całkowitego bezpieczeństwa o zakaz przebywania w mieście, w którym mieszkam i pracuję.

Małgorzata nie miała wątpliwości, że sąd się zgodzi. Za atak na załatwiacza lub próbę wpłynięcia na jego wolę groziły naprawdę poważne kary. Prawnicy Korporacji na pewno nie potraktują Joanny łagodnie i wobec ich żądań wniosek Małgosi będzie wyglądał jak motylek przy krokodylu.

Tym nie miała zamiaru się przejmować. Najważniejsze było, że problem napastującej Bena wampirzycy został rozwiązany, chociaż zlecenie na utrzymanie spokoju w Exeter już nie obowiązywało Małgosi.

Ale i tak czuła się winna. Czy tak to właśnie musiało wyglądać? Po jednej stronie znieczulica, po drugiej wyrzuty sumienia, a ona pośrodku zmuszona dokonać wyboru, który wpłynie na kolejne dziewięć lat jej życia?

Nie po raz pierwszy załatwiacze zaświtało w głowie, że potrzebuje odpoczynku. Wakacji, przerwy, czegokolwiek. Koniecznie.

Zadarła głowę, aby spojrzeć na Dominika. Wcale jej nie zdziwiło, że chyba przez cały czas patrzył na nią.

- Kiedy masz wolne? - zapytała.

- Od piątku. Cały weekend. - Uśmiechnął się szeroko.

Małgorzata zaczęła szybko układać nowy plan. Piątek... Cztery dni powinny wystarczyć, żeby uporać się z większością zleceń, oby i z tym dotyczącym serca. Zresztą choćby miała stanąć na głowie, znajdzie kilka wolnych godzin.

- Jakież plany na wieczór?

Półtroll uśmiechnął się jeszcze szerzej, o ile to było możliwe. Małgosię po raz kolejny zadziwiło, jak ktoś, kto w zasadzie jest w połowie z kamienia, może mieć tyle ciepła w oczach.

- Kino - powiedział szybko, jakby bał się, że dziewczyna zaraz mu ucieknie coś załatwić.

- Jakież życzenia co do filmu?

- Żadnych... Chociaż - zawahała się - jakiś film akcji albo coś takiego, dobrze? Żadnych horrorów, romansów ani nic głębokiego.

- Jasne! - Dominik wyglądał na ucieszonego jej życzeniem. Już się nastawiał na poświęcenie i gotów był wytrwać na jakiejś komedii romantycznej, a tymczasem taka miła niespodzianka! Słusznie uznał, że na nią warto czekać. - Odprowadzić cię do akademika? Może jeszcze jakieś wampiry się tu czają.

Załatwiaczka pokręciła głową.

- Nie, dzięki. Nikt mnie już nie napadnie, poza tym kampus jest blisko. Muszę lecieć i zająć się pracą, bo nie wyrobię się przed piątkiem. - Rzuciła mu jeszcze uśmiech na pożegnanie i odeszła. Na płaczącą cicho Joannę nawet nie spojrzała. Po co dokładać sobie kolejny wyrzut sumienia?

Wokół akademików było gwarno i głośno. Małgosia nie zdziwiła się, że drzwi na swoje piętro zastała otwarte. Mglistie przypomniała sobie kartkę, którą współlokatorzy wsunęli jej jakiś tydzień temu pod drzwi. No tak, robią imprezę i miała zaprosić, kogo chce. Powiedzieliby jej to osobiście, ale Małgorzatę trudniej było złapać niż Kubę Rozpruwacza.

Dźwięki dochodzące z kuchni świadczyły, że pierwsi goście już przyszli. Dziewczyna nawet nie zajrzała, co się tam dzieje. Nie miała czasu na zabawę, musiała wreszcie załatwić sprawę serca. Może w Anglii była już noc, ale w takich Stanach Zjednoczonych na przykład nie. W Ameryce Południowej też nie. I na pewno nie w Azji.

Poszła prosto do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Kuchnia była na przeciwległym końcu piętra, więc Małgosi nie przeszkadzały żadne dźwięki. Usiadła na łóżku, skrzyżowała nogi, a na nich położyła wyciągnięty z kieszeni wypchany notes. W sprawie serca mogła właściwie poradzić się Bena, ale jakoś nie miała ochoty go teraz widzieć ani z nim rozmawiać.

Zanim wzięła się za załatwianie, sięgnęła po stojącą na półce fiolkę z pigułkami uspokajającymi. Jeśli nie trzymała ich na takie sytuacje jak ta, to chyba równie dobrze mogłaby się ich pozbyć. Tym razem wzięła tylko jedną. Tyle powinno wystarczyć, żeby była w stanie pracować.

Zdjęła dwie gumki recepturki utrzymujące w całości jej notatnik. Naciągnęła je na nadgarstek, żeby się nie zgubiły. Potem uniosła dłoń nad notesem. Rozczapierzyła palce i skoncentrowała się. Serce... Potrzebni jej byli eksperci od serca. Od transplantacji... I jeszcze ktoś, kto znał się na artefaktach, zwłaszcza tych organicznych.

Po kilku sekundach notes zajaśniał delikatnym blaskiem. Kartki zaczęły się przewracać, aż w końcu spomiędzy stron wyleciała pomięta wizytówka i jeszcze mały kartonik z wypisanym odręcznie numerem telefonu. Uniosły się w górę, w stronę dłoni załatwiaczki. Schwyciła je w powietrzu i spojrzała na otwarty notatnik. Jeden numer żarzył się jeszcze różowym blaskiem. Od niego miała zamiar zacząć.

Trzy numery... Wystarczy. Na początek. Czekala ją pracowita noc.

Ostatni goście, o ile Małgosia zorientowała się z głosów za oknem, opuścili jej piętro około czwartej rano. O tej porze załatwiaczka wiedziała już, że zwykła transplantacja serca absolutnie nie rozwiąże sprawy. Alan potrzebował nie organu w fizycznym znaczeniu tego słowa, ale artefaktu niosącego w sobie wszystkie te moce, które ludzkie wyobrażenia przypisały sercu.

Serce innego człowieka nie rozwiązałoby sprawy: uczucia i emocje umarłyby razem z jego poprzednim właścicielem. Potrzebowała serca Alana, które już od czterech lat nie istniało.

Kolejne dwie godziny i pięć rozmów telefonicznych zajęło Małgorzacie ustalenie, że właściwie to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby artefakt sklonować. Gdyby wyhodować mężczyźnie serce od nowa, miałyby ono w sobie to wszystko, co na własne życzenie utracił.

Dopiero koło ósmej rano załatwiacze udało się znaleźć specjalistę, który potrafiłby to zrobić. Ku jej uldze naukowiec mieszał genetykę z magią do tego stopnia, że jak ją zapewnił, załazek organu będzie gotowy już w trzy dni po dostarczeniu mu materiału genetycznego. Potem trzeba go będzie tylko wszczepić i czekać, aż dojrzeje, przejmując stopniowo funkcje swojego poprzednika.

Ale żeby stworzyć takie serce, potrzebny był materiał genetyczny, jakikolwiek fragment tkanki. Krew się nie nadawała. Małgosi przemknęło przez głowę, czy jej zleceniodawca nie boi się igieł, ostrzy, lekarza w ogóle. Wyobraziła sobie jego zimną twarz krzywiącą się na widok strzykawki czy skalpela. Ten obraz wywołał uśmiech na jej twarzy.

W ogóle czuła się jakoś inaczej. Lepiej. Czy naprawdę wszystko, czego potrzebowała, żeby świat nie był taki szary, to perspektywa piątkowego wyjścia z Dominikiem?

Była w tak dobrym humorze, że w jej głowie załagał się zuchwały pomysł. A gdyby pojechała na kilka dni, może nawet na tydzień do domu? Nie była w Polsce od roku, przez pracę nie miała nawet czasu wrócić na święta. Istniała szansa, że rodzina już jej to wybaczyła, w końcu było już prawie lato. Mieli dość czasu, żeby poutyskiwać na jej karygodne zachowanie i zająć się innymi sprawami.

Byłoby cudownie choć przez kilka dni być w domu i poudawać, że jest się jeszcze sobą.

Małgorzata przez chwilę zupełnie nie myślała o załatwianiu, ale zaraz przywołała się do porządku. Najpierw zlecenia, potem kino, a później, jak się da, powrót do Polski. Choćby na krótko.

Telefon do Alana miała zapisany w pamięci telefonu - tak było łatwiej, nie musiała za każdym razem sięgać do notesu. Dzwoniąc, odruchowo zerknęła na zawieszony na ścianie zegary. Ten podpisany „Exeter” wskazywał, że zbliża się dziewiąta.

Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Gdyby była trzecia rano, Małgosia i tak by zadzwoniła. Już dawno doszła do wniosku, że skoro ona nie sypia, to jej rozmówcy też nie muszą.

- Znalazłam sposób - oznajmiła bez wstępów, gdy tylko usłyszała w telefonie głos zleceniodawcy. - Sklonują ci serce. Trochę magii i będzie jak nowe. Tylko mnie nie pytaj o szczegóły, do moich obowiązków nie należy rozumienie, jak to się robi. Potrzebna będzie próbka twojego DNA. Mam dojścia w miejscowej przychodni, pobiorą ci próbkę tkanki...

- Kto będzie mi to pobierał? - zadane ostro i precyzyjnie pytanie wdarło się w potok *słów* załatwiaczki.

- Chyba lekarz - odpowiedziała. Tak przypuszczała. Skąd mogła wiedzieć?

- A potem?

- Zapakuje się próbkę w małą lodówkę, a kurier zabierze ją do specjalisty, który zrobi ci nowe serce.

- Gdzie jest ten specjalista?

- Nie mogę powiedzieć - postawiła się Małgorzata. Nie obowiązywała jej dyskrecja, jeśli chodzi o tożsamość i życzenia zleceniodawców, ale sama wiedziała najlepiej, że jeśli chodzi o „podwykonawców”, to opłacało się trzymać gębę na kłódkę. Z wielu powodów.

Po drugiej stronie przez chwilę panowało milczenie. Ciężkie, niepokojące.

- Daleko? - zapytał wreszcie Alan.

- Na drugiej półkuli.

Mężczyzna znowu zamilkł. Tym razem na krótko, niestety.

- Masz zamiar wysłać próbkę mojej tkanki na drugi koniec świata przez zwykłego kuriera? - już nie mówił, prawie syczał. Musiał być niezłe rozwścieczony. Załatwiaczka, może dlatego, że tego dnia świat był jakiś piękniejszy i wszystko wydawało się proste i do rozwiązania, w lot zrozumiała, o co chodzi. Skoro serce to artefakt... diabli wiedzą, może i każdy inny kawałek ciała też.

Przynajmniej dla czarodziejów. W końcu Alan był kiedyś czarodziejem, a każdy czarodziej bardziej od siebie kocha tylko samego siebie, nieważne, czy całego czy w kawałkach.

- Dobrze - poddała się bez walki. Po co sobie komplikować życie niepotrzebną kłótnią. - Załatwię ubezpieczenie ładunku i ochronę z prawem do teleportacji. Daj mi tylko trochę czasu. Wszystko załatwię. - Tak było najprościej. W końcu naprawdę wszystko dało się załatwić prędzej czy później. - Daj mi godzinę.

Zapisał sobie jeszcze adres praktyki lekarskiej, do której miał się zgłosić, i Małgorzata zakończyła połączenie. Było jej wszystko jedno, kto pobierze próbkę ciała zleceniodawcy - jakiś profesor, felczer, pielęgniarka czy nawet weterynarz. Jej główną troską było teraz, kto zawiezie cenny ładunek do maga-genetyka.

Musiała zadzwonić do ubezpieczalni.

Do przychodni Małgosia dotarła pięć minut przed umówioną godziną. Właściwie to wszystko mogło się obyć bez jej udziału, ale doszła do wniosku, że lepiej nie ryzykować. To było bardzo kłopotliwe zlecenie i bardzo skomplikowany zleceniodawca. Wolała trzymać rękę na pulsie.

A poza tym miała lekką, leciutką nadzieję, że konwojentem przysłanym z ubezpieczalni będzie ktoś znajomy. A nawet więcej, że będzie to Dominik.

Załatwiaczka usiadła sobie w poczekalni. Jeśli jej zleceniodawca rzeczywiście zawsze jest taki upiornie punktualny, to powinien pojawić się za cztery minuty i dwadzieścia sekund. Tego, że konwojent będzie na czas, mogła być pewna. Ubezpieczalnia dotrzymywała warunków umów z wręcz chorobliwą precyzją.

Załatwienie ochrony dla próbki zajęło Małgorzacie dziesięć minut. Zanim zamówiła taksówkę i pojechała do przychodni, zdążyła jeszcze uprzedzić specjalistę od klonowania serc-artefaktów, że w ciągu godziny zjawi się u niego konwojent z ładunkiem, i dowiedzieć się, że takie małe, dopiero rosnące serce będzie musiał wszczepić pacjentowi ktoś, kto zna się na rzeczy. A o takich ludzi niełatwo.

Małgosia nie musiała nawet szukać takiego specjalisty. Z taksówki zadzwoniła do małego niemieckiego miasteczka, do domku z ogrodem pełnym róż.

Grzegorzowi nie udało się jak dotąd asystować przy rzadkiej operacji usuwania serca. Nic też nie wskazywało na to, żeby niebawem jego utajone marzenie miało się ziścić. Ale właśnie dostał szansę zobaczenia na własne oczy czegoś prawie niemożliwego.

Alan był upiornie punktualny. Co do sekundy. Tak samo jak Dominik.

Obaj jeden po drugim weszli do poczekalni, obrzucając się dość podejrzliwymi spojrzeniami. Byli z branży, to oczywiste, że rozpoznali się od razu. Teraz w sposób możliwie dyskretny usiłowali dojść, czy obaj są tu w tym samym celu.

Problem został rozwiązany, gdy zobaczyli załatwiaczkę. Wstała na ich widok.

- Wszystko jest już gotowe - powiedziała, nie kierując tych słów do żadnego z nich. Nie przedstawiła ich też sobie, bo po co. To nie było spotkanie towarzyskie.

Lekarka już czekała przy drzwiach do gabinetu zabiegowego. Upewniwszy się, kto jest pacjentem, wskazała Alanowi miejsce.

Dominik stanął pod drzwiami w profesjonalnej pozie, strzelając czujnymi spojrzeniami to na lekarkę, to na okno, to na ściany pokoju, to na stojącą przy szafce z lekami Małgorzatę.

Załatwiaczka miała spuszczoną głowę, włosy zasłaniały jej twarz. Nie można było odgadnąć, na co patrzy, choć wyglądało, jakby wzrok miała wbity w podłogę, w czystą zielonkawą posadzkę.

Ale tak naprawdę patrzyła na igłę, którą lekarka wbijała zleceniodawcy Małgosi w ramię, podając mu środek znieczulający. Na to, jak dezynfekowała przedramię i nakładała na nie chustę z szerokim prostokątnym otworem pośrodku. A potem na krew, która pojawiła się, gdy skalpel prowadzony pewną dłonią naciął bladą skórę.

Krew była czarna. Prawie.

Dziewczyna odwróciła głowę lekko w bok, żeby już tego nie widzieć. Ciemna, prawie czarna ciecz. Bardziej smoła niż płyn ustrojowy.

Nie śledziła już wzrokiem lekarki sprawnie wycinającej mały fragment tkanki, ale szukając innego punktu zaczepienia, natrafiła na coś, czego się nie spodziewała. Na oczy Alana, puste, przerażające.

Patrzył na nią przez cały czas aż do chwili, kiedy ranka została załatana kilkoma szwami. Potem lekarka założyła opatrunek.

- Gotowe. - Małgosia nawet nie zauważyła, kiedy lekarka umieściła kawałek tkanki w małej, zgrabnej lodóweczce. Przemknęło jej przez głowę, że może powinna była baczniej uważać, żeby nikt nie podmienił tak cennego fragmentu ciała zleceniodawcy, ale Dominik zrobił to najwyraźniej za nią. Od momentu zakończenia zabiegu nie spuszczał oka z lekarki. Kobietę to najwyraźniej peszyło. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że półtroll miał prawie dwa metry wzrostu i bicepsy większe od Conana Barbarzyńcy.

Teraz stał tuż za lekarką gotów do przejścia przesyłki. Wciąż siedzący na krześle zabiegowym Alan odwijał rękaw koszuli.

Małgorzata zabrała lekarce lodówkę i wręczyła ją Dominikowi.

- Wiesz gdzie? - upewniła się. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała bezpośrednio do któregoś z mężczyzn.

- Jasne - rzucił z uśmiechem półtroll. - Potwierdzenie dostawy dostaniesz za jakieś kilkanaście minut. Do zobaczenia w piątek! - Mrugnął do niej wesoło i wyszedł z gabinetu. Nie mógł się teleportować z przychodni, musiał znaleźć odrobinę spokojniejsze miejsce.

- Do zobaczenia. - Załatwiaczka poczuła, że sama też się uśmiecha. Tak niewiele było trzeba...

- Romans biurowy w brązowym wydaniu? - rozległ się za nią zimny, ironiczny głos.

- Nie twoja sprawa! - Nawet się nie odwróciła, pchnęła tylko drzwi. Wyszła na korytarz i nie patrząc za siebie, spróbowała je zamknąć. Napotkały opór.

To jej kłopotliwy zleceniodawca wyszedł za nią. Nie zamierzał odpuścić, widać dręczenie innych sprawiało mu perwersyjną przyjemność. Małgorzata przelotnie zastanowiła się, czy to przez brak serca, czy też zawsze był takim dupkiem.

- Jak go poznałaś?

Dziewczyna poczuła się jak na przesłuchaniu. Ze wszystkich możliwych wkurzających zleceniodawców akurat ten musiał jej zadawać krępujące pytania! Akurat ten złożył jej

strasznie skomplikowane zlecenie. Akurat ten w jakiś sposób ją niepokoił. I akurat ten znał regulamin i nie miał serca. Lepiej mu było za bardzo nie podpadać.

- W pracy - odpowiedziała krótko. Ponieważ najwyraźniej nie było to wystarczająco wyczerpujące wyjaśnienie, ciągnęła dalej: - W nocy, w Londynie, na Millenium Bridge. Miałam spotkanie, które nie poszło tak, jak powinno. Musiałam wezwać ubezpieczenie.

- I naprawdę sądzisz, że cokolwiek z tego wyjdzie? - w głosie zleceniodawcy było tyle sarkazmu i drwiny, że wystarczyłoby ich do zatopienia całego miasta.

- Nie, nie sądzę - odburknęła Małgosia. Tego było trochę, jak na nią, za dużo. Nie dość, że facet utrudniał jej życie zawodowe, to jeszcze nabijał się z tej resztki życia prywatnego, która jej została. - W ogóle nic nie sądzę, bo nie mam na to czasu. Mam tylko to, co mam, i musi mi to wystarczyć. Zadzwoń, kiedy serce będzie gotowe.

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem.

Specjalnie wybrała boczne wyjście, żeby nie musieć ani chwili dłużej przebywać w towarzystwie wkurzającego dryblasza. I zaraz za drzwiami natknęła się na gipsowego konia. Stał na trawniku niczym zapomniany element jakiegoś happeningu.

Sharon zdążyła go przemalować, Małgosia od razu to zauważyła. Nie było już na nim twarzy Joanny, nie było łąki. Była za to przepaść, większa i głębsza. Małe figurki nie stały już w kolejce, żeby się w nią rzucić. Wszystkie spadały.

Załatwiaczka przyśpieszyła kroku. Podeszła do figury, grzebiąc jednocześnie w kieszeni. Przystanąła przy koniu i wyciągnęła z kieszeni marker. Z nosem prawie przy gipsowym boku przyjrzała się wszystkim ludzikom wyraźnie, aż znalazła tego, który najbardziej przypominał ją samą. Dorysowała uczepioną do tej postaci linię sięgającą wysoko, aż do krawędzi przepaści.

Małgorzata zwyczajnie nie miała zamiaru rzucać się w otchłań. I już.

- Jak jest z tymi organicznymi artefaktami? - zapytała załatwiaczka Bena.

Przyszła do niego jak zwykle o skandalicznie późnej porze, wcześniej nie dała rady. Był czwartek, a ona chciała załatwić jak najwięcej przed piątkowym wieczorem. Wtedy musiała, po prostu musiała mieć wolne.

To właśnie była ta lina, która mogła wydostać ją z otchłani.

- Z artefaktami? Jest różnie - powiedział czarodziej. - Krąży wiele opinii i chyba żadne dwie nie są zgodne. Dalej masz kłopot z tym sercem?

- Prawie załatwione - zbagatelizowała Małgosia. - A coś poza sercem też może być takie ważne?

- Na przykład co?

- Cokolwiek. Wątroba, ucho, kawałek skóry...

Ben przyjrzał *jej* się uważnie. Umiał słuchać niewypowiedzianych słów.

- To zależy. Od intencji osoby, której je... hmmm... wycięto. Od intencji wycinającego. Od tego, jaki z nich zostanie zrobiony użytek. Ale podobno krew człowieka bez serca jest bardzo wartościowa.

Małgorzata podniosła głowę.

- Dlaczego?

- Dziedzina magii, która wykorzystuje takie substancje, jest poza obszarem moich zainteresowań - powiedział ostro.

Załatwiaczka też umiała czytać między wierszami. Miał na myśli nielegalną czarną magię.

- Rozumiem.

- To jak, masz kłopoty z tym zleceniem?

- Nie - pokręciła głową. - To tak przy okazji. Byłam ciekawa. Nie po to przyszłam.

Spojrzał na nią pytająco. Siedzieli jak zwykle w jego zagraconym salonie pomiędzy ulotkami, albumami z krajobrazami, książkami o społeczeństwie obywatelskim. Wszystkim tym, wokół czego obracał się świat Bena.

Małgosia nabrała powietrza.

- Wyjeżdżam - powiedziała. - Nie wiem, na jak długo. Pomyślałam, że powinnam cię uprzedzić. Lubisz wiedzieć, co się dzieje w okolicy.

- Praca? - Uniósł brwi lekko zaniepokojony. W Exeter zawsze była załatwiaczka. No, w każdym razie od kilkudziesięciu lat, od czasu gdy osiadła tu pani Willoughby. Najpierw ona, potem Małgorzata. Żadna z nich nie wyjeżdżała inaczej niż z przymusu, z powodu zleceń.

Żaden z tych wyjazdów nie był na tyle istotny, żeby go o nim informować.

Przypomniał sobie kontrolę z Korporacji, która ledwie kilka dni temu dała Małgosi spokój.

- Masz kłopoty?

- Nie, po prostu potrzebuję wakacji - stwierdziła. - Jadę do domu. Już. Teraz. Niedługo. Pójdę na spacer z psem, załatwię sobie turnus w sanatorium, wizytę u fryzjera. Przypomnę sobie, co to znaczy żyć. Nie zdziw się, jeśli któregoś dnia mnie nie będzie. Potrzebuję

przerwy, odpoczynku. W razie czego znasz mój numer telefonu. Ale lepiej nie dzwoń. - Załatwiaczka wstała, szykując się do wyjścia.

- Nie będę - obiecał czarodziej. Też wstał gotów odprowadzić ją do drzwi. Może nawet do furtki. Wiedział, że to może być pożegnanie na długo. To Małgorzata miała wypisane w oczach. - A ten facet z ubezpieczalni?... - zapytał ostrożnie. - Nie ułożyło wam się?

Załatwiaczka była wyraźnie zdziwiona, że Ben poruszył ten temat. Ostatnio coś wszyscy chcieli wiedzieć, co u niej słychać. Prywatnie.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała. Przynajmniej czarodziej nie był Alanem. Pytał z życzliwości i troski, bez żadnych złośliwych komentarzy. - Wszystko układa się całkiem nieźle. Ale i tak nic z tego nie będzie - zaskoczyła tym stwierdzeniem nie tylko Bena, ale i siebie. - Ja to wiem, ty to wiesz... wszyscy to wiedzą. Nie mam szans. Nie przez najbliższe dziewięć lat. Potem pewnie też już nie. A mimo to spróbuję. Nie jestem lemingiem, spróbuję ominąć przepaść. Może mi się uda.

- Widziałś konia - domyślił się czarodziej.

Małgosia skinęła głową.

- Więc wiesz, że jest już za późno.

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Lina - wyjaśniła, otwierając drzwi wyjściowe. - Wszystko, czego potrzebujemy i ty, i ja, to długi kawałek liny.

Ben wyszedł za nią do ogródka. Zdawał się kontemplować jej słowa, ale tylko przez chwilę. Potem coś odwróciło jego uwagę. Zapatrzył się na ulicę oświetloną tylko przez latarnie.

- Co jest? - zapytała Małgorzata.

Czarodziej powoli, jakby z wahaniem, oderwał wzrok od ciemności obejmującej jego dom, ulicę, całe miasto.

- Nie ma jej - powiedział po prostu. Mrok był pusty, czuł to.

- To chyba dobrze, prawda? - zauważyła załatwiaczka. Od razu wiedziała, o kim on mówi. I wcale jej nie dziwiło, że wampirzycy nie ma przed jego domem. Gdyby tylko spróbowała przekroczyć granice administracyjne Exeter, ściągnęłaby na siebie w pierwszej kolejności woźnych z trybunału, a w drugiej karę więzienia za złamanie postanowień sądu.

Ben spojrział na Małgorzatę, jakby widział ją po raz pierwszy. Wydawał się przez jedną chwilę dziwnie kruchy i bezradny.

- Nie wiem - stwierdził.

Małgosia zatrzymała się przy furtce. Wyglądała, jakby toczyła ze sobą wewnętrzną walkę. Ciężko było stwierdzić, wygrała ją czy przegrała.

- Może jednak zadzwoń - powiedziała z wahaniem - jak już będziesz wiedział.

Do piątkowego wieczoru załatwiacze udało się uporać ze wszystkim. Prawie wszystkim, zlecenie na przywrócenie serca wciąż było niezrealizowane, ale na dobrej drodze.

Po raz pierwszy od jakichś dziesięciu miesięcy miała wieczór tylko dla siebie.

A właściwie nie tylko dla siebie.

Co prawda zabrakło czasu, żeby się przebrać, ale to nie stanowiło problemu. Dominik nigdy nie widział jej w niczym innym niż w ogrodniczkach, więc nie było się czym przejmować.

Ale mimo to zdmuchnęła warstwę kurzu z kosmetyczki i wyciągnęła błyszczyk.

W końcu to randka.

Tak jak się umówili, półtroll czekał przed kinem. Młode dziewczyny obrzucały go pełnymi ciekawości, ale też kuszącymi spojrzeniami. Ktoś taki jak on łatwo wpadał płci pięknej w oko, i to na długo. Był wysoki, przystojny, wysportowany i wyglądał prawie jak człowiek. I w tym wypadku „prawie” nie robiło żadnej różnicy.

Kiedy Małgosia wysiadała z taksówki, na twarzy Dominika pojawił się szeroki uśmiech. Zawsze się uśmiechał, kiedy ją widział. Zupełnie jakby jego mięśnie twarzy miały w sobie fotokomórkę reagującą na nią i tylko na nią.

Małgorzata zauważyła, że odpowiedzenie mu uśmiechem przychodzi jej zaskakująco łatwo. Fotokomórka działała w obie strony.

Nie zdążyła jeszcze całkiem wydostać się z taksówki, kiedy zadzwonił jej telefon. Na dźwięk dzwonka i ona, i półtroll zeszywnieli. Oboje dobrze wiedzieli, co to oznacza.

Załatwiaczka już się nie uśmiechała. Spojrzała na Dominika przepaszająco i dłonią dała znak taksówkarzowi, żeby jeszcze nie odjeżdżał. Najpierw musiała sprawdzić, kto i po co dzwoni.

Kiedy tylko spojrzała na wyświetlacz, wyraz jej twarzy gwałtownie się zmienił. Jeszcze zanim podniosła głowę, a jej wargi ułożyły się w ciche „przepraszam”, półtroll wiedział, że z kina nic nie wyjdzie.

Trudno. Zacisnął dłonie w pięści, ale powtórzył sobie, że trudno. Miał jeszcze dziewięć lat, żeby próbować. Dziewięć lat to szmat czasu.

Małgosia cofnęła się do taksówki. Telefon odebrała, siedząc już w środku. Słuchając swojego rozmówcy, spoglądała ponad ramieniem Dominika na gipsową rzeźbę stojącą przed kinem. Jeszcze było jasno, więc koń się nie ruszał. Dzięki temu łatwiej było dziewczynie obejrzeć to, co na nim wymalowała druidka. Serce. I jeszcze jedno serce w środku tego większego. I kolejne. Coraz mniejsze serca w sercu nieskończoną ilość razy. A to największe, mieszczące w sobie wszystkie inne, oplecione czymś, co wyglądało jak lina okrętowa.

Słowa, które dobiegły Małgorzatę ze słuchawki, wcale jej nie zaskoczyły.

Serce było gotowe.

Musiała wykonać kilka telefonów. Po pierwsze, uprzedzić lekarzy w Niemczech. Serce mogło do nich dotrzeć w każdej chwili wraz z ochraniającym je półtrolem z ubezpieczalni. Nie był to Dominik, ale ktoś z innego oddziału.

Po drugie, powiedzieć Alanowi, że za kilka godzin będzie miał nowe serce.

To wszystko zdążyła zrobić, zanim taksówkarz zawiózł ją na lotnisko. Samolot, który zgodnie z zaleceniami od kilku dni czekał w gotowości, był właśnie przygotowywany do startu.

Załatwiaczka oparła się o ścianę hangaru i czekała.

Nie udało jej się. Nie ominęła przepaści. Nie miała szans. Ale kiedy tak spoglądała na płytę lotniska, przyszło jej do głowy, że chyba za łatwo się poddała.

Widać nie była aż tak silna i zdecydowana, jak sądziła. A może... sama nie wiedziała, jaki mógł być inny powód.

Niemal jednocześnie obsługa naziemna zakończyła przygotowania i jedyny pasażer dotarł na lotnisko. Małgosia obserwowała, jak wsiadał do samolotu. Kiedy wchodził po schodkach na pokład, rzucił jedno spojrzenie w jej stronę. Dziewczyna stała dość daleko od maszyny, ale Alan ją zauważył, w jakiś dziwny sposób była tego pewna.

Czekała przy hangarze, póki samolot nie wystartował. Ledwo maszyna wzleciała w już ciemne niebo, na pasie startowym coś się pojawiło. Koń. Cały zielony, pokryty drobnym wzorkiem. Dopiero kiedy przygalopował, Małgorzata dostrzegła, co to był za rysunek. Zielony grzbiet oplatała starannie wymalowana gruba lina. Spomiędzy jej splotów wystawały małe czarne serduszka.

Małgosia sięgnęła po telefon.

Potrzebowała wakacji. Bardziej niż kiedykolwiek.

Załatwienie sobie biletu na najbliższy samolot odlatujący do Polski nie było problemem. Podobnie jak dopilnowanie, żeby samolot po drodze, nieplanowo, wylądował w Niemczech. Nie na długo, tylko na kilka minut. To wystarczyło, żeby jedna pasażerka wysiadła.

Zorganizowanie międzylądowania zajęło Małgorzacie pół godziny. Sama nie była do końca pewna, co ją napadło, żeby nagle zaraz po starcie wyciągnąć komórkę.

Musiała się schować w toalecie, bo stewardesy przemierzały pokład, sprawdzając, czy pasażerowie respektują zakaz używania telefonów. Małgosia go nie respektowała, ale jakoś udało jej się nie doprowadzić przy tym do rozbicia samolotu.

Ale do lądowania awaryjnego owszem.

Nie musiała martwić się o bagaż, bo żadnego nie miała. Na Heathrow przyjechała prosto z lotniska w Exeter. Bez walizek, bez obciążeń. Tylko komórka i notes. Plus mała skrzyneczka pełna leków, tak na wszelki wypadek.

Kiedy załatwiaczka wychodziła z samolotu, odprowadzana zdziwionymi spojrzeniami innych pasażerów i załogi, przyszło jej do głowy, że może powinna się jednak postarać o jakiś bagaż. W końcu w Polsce czekała rodzina... należało zachować pozory i przywieźć pamiątki.

Idąc po płycie lotniska do czekającego na nią samochodu, wybrała numer Klanu.

Walizka z pamiątkami. Banał. Załatwienie jej nie było problemem.

Kiedy Alan otworzył oczy, zobaczył dziwną biało-fioletową chmurkę. Dopiero kiedy kilka razy zamrugał, chmurka zmieniła się w bladą twarz załatwiaczki otoczoną włosami koloru oberżyny.

Nie była tym, co spodziewał się zobaczyć, kiedy narkoza przestanie działać. Była niespodzianką. Siedziała na krześle przy jego łóżku i patrzyła w ścianę.

- Już po wszystkim - powiedziała, kiedy tylko zauważyła, że się obudził. - Masz nowe serce.

- Co tu robisz?

Małgosia wzruszyła ramionami. To akurat sama chciałaby wiedzieć.

- Musiałam się upewnić, że zlecenie zostanie zrealizowane. - Tak, to było zadowolające wyjaśnienie. Bardzo prawdopodobne. Sama postanowiła w nie uwierzyć. - Zostało, bez żadnych komplikacji. Masz nowe serce, chociaż potrwa kilka lat, zanim urośnie do normalnych rozmiarów.

Alan zamknął na chwilę oczy, jakby wsłuchiwał się w siebie, szukając bicia serca, którego nie słyszał od czterech lat.

- Nic nie czuję. - Jego głos wydawał się bardziej martwy i chłodny niż zazwyczaj. - Nic się nie zmieniło.

- Zmieniło się - poprawiła go Małgorzata. - Słyszałeś, co powiedziałam: potrwa, zanim twoje serce się rozwinie. Nawet kilka lat. Ale wierz mi, masz je.

- Skąd możesz wiedzieć? - parsknął. Mocno wątpił, że dziewczyna przez całą operację patrzyła lekarzom na ręce. Na to, że szalony genetyk dał im serce, a nie na przykład drugą wątrobę, mieli tylko jego słowo. Ludziom nie można było ufać...

- Wiem - powiedziała spokojnie załatwiaczka. - Twoje oczy. Są brązowe.

Sięgnęła do kieszeni. Kiedy poprzedniego dnia wychodziła na spotkanie z Dominikiem, zabrała ze swojej od dawna nieużywanej kosmetyczki dwie rzeczy: różowy błyszczak i małe kieszonkowe lusterko.

Lusterko miało kształt serduszka.

Podąła je swojemu już byłemu zleceniodawcy.

- Sam zobacz - zaproponowała, wstając. - Możesz je zatrzymać. - Poruszyła lusterkiem. Dopiero teraz dotarło do niej, jak zabrzmiały jej słowa. Uśmiechnęła się. Niechący wyszedł jej całkiem zabawny żart.

Alan, chociaż może to było tylko wrażenie, też się uśmiechnął.

- Do zobaczenia - powiedział, kiedy dziewczyna stała już w drzwiach. - Nigdy nie lubiłem mówić „żegnaj” - dodał jakby na usprawiedliwienie.

Małgosia kiwnęła głową na znak, że rozumie.

- Do zobaczenia. Na końcu świata albo gdzieś w jego okolicy.

Wyszła.

ZAŁATWIACZKA

Na fotelu siedziała załamana załatwiaczka. Często bywała nie w humorze, ale tym razem miała minę leminga, który pobiegł rzucić się w przepaść, do morza, i odkrył, że na miejscu planowanego skoku wybudowano wygodny most i autostradę i jedyne, co może zrobić, to dać się przejechać. Niby skutek ten sam, ale coś nie gra. Znad zwiniętych w pięści dłoni, na wpół ukrywających jej twarz, wyglądały niebieskie oczy pełne desperacji i beznadziei.

- Mogłabyś się tak nie gapić? - zaproponował desperacko czarodziej. Czuł się jak brzytwa, którą próbuje złapać *tonący*.

Załatwiaczka nachmurzyła się jeszcze bardziej, dla odmiany skrzyżowała ręce w okolicach żołądka i skoncentrowała spojrzenie na wyłączonym telewizorze. Właściwie to było jeszcze gorsze.

- Małgosiu... - powiedział błagalnie czarodziej. Czuł na sobie presję psychiczną, której nie znośił. Już wystarczająco trudne było godzenie pracy ze studiami. Chodzenie na wykłady, wieczorne piwo z kolegami z roku, a do tego jeszcze otwarta praktyka czarodziejska i konieczność zaliczania kolejnych punktów trochę mu ciążyły. Ratowania świata nigdzie w jego zapchanym rozkładzie zajęć nie dało się upchnąć, ale jak odmówić komuś, kto pierwszy raz walnął cię łopatką w piaskownicy?

Dopiero w liceum ich drogi się rozeszły, ale kiedy kilka lat później Małgosia została Miss Studentek, Jacek z dumą chwalił się kumplom z roku znajomością z nią. Potem podobno wyjechała na stypendium zagraniczne. I jak się właśnie przekonał, znalazła sobie tam bardzo ciekawą pracę...

A teraz wróciła, jak przypuszczał, na wakacje do rodzinnego miasta. I od razu wpadła w kłopoty. Bo czy inaczej teraz krzywiłaby się tak dramatycznie do telewizora?

- Nie jęcz mi tu - rzuciła ponuro - tylko powiedz, co robić.

Czarodziej podrapał się w głowę. Był jeszcze młody, obficie zapuszczona broda a la młody Obi-Wan nie dodawała mu specjalnie powagi. Miał jednak talent i, co istotniejsze,

chodził z Małgosią do podstawówki. Wprawdzie wtedy była miłą, grzeczną i dobrze uczącą się dziewczynką, a teraz rozkochaną, zaniedbaną i nieszczęśliwą młodą kobietą w ogrodniczkach z wiecznie powypychanymi kieszeniami, jednak pewnych rzeczy się nie zapomina.

Wziął głęboki oddech i postanowił zacząć od podstaw. To dawało mu szansę wyrobienia sobie zdania, co się tak właściwie stało. Na razie był pewien tylko dwóch rzeczy: po pierwsze, że światem nie jest najlepiej. Po drugie...

- Dałaś mi maszynę czasu? - zapytał, siląc się na ton poważny i profesjonalny. Wyszło mu trochę zbyt grobowo.

Załatwiaczka zaczęła kiwać głową - najpierw energicznie, a potem coraz smętniej.

- Jak cię znalazł?

Wzruszyła ramionami.

- Może po prostu opowiedz mi wszystko od początku - zasugerował desperacko Jacek, licząc, że to mu da przynajmniej czas do namysłu. Nie znał się na maszynach czasu, właściwie to od fizyki bolała go głowa. Lubił magię i marketing.

Z Małgosi aż promieniowała fatalistyczna pewność, że to i tak nic nie pomoże, ale zaczęła opowiadać.

Zaczęło się dzień po tym, jak wróciła do domu na wakacje. Właściwie to w zawodzie załatwiaczki coś takiego jak urlop nie istniało, ale ten drobiazg jej chwilowo nie obchodził. Ostatnio nadmiar koszmarnych obowiązków po prostu ją przerósł. W Anglii teoretycznie nic jej nie trzymało, jakimś cudem udało *jej* się zaliczyć rok i na uniwerku miała wolne do października. Więc kiedy życie zrobiło się naprawdę podłe i brutalne, po prostu załatwiła sobie bilet na najbliższy samolot do Polski. W końcu nie ma jak w domu.

Miała już za sobą pierwszą reakcję rodziny połączoną z załamywaniem rąk i pytaniami, co ona z siebie zrobiła... Rok wcześniej Lublin opuściła śliczna dziewczyna, a wróciło zaniedbane, zmęczone i blade nie-wiadomo-co. Przekonanie prababci, że narkotyki nie miały z tym wszystkim nic wspólnego, zajęło Małgosi całe popołudnie, zwłaszcza że musiała trochę naciągnąć prawdę. Gdyby nie farmaceutyki, już dawno by wysiadła psychicznie i fizycznie. Ale pobyt w domu powinien to wszystko zmienić. Ogrodniczki i trampki leżały schowane na dnie szafy, a na następne kilka dni miała zamówione wizyty u najlepszego

fryzjera, u kosmetyczki oraz zarezerwowany turnus w sanatorium w Nałęczowie. No i chciała jeszcze zrobić większe zakupy.

Wszystkie te piękne plany trafił szlag późnym wieczorem, kiedy wyszła na spacer z psem. Trochę się potykała na chodniku, bo zdążyła odwyknąć od obcasów, ale ogólnie była szczęśliwa. Po raz pierwszy od dawna miała czas dla siebie, mogła się wystroić, uczesać i zacząć przypominać osobę, którą jeszcze niedawno była.

Kiedy w krzakach coś zaszeleściło, a jamnik zaczął warczeć złowrogo, Małgorzata niespecjalnie się przestraszyła. Na zboczeńców, złodziei i tym podobnych miała rozpylacz z inteligentnym gazem paraliżującym, który nigdy nie wszedł do produkcji i zalegał od lat w jednym z magazynów służb specjalnych. Poza tym, jak każda załatwiaczka, była objęta ubezpieczeniem od wypadków nagłych, co oznaczało, że gdyby jakiś idiota ją zaatakował, natychmiast zajęłaby się nim grupa interwencyjna z ubezpieczalni, a to były rosłe półtrolle, świetnie łączące starożytne dalekowschodnie sztuki walki z nowoczesnym kijem bejsbolowym. Z jednym z nich nawet kiedyś umówiła się do kina, ale nic z tego nie wyszło: jak zwykle zamiast na randkę musiała pędzić coś załatwić.

Ale tego dnia była w wyjątkowo dobrym humorze, więc wyciągnęła z kieszeni gaz i wstrząsnęła pojemniczką. Postanowiła biednego przestępcę spacyfikować bez użycia przemocy, niech i on ma coś z życia.

Kiedy ukrywający się w krzakach mężczyzna wreszcie wylazł na ulicę, co prawda wycelowwała w niego rozpylacz, ale się zawahała. Takiej ofiary losu nie widziała już od dawna. Facet był wysoki, miał z metr osiemdziesiąt wzrostu, do tego tak chudy, że przypominał szczapę. Z cienkiej szyi wyrastała głowa pokryta przydługimi, tłustymi i ulizanymi włosami. Pół twarzy zasłaniały okulary z grubymi szklami, fasonu, który był modny ze dwadzieścia lat temu i nigdy do mody już nie powrócił. Indywiduum miało białą koszulę wsadzoną w jasnoniebieskie dżinsy, w ręku siatkę z materiału, z gatunku tych ulubionych przez moherowe babcie.

Małgorzata doszła do wniosku, że nieznajomy złodziejem na pewno nie jest, za to zboczeńcem - czemu nie. Nastrój życzliwości do świata kazał jej przytrzymać mocniej na smyczy wrywającego się jamnika i dać popaprańcowi szansę.

- Zmykaj, bo cię psem poszczuję.

Zboczeniec nie wyglądał na chętnego do zmykania, gapił się na nią, a jego przerażająco wielkie okulary powiększały mu oczy do rozmiarów patrzalek muchy siedzącej pod mikroskopem.

- Nie to nie - potrząsnęła wymownie rozpylaczem.

Facet nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Potrzebuję... - zaczął głosem o dość jęklwym brzmieniu i poprawił się natychmiast jak dziecko w szkole, które z nerwów zapomniało roli wyuczonej na przedstawienie dla rodziców: - Załatw mi... coś.

Dziewczyna natychmiast opuściła pojemnik z gazem, choć miała ochotę roztrzaskać mu go na głowie. Przyjechała do domu na wakacje odpocząć od swojej przeklętej pracy. Miała takie wspaniałe plany: trzy tygodnie tylko i wyłącznie dla siebie, żeby wreszcie przypomniła sobie, co oznacza termin „życie prywatne”. Ale nie. Wszystko sypnęło się w gruzy. Punkt pierwszy regulaminu: „Załatwiaczka nie może odmówić przyjęcia zlecenia, którego zleceniodawca użył oficjalnej formuły”. Westchnęła więc tylko ciężko i wzięła na ręce szarpiącego się jamnika. W regulaminie nie było nic o psach gryzących zleceniodawców, ale obawiała się, że spożycie kawałka takiego dziwaka mogłoby pupilowi zaszkodzić.

- Co konkretnie mam załatwić? - zapytała.

Niezdecydowanych nie lubiła najbardziej. Załatwiaczka to nie sprzedawca, nawet jej na zleceniach nie zależy. Nie do niej należy namawianie do korzystania z usług. Jeśli już ktoś chce, żeby mu coś załatwić, to niech wie, czego chce! Niezdecydowani powinni najpierw iść do czytacza marzeń, a potem dopiero zawracać jej głowę. Choć oczywiście czytacz liczyli sobie od zlecenia, a działalność załatwiaczy była finansowana z budżetu, dla zleceniodawców teoretycznie bezpłatna. Więc do Małgosi pchał się każdy, kto wiedział, gdzie jej szukać. A ona musiała załatwiać sprawy dla każdego, choć zdecydowanie wolała, gdy przychodzili tacy, co wiedzieli, czego im potrzeba: niechby to była teczka z tajnych archiwów KGB albo artefakt ukryty gdzieś u źródeł Amazonki, byleby mówili konkretnie.

Ten na pewno nie wiedział, czego właściwie chce - widać to było po wzmożonym wysiłku myślowym, który odmalował się na nieciekawej fizjonomii. Ale przypało: wypowiedział formułkę, a formułka rzecz święta.

- Przedmiot, kontakt czy informacja? - zapytała.

Chudzielec wytrzeszczył oczy. Aż dziwne, że wystające gały nie strąciły mu okularów z nosa. Dziewczyna zakłęła w duchu. Miała do czynienia z kimś, kto nawet nie czytał regulaminu pracy załatwiaczy. Pewnie dostał namiary na nią od kogoś, kto dostał je od kogoś, a ten od jeszcze kogoś innego. Najbardziej dołujące było to, że ci ktosie znali nawet adres jej rodziców. To oznaczało, że praca dopadnie ją wszędzie, prawdopodobnie nawet na bezludnej wyspie.

Niby mogła takiego nic niewiedzącego kołka wykiwać, namotać mu w głowie i mieć znowu wolne, ale regulamin był bezlitosny.

- Załatwiam trzy rodzaje spraw - powiedziała monotonie, bo nudziło ją już samo wyklepywanie tych samych wyjaśnień po raz kilkusetny. - Przedmioty. Kontakty do usługodawców, którzy mogą wykonać konkretną usługę. Informacje na konkretny temat. Czego ty chcesz?

Zastanawiał się nawet dość szybko. Oczy za grubymi szklami mrugały jak u szaleńca. Małgorzata zaczęłaby mieć złe przeczucia, gdyby nie to, że już dawno odechciało jej się cokolwiek przeczuwać. Załatwiaczki nie obowiązywały normy ani, co ważniejsze, współodpowiedzialność. Ktoś chciał namiary na zawodowego zabójcę - dostawał je. Ktoś chciał zniszczyć komuś życie - dostawał weksel in blanco z zamaszystym podpisem ofiary.

Niektórzy twierdzili, że właśnie dlatego załatwiaczy jest tak mało. Bo inaczej byłiby zbyt niebezpieczni. Małgorzata miała na ten temat inne zdanie. Uważała, że nikt normalny nie zgodziłby się wykonywać takiego zawodu, gdyby wiedział, co to naprawdę oznacza. Każdy zdrowy na umyśle uciekłby raczej na Księżyc. A jeśli już nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności podpisał kontrakt, rzuciłby to wszystko zaraz po jego wygaśnięciu. Chyba że przez te dziesięć lat już kompletnie zapomniał, jak to jest mieć własne życie.

- No? - pomogła. Jamnik Barbados wił się na jej rękach niczym węgorz, usiłując dosięgnąć szpiczastym pyskiem zleceniodawcy.

Chudzielec skończył się namyślać.

- Załatw mi przedmiot - powiedział.

Załatwiaczka w myślach strzeliła sobie w łeb. Chociaż nie, strzeliła jemu w łeb. To byłoby o wiele przyjemniejsze.

- Jaki? - zapytała kamiennie spokojnym głosem. Facet był wyraźnie zdeorientowany. Poprawił okulary na nosie.

- Mogłabyś mi może doradzić?

Pistolet w myślach Małgorzaty zamienił się w armatę.

- Ja nie jestem od doradzania. Ja załatwiam. Albo mówisz, czego chcesz, albo... - Nie mogła go tak po prostu spławić, w końcu już złożył zlecenie. - ...załatwię ci zamiar na najbliższego czytacza marzeń, ale uprzedzam, że oni liczą sobie podwójnie: od godziny i od każdego sprecyzowanego marzenia.

- Nie, nie, nie! - Zleceniodawca zamachał rękami niczym miniwiatrak. Siatka, którą wciąż trzymał w dłoni, prawie walnęła dziewczynę w głowę. - Ja wiem, o czym marzę. Potrzebuję... przedmiotu, który pomoże mi zrealizować marzenia. - Popatrzył na nią wyczekująco.

Załatwiaczce kończyła się już cierpliwość.

- Ja nie czytam marzeń - powiedziała z naciskiem. Była zdania, że regulaminem załatwiaczy należałoby wyplakatować przystanki. Chociaż z drugiej strony wtedy więcej osób wiedziałoby o ich istnieniu, a to oznaczałoby więcej, o wiele więcej zleceń. No chyba że zaczęliby czytać mały druczek, którym zapisano informacje o teoretycznie bezpłatnych usługach na rzecz społeczeństwa. - Ja załatwiam konkretne rzeczy. Jeśli nie nazwiesz tego, czego chcesz, nie będę mogła zrealizować zlecenia.

Pokiwał głową, więc chyba do niego dotarło, co powiedziała.

- Potrzebuję czegoś, co pozwoli mi się zmienić - zaczął.

- Chirurg plastyczny? - podsunęła Małgorzata. Było to lekkim nagięciem zasad, ale robiło się coraz chłodniej, a ona nie wzięła swetra. Do tego Barbados cały czas się wiercił.

Dziwak potrząsnął głową.

- Zmienić wewnętrznie...

- Psychoanalityk?

- ...zmienić czas, który spędziłem w szkole... - ciągnął, patrząc gdzieś ponad jej głową w ciemność nocy.

- Dyplom wyższej uczelni?

- ...kontakty z kolegami z podwórka...

- Wejściówka na zjazd z okazji dziesięciolecia matury w jakimś renomowanym liceum? - Załatwiaczka była już w desperacji. Jamnik wiercił się coraz bardziej. Prawdopodobnie poczuł nagłą potrzebę fizjologiczną. Najlepiej byłoby go postawić na trawie, żeby mógł sobie ulżyć, ale dziwak wyraźnie rozpraszał Barbadosa, a zaznaczanie swojej obecności na osiedlowej zieleni to czynność wymagająca skupienia.

- ...i z rodzicami...

- Adopcja wstecz?

- ...zmienić wszystko, co było. Całe moje życie.

Pupil zaczął popiskiwać na rękach dziewczyny.

- Wehikuł czasu? - rzuciła nieuważnie Małgorzata, marząc w duchu, żeby facet wreszcie sobie poszedł.

- Tak! - Prawie podskoczył. - Tak, tak, tego mi właśnie potrzeba! - Wymachiwał gorączkowo rękami, a także siatką. - Załatw mi wehikuł czasu!

- Dobra - zgodziła się pośpiesznie załatwiaczka, a jemu aż szczęka opadła ze zdumienia. Co innego chcieć, co innego dowiedzieć się, że to możliwe. - Jutro.

- Jutro? - powtórzył osłupiały.

- Jutro, tutaj o tej samej porze - rzuciła przez ramię, odchodząc. Jeśli uda jej się wyrobić w jeden dzień, to wprawdzie wizytę u fryzjera szlag trafi, ale zdąży do kosmetyczki i na turnus do sanatorium.

Kilka metrów dalej postawiła Barbadosa na trawie i mogli wrócić do przerwane go spaceru. Dziwny typ dalej stał tam, gdzie go zostawiła, nie musiała się nawet odwracać, żeby to wiedzieć. Jeśli chce, to niech sobie stoi aż do następnego wieczoru. Ona ma na głowie jamnika, no i wehikuł czasu.

Kiedy pies łaskawie wrócił do domu, Małgorzata bez słowa podeszła do swojej szafy i wyszperała schowane pracowicie ogrodniczki. Z jednej z wypchanych kieszeni wyciągnęła nieduży, ale gruby kołono tatnik wypchany do granic możliwości dodatkowymi karteczkami, wizytówkami i mapkami naszkicowanymi na papierowych serwetkach. Notes w całości utrzymywały tylko dwie gumki recepturki: jedna czerwona i jedna niebieska. Załatwiczka zdjęła je, a wtedy stosik papierów wysypał się na wolność. Zaczęła je zbierać i upychać z powrotem. Na kartkach zeszytiku i na tych luźno wetkniętych było około miliona, czy może nawet dwóch milionów adresów do różnych ludzi i instytucji - od zakładu kowalstwa artystycznego pod Lublinem po rezydenta CIA w Kolumbii. Od elektrowni atomowej po Okręgową Komisję Egzaminacyjną. Od kolekcjonera skuwek do długopisów po zdobywcę Nagrody Nobla. Od zamawiaczki pogody z rosyjskiej wsi po alchemika z tytułem profesora trzech uniwersytetów. I dodatkowo, starannie wypisane na końcu notesu, namiary na dziewięćdziesięciu dziewięciu pozostałych załatwiczki.

Była ich w sumie tylko setka, co, jak obliczyła sobie Małgorzata dla osobistej satysfakcji, dawało sześćdziesiąt milionów ludzi na jednego załatwiczka. Nawet przy założeniu, że tylko co dwudziesty, a może nawet co pięćdziesiąty człowiek wiedział o ich istnieniu - stanowczo za dużo.

Te wszystkie proste działania matematyczne przeprowadziła miesiąc po otrzymaniu licencji, kiedy jeszcze nie miała dość pracy i kiedy dopiero zaczynała zaniedbywać swój image młodej, pięknej i inteligentnej.

Teraz, już nawet nie tracąc czasu na utyskiwanie na swój los, przebrała się w strój roboczy, narzucając na bluzkę jeszcze sweter, bo robiło się chłodno. Wyszła na balkon, żeby nie budzić ukochanej rodziny, która już zdążyła ułożyć się do snu. Załatwiczka nie miała na to czasu, zresztą już od kilku miesięcy. Przed tragicznymi skutkami niedosypiania chronił ją nowy, rewolucyjny lek, którego nie opatentowano i nie wdrożono do produkcji, bo twórcę zadźgał nożem kuchennym mąż jego kochanki, służbowo szef komisji zatwierdzającej farmaceutyki do masowej produkcji. Małgorzata na samym początku pracy załatwiła sobie

regularne dostawy specyfiku z małej nielegalnej fabryczki w Ameryce Południowej i do dziś uważała, że była to jedna z najmądrzejszych rzeczy, jakie zrobiła w życiu.

Z kieszeni wyciągnęła służbową komórkę, na której widok James Bond zjadłby własne buty z zazdrości. Wybrała numer.

Załatwianie, choć otoczone nimbem magii i tajemniczości, w niczym nie przypominało widowiskowych zaklęć typu „stoliczku, nakryj się”. W praktyce oznaczało kilkanaście godzin najzwyczajszego dzwonienia i kartę stałego klienta w firmie kurierskiej.

Najtrudniej było się dowiedzieć, jakie części będą potrzebne. Potem pozostało tylko je zlokalizować i zlecić kurierowi dostarczenie ich do osoby będącej w stanie wszystko poskładać.

Następnego dnia punktualnie o jedenastej wieczorem Małgorzata wyciągnęła zaspanego Barbadosa na spacer. Przed klatką czekał już na nią kurier z pudełkiem. Załatwiaczka uciszyła szczekającego psa, odebrała przesyłkę, na podsunętym papierku złożyła podpis i przystawiła służbową pieczęć. Kiedy kurier odjechał, a jamnik wreszcie przestał szczekać, otworzyła pudełko.

W środku znajdował się granatowy futerał i kilka kartek spiętych spinaczem. Małgorzata wyrzuciła pudełko do kosza na śmieci i dopiero wtedy obejrzała wyjętą z niego zawartość. W futerale było coś, co wyglądało na zegarek elektroniczny. Na kartkach ktoś wydrukował polską instrukcję i choć tłumaczeniu przydałaby się jeszcze solidna korekta, załatwiaczka uznała, że z grubsza wiadomo, o co chodzi. Obejrzała wszystko uważnie, upewniając się, że nie pozostał nawet ślad wskazujący na to, skąd pochodzi załatwiony przedmiot. Instrukcję zmięła i wepchnęła do kieszeni ogrodniczek. Regulamin nic nie wspominał o zostawianiu zleciodawcy instrukcji, a Małgosia wierzyła, że utrudniając różnym świrom korzystanie ze sprzętu, jaki im załatwiła, czyni świat lepszym miejscem. I przy okazji udowadnia sobie i wszystkim ewentualnie zainteresowanym, że jeszcze nie poddała się znieczulicy, nie do końca.

Upewniwszy się, że papier nie wystaje z kieszeni, pociągnęła psa w stronę krzaczków, obok których majaczył już chudy cień błyskający okularami odbijającymi światło latarni.

Barbados zaczął warczeć, więc przywiązała smycz do drzewka i dalej poszła sama. Dziwak już czekał ze swoją siateczką w rękę. Gapił się na załatwiaczkę, potem przeniósł wzrok na futerał, który wyciągała w jego stronę.

- Bierz - ponagliła, bo wyglądało na to, że mógł tak spędzić wieczność z tymi wytrzeszczonymi oczyma.

Gdy wziął wreszcie przedmiot, Małgorzacie od razu zrobiło się lżej na duszy.

- No to załatwione - oznajmiła, odwracając się i odchodząc pośpiesznie do szczekającego jamnika, zanim dziwakowi minie stupor i przyjdzie mu do głowy zapytać, jak w ogóle działają wehikuly czasu. Obowiązkiem załatwiaczki nie było jednak tłumaczenie, a tylko załatwianie. Nie miała też zamiaru czytać zabranej instrukcji. W szafie w akademiku miała schowane stare pudełko po kozakach, duże i pakowne, a w nim pomięte papiery pełne wskazówek typu: „Jak obsługiwać Windows 4000 i wyjść z tego z życiem”. Kiedy w pudle zaczynało brakować miejsca, korzystała z grilla znajomego, żeby makulaturę spalić. Tak na wszelki wypadek, żeby instrukcje nie wpadły w niepowołane ręce, a może też dla własnej złośliwej satysfakcji. Zadaniem załatwiaczy nie było ułatwianie ludziom życia, przynajmniej w regulaminie nic o tym nie napisano.

- A mimo to użył maszyny? - zapytał wyraźnie zatroskany Jacek. Siedział naprzeciw załatwiaczki i z nerwów wyrwał sobie włosy z głowy i bokobrodów.

Małgosia pokiwała głową.

- Może nie był takim głąbem, na jakiego wyglądał - stwierdziła szlachetnie. - W każdym razie szybko ją rozgryzł. Nawet nie zdążyłam pojechać do Nałęczowa, a od wczoraj mam zamówione miejsce w sanatorium. Teraz naprawia swoje życie, a przynajmniej tak mu się wydaje. - Wyciągnęła z kieszeni dwa pliki zszytych razem kartek. - Tak wyglądało jego życie... - położyła jeden stosik na stole przed sobą - ...a tak wygląda teraz. - Drugi plik kartek był w wyraźnie lepszym stanie, do tego za każdym razem, gdy się na niego spojrzęło, zdawał się wyglądać inaczej. - Nie wychodzi mu - powiedziała, rozprostowując dłońmi papier. - A ponieważ ciągle nie jest tak, jak by chciał, cofa się znowu. Zdążył już podbić oko własnemu ojcu, wepchnąć pod samochód wychowawcę i śmiertelnie wystraszyć kolegę z podwórka.

- Majstrowanie przy osnowie czasu i przestrzeni jest dość niebezpieczne - zauważył delikatnie czarodziej. - prawdę mówiąc, jest zakazane. Właściwie to powinienem na ciebie donieść do Urzędu Ochrony Rzeczywistości. - Był absolutnie pewien, że powinien. Ale przecież nie mógł tego zrobić koleżance z podstawówki, której tyle razy rzucał piłką w głowę na wuefie.

Małgorzata wzruszyła ramionami, tym jednym gestem kwitując wszystko, co się dzieje na świecie.

- Punkt siódmy regulaminu: „Załatwiaczka nie ponosi odpowiedzialności za użytek, jaki zleceniodawca zrobi z: a) przedmiotu, b) adresu usługodawcy, c) informacji otrzymanych od

załatwiaczki, pod warunkiem że zostały zachowane przepisy określone w punktach 2 do 6” - wyrecytowała.

- Jakie to przepisy?

- Przeczytaj sobie sam - zaproponowała wyraźnie zniechęcona Małgosia. - Mam dość zleceniodawców, którym muszę tłumaczyć, co mogę im załatwić, a czego nie. Powiem ci tyle: to zlecenie wykonałam w zgodzie ze wszystkimi przepisami.

- Dobrze, wróćmy do konsekwencji grzebania w czasie - powiedział Jacek, który zdecydowanie wołał roztrząsać kwestie przepisów, regulaminów i innych bzdur, niż zamartwiać się, co z tego wszystkiego wyniknie. Czas był o wiele bardziej zawity niż prawa popytu i podaży, o prostych zakłękciach nie wspominając.

- Są tragiczne. - Załatwiaczka zrobiła grobową minę.

- W teorii tak. - Czarodziej wstał i podszedł do okna. Rozsunął firanki. - Ale jak na razie świat ma się chyba dobrze.

- Tylko na razie - uświadomiła go dziewczyna. - Istnienie wehikułu czasu jest teoretycznie niemożliwe. Nagina czasoprzestrzeń w jakiś dziwny sposób. W końcu wszystko eksploduje. Już w tej chwili rzeczywistość zaczyna się rozmywać.

- Skąd wiesz? - Jacek gorączkowo zaczął przetrząsać szafki w poszukiwaniu czegoś, co pozwoli mu zbadać stan osnowy rzeczywistości. Jeśliby nic nie znalazł, zadowoliliby się puszką piwa. Albo lepiej dwiema.

- Jeden z moich stałych zleceniodawców dzwonił wczoraj. Chciał, żeby mu załatwić namiary na jakąś agencję nieruchomości mającą w ofercie działki w innym wymiarze. I jeszcze telefon do firmy transportowej, która może go tam przeprowadzić.

- I co? - Czarodziej wytrzeszczył na nią oczy. W teorii magii było coś o innych wymiarach, a mianowicie zalecenie, żeby zostawić te bzdury pisarzom SF, a samemu zajmować się poważnymi sprawami.

- A co ma być? Czekam na telefon od pośrednika, który współpracował z pośrednikiem, który... i tak dalej. Nie jest łatwo znaleźć taką agencję.

- Ale znajdziesz ją?

- Jasne, przecież to moja praca. Chociaż wcale mi się nie chce - przyznała szczerze. - No i niezależnie od tego, czyją znajdę czy nie, koniec będzie niewesoły. Więc pomyślałam, że trzeba coś z tym zrobić.

- I trafiłaś do mnie! - Jacek niby nie napuszył się z dumy, przynajmniej nie było tego po nim widać.

- Aha - zgodziła się załatwiaczka. - Załatwiłam sobie listę wszystkich niekonserwatywnie myślących czarodziejów, którzy jeszcze się do reszty nie zaplątali w magii teoretycznej, do tego w miarę aktywnych na polu praktycznym i mieszkających możliwie blisko moich rodziców. Nie miałam nastroju na dalsze wycieczki. A że znalazłam znajome nazwisko, to pomyślałam, że zawsze lepiej iść do kumpla.

- Mogłabyś jeszcze zgłosić to przełożonym - zasugerował Jacek, czując, że koniecznie musi się z kimś podzielić tą odpowiedzialnością za przyszłość świata. - Macie chyba jakieś procedury awaryjne?

- Nie mamy. Po co nam to zresztą, w regulaminie nie ma nic o naszej ewentualnej odpowiedzialności. Zresztą nawet jeśli, to i tak by nic nie dało. Mój szef nienawidzi świata. Nie mam pretensji - dodała wspaniałomyślnie - po pięćdziesięciu latach w tym zawodzie to normalne. Jeśli mu powiem, że wszystko szlag trafi, to zacznie kwiczeć z radości.

- Czyli... - zająknął się czarodziej.

- Jesteś jedyną nadzieją świata - dokończyła bezlitośnie Małgosia.

Jacek przełknął ślinę, mając nadzieję, że nie robi tego zbyt głośno. Praktykował dość kameralną magię, a jego niekonserwatywność polegała właściwie na czarowaniu podczas porannych powrotów do domu z jakiejś wesołej imprezy, kiedy humor dopisywał. W takich chwilach sprawdzenie, czy fiat 126p zmieści się na latającym dywanie, albo wystrzelenie z palców inteligentnych fajerwerków wskazujących właściwą drogę z pubów na lubelskiej starówce na miasteczko akademickie wydawało się świetnym pomysłem. Konieczność radzenia sobie z większym problemem odrobinę go przerosła, choć oczywiście nie przyznałby się do tego przed Małgosią, ale jednocześnie wpędziła w pewien rodzaj dumy. Oto on, sam jeden, miał ratować świat!

- Załatw mi drugą maszynę czasu - powiedział zdecydowanie, wysuwając podbródek w sposób podejrzany w filmach akcji. - Będę się cofał w czasie, żeby naprawić to, co tamten zepsuł.

- I tak do końca życia? - zainteresowała się ponuro dziewczyna.

- Nie, nie do końca... eee... - Jacek zauważył podstawową wadę swojego planu. - Cofnę się raz, żeby go unieszkodliwić! - Pobiegnął do kuchni i wrócił z nożem. Dużym, robiącym wrażenie, ale, niestety, trochę tęnym. - Z... zabiję go, zanim weźmie od ciebie maszynę.

- Nie uda ci się - powiedziała spokojnie załatwiaczka.

- Jak nie?! - wykrzyknął oburzony czarodziej. Miał wrażenie, że ktoś tu podważa jego machowatość, i to w tak krytycznej chwili. - Myślisz, że nie będę w stanie zabić człowieka, żeby ratować świat?

Małgorzata znowu wzruszyła ramionami.

- To akurat nie ma tu nic do rzeczy - wyjaśniła. - Nie uda ci się go zabić, bo paradoks pradziadka nie istnieje. Nie możesz cofnąć się w czasie, żeby zabić własnego pradziadka - wyjaśniła, ponieważ Jacek nie wyglądał na kogoś, kto rozumie, co się do niego w tej chwili mówi. - Gdybyś to zrobił i zabił staruszkę, zanim spłodzi twojego dziadka, nie mógłbyś się urodzić i co za tym idzie, nie mógłbyś się cofnąć w czasie, żeby zabić pradziadka, więc jednak byś się urodził i tak dalej. Ale do tego nie dojdzie.

- Nie? - Czarodziej już miał podrapać się nożem w głowę, ale w ostatniej chwili zrozumiał, że to nie najlepszy pomysł. Zamiast tego odłożył broń na stół i zaczął drapać się ręką.

- Nie - potwierdziła z mocą załatwiaczka. - Prawa fizyki złapią cię za rękę w decydującym momencie i staruszek ujdzie z życiem. Tak samo byłoby z tym facetem: przecież gdyby on się nie cofnął w czasie i nie napsuł, ty byś nie mógł się cofnąć, żeby posprzątać... Poza tym twoje cofanie się w czasie byłoby tak samo szkodliwe jak jego.

- Aha - Jacek postanowił udawać, że rozumie. - Skąd wiesz? - zainteresował się. Nie przypominał sobie, żeby w szkole Małgosia była dobra z przedmiotów ścisłych.

- Gadałam z jednym noblistą. Wyjaśnił mi wszystko.

- Czyli fizyka jest przeciw nam - wywnioskował czarodziej.

- Wiem - powiedziała z naciskiem załatwiaczka. - Dlatego przyszedłam do ciebie. Potrzeba tu magii.

- Tak, magii - zgodził się lekko nieprzytomnie Jacek. - A co z noblistą?

- Kupuje dom w innym wymiarze. - W kieszeni ogrodniczek coś zabrzączało. Małgosia wyjęła telefon i odczytała SMS-a. - O, właśnie, mam dla niego katalog z agencji nieruchomości! - Wstała z fotela. - To jak, wymyślisz coś?

- Ja... Tak, jasne - zapewnił czarodziej.

- Zadzwoń do mnie. - Wygrzebała z kieszeni wizytownik, a z niego wizytówkę. Nie było na niej nic poza numerem telefonu. - Służbowa - wyjaśniła. - Muszę odebrać przesyłkę i jeszcze znaleźć firmę od przeprowadzek. Cześć! - Wysłała, zamykając za sobą cicho drzwi. Przez okno Jacek widział, jak na ulicy dziewczyna odbiera przesyłkę od kuriera, sprawdza zawartość, a potem przepakuje do innej koperty i oddaje chłopakowi. Później odeszła, cały czas rozmawiając przez telefon.

Siedząc późną nocą na balkonie, Małgorzata smętnie przypominała sobie, że właściwie to od czterech dni powinna być w sanatorium dla podreperowania zdrowia, które jakimś cudem jeszcze działało... Może dlatego, że była młoda, a praca załatwiaczki na samym początku nawet ją bawiła. Przez jakieś dwa miesiące... Potem zaczęła ją irytować, później męczyć, wreszcie przyszedł prawdziwy kryzys, a teraz... Cóż, można powiedzieć, że dziewczyna pogodziła się z losem. Kontraktu nie można zerwać, musi zostać wypełniony. W siedzibie Korporacji pełno było plakatów z hasłami o elitarności - w końcu była ich tylko setka. Setka frajerów, jak dodawała w duchu Małgosia. Liczących lata, miesiące, dni do upłynięcia kontraktu i mających fałszywą nadzieję, że potem jeszcze czeka na nich jakieś życie.

Siedziałyby na balkonie jeszcze długo w towarzystwie Barbadosa, który ułożył się do snu z łbem opartym na jej stopie, gdyby nie zadzwonił telefon. Wyciągnęła go niechętnie z kieszeni. Dopiero co uporała się wreszcie ze zleceniem fizyka noblisty. Pocieszające było to, że gdyby ktoś następny chciał się przenieść do innego wymiaru, miała pod ręką adres firmy od przeprowadzek i agencję nieruchomości. Zresztą na wypadek, gdyby świat jednak ocalał, wciągnęli ją tam na swoją listę subskrypcyjną. Ludzie z działu marketingu doskonale wiedzieli, że kluczem do sukcesu jest wysyłanie najnowszych katalogów do właściwych osób, a kto mógł być bardziej właściwy niż załatwiaczka? Zwłaszcza że wszystkie rachunki szły do Korporacji, a ta zawsze płaciła w terminie.

Nie był to jednak kolejny zleceniodawca, ale Jacek. Jego głos aż kipiał od podniecenia.

- Znalazłem!! Znalazłem magiczny sposób!!! Małgosia musiała odsunąć komórkę od ucha, bo czarodziej prawie wrzeszczał.

- I co?

W telefonie zaszeleściły przewracane strony jakiegoś starożytnego dzieła.

- Słyszałaś o chodzących-po-czasie? - zapytał.

Załatwiaczka zastanowiła się. Słyszała w swoim życiu

wiele dziwnych nazw i imion, większość z nich miała zanotowane wraz z numerami telefonów albo chociaż z adresem mailowym, ale chodzący-po-czasie jakoś nie obili jej się ani o uszy, ani o notes.

- To jakaś sekta?

- Nie... niezupełnie. - Czarodziej sam nie był całkiem pewien, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać. W końcu robił za eksperta. - To pewien szczególny rodzaj ludzi posiadających dar: mogą wejść i wyjść z czarnej dziury.

- Z czarnej dziury nie można wyjść - stwierdziła Małgosia.

- Z punktu widzenia fizyki nie. Ale my mówimy o magii! - głos Jacka aż wibrował od poczucia triumfu.

Czarodziej zawsze wiedział, że w gruncie rzeczy fizyka i chemia nie są nikomu do szczęścia potrzebne. - Ci ludzie to potrafią. A co więcej, mogą dzięki temu przenosić się w czasie! Z każdego miejsca wystarczy im zrobić jeden krok, by znaleźć się na skraju czarnej dziury. A tam, na horyzoncie zdarzeń, czas płynie wolniej, prawie stoi. Jeśli ktoś może dowolnie przekraczać tę granicę, może też wkroczyć z powrotem w dowolny czas! Ktoś taki może wykiwać prawa fizyki i rozwiązać nasz problem!

- Trzeba było tak od razu mówić - ucieszyła się załatwiaczka.

- Jest tylko jedna trudność - entuzjazm Jacka trochę opadł. - Takich ludzi jest bardzo niewiele i trudno ich znaleźć. A nam potrzebny jest jeszcze ktoś, kto w razie konieczności posunie się do drastycznych rozwiązań... Jesteś w stanie znaleźć kogoś takiego?

W słuchawce usłyszał prychnięcie, chociaż może był to śmiech.

- Możesz uważać to za załatwione - powiedziała Małgosia i rozłączyła się.

Jacek odłożył słuchawkę i popatrzył na stos książek, gazet i papirusów, który zaścielał stół, podłogę, a nawet klawiaturę komputera. Nawet jak na studenckie standardy był to niesamowity bałagan... Należałoby trochę posprzątać, zadzwonić do kolegów i skserować od nich notatki z wykładów z ostatnich dwóch dni, a nade wszystko nadrobić braki snu. Czarodziej chciał zobaczyć, jak to się wszystko skończy, i wolał nie ryzykować, że w najciekawszym momencie padnie na nos z niewyspania. A chwilowo miał trochę wolnego czasu. Szukanie chodzących-po-czasie musiało potrwać.

Tymczasem załatwiaczka sprawdziła, czy telefon ma naładowane baterie. Stwierdziwszy, że wytrzyma jeszcze kilka godzin rozmów, odłożyła go na stojak z kwiatkami, tuż obok doniczki.

Barbados ciągle spał, więc wyciągnięcie z innej kieszeni notesu z adresami tak, żeby nie obudzić psa, było niezłą gimnastyką. Kiedy się wreszcie udało, Małgorzata zdjęła gumki przytrzymujące wypchane okładki. Natychmiast zaczęły się wysypywać luźne kartki, ale złapała je, zanim dotknęły podłogi, i upchnęła z powrotem między strony.

Kiedyś słyszała o teorii mówiącej, że między dwiema dowolnymi osobami na Ziemi znajduje się osiem ogniw: wystarczy zapytać swoich znajomych, oni zapytają swoich znajomych, a dziewiąta nagabnięta osoba będzie tą, do której chcieliśmy dotrzeć.

Zawsze uważała, że człowiek, który to wymyślił, był pesymistą. Jej wystarczył jeden, góra dwa telefony, jeśli wiedziała, kogo konkretnie, z imienia i nazwiska, szuka. Problem w tym, że często nie wiedziała.

Położyła notes na kolanach.

Istniały pewniejsze metody niż informacja telefoniczna czy wyszukiwarka internetowa.

Uniosła dłoń kilka centymetrów nad notesem, rozczapierzyła palce.

Chodzący-po-czasie...

Kartki zaczęły się przewracać, ale żadna, nawet ta najbardziej niedbale włożona, nie wypadła. Wirowały pod jej dłonią, by wreszcie zatrzymać się na właściwej stronie.

Małgorzata sięgnęła po telefon i wystukała jeden z zapisanych drobnym maczkiem numerów. Osiem osób...? Zwykle wystarczały trzy.

Chodzący-po-czasie...

Czas was odnaleźć.

Dzwonek do drzwi zmusił Jacka do otworzenia oczu i naciągnięcia poduszki na głowę. Nie pomogło. Już miał rzucić jakieś zaklęcie, ale przyszło mu do głowy, że może któryś z kolegów, wracając rankiem do akademika, postanowił wpaść po drodze. W związku z tym zwłókł się z łóżka i poszedł otworzyć drzwi.

W progu stała Małgosia. Jak zwykle rozczochrana, w ogrodniczkach, z rękoma w przepastnych kieszeniach.

- Pośpiesz się - ponagliła go. - Mamy mało czasu.

- Na co? - Jacek ziewnął przeraźliwie. Gdzieś w głębi umysłu coś mu mówiło, że przydałyby się jeszcze ze dwie godziny snu. Albo mocna kawa.

- Chcesz spotkać chodzącego-po-czasie?

Czarodziej oprzytomniał natychmiast. Sen i kawa wywietrzały mu z głowy.

- Znalazłaś któregoś? Tak szybko?

Prychnęła drwiąco:

- To moja praca. Znajduję wszystkich i wszystko. Idziesz? - Odwróciła się w stronę windy. - Mamy spotkanie za piętnaście minut.

- Chwila! - Jacka wmiotło z powrotem do mieszkania, ubrał się w pośpiechu, wychodząc, chwycił jeszcze leżący w kuchni kawałek wczorajszego cebularza. Drzwi zamykał trzęsącymi się rękami.

- Dobrze się czujesz? - zapytała załatwiaczka, kiedy zjeżdżali windą.

Czarodziej gorączkowo obmacywał swoje kieszenie.

- Nie wziąłem aparatu! Ani nic do pisania!

- Po co ci to? - Winda zatrzymała się na parterze, Małgosia pchnęła drzwi i wysiadła.

- To niesamowite wydarzenie! Chodzący-po-czasie są bardzo tajemniczy, mało kto miał okazję się z nimi spotkać. Mojego mistrza zatka, jak mu o tym opowiem.

- Nie opowiesz - uświadomiła mu załatwiaczka. - Jeśli wszystko dobrze pójdzie, nigdy nie dostanę zlecenia na maszynę czasu, nie przyjdę do ciebie po radę i to wszystko się w ogóle nie zdarzy. Prawa fizyki tak nie działają, ale magia owszem.

- Nie będę niczego pamiętał? - zmartwił się Jacek. - I ty też nie?

Małgosia pokiwała głową.

- Nie rusza cię to specjalnie - zauważył kąśliwie.

- A co to pomoże, jeśli będę się martwiła? Nawet tego zmartwienia nie będę pamiętała. Fajnie cię było znowu zobaczyć - dodała ze smętnym uśmiechem. - Szkoda, że to się nie zdarzy.

- I nawzajem. - Uścisnęli sobie dłonie.

Wkrótce stali już przy kępie krzaków, w której kilka dni temu ukrywał się zleceniodawca. Jacek spojrzał wokoło.

- Jakoś go nie widać.

Załatwiaczka wyciągnęła z kieszeni notes. Za jedną z gumek recepturek zatknięta była żółta samoprzylepna karteczka.

- Na imię ma Dawid - powiedziała. - Mam jego numer telefonu, jak się zaraz nie pojawi, to zadzwonię. - Przykleiła papierek z powrotem do okładki notesu, a ten schowała do kieszeni.

- Już jestem - oznajmił ktoś za nimi. Odwrócili się natychmiast.

Na ulicy, przed chwilą całkiem pustej, stał dość wysoki mężczyzna w czarnej kurtce, zdecydowanie za ciepłej na lipcowy poranek. Miał niestarannie przystrzyżone włosy i dziwną, jakby kamienną twarz. Wyglądał na kogoś, kto nigdy w życiu się nie uśmiechnął. Wydawał się odstawać od krajobrazu, choćby dlatego, że świeciło słońce, a dzieci pokrzykiwały na placu zabaw. Był raczej kimś stworzonym po to, by włóczyć się nocami po zamglonych ulicach.

- Chodzący-po-czasie? - zapytała Małgosia. Mało ją obchodziło, jak ludzie wyglądają i jakie sprawiają wrażenie. Ktoś, kto w ciągu kilku miesięcy zmienił się z Miss Studentek w

zaniedbaną, nieuczesaną i wiecznie niedospaną dziewczynę, najlepiej wiedział, jak mało znaczy wygład.

- Załatwiaczka? - odpowiedział pytaniem ten w czarnej kurtce.

Skinęła głową. Stojący obok Jacek przyglądał się nieznajomemu podejrzliwie. Spodziewał się... Sam nie wiedział, kogo się spodziewał.

Małgorzata nie zawracała sobie głowy zbędnymi formalnościami, od razu odwróciła się w stronę krzaków.

- Zeszły wtorek, parę minut po dwudziestej trzeciej. Facet stał tam - wskazała na zarośla.

- A ja szłam z psem od strony tamtych bloków. Złożył zlecenie. Nie może tego zrobić.

- Da się to załatwić? - wtrącił Jacek. Oczekiwał jakiejś ceremonii, czegoś... Przede wszystkim oczekiwał, że nie będzie tylko statystą.

Chodzący-po-czasie i załatwiaczka jednocześnie odwrócili głowy i spojrzeli na niego jak na dziecko wtrącające się do rozmowy dorosłych.

- Czarodziej, co? - mruknął Dawid. Miałby na twarzy złośliwy uśmiezek, gdyby kiedykolwiek się uśmiechał.

Jacek bąknął coś urażony. Nie przywykł, by traktowano go protekcjonalnie. W towarzystwie czarodziej to był gość! A oni... Oni patrzyli na niego jak na kogoś, kto tylko się bawi w piaskownicy, podczas gdy inni budują piramidy.

- Zaraz będzie po sprawie - zapewnił go chodzący-po-czasie.

- Wiesz, gdzie wysłać rachunek? - spytała dla pewności Małgorzata.

Skrzywił się lekko.

- Wolałbym to zrobić w ramach przyjacielskiej przysługi.

- Jak wolisz. - Załatwiaczka wyciągnęła notes, wygrzebała też długopis. Na żółtej karteczce z jego imieniem i numerem telefonu dopisała: „Jestem winna 1 przysługę”, potem wepchnęła paperek między strony notatnika i starannie spięła go obiema gumkami. - Załatwione.

- W takim razie... do zobaczenia. - Skinął im głową na pożegnanie i odszedł.

- Tak po prostu?! - zawołał oburzony Jacek, spoglądając na oddalającą się postać. - Denerwujący typ! I traktował mnie jak... jak jakiegoś amatora.

- No wiesz... Różne rzeczy mówi się o czarodziejach między... - urwała Małgosia.

- Między kim? - Jacek spojrzął na nią groźnie.

Dziewczyna westchnęła.

- Między profesjonalistami - dokończyła.

Czarodziej zacisnął wargi, aż mu zbiełały.

- Jakie rzeczy? - raczej warczał, niż mówił.

Załatwiaczka patrzyła w inną stronę, udając, że w ogóle nie wie, o co chodzi.

- No powiedz - poprosił Jacek. - W imię dawnych czasów. Przecież jeśli się uda, i tak nie będę pamiętał.

Zastanowiła się. Właściwie to miał rację, więc mu powiedziała. Wszystko. Łącznie z dziesięcioma najlepszymi dowcipami o czarodziejach.

Wtorkowy wieczór był trochę zbyt chłodny jak na lato. Stojący w krzakach chudzielec w okularach, ze szmacianą siatką w ręku dostał gęsiej skórki. Mimo to tkwił tam dalej niczym niegustowny słupek, wpatrując się w oświetlone bloki na drugim końcu ulicy. Od ich strony nadchodziła powoli dziewczyna z jamnikiem na smyczy. Jej obcasy stukały po chodniku, a ona sama drżała lekko z zimna. Nie przyszło jej do głowy, żeby na krótki spacer wziąć sweter. Kiedy padało na nią światło ulicznych latarni, widać było starannie upięte włosy. Szła sprężystym krokiem, uśmiechała się sama do siebie, a może do psa.

Chudzielec zacisnął mocno dłonie. Jeśli to, czego się dowiedział, było prawdą, to właśnie ona! Musiał tylko pamiętać o formułce. Formułka była najważniejsza.

Już chciał zrobić krok naprzód, kiedy ktoś wyłonił się z ciemności tuż za nim. Czyjeś ramię opasało mu szyję, pociągnęło go w tył. Zanim zdążył choćby krzyknąć, świat wokół niego rozmył się, a on sam zniknął w czeluści, gdzie i tak nie było słycać krzyków.

Chodzący-po-czasie puścił go i spokojnie patrzył, jak chude ciało z siatką w ręku zapada się w czarną dziurę. Co prawda w żółwym tempie, ale to spadanie z pewnością było nieodwracalne. Niewielu ludzi umiało zatrzymać się na horyzoncie zdarzeń, przed sobą mając powolną, martwą, ale nienasyconą w swym apetycie gwiazdę, a za plecami wszechświat pędzący szybciej niż karuzela.

Ciało niedoszłego podróżnika w czasie zaczęło się wydłużać niczym nitka spaghetti. Był martwy od chwili, gdy wstąpił wraz z Dawidem na horyzont zdarzeń, więc to i tak nie miało znaczenia.

Chodzący-po-czasie odwrócił się do reszty wszechświata, szukając chwili, w którą warto by powrócić.

Zmiana przyszła niczym podmuch wiatru. Magia nieubłaganie przenikała wszystko, kpiąc sobie z praw fizyki. Ostatnie pięć dni rozmyło się zastąpione przez nową rzeczywistość. Drzewa rosnące wzdłuż ulicy wyglądały tak samo, ale nie było na niej ani Jacka, ani Małgosi. On właśnie odsypiał nocną imprezę, ona szła na spacer w najdalszy zakątek nałęczowskiego parku. Ogrodniczki leżały w szafie w domu jej rodziców, razem z trampkami. Udało jej się zdążyć do fryzjera i do kosmetyczki. Tylko notes schowany w kieszeni torebki był odrobinę bardziej wypchany. Zawierał w sobie kilka nowych numerów telefonów, żółtą samoprzylepną karteczkę i potwierdzenie subskrypcji katalogu agencji nieruchomości z innego wymiaru.

Pewnych rzeczy nie był w stanie zmienić nawet czas.

Małgorzata nagle przystanęła. Za drzewem koło płotu czał się ktoś, sądząc po gracji ruchów, nie pierwszej i nie drugiej młodości. Gdzieś w głowie dziewczyny błysnęła parę razy lampka ostrzegawcza. Oczywiście, mógł być to tylko zboczeniec, ale nie miała zamiaru ryzykować.

Wystarczyło szepnąć: „Ratunku”, aktywując alarm, i pojawiła się grupa interwencyjna z ubezpieczalni, cztery półtrole w kominiarkach i z bejsbolami. Niedoszły zboczeniec rzucił się do ucieczki w podskokach, które zadziwiłyby jego rehabilitanta, a trzech ochroniarzy popędziło za nim. Czwarty zdjął kominiarkę i podszedł do załatwiaczki.

- Cześć - przywitał się. - Dawno cię nie widziałem. Co słychać?

- W porządku - odpowiedziała z uśmiechem. Ostatnim razem musiała go zostawić przed wejściem do kina, przedostatnim - w przytulnej knajpce, kiedy oboje już zdążyli złożyć zamówienie.

- To jak, umówimy się gdzieś? - zaproponował.

Małgosia z żalem potrzęsła głową. Niby miała urlop, ale zawsze było coś do załatwienia. Przez cały okres kontraktu. To tak, jakby mieć dyżur dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, przez dziesięć lat.

- Nie mogę - westchnęła. - Pracuję.

- Szkoda - zmartwił się wyraźnie. - Taka z ciebie fajna dziewczyna... Zmarnuje cię ta praca.

Załatwiaczce trudno było nie przyznać mu racji. Swoim skromnym zdaniem, już dawno się zmarnowała. A kontrakt obowiązywał jeszcze przez dziewięć lat, miesiąc i trzy dni.

KROK ZA KROKIEM

Przedpołudniami puby były z reguły jeszcze pustawe. Małgosi to odpowiadało, zwłaszcza jeśli pustawy był akurat lokal, w którym mieli wielkie skórzane kanapy. Beztrosko rozwaliała się na jednej i przegryzając chipsy, czekała na pozostałych. Tym razem wyjątkowo to ona dotarła na miejsce pierwsza, zazwyczaj Ben i Rashid musieli na nią czekać. Załatwiacz, o ile w ogóle się pojawi, zwykle ostatni przychodzi i pierwszy odchodzi z telefonem przy uchu i milionem spraw na wczoraj. Czarodziej i czytacz marzeń zwykle niedługo cieszyli się towarzystwem Małgorzaty, ale tym razem było inaczej. Od rana zdążyła wykonać kilka telefonów i teraz pozostawało jej tylko czekać, aż zamówienia zostaną zrealizowane. Bezczyenne czekanie było najprzyjemniejszą częścią pracy załatwiaczki.

Właśnie na przyjemnościach musiała się skupiać, teraz o tym wiedziała. Szkoda, że prawie rok zajęło dziewczynie uporanie się z upiorem, jakim był jej zawód.

Dwanaście miesięcy potrwało, zanim doszła w załatwianiu do takiej wprawy, że poczuła się jak mistrzyni marionetek. I dopiero teraz zrozumiała: jeśli w odpowiedniej kolejności pociągnie za sznurki, uda jej się odzyskać kawałeczek życia, które znikło pod nawalem pracy.

Tylko kawałeczek - niby niewiele, ale zawsze zwycięstwo. Jedna paskudna kontrola i jeden straszliwy kryzys to było za mało, żeby załatwiaczka zrezygnowała ze swojego wielkiego planu.

Planu wypłatania się z kontraktu przed jego upływem.

Niestety, wciąż nie miała pomysłu, jak to zrobić, ale była pewna, że w końcu coś wymyśli. Jej praca polegała na zdobywaniu niemożliwego, jeśli tylko tego właśnie wymagał zleceniodawca. Więc zerwanie kontraktu też z pewnością da się jakoś załatwić. Jedyne, co musiała odkryć, to jak.

To była jej lina, po której mogła wydostać się z przepaści.

Kilka ostatnich tygodni spędziła w domu, w Polsce. Trudno było nazwać ten czas urlopem, bo trafiło jej się kilka zleceń, ale pomiędzy nimi znalazła dość czasu na odpoczynek

i zebranie sił. Na to, żeby wytrzymać jeszcze kilka lat kontraktu (miała nadzieję, że mniej niż dziewięć), na to, żeby wrócić do własnego życia, zapchanego czymś innym niż pracą.

Pewnych rzeczy jednak się nie spodziewała. Na przykład tego, że Dominik będzie na nią czekał z kwiatami na lotnisku. Stał tuż za bramką gotów chyba paść na kolana. Nie padł. Wręczył jej tylko czerwone róże i zapewnił, że ta jej praca, że ciągły brak czasu to dla niego nic. Że dziewięć lat to też nic, może nawet co kilka miesięcy uda im się pójść na całą randkę.

Zaraz potem znikł, prosząc ją wcześniej, aby się nad tym zastanawiała. Aby z góry nie zakładała, że nic z tego nie wyjdzie tylko dlatego, że zawsze brak jej dla niego czasu.

Wychodząc z lotniska z naręczem kwiatów, Małgosia czuła się jak heroina z jakiegoś burzliwego romansu. Czy może raczej kiepskiej komedii romantycznej, bo w prawdziwych romansach powinny występować konie, burzliwe noce i inne spektakularne efekty. W przypadku komedii wystarczyło pospolite lotnisko.

Małgorzata miała wrażenie, że zawodzi w nowej roli. Nie pobiegła za Dominikiem (byłoby to zresztą raczej trudne, bo poszedł do męskiej toalety i stamtąd się teleportował), nie wybuchła płaczem ani ze szczęścia, ani z rozpaczy. W ogóle nie zrobiła nic poza tym, że położyła bukiet na szczycie wyładowanego bagażami wózka i spokojnie, tak jak planowała, poszła na dworzec autobusowy.

Nie było żadnych motylków w żołądku, żadnych drgań serca, naglej słabości w kolanach. Nie doświadczyła żadnej z tak szumnie opisywanych dolegliwości towarzyszących tkliwym uczuciom. Tkliwych uczuć też nie mogła w sobie znaleźć.

Co nie oznaczało, że nie miała zamiaru się z nim umówić. Wręcz przeciwnie.

Na razie jeszcze tego nie zrobiła. W ciągu pierwszych czterech dni w Exeter zdążyła odkurzyć swój pokój w akademiku, dostać dwa nowe zlecenia powiadomić o powrocie wszystkich, którzy powinni wiedzieć.

Jednak w tym ostatnim Sharon zdążyła ją uprzedzić. Gipsowy koń z całkiem udaną podobizną Małgosi galopował po okolicy już którąś noc. Tak powiedział jej Ben, kiedy zadzwoniła do niego, żeby umówić się na spotkanie w pubie.

- Nieźle wyglądasz - zdziwił się Rashid, siadając naprzeciw Małgorzaty na jednym z obitych skórą foteli. Dziewczyna wciąż była blada, choć już nie w tak niezdrowy sposób. I zniknęły cienie pod oczami, które widywał tak często, że niemal uznał je za stały element twarzy załatwiaczki.

- Dzięki. Sypiam - wyjaśniła. - Na razie godzinę, dwie dziennie, ale sypiam.

Czytacz marzeń nie odpowiedział, strzepnął tylko pyłek z rękawa. Kiedy tak siedział naprzeciw dziewczyny, sprawiał wrażenie jej totalnego przeciwieństwa. Wyglądał, jakby

przed chwilą opuścił salon londyńskiego krawca. Nienagannie skrojony garnitur, sposób, w jaki sięgał po swoją filiżankę herbaty obficie doprawionej mlekiem, wszystko sugerowało w nim prawdziwego angielskiego dżentelmena, poza rysami twarzy i kolorem skóry odziedziczonymi po przodkach z dalekich Indii.

Małgosia, choć na oko bardziej wypoczęta i mniej zmarnowana niż zazwyczaj, nie porzuciła swojego tradycyjnego image'u. Miała na sobie ogrodniczki z wielkimi kieszeniami, bluzę i trampki. Rashid przypomniał sobie, że Ben wspominał kiedyś coś o uniformie, który załatwiaczka sama sobie wybrała, być może nawet o tym nie wiedząc. Chyba miał rację.

Na myśl o czarodzieju czytacz spojrział na zegarek. Ben się spóźniał. Nie było to normalne, od spóźniania się była w tym towarzystwie Małgorzata. Co kilka tygodni wybierali się razem na niezobowiązujący branżowy lunch, żeby wymienić niewinne ploteczki i przy okazji ustalić, czy jest zachowana równowaga i czy wszędzie panuje względny spokój. Załatwiaczka nigdy nie przychodziła na czas.

Branżowy lunch nie był zresztą najlepszym określeniem, bo dotyczył tylko ich trojga. Na tych spotkaniach nie bywał Phillip, bo umieszczenie go w jednym pomieszczeniu z Benem, zwłaszcza ostatnio, oznaczałoby natychmiastowy koniec spokoju i początek kłopotów. Nie pojawiała się też Kasandra, która wciąż miała na karku wyrok w zawieszeniu i przynajmniej teoretycznie nie powinna mieć z branżą nic wspólnego. Zwłaszcza Rashid podkreślał, że wróżenie z kart, szklanej bani i tym podobnych jest po prostu szarlataństwem. Ale jego niechęć do rudowłosej, zresztą wzajemna, sięgała jeszcze czasów, kiedy oboje byli zaciekle konkurującymi ze sobą czytaczami marzeń. Nie przychodził też śmierciak, ale nie z tak niskich pobudek jak nie najlepsze stosunki z załatwiaczką. Po prostu nie widział sensu takich zebrań. A Sharon... Cóż, druidka chadzała swoimi drogami, a te rzadko prowadziły tam, gdzie inni mogli jej oczekiwać.

Bansh czasem zaglądała, z łaski, jak to kotka, zamawiali wtedy dla niej śmietankę bez kawy.

Ale najczęściej było tylko ich troje: załatwiaczka, czytacz marzeń i czarodziej. Zwłaszcza czarodziej, bo gdyby nie on, do tych spotkań by w ogóle nie dochodziło. To Benowi zależało na atmosferze koleżeńskiej współpracy i pełnego zrozumienia. Małgosia i Rashid ulegali jego namowom, ale nie iluzjom. Współpraca miła rzecz, ale żeby zaraz pełna?...

Czarodziej bywał niepoprawnym idealistą.

- Phillip wrócił? - zapytała nagle Małgorzata. Od kilku miesięcy nie miała wieści od wampira. Biorąc pod uwagę, jakiego zamieszania narobił tuż przed swoim wyjazdem, nie byłaby zdziwiona, gdyby nie chciał wracać do Exeter.

Czytacz marzeń zaczął się wiercić na swoim miejscu, jakby nagle odkrył, że usiadł na kopcu termitów. Rashid nie lubił, gdy rozmowa schodziła na życie prywatne. Takie tematy burzyły kruchy układ: „Jesteśmy więcej niż kolegami, ale się nie wtrącamy. Nie za bardzo w każdym razie”.

Mimo tej niepisanej zasady jasne było, że czytacz i czarodziej są prawie przyjaciółmi. Znali się już długo, mieli ze sobą więcej wspólnego, niż którykolwiek z nich byłby skłonny przyznać i niż ktokolwiek inny mógłby zauważyć. Z Małgosią sprawa wyglądała inaczej. Była w mieście dopiero od roku i choć uczestniczyła w tych nieformalnych spotkaniach, wciąż była w pewnym stopniu obca.

Przynajmniej dla Rashida. Wiedział, że Małgorzata i Phillip dogadywali się aż za dobrze. Do jego wyjazdu w każdym razie.

- Nie, nie wrócił - odparł ostrożnie czytacz. - Nie ma go już prawie pół roku. Chyba nie troszczy się o swoją pozycję w okolicy.

Załatwiaczka wytrząsnęła z torebki ostatnią chrupkę.

- Wątpię - stwierdziła. - Wampiry mają dobrą pamięć.

Dyskusja o tym, czy Phillip mimo swojej przedłużającej się nieobecności nadal jest nieformalnym przywódcą miejscowych krwiopijców, była w zasadzie bezpiecznym tematem. Nie dotyczyła osobiście ani Małgosi, ani Rashida. Oczywiście póki nie zahaczyli przypadkiem w rozmowie o przyczynę wyjazdu wampira.

To im nie groziło. Zdążyli wymienić zaledwie kilka uwag na temat ziomków Phillipa, kiedy czytacz marzeń nagle przerwał w pół słowa. Ze swego miejsca miał widok na ulicę prowadzącą do centrum i właśnie dostrzegł nadchodzącego nią czarodzieja.

- Patrz, ma nowego ucznia. - Rashid wychylił się w stronę okna.

Małgorzata oderwała wzrok od swojej paczki chrupek. Zjadła już wszystkie i teraz bawiła się, składając opakowanie w przeróżne kształty. Czytacz marzeń miał rację, do pubu „Czarny Koń” zbliżał się Ben Watson w towarzystwie jakiegoś młodzika.

- Wyrafinowany elegant - stwierdził z odcieniem pogardy Rashid, poprawiając rękawy swojego nienagannie skrojonego garnituru.

Załatwiaczka pokiwała głową. Nic dodać, nic ująć. Młody mag miał krótkie, ufarbowane na platynowy blond włosy silnie kontrastujące z ciemnymi brwiami i oczami. Ubrany był na czarno, ale nie w stylu matriksowym - miał dzinsy, podkoszulek i skórzaną kurtkę.

- Być może obserwujemy powstawanie nowego trendu - dodał czytacz, lustrując wzrokiem garderobę nowego. - „Gwiezdne Wojny” i „Matrix” widać już się przeżyły, ciekawe, na co przyjdzie pora teraz.

- „Buffy postrach wampirów” - skojarzyło się załatwiacze. Był w tym serialu taki wampir, wyglądał zupełnie jak nowy praktykant Bena. Jak mu tam było...

- A propos - przypomniało się Rashidowi - słyszałaś dowcip o największym strachu każdego maga?

Małgorzata pokręciła głową. Czytacz nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, kiedy Ben ze swoim uczniem weszli do środka.

- Później ci opowiem - rzucił Rashid.

Dowcipy o czarodziejach miały wielkie powodzenie wśród ludzi z branży. Zawsze były śmieszne i zrozumiałe dla wszystkich poza samymi czarodziejami. Ale mimo to nie wypadało ich opowiadać w towarzystwie magów, nawet tak zdrowych na umyśle jak Ben Watson.

Ben Watson był najmłodszym mistrzem wiedzy tajemnej na Wyspach, może nawet w całej Europie. Oprócz niewątpliwego talentu miał też zdrowe podejście do świata i czarów, przez co zupełnie nie nadawał się na obiekt żartów. Nie tylko Małgorzata i Rashid uważali, że w odróżnieniu od swych oszołomowatych kolegów po fachu jest prawdziwym zawodowcem. To była powszechna opinia i mistrz miał z reguły na głowie kilku adeptów, którzy pod jego okiem chcieli doskonalić swój kunszt. Większość z nich krótko po rozpoczęciu studiowania magii przekonywała się, że wcale nie wygrali losu na loterii - magowie byli najbardziej wyśmiewaną i pogardzaną ze wszystkich profesji. Tylko oni sami wierzyli w swoją wielkość. Przygnębieni uczniowie szybko dowiadywali się, że jest jednak w okolicy pewien człowiek, o którym mimo jego zawodu inni mówią z uznaniem. I pielgrzymowali ze wszystkich zakątków Brytanii w nadziei, że Ben zrobi coś, co zdejmie z nich klątwę bycia czarodziejem. Szybko się wykruszali, bo nie mogli znieść największej pasji mistrza - patriotyzmu lokalnego. Cotygodniowe zebrania Towarzystwa Przyjaciół Devonu, Devońskiego Towarzystwa Historycznego, Koła Miłośników Ziemi Devońskiej, Stowarzyszenia Mieszkańców Exeter i Klubu „Bezpieczne Exeter” zniechęciłyby każdego ambitnego maga, zwłaszcza jeśli przyjechał z Londynu, żeby na tej „prowincji” pobierać nauki.

Poza tym, jeśli chodziło o uczniów Bena, to dowcipy o czarodziejach zawsze zdawały się pasować. Przysłowie mówiło prawdę: wyjątki rzeczywiście tylko potwierdzały regułę.

Mistrz magii zaraz po wejściu do pubu skreślił w stronę stolika, przy którym siedzieli Rashid i Małgosia. Nie musiał się rozglądać za nimi, nie musiał też używać magii, żeby bez patrzenia wiedzieć, gdzie ich znaleźć. Zawsze kiedy spotykali się w „Czarnym Koniu”, wybierali ten stolik. Ze względu na kanapę, którą uwielbiała załatwiaczka.

Młody podążył za swoim nauczycielem, ale widać było po nim, że perspektywa spotkania go nie zachwyca. Tak jak większość czarodziejów, zwykł przebywać głównie w towarzystwie sobie podobnych, nie bratając się z pospólstwem.

- Cześć - rzucił Ben, zajmując miejsce obok czytacza.

Uczeń maga miał do wyboru albo sięść na tym kawałku kanapy, na którym nie leżała Małgosia, albo przysunąć sobie krzesło. Wybrał tę drugą opcję.

- To jest Sebastian - przedstawił czarodziej swojego towarzysza. - Przyjechał z Londynu na praktykę.

Małgorzata i Rashid na ułamek sekundy skrzyżowali spojrzenia. Oboje dobrze wiedzieli, co myśleć o przyjezdnych uczniach Bena. I oboje, choć starannie to ukrywali nawet przed sobą nawzajem, liczyli, że Sebastian będzie darmową rozrywką. W końcu skoro w dzisiejszych czasach nie ma już głupków wioskowych, a jeśli nawet, to śmiać się z nich nie wypada, tylko nowy czarodziej mógł przynieść do Exeter trochę radości.

Ben nie zwrócił uwagi na tę wymianę spojrzeń. Sebastian wręcz przeciwnie. Przymrużył oczy, zmarszczył brwi, zacisnął usta. Na jego przystojnej twarzy pojawiło się okrucieństwo, wcześniej starannie ukryte pod maską obojętności.

- To jest Rashid, czytacz marzeń, a to Małgorzata, załatwiaczka - przedstawił ich mistrz magii. Już po chwili cała trójka exeterskich fachowców była pogrążona w rozmowie. A Sebastian siedział jak kołek.

- Jak było w domu? - zapytał Ben.

- Pracowicie - odparła załatwiaczka. - Ale miałam trochę wolnego czasu.

- Znalazłaś swoją linę?

Czytacz zmarszczył brwi jak zawsze, kiedy czegoś nie rozumiał. Za to Małgosia uśmiechnęła się gorzko na wspomnienie swojej ostatniej rozmowy z czarodziejem. Oboje byli wtedy może nie załamani, ale przytłoczeni tym, co świat miał im do zaoferowania.

- Chyba tak. Ale nie tam, gdzie się spodziewałam.

To nie Dominik był jej ratunkiem. Wcześniej myślała, że z jego pomocą może się wydostać z dna przepaści, ale zrozumiała pomyłkę.

Tak łatwo było zostawić go przed kinem i wrócić do pracy... Przecież gdyby był jej ostatnią deską ratunku, nie poddałaby się. Zostałaby. Załatwiłaby wszystko przez telefon sprzed kina. Najwyżej przepadłby jej początek filmu, ale półtroll na pewno szybko by go streścił. Ale ona po prostu wsiadła do taksówki i zajęła się pracą.

- A ty znalazłaś linę? - zapytała czarodzieja.

Ben tylko pokręcił głową. Czy wiedział już, dlaczego Joanna przestała wystawać nocami przed jego domem? Czy gdyby wiedział, zmieniłoby to w jakikolwiek sposób jego stosunek do Małgorzaty?

Nie. Wiedziała, że nie. Dla Bena zobowiązania zawodowe też były ważniejsze od prywatnych. Jeśli ktoś czułby się niepewnie, to raczej załatwiaczka. Tylko ona wiedziała, jak naprawdę zakończyła się cała ta sprawa z Joanną i kto wbił przysłowiowy ostatni gwóźdź do wampirzej trumny.

Rashid odchrząknął i zaczął wypytywać Sebastiana, jak mu się podoba miasto. Młody czarodziej był raczej powściągliwy w zachwytach, co z kolei wywołało przewidywalną reakcję Bena. Zaczął wychwalać Exeter i Devon pod niebiosa, okazjonalnie dodając do opisów historii, przyrody i możliwości spędzania czasu wolnego jakąś uwagę na temat aktywności ludzi z branży w tym rejonie.

Załatwiaczka słuchała ich jednym uchem. Przemknęło jej przez myśl, że wieczorem powinna zadzwonić do czytacza i zaproponować mu zakład, jak długo wielkomijski uczeń Bena wytrzyma na prowincji. Osobiście była zdania, że góra dwa tygodnie.

„Nie! - poprawiła się w myślach, obserwując źle ukrywany grymas zniecierpliwienia na twarzy Sebastiana. - Tydzień. Maksymalnie tydzień”.

Dwaj mężczyźni nie zwrócili uwagi na zachowanie młodzika, który zresztą zaraz przywołał na twarz wyraz uprzejmego zainteresowania. Maskował się, co do tego nie było wątpliwości. Świadomość, że długo tu nie zabawi, pocieszyła załatwiaczkę. I tak sytuacja w mieście ostatnio była niezdrowa, a na pewno nie zmieni się na lepsze, jeśli Phillip powróci. Nie potrzeba tu było kogoś takiego jak nieszczerzy, niezdolny czarodziej, który pewnie jak wszyscy adepci magii pragnął mocy i potęgi, a poniewczasie zorientował się, że ścieżka, którą podąża, jest pełna krowich placzków.

Z kieszeni ogrodniczek Małgosi rozległ się motyw przewodni „Upiora w operze”. Natychmiast wstała z kanapy i wyciągnęła komórkę.

Wychodząc z pubu, pomachała jeszcze na pożegnanie czarodziejom i czytaczowi. Ben i Rashid nawet nie przerwali rozmowy, już dawno się przyzwyczaili do tego, że praca załatwiaczki wyjątkowo nie sprzyja kontaktom towarzyskim. Sebastian za to odprowadził ją spojrzeniem tak intensywnym, że niemal czuła, jak jego wzrok wypala jej dziurę w plecach.

Nieprzyjemny facet. Czemu ktoś tak sympatyczny i dobry jak Ben zgodził się przyjąć na naukę kogoś takiego? Mistrz magii nie był ślepy, pewnie od razu zorientował się, z jakiego rodzaju człowiekiem ma do czynienia.

I zapewne uznał, że komuś takiemu jak Sebastian potrzeba przewodnika, który wskaże mu właściwą drogę, pomoże uniknąć pułapki zostania magiem z dowcipów. Tym kimś miał być, rzecz jasna, Ben.

Załatwiaczka uśmiechnęła się pod nosem. Dobrze mieć świadomość, że na tym świecie ktoś jeszcze wierzy w ludzi.

Telefon oznaczał kolejne zlecenie, które wymagało od Małgosi wysłania kilku e-maili, może ostatecznie paru rozmów. Tak czy inaczej, musiała pójść do akademika. W drodze powrotnej wstąpiła do często odwiedzanego przez studentów sklepu całodobowego. Niestety, ku rozpaczy zarówno przyjezdnych, jak i angielskich żaków alkohol sprzedawano tam tylko do jedenastej wieczorem, tak jak w większości innych sklepów i lokali.

Załatwiaczka sięgnęła na półkę po chleb i stanęła w krótkiej kolejce do kasy. Klasyczne pieczywo angielskie nie nadawało się do spożycia przez nikogo posiadającego zmysł smaku, ale załatwiaczka nie miała zamiaru go jeść. Miała zamiar karmić ptactwo wodne.

Za akademikami był niewielki staw i rzeczka, oba tłumnie zasiedlone przez znaczną ilość fauny latającej. Małgosia z całej tej chmary rozróżniała tylko dzikie kaczki i coś, co zapewne było dziką gęsią.

Karmienie ptaków było czynnością uspokajającą, normalną, a nawet radosną. Oprócz tego terapeutyczną, a przynajmniej Małgorzata miała taką nadzieję. Zdawała sobie sprawę, że póki nie znajdzie sposobu, by wyplątać się z kontraktu, musi przede wszystkim dbać o własne zdrowie psychiczne. Kruszenie białych kromek chleba miało być tym, co uleczy jej przemęczone, stargane nerwy. I było.

Kiedy skończyła jej się karma, usiadła na ławeczce przy stawie i wyciągnęła telefon oraz swój notes. Może nie miała czasu na beztrioskie wygrzewanie się na słońcu, ale przecież nie musiała wszystkiego załatwiać ze swojego pokoju.

Nie była kretem, potrzebowała słońca... które to właśnie przesłonił jej czyjś cień. Podniosła głowę i spojrzała na twarz - ta byłaby nawet przystojna, gdyby nie lekki grymas okrucieństwa, coś w zmarszczeniu brwi, skrzywieniu ust. Jakby matka natura postanowiła uczynić rysy młodego mężczyzny znakiem ostrzegawczym dla innych. Teraz, z dala od Bena, Sebastian nawet nie starał się wyglądać na miłego i uprzejmego.

- A więc jesteś załatwiaczką - stwierdził, patrząc na nią z góry.

- Jestem. - Małgosia miała ochotę wrócić do pracy, ale obecność czarodzieja praktykanta jej przeszkadzała. To było głupie, mogła załatwić przy Benie, przy Phillipie, przy Rashidzie, Kasandrze, ludziach z Klanu. A ten rozpraszał ją na tyle, że nie byłaby w stanie ułożyć dłoni w odpowiedniej pozycji.

Mała ostrzegawcza lampka, szósty zmysł, który mieli wszyscy ludzie z branży, płonąła czerwonym światłem. Może Małgorzata powinna się go bać, ale już od dawna nie miała czasu na strach.

I miała bardzo dobre ubezpieczenie.

Poza tym wiedziała, że źli ludzie nie mordują załatwiaczy. Nie, źli ludzie składali załatwiaczom naprawdę złe zlecenia.

Ale to, czego zażądał Sebastian, było naprawdę szokujące.

- Chcę się stać najpotężniejszym człowiekiem na ziemi - oznajmił. I zanim dziewczyna zdążyła otworzyć usta, dodał: - Załatw mi to. Natychmiast.

Małgorzata na jedną sekundę zamarła. Dotarła do niej groza i potworność tego, co młody czarodziej chciał zrobić. Widziała skutki usunięcia serca, widziała Alana i nie mogła zapomnieć jego pustych czarnych oczu... „Nie - poprawiła się w myślach - jego oczy już nie były czarne i puste. Były brązowe”. Wykonała zlecenie, przywróciła mu serce. Teraz wykona kolejne zlecenie, pozbawiając Sebastiana serca, tak jak chciał.

Ogarnął ją dziwny, lodowaty spokój. To przecież jej praca. Zlecenie jak każde inne.

- Najpierw musisz dać sobie usunąć serce. - To jego, nie ją zdziwiło, jak beznamiętnie i profesjonalnie brzmiał głos załatwiaczki. - Potem sumienie. Co do dalszych wymogów, będę musiała zebrać więcej informacji. To może potrwać.

Dłonie czarodzieja jakby podświadomie zacisnęły się w pięści.

- Nie, to nie może potrwać - przerwał jej agresywnym tonem. - Dwa pierwsze kroki, wiesz, na czym polegają?

- Wiem, jak ma przebiegać usuwanie serca, a raczej wiem, gdzie znaleźć ludzi, którzy potrafią to zrobić we właściwy sposób. Wiem, że trzeba też usunąć sumienie, ale nie jestem pewna jak. Jeśli chodzi o resztę, to nie wiem, ani co, ani jak trzeba zrobić.

- Wystarczy to, co wiesz. Załatw mi usunięcie serca, natychmiast.

Małgosia sięgnęła po telefon. Zamówiła taksówkę.

- Chodź. - Wstała z ławki - Załatwię zaraz samolot do Niemiec. Musisz tam polecieć.

- Po co? - obruszył się.

- Bo nie ma szans na to, żeby chirurdzy i sala operacyjna przyjechali do ciebie. Czarodzieje... wszyscy jesteście tacy sami...

Nie wiedziała, dlaczego stara się zdenerwować Sebastiana. Może chciała go podświadomie ukarać za zawód, jaki sprawi Benowi. Załatwiaczka dobrze wiedziała, że mistrz uzna czyny swojego ucznia za swoją osobistą porażkę. Nieważne, że Sebastian był pod jego opieką tylko kilka dni.

Głupi młody czarodziej! Nie mógłby przypominać człowieka, od którego chciał się uczyć? Musiał być taki jak wszyscy inni? „Nie, nie taki sam - uznała po chwili Małgorzata. - Gorszy”. Tamci czarodzieje, choć nadęci, arogancy i nieznośni, nie sięgali po potęgę, która nie była ludziom przeznaczona. Znali granicę, której nie wolno przekraczać.

I trzymali się z dala od czyjejs prywatnej przestrzeni, choć raczej nie z szacunku dla innych, ale by nie bratać się z pospólstwem. Tymczasem Sebastian szedł do taksówki krok w krok za Małgosią. Jak cień, tyle że jeszcze bliżej. Dziewczyna miała ochotę niby to przypadkiem wystawić do tyłu łokieć i „niechący” szturchnąć go pod zebra. Z reguły nie lubiła swoich zleceniodawców, to było zresztą w jej fachu normalne, ale młodego czarodzieja nie lubiła wyjątkowo.

Po pierwsze dlatego, że złożył jej trudne i męczące zlecenie, po drugie, bo swoim postępowaniem ranił Bena i zmuszał ją, żeby brała w tym udział. I po trzecie, nie było to pierwsze zlecenie, którym załatwiaczka sprawi ból mistrzowi magii.

Ignorując natrętną obecność Sebastiana, zajęła się załatwianiem mu samolotu. Młody czarodziej musiał jak najszybciej polecieć do Niemiec.

W chwili gdy wsiadali do taksówki, dalszy transport był już zapewniony. Na exeterskim lotnisku obsługa zaczęła przygotowywać małą maszynę do startu. Małgorzata musiała jeszcze tylko zadzwonić do doktora Franza i uprzedzić go, że za kilka godzin będzie miał pacjenta.

Starego chirurga nie było, ale telefon odebrał Grzegorz. Wiadomość o tym, że dane mu będzie wreszcie asystować przy zabiegu usuwania serca, przyjął wyjątkowo entuzjastycznie. Widział już wszczepianie organicznego artefaktu, teraz zobaczy usunięcie - dla młodego lekarza z branży musiało to być jak Wielki Szlem dla tenisisty.

„Przynajmniej jeden człowiek będzie dziś szczęśliwy” - pomyślała załatwiaczka, rozłączając się.

- Wszystko załatwione - powiedziała do siedzącego obok czarodzieja, który przez cały czas, odkąd złożył zlecenie, nie spuszczał jej z oka. To oczywiste, musiał się obawiać, że Małgosia ostrzeże Bena o tym, co zamierza jego krnąbrny uczeń. I jak najbardziej zamierzała to zrobić. Nie obowiązywała jej dyskrecja.

Ale dopiero kiedy samolot wystartuje. Zlecenie musiało zostać zrealizowane, a starszy czarodziej z pewnością starałby się Sebastianowi przeszkodzić.

- Na lotnisku będzie czekał na ciebie samochód - ciągnęła. - Zawiezie cię do lekarzy wyspecjalizowanych w takich zabiegach. Usuną ci serce.

- A potem? - spytał niecierpliwie Sebastian.

- Zlecenie na usunięcie serca zostanie zrealizowane.

- Złożyłem inne zlecenie - przypomniał - Masz ze mnie zrobić najpotężniejszego człowieka na ziemi. Kiedy nie będę już miał serca, co jeszcze będę musiał zrobić?

- Stracić sumienie - odpowiedziała natychmiast Małgosia. - Ale nie wiem, jak to zrobić.

Taksówka zatrzymała się na parkingu przy lotnisku.

- Dowiedz się. Załatw mi informacje, jak stracić sumienie - rzucił czarodziej, wysiadając.

- I załatw, żebym je miał, jak tylko skończą operację.

Małgosia wbrew sobie musiała przyznać, że był chyba najinteligentniejszym z jej zleceniodawców. Załatwiacze nie mieli limitu czasowego na realizację zadań. Ale Sebastian sprytnie zawarł ten wymóg w swoim zleceniu.

Całe szczęście, że inni na to nie wpadli.

Zapłaciła taksówkarzowi, poprosiła, żeby na nią zaczekał kilka minut, i też wysiadła. Stojący na chodniku młody czarodziej wyglądał niczym uosobienie niecierpliwości. Nie tupał co prawda nerwowo, nie obgryzał paznokci ani nie robił niczego tak prozaicznego i ludzkiego, ale gdyby emocje świeciły, przypominałby gwiazdę supernową.

Śpieszyło mu się, żeby utracić człowieczeństwo. Idiota!

- Obsługa cię zaprowadzi - powiedziała, spoglądając na Sebastiana.

Po raz pierwszy przyjrzała się dokładnie jego oczom. Były czarne, tak ciemne, że tęczówka i źrenica niemal tworzyły jedno.

„Nie będzie różnicy... - uznała w myślach załatwiaczka. - Kolor zostanie ten sam, tylko dojdzie ta straszliwa pustka, zimna, nieskończona”.

Małgosia wciąż pamiętała oczy Alana. Ba, nie tylko je pamiętała... Prześladowały ją w snach, ale uznała, że tak widać musi być. Coś za coś. Dwie godziny snu w zamian za koszmary, krople potu na czole i wizje bladej twarzy człowieka bez serca. Załatwiaczka wciąż nie mogła zdecydować, czy taki układ był opłacalny.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała, odsuwając się o krok.

Sebastian najwyraźniej nie był tym zachwycony, ale nie mógł jej zatrzymać. Przecież sam złożył jej zlecenie, które musiała wykonać. To, że przy okazji poinformuje jego mistrza o całej sprawie, było ceną, którą musiał zapłacić.

Nie pierwszą i nie ostatnią.

Małgorzata nie została popatrzeć na start samolotu. Taksówka już na nią czekała, czekała też praca. Przede wszystkim musiała ustalić, ile ma czasu. Telefon do chirurgów w Niemczech załatwił sprawę. Biorąc pod uwagę jeszcze czas podróży z Exeter do Niemiec, miała minimum dziesięć godzin, żeby ustalić, jak się traci sumienie. Nie było to dużo jak na nielegalne działania. Wyciąganie informacji mogło potrwać.

A kiedy już załatwi to zlecenie, będzie musiała zadzwonić do Bena i powiedzieć mu, jak fatalnie postąpił jego nowy uczeń.

Jednak najpierw praca, potem uprzejmości.

Nie było łatwo. Dziesięć godzin to dużo czasu, gdyby chodziło o jakiegokolwiek inne zlecenie, nawet najtrudniejsze i najbardziej nieprawdopodobne. Ale to trudno było nazwać nawet nielegalnym. Nielegalnie jest ukraść portfel albo ogołocić bank, ale sięgnąć po potęgę, która nie jest ludziom przeznaczona - to było coś gorszego niż przestępstwo. O takich czynach krążyły plotki powtarzane z lękiem, zawsze przyciszonym głosem i nigdy publicznie. Na taki temat nikt z branży nie ośmieliłby się żartować. Ani rozmawiać, zwłaszcza z pracownikami Korporacji. Każdy przecież wiedział, po co im takie informacje. I nikt nie chciał być tym, kogo obwołają winnym, jeśli załatwiacze załatwią komuś taką potęgę.

O tym, gdzie można usunąć serce, Małgosia dowiedziała się ad Bena jeszcze przed wyjazdem do Polski. Normalnie czarodziej trzymał się jak najdalej od nielegalnych praktyk magicznych, ale ten jeden adres zdobył, na wypadek gdyby kiedyś musiał dać sobie usunąć ten organ. Nie dlatego, żeby zdobyć potęgę, ale ponieważ nie mógł poradzić sobie z uczuciami, które się w jego sercu kłębiły.

Załatwiaczka niby miała notes pełen adresów, numerów telefonów, e-maili. Wśród milionów osób, instytucji i organizacji musiał być ktoś, kto przynajmniej zna kogoś, kto zna kogoś... Cały świat był jedną wielką siecią wzajemnych kontaktów i powiązań. Żeby zdobyć potrzebną wiedzę, trzeba się było tylko postarać. Żeby znaleźć kogoś skłonnego złamać absolutne tabu, trzeba było tylko postarać się bardziej. A zostało już zaledwie dziewięć i pół godziny.

Na czterdzieści minut przed upływem terminu wreszcie udało jej się zdobyć potrzebną informację. Faks wypłuł kartkę, kopię jakiegoś starożytnego tekstu z nabazgranym odręcznie komentarzem. Według niego, żeby utracić sumienie, należało zabić kogoś absolutnie niewinnego.

Takie proste i takie trudne.

Sebastian najpierw musiał utracić serce - co w sumie było już załatwione - a potem znaleźć ofiarę nieskalaną... niczym. Małgosia szczerze wątpiła, czy tacy ludzie w ogóle istnieją. Tym lepiej. Spełnienie drugiego warunku nie będzie takie proste.

Zerknęła na zegar. Miała jeszcze co najmniej pół godziny. Franz i Grzegorz zapewnili ją, że operacja potrwa raczej dłużej niż krócej. Rytualne usuwanie serca to nie był byle zabieg.

Małgorzata wybrała numer Bena. Przyszedł czas na trudną rozmowę.

- To ja - powiedziała, gdy tylko odebrał. - Twój uczeń złożył mi zlecenie.

Czarodziej milczał wyczekująco. Po jej tonie poznał, że nie spodoba mu się to, co zaraz usłyszy.

- Chcę zostać najpotężniejszym człowiekiem na ziemi - ciągnęła załatwiaczka. - Mam mu załatwić informacje, jak to zrobić.

Ben wciąż się nie odzywał, ale Małgosia mogła sobie wyobrazić, o czym on teraz myśli. Czarodzieje z reguły byli ludźmi ambitnymi, żądnymi władzy i poklasku. To, że byli też obiektem kpin całej branży, nie ułatwiała im życia. Ale przy wszystkich swoich wadach znali się na swoim fachu i wiedzieli, czym grozi sięganie po potęgę. Sebastian również musiał wiedzieć, w co się pakuje.

- Miał jakieś wątpliwości? - spytał Ben, choć w jego głosie słychać było, że nie wierzy w taką opcję.

- Nie. Wydawał się zdeterminowany i zniecierpliwiony.

To rozwiało wszelką nadzieję czarodzieja, że uda mu się przemówić uczniowi do rozumu. Sebastian już najwidoczniej podjął decyzję, a zdając sobie sprawę z okropności procesu, chciał go mieć jak najszybciej za sobą. Całkiem rozsądnie. Pewnie wszystko sobie wcześniej przemyślał i żadne argumenty Bena nic by nie zmieniły.

Młody najwidoczniej nie słuchał, kiedy mistrz opowiadał mu o tym, jaką satysfakcję daje pilnowanie Exeter, chronienie miasta i okolic. A może słuchał, ale nic nie rozumiał. Ben od pierwszego dnia wiedział, że jego nowy uczeń jest trochę zbyt ambitny, trochę zbyt zdeterminowany i trochę zbyt spostrzegawczy - na tyle, by nie zamknąć się w bezpiecznej bańce ignorancji, jak to robiła większość czarodziejów. On dobrze rozumiał, że samo wykonywanie tego zawodu nie jest powodem do dumy.

Ben zdawał sobie sprawę, że jego słowa nic nie zmienią. Ale przecież nie mógł nic nie zrobić. Gorączkowo myślał nad rozwiązaniem.

- Strasznie dużo w nim gniewu - mówiła tymczasem załatwiaczka. - I sprytu. Tak złożył zlecenie, że musiałam...

- Tuż przed swoim wyjazdem miałaś zlecenie na odzyskanie serca - przerwał jej niecierpliwie czarodziej. - Znajdź tego człowieka. Niech porozmawia z Sebastianem. Chłopaka można jeszcze uratować...

Ktoś, kto sam stracił serce, był wiarygodny. Tak, to był dobry pomysł, tylko poniewczasie.

- Nie można - przerwała Benowi Małgosia. - Już mu usuwają serce. Może nawet już usunęli. Już za późno. Nie dałeś mi dokończyć: zażądał natychmiastowej realizacji zlecenia i jeszcze zawarł klauzulę czasową na uzyskanie informacji co do kolejnego kroku. Za kilkanaście minut powinno być po wszystkim, a wtedy on zadzwoni dowiedzieć się, jak stracić sumienie. Jest bardzo uparty i inteligentny.

To nie była cała prawda, jej samej zależało, żeby zlecenie zostało wykonane. Nie chciała mieć kolejnej adnotacji w aktach, bała się, że znowu przyślą jej kontrolę. A przecież serce można było odzyskać. Jasne, trochę to trwało, ale zabieg był odwracalny.

Podejrzewała, że Ben zdaje sobie sprawę z jej ukrytych motywów, ale ani słowem się z tym nie zdradził. Znowu milczał przez chwilę, wymyślając nowy plan. Wreszcie zaczął mówić powoli i z wahaniem:

- Ten człowiek, którego serce odzyskałaś... on nie zrobił nic więcej, prawda? Chciał potęgę, ale nie zrobił kolejnych kroków. Usunął sobie serce, ale nie utracił sumienia.

- Tak - przyświadczyła Małgorzata. Już samo wspomnienie Alana wywoływało w niej dziwny niepokój. Domyślała się, do czego czarodziej zmierza, i miała nadzieję, że się pomyliła. Wszystko, tylko nie to.

- Coś go powstrzymało... gdybyśmy wiedzieli co, gdyby pogadał z Se...

- Nie!... Proszę - w jej głosie było coś, co sprawiło, że Ben przerwał w pół słowa. Nigdy wcześniej załatwiaczka nie podchodziła do spraw służbowych osobiście. A w tym wypadku samo wspomnienie o jednym ze zleceń wywołało u niej... strach? Czarodziej nie potrafił nazwać emocji, która przebijała z jej słów. Jedno było pewne: Małgosia nie chciała, żeby jej poprzedni zleceniodawca został w jakikolwiek sposób wmieszany w tę sprawę. Może po prostu nie chciała go widzieć.

Ben mógł złożyć zlecenie i zmusić dziewczynę, żeby podała mu adres Alana albo chociaż numer telefonu, ale nie zrobił tego. Gdy jego ukochana kobieta stała się wampirem, jedną z

istot znienawidzonych przez czarodzieja, i w nim coś się zmieniło. Dostrzegł niestałość, a może tylko ludzką słabość - tego jeszcze nie wiedział. Ale ta historia uświadomiła mu, że od innych nie można wymagać takiego oddania pracy i obowiązkom, jakie zawsze uważał za swoją najważniejszą powinność. Ludzie byli tylko ludźmi, czasami po prostu nie dawali rady.

- Drugim krokiem jest usunięcie sumienia? - zapytał zdecydowany więcej nie wspominać o człowieku, który chciał odzyskać swoje serce.

- Tak - Małgorzata odpowiedziała szybko, nawet nie próbując ukryć ulgi.

- Jak?

- Trzeba zabić kogoś absolutnie niewinnego.

- Sebastian jeszcze o tym nie wie?

- Nie. Ale zadzwoni lada chwila.

- Musimy się spotkać - zdecydował czarodziej. - W „Czarnym Koniu”. Jak najszybciej. Zawiadomię Rashida.

Załatwiaczka rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni. Do pubu miała dziesięć minut drogi piechotą, najbliżej z nich trojga. I co ważne, mogła zabrać swoją pracę ze sobą.

Widziała już wyraźnie szyld z wymalowanym karym ogierem, kiedy komórka zawibrowała. Jeden rzut oka na wyświetlacz pozwolił Małgosi stwierdzić, że dzwonią do niej z domku chirurgów.

- Operacja zakończyła się sukcesem - w słuchawce usłyszała głos doktora Franza. - Pacjent życzył sobie z panią rozmawiać.

Było już po wszystkim. A przez jedną sekundę załatwiaczka miała nadzieję, że może lekarze dzwonią, bo pacjent nie przeżył. Jak bardzo uprosiłoby to wszystko... Niestety, postęp medycyny miał też swoje wady...

- Zlecenie zostało wykonane - wypowiedziała formułkę, gdy tylko usłyszała w słuchawce oddech Sebastiana. - Oba, jeśli chodzi o ścisłość.

- Jak usunąć sumienie? - zapytał. Małgorzata czekała na chłód, sarkazm, na to, że jego głos wzbudzi w niej niepokój, tak jak to miało miejsce w przypadku Alana. Ale młody czarodziej mówił zupełnie tak samo jak kilkanaście godzin wcześniej. Nic się nie zmieniło.

- Trzeba zabić kogoś absolutnie niewinnego - wyjaśniła, zwalnając krok. Była już prawie przy pubie.

Sebastian nie tracił czasu na rozważania. Niemal natychmiast złożył kolejne zlecenie.

- Załatw mi listę wszystkich niewinnych osób w Exeter. Chcę znać imiona, nazwiska, adresy. Załatw, żeby była gotowa w chwili, kiedy mój samolot wyląduje.

Jego niecierpliwość i zdeterminowanie były przerażające. Ale nic poza tym. Pustka nie odbijała się echem w każdym słowie, nie wiało z nich chłodem i rozpaczą.

Dopiero chowając telefon do kieszeni, Małgosia zdała sobie sprawę, że przez cały czas czekała na chwilę, kiedy powróci ten straszny niepokój, jaki wywoływały w niej rozmowy z Alanem, jego obecność, sama myśl o nim.

Tymczasem nic się nie stało.

Weszła do pubu. Rashida ani Bena jeszcze nie było, więc zamówiła sok, usiadła na swojej ulubionej kanapie i zajęła się pracą. Miała dwie godziny na zdobycie listy dla Sebastiana i właśnie odkryła, że jest coś gorszego od załatwiania: załatwianie na czas.

Kwadrans później dołączyli do niej czarodziej i czytacz marzeń. Niecierpliwie czekali, aż Małgorzata skończy rozmowę.

- Sebastian będzie mordował - powiedziała, gdy tylko wyłączyła telefon. - Mam mu załatwić listę absolutnie niewinnych osób przebywających w okolicy.

- Niech to! - mruknął Rashid. Cenił sobie spokój i porządek. Zwłaszcza spokój.

- Zawarł w zleceniu klauzulę czasową? - upewnił się Ben.

Małgosia skinęła głową.

- Ile mamy czasu?

- Mniej więcej dwie godziny. Chce dostać listę, jak tylko wróci.

- Po prostu wyśmienicie - skrzywił się czytacz marzeń. - Twój nowy uczeń przebija wszystkich poprzednich. O ile sobie przypominam, różne głupstwa robili, jeden nawet próbował namówić Phillipa, żeby go ugryzł, ale nikt dotąd nie odstawił maniakałnego mordercy.

- On nie jest maniakałnym mordercą - poprawił czarodziej Rashida. - Na razie. Kiedy straci sumienie... Nic nie będzie go hamowało. Żadna moralność czy skrupuły. Trzeba go powstrzymać.

- Jak? - parsknął czytacz.

- Potrzebna nam kopia jego listy. Zapobiegniemy morderstwu, które pozbawi go sumienia.

Załatwiaczka skinęła głową na znak, że rozumie.

- Mamy robić za ochroniarzy? - Czytacz marzeń popukał się w czoło. - Jest nas troje, a miasto ma setki tysięcy mieszkańców! Nie licząc studentów.

- Studenci z definicji nie kwalifikują się do grupy „absolutnie niewinnych” - wtrąciła Małgorzata znad swojej komórki. Czas jej uciekał, nie mogła przerwać załatwiania. Tyle że zamiast dzwonić, pisała SMS-y.

- A kto się zalicza? - parsknął zirytowany Rashid. Głęboko w sobie czuł, że choć powstrzymanie szaleńca jest obowiązkiem każdego uczciwego człowieka, to on nie powinien się do tego mieszać. Czarodziej jeszcze posiadał jakieś kwalifikacje, ale Rashid i Małgosia? Jedno umiało tylko odczytywać pragnienia ludzi, drugie je urzeczywistniać.

- Głównie dzieci - odparł Ben. - Właściwie tylko te najmłodsze.

- Tylko?

- Trudno jest dorosnąć i zachować niewinność - wyjaśnił czarodziej. - Możemy założyć, że celem Sebastiana będzie oddział położniczy w którymś ze szpitali. Kiedy lista będzie gotowa, musimy się spotkać i opracować taktykę. Siedzenie Sebastiana odpada, zauważył. Musimy skupić się na ochronie potencjalnych ofiar.

- No to na co czekamy? - Rashid odwrócił się do Małgorzaty. - Zrób listę i przynieś ją tu, to... zaczniemy myśleć - zakończył sarkastycznie. Nie wierzył w powodzenie planu czarodzieja.

- Nie tutaj - skorygował Ben. - Potrzebne nam bezpieczne miejsce. Jego potęga wzrosła, będzie mógł obserwować, podsłuchiwać. Nie jest głupi, musi się liczyć z tym, że Małgosia mnie uprzedziła. Może nawet zamiast skupiać się na samoobronie, zechce wy badać, co planujemy. Potrzebne nam miejsce, o którym nie wie i do którego nie dostanie się tak łatwo.

- Myślisz? - powątpiewał czytacz marzeń. - To czarodziej. Czarodzieje są zbyt aroganccy, by sądzić, że ktokolwiek jest w stanie ich powstrzymać. Bez urazy - dodał.

- Mój dom odpada - ciągnął Ben. - Sebastian go zna. Nie możemy się spotykać w miejscach publicznych, za łatwo byłoby nas wyśledzić. Potrzebne nam ciche, bezpieczne miejsce, o którym Sebastian nie wie. Ale zdążyłem już oprowadzić go po mieście. - Zmarszczył brwi.

- Dom pani Willoughby - wtrąciła nagle Małgorzata. - Pokazałeś mu go?

Czarodziej pokręcił głową.

- Nie. To już nie jest dom załatwiaczki, a Kasandra... Uznałem, że lepiej nie wyjaśniać mu, jak się ma sprawa z Kasandrą. To zbyt... skomplikowane. - Jego ton sugerował wyraźnie, że wróżka, jej przestępstwo, wyrok i aktualny status są dla niego sprawami, które nie powinny nikogo interesować. To była wstydliva plama na lokalnej historii, a Ben nie lubił takich plam. Utrudniały mu kochanie tego miejsca.

Rashid parsknął pogardliwie.

- Nie z Kasandrą, tylko z Kate - poprawił. Nie uznawał „pseudonimu artystycznego”, jaki wybrała sobie jego była konkurentka. Sam chlubił się tym, że jego hinduskie imię było w stu procentach autentyczne. - Zrozumiałe, kto by chciał się chwalić przestępczynią.

- Kasandra nadal należy do branży - wytknęła Małgosia. - Jak skończy się jej wyrok, będzie mogła znowu czytać. A dom zachował wszystkie zabezpieczenia, jakie założyła pani Willoughby.

- Kas się zgodzi? - zapytał poważnie czarodziej. Wiedział, że wróżka nie darzy innych ludzi z branży sympatią. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę przeszłość.

Tego załatwiaczka nie była pewna. Ale też nie stanowiło to problemu.

- To mój dom - przypomniała. - Jeśli Kasandra będzie miała pretensje, zredukuję jej czynsz albo coś takiego.

Rashid skrzywił się z niechęcią. Nie znosił wróżki, i to z wzajemnością.

- To byłoby najlepsze wyjście - orzekł Ben. - Pani Willoughby zadbała o odpowiednie zabezpieczenia. Nawet jeśli Sebastian postanowi nas poszukać, nawet jeśli nas znajdzie, potrwa, zanim uda mu się dostać do domu. To da nam potrzebny czas.

- Myślisz, że będzie próbował nas szukać? - wciąż nie dowierzał czytacz marzeń. - Po co?

- Nie jest głupi, zdaje sobie sprawę, że będę przeciwny temu, co robi. Że spróbuję go powstrzymać.

- Jest czarodziejem - przypomniał ponownie Rashid. - Bez urazy, Ben, ale oni wszyscy poza tobą to banda aroganckich głupków. Sebastian może sądzić, że spróbujesz go powstrzymać, ale nie uwierzy, że naprawdę byłbyś to w stanie zrobić. On ma siebie za pępek świata, najpotężniejszego człowieka na ziemi. Nie boi się nikogo, nawet ciebie. Nie będzie nas szukał.

- Racja - poparła czytacza marzeń Małgosia. - Sebastian jest typowym czarodziejem. To, co postanowił zrobić, tylko to potwierdza. Nie przyjdzie mu do głowy, żeby potraktować nas poważnie. Przeceniasz go.

- Być może - zgodził się Ben. - Ale co, jeśli wy go nie docenicie?

Małgorzata i Rashid wymienili spojrzenia.

- Chodźmy. - Załatwiaczka wstała. - Czas ucieka. Przekonam Kas, żeby was wpuściła, a potem pójde wydrukować listę.

Pierwszym odruchem Kasandry było zatrzaśnięcie im drzwi przed nosem. Osoby, które stały w zapuszczonym ogródku, były ostatnimi, które życzyła sobie tam zobaczyć. No, może poza załatwiaczką, do niej akurat nic nie miała, ale co tej dziewczynie przyszło do głowy, żeby przyprowadzać właśnie ich! Gdyby tylko miała kuszę, zaczęłaby odpierać oblężenie z wykuszowych okien i wieżyczek, którymi naszpikowany był dom świętej pamięci pani Willoughby.

- Daj spokój! - zawołała Małgosia, waląc do drzwi. - Przecież mam swoje klucze.

Rudowłosa wróżka niechętnie otworzyła. W jej zielonych oczach błyszczała wściekłość, może nawet nienawiść.

- Co oni tu robią?

- Wszystko ci zaraz wyjaśnię - obiecała załatwiaczka. W tym momencie zadzwoniła jej komórka. - A raczej oni ci wyjaśnią...

Odeszła od drzwi i przy furtce odebrała telefon. Rozmowa trwała kilkanaście sekund, a kiedy Małgorzata odwróciła się, drzwi znowu były zamknięte, a przed nimi tkwili zmartwiony Ben i złośliwie usatysfakcjonowany Rashid.

Małgosia westchnęła. Miała niewiele czasu, a zapowiadało się, że będzie go miała jeszcze mniej. Ponownie wcisnęła dzwonek.

- Kas! - krzyknęła. - Otwórz. To NAPRAWDĘ WAŻNE.

Drzwi uchyliły się, ale tylko odrobinę. Na tyle, że w szparze widać było jedno oko rozszlószonej Kasandry. Nie patrzyła na czarodzieja ani czytacza marzeń, ale na Małgorzatę. Nic dziwnego, z całej trójki tylko z załatwiaczką utrzymywała kontakty.

- Nie przyprowadziłabym ich tutaj, gdyby to nie było naprawdę ważne - powiedziała szczerze Małgosia. - Ale musisz wpuścić ich do środka. Nie musisz z nimi rozmawiać, przebywać w jednym pokoju. Tylko pozwól im wejść.

Wróżka nie wyglądała na przekonaną, ale uchyliła szerzej drzwi.

- Chcę usłyszeć jakieś wyjaśnienia - zażądała z godnością.

- Ben ci wszystko opowie - obiecała Małgorzata. - Ja muszę lecieć, wrócę za jakąś godzinę.

Pośpiesznie ruszyła w stronę akademików. Miała stąd ledwie dziesięć minut na piechotę do kampusu. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, żeby Małgosia, zamiast zagracać swój mały studencki pokój, wreszcie przeprowadziła się do domu pani Willoughby. Tyle że nie chciała.

Akademik dawał jej złudne poczucie, że ma coś poza pracą. Przeprowadzka do domu poprzedniczki oznaczałaby poddanie się dyktaturze załatwiania. A Małgorzata nie zamierzała tego robić, na pewno nie teraz, kiedy wreszcie osiągnęła kruchą równowagę.

Lista osób absolutnie niewinnych zajmowała jedenaście kartek. Załatwiaczka wydrukowała kilka egzemplarzy. Jeden z nich włożyła do koperty, na którą już czekał kurier gotów jechać na lotnisko. Samolot Sebastiana miał wylądować za kilkanaście minut.

Pozostałe kopie Małgosia wepchnęła do kieszeni ogrodniczek. Kiedy wychodziła z akademika, wyminęła studentów wracających z pubów. Pochłonięta zleceniem nie zauważyła nawet, że było już grubo po północy.

Czas i tak nie miał znaczenia. W domu Kasandry na pewno paliły się wszystkie światła. Wróżka mogła nie znosić Rashida, mogła mieć wyrok na karku, ale miała też dobre serce. Na pewno nie pozostała bierna, kiedy Ben wyjaśnił jej, co planuje jego uczeń.

Lada chwila miał wylądować samolot wiozący Sebastiana. Załatwiaczka podejrzewała, że jeśli tylko czarodziej będzie miał dość siły, od razu przystąpi do realizacji następnego warunku. Tej nocy prawdopodobnie ktoś umrze, chyba że uda się temu zapobiec.

Dojście do domu pani Willoughby zajęło jej krócej niż zwykle. Możliwe, że biegła, choć tego nie zauważyła. Kot wróżki, przyzwyczajony do atencji i podziwu, parsknął z pretensją, gdy prawie go zdeptała na ścieżce.

Ktoś poruszający się z takim pośpiechem jak Małgorzata powinien pchnąć drzwi wejściowe i wpaść jak burza do domu. Jednak załatwiaczka zwołała gwałtownie i wcisnęła przycisk dzwonka. Kas, popędzana przez Bena i Rashida, pewnie już aktywowała wszystkie alarmy i zabezpieczenia, a tych było niemało. Pani Willoughby może i sprawiała wrażenie przemilej, słodkiej plotkarki, ale pod tą warstwą lukru ukrywała żelazną wolę i jezioro cynizmu. „Czy może nawet ocean” - stwierdziła Małgosia. Kiedy odziedziczyła dom, dostała schemat systemu alarmowego. Był tak skomplikowany, aż rozbolała ją głowa i szybko doszła do wniosku, że nie musi wiedzieć, skąd coś się wzięło i jak działa. Wystarczyło jej wiedzieć, jak włączyć i wyłączyć alarm. Tę podstawową wiedzę przekazała Kasandrze, kiedy wynajmowała jej dom.

Potrwało kilka minut, zanim rudowłosa wróżka uporała się z zabezpieczeniami i wreszcie uchyliła drzwi. Nie uszło uwagi Małgorzaty, że zdążyła się już przebrać w swoje „robocze” ubranie, czyli powłóczyłą spódnicę, lekką bluzkę i okazały zestaw pseudokultystycznej

bizuterii. Zupełnie jakby podkreślała, że chociaż używa im chwilowo swojego lokum, robi to na własnych warunkach. I chociaż przez najbliższe kilkadziesiąt lat nie będzie się oficjalnie zaliczała do branży, to nad tym nie rozpacza.

- Dogadaliście się? - zapytała z wahaniem załatwiaczka.

Kasandra tylko prychnęła, buntowniczo zdmuchując z twarzy kosmyk rudych włosów.

- Nie. My się nigdy nie dogadamy. Ale potrafię przełknąć dumę i współpracować. W przeciwieństwie do niektórych.

A więc tak to miało wyglądać: Kas i Rashid będą na wyścigi udowodniać sobie, które z nich jest szlachetniejsze i bardziej skłonne do zapomnienia o dawnych urazach. Chwilowego zapomnienia, tego Małgosia była pewna. Niekiedy nienawiść wrastała w człowieka tak głęboko, że stawała się jego nieodłączną częścią.

Poza tym pewnych krzywd się po prostu nie zapomina. Nigdy.

- Masz listę? - Z kuchni wyrzał Ben. Atmosfera upiornie uprzejmej wrogości, jaką generowali między sobą wróżka i czytacz marzeń, zdawała się nie robić na nim żadnego wrażenia. Załatwiaczki to nie zdziwiło. Dla czarodzieja liczyło się przede wszystkim dobro okolicy. Branżowe niesnaski nie interesowały go, nie teraz, kiedy miał o wiele poważniejsze zmartwienia.

Małgorzata weszła za nim do kuchni, która jak większość pomieszczeń prawie się nie zmieniła od czasów pani Willoughby. Kasandra nie odcisnęła na domu swego okultystycznego piętna, tylko jeden z pokoi na parterze zmieniła w salon wróżb, zawieszając grube zasłony i paląc tam regularnie orientalne kadzidła. Twierdziła, że klienci tego właśnie oczekują.

Kuchnia oparła się wróżbiarskiej metamorfozie i zachowała przyjemny domowy klimat. Drewniany stół, krzesła i szafki pomalowane były na zielono, w doniczkach na oknie rosły zioła, równie zapuszczone i zaniedbane jak ogródek. Kasandra nie nadawała się do uprawy czegokolwiek, nieważne, czy róż czy szczypiorku.

Małgosia wyciągnęła z kieszeni plik kartek. Ben szybko przebiegł po nich wzrokiem.

- Większość jest na oddziałach położniczych - powiedział z wyraźną ulgą. - Dzwoniłem już do ubezpieczalni, zajmą się ich ochroną.

- A reszta? - Wróżka zajrzała mu przez ramię.

- Ubezpieczalnia nie jest w stanie zorganizować tylu punktów alarmowych, nie w tak krótkim czasie. Będziemy musieli znaleźć ich osobiście i założyć zabezpieczenia.

Telefon załatwiaczki zadzwonił. Nawet nie musiała patrzeć na wyświetlacz, wiedziała kto. Sądząc z wyrazu twarzy Bena, on też wiedział.

- Zlecenie zostało wykonane - powiedziała, nie czekając, aż Sebastian się odezwie.

- Jedno tak - odparł. W jego głosie słyhać było triumf, chorą dumę, satysfakcję. Ani śladu chłodu, pustki, zimnej niechęci. Wciąż nie był to głos Alana. - Załatw mi informacje, jaki będzie trzeci krok do mojej potęgi. I przekaz mojemu mistrzowi, że teraz jest mi o wiele łatwiej. - Roześmiał się. - Zamiast stać co noc i spoglądać na pustą, ciemną ulicę, też powinien to zrobić.

Małgosia zakończyła połączenie.

- Wie, że ci powiedziałam. I chce wiedzieć, jaki będzie kolejny warunek.

- Więc naprawdę planuje morderstwo... - Kasandra zbladła. Dotąd chyba uważała całą sprawę za przykład branżowej hysterii. Wyrwała czarodziejowi jedną z kopii listy. - Tych nazwisk jest za dużo!!! Musi być jakiś sposób, żeby stwierdzić, kto to będzie! Przecież to branża! Może jakiś wróż...

- Za mało czasu - stwierdził Ben. - Poza tym ludzie bez serca nie mieszczą się w kalkulacjach wróżów. To jeden z... przywilejów.

- A banshee? Albo śmierciak?

- Tak samo. Sebastian jest poza ich polem postrzegania, bo on nie jest już w pełni człowiekiem. Na tym to polega: jednym z filarów całkowitej potęgi jest wyrwanie się z okowów człowieczeństwa.

- Poza tym Bansh i Gareth to dwoje sukinkotów - dodała gorzko Małgorzata. Nie mogła im zapomnieć, że to przez nich spadła jej kiedyś na kark kontrola z Korporacji. - Na nich i tak nie ma co liczyć. A wy musicie się pośpieszyć. Sebastian jest już w mieście, pewnie od razu zajmie się realizacją drugiego kroku. Sprawiał wrażenie, jakby chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą.

- Nic dziwnego - wtrącił się z niesmakiem Rashid. - W końcu to potworność...

- Nie, nie dlatego. On się nie brzydzi tego, co robi. Po prostu nie może się doczekać... rezultatów.

Czytacz marzeń zacisnął usta w cieką linię.

- Idziemy - zarządził Ben. - Zawarł klauzulę czasową? - zapytał załatwiaczki.

Pokręciła głową. Sebastian musiał być upojony swoim pierwszym sukcesem. Zapomniał. Zrobił się nieostrożny. Bardzo dobrze.

- Jak najszybciej dowiedz się, jaki jest trzeci krok - polecił czarodziej. - Na wszelki wypadek... Musimy wiedzieć, czego się spodziewać.

Za oknami domu pani Willoughby mrok zaczynał szarzeć. Jak zawsze ulicą co chwila ktoś przechodził. Pennsylvania była główną trasą z kampusu do centrum, więc ciągle pełno było na niej studentów. Małgorzata prawie nie zwracała na to uwagi pochłonięta rozmową telefoniczną. Dopiero kot Kasandry, przepiękna ruda bestia, skłonił ją do oderwania się od pracy.

Siedział na zewnątrz na parapecie i miauczał rozkazująco. Chciał, żeby go wpuścić.

Załatwiaczka nie ruszyła się z krzesła. Żeby futrzak mógł wejść do domu, musiała nie tylko otworzyć okno, ale też wyłączyć na chwilę alarm.

Bała się to zrobić. Wiedziała, że nawet ktoś bez serca musiałby być idiotą, żeby porywać się na pracownicę Korporacji, ale czarodzieje z ich arogancją, beztroską pewnością siebie w większości byli idiotami. Poza tym Sebastian wcale nie musiał chcieć jej skrzywdzić. Wystarczyłoby mu, że odizolowałby Małgorzatę od innych ludzi z branży. Uniemożliwił jej ostrzeżenie Bena.

Wcześniej coś takiego nie przyszłoby mu do głowy, ale teraz wszystko się zmieniło. Teraz nie miał już serca. Był innym człowiekiem... O ile jeszcze w ogóle był człowiekiem.

Ilekcio o tym myślała, czuła chłód i niepokój. I za każdym razem stawała jej przed oczami twarz Alana. Nie wiedziała dlaczego. Przecież Alan ją niepokoił, bardzo niepokoił, ale nie przerażał. Nie rozumiała tego, ale tak było.

Alan był... pusty. Nie miał serca, nie miał w sobie nic. Tylko chłód i pustkę. Sebastian nie był taki sam. W nim była ambicja, bezwzględność, pragnienie władzy. Tego właśnie załatwiaczka się bała.

Uruchomiła już swoje wszystkie kontakty, teraz musiała kilka minut poczekać, aż jej ludzie uruchomią swoich ludzi... i tak dalej, aż wreszcie ktoś zadzwoni do Małgosi i poda jej nazwisko, numer telefonu, adres... cokolwiek.

Kot dalej miauczał. Załatwiaczka odwróciła wzrok od okna. Nie chciała zostawiać zwierzaka na dworze, ale za nic nie wyłączyłaby teraz zabezpieczeń. Świt za oknem był straszniejszy od atramentowej ciemności.

Żeby jakoś zapelnąć sobie czas i przestać myśleć o kocie, sięgnęła po kopię listy, która leżała na stole. Pozostałe egzemplarze zabrali Ben, Kasandra i Rashid. Jeden został w domu nie wiadomo po co.

Może żeby załatwiaczka mogła się czymś zająć. Przerzucała strony, spoglądając na nazwiska, adresy, daty urodzenia. Większość to były dzieci... Absolutnej niewinności nie da się osiągnąć, można tylko ją stracić.

Nagle jedna z pozycji na liście przyciągnęła jej wzrok.

Nazwisko: *Nieznane*. Imię: *Sharon*. Wiek: *Brak danych*. Adres: *Brak danych*.

Małgosia na oślep sięgnęła ręką. Musiała się o coś oprzeć, o ścianę, stół, cokolwiek. Jej nogi nie były w stanie jej utrzymać. I jeszcze w głowie załatwiaczki zakręciło się tak strasznie, tak mocno, że nie wiedziała, czy zaraz upadnie, czy może zwymiotuje. W gardle miała coś, co uniemożliwiało jej składne mówienie.

Ale musiała, musiała zadzwonić.

Oderwała dłoń od ściany. Nogi natychmiast odmówiły jej posłuszeństwa. Małgorzata upadła na kolana.

Wszystkie oddziały noworodkowe były obsadzone przez półtrolle z ubezpieczalni. Tak samo przedszkola. Ben i Rashid upewniali się, czy inne dzieci też były bezpieczne. Biegali po mieście niczym spanikowane mrówki... A Małgorzata miała już absolutną pewność że robią to niepotrzebnie. Sebastian nie zabije żadnego z dzieci.

Dzieci to... tylko dzieci. Zabicie któregoś z nich byłoby strasznym, okrutnym morderstwem, ale zabicie druidki... To byłby mord, o którym by nie zapomniano.

Coś w sam raz dla dumnego, aroganckiego czarodzieja.

Wyciągnięcie telefonu pierwszy raz wydawało się Małgorzacie ponadludzkim wysiłkiem, ale nawet w połowie nie było tak trudne jak wybranie numeru. Potem przyszło najgorsze: musiała wydobyć z siebie głos, złożyć dźwięki w wyraźne słowa, przekazać zrozumiałą wiadomość.

- Sharon - powiedziała ochryple, kiedy tylko ktoś, nie wiedziała, czy Ben, czy Rashid, wreszcie odebrał. - On zabije Sharon.

Ten ktoś po drugiej stronie rozłączył się niemal natychmiast. Małgosia słyszała jeszcze, jak powtarza imię druidki.

Ale to przecież nie miało znaczenia. Małgorzata wiedziała, że nie zdążą. Po prostu była tego pewna.

Musieliby najpierw odnaleźć Sharon, a potem jeszcze ją skłonić, żeby udała się w bezpieczne miejsce. Poza tym Sebastian miał nad nimi przewagę: załatwiaczka była pewna, że gdy pierwszy raz przeglądał listę, od razu upatrzył sobie druidkę na ofiarę.

Możliwe, że ona już była martwa.

Kilka minut zabrało Małgosi dobrnięcie na kolanach do drzwi. Wyłączyła zabezpieczenia, odsunęła zasuwę i wpuściła kota do środka.

A potem uaktywniła alarm, oparła się plecami o ścianę i siedziała tak, czekając, aż z nieudanych poszukiwań wrócą Ben, Kasandra i Rashid.

- Ani śladu - powiedział czarodziej. - Ani jej, ani konia, ani psa.

Ben stał w kuchni Kasandry i spoglądał przez okno na ogródek, jakby tam mógł znaleźć wszystkie odpowiedzi.

- To jeszcze nic nie znaczy - siedzący przy stole Rashid próbował podejść do sprawy racjonalnie. - Jej zazwyczaj nigdzie nie ma. Pojawia się, kiedy chce. Sharon nie jest byle kim. Nie dałaby się tak po prostu zabić.

Małgosia nie brała udziału w rozmowie. Po pierwsze, była pewna, absolutnie pewna, że druidka nie żyje. A poza tym miała na głowie zlecenie Sebastiana. Siedziała na sofie w salonie i przeprowadzała jedną rozmowę za drugą.

Od pracy oderwał ją dopiero dźwięk dzwonka do drzwi. Zdziwiona Kasandra poszła do holu. Nie spodziewała się nikogo. Małgorzata odsunęła firankę i wyjrzała przez okno.

To, że spodziewała się zobaczyć na ścieżce Sebastiana, triumfującego, napawającego się swoją przemianą i ich bezradnością, Małgosia uświadomiła sobie dopiero, kiedy przestała wstrzymywać oddech. Z ulgą stwierdziła, że to na szczęście nie był on. Przed drzwiami stał młody mężczyzna w okularach. Długie jasne włosy miał spięte w kucyk. Jak każdy śmierciak ubrany był na czarno.

Załatwiaczka wyszła z salonu do holu, gdzie Kasandra w asyście Bena i Rashida już otwierała drzwi. Też musieli zobaczyć, kto za nimi stał, inaczej nie byłiby aż tak błdzi.

- Pomyślałem, że was uprzedzę - powiedział bez wstępów Gareth, gdy tylko wróżka zdjęła zabezpieczenia i odsunęła zasuwę. - W końcu lubisz wiedzieć, co się dzieje w okolicy - dodał pod adresem Bena.

Nie mieli już żadnych złudzeń. Jeśli Gareth został zaangażowany, to znaczyło, że było już za późno. Sharon nie żyła, Sebastian zrobił kolejny krok na drodze do potęgi.

Kasandra wyglądała, jakby odebrało jej mowę. Rashid oddychał głęboko, tylko Ben jak zwykle był spokojny i rzeczowy.

Małgosia oparła się ramieniem o ścianę. Wiedziała już kilka godzin temu. Wiedziała i już. Nie płakała, nie krzyczała. Miała wrażenie, że ktoś wsadził ją do pudełka wypełnionego miękką, wygłuszającą wszystko watą, przez którą przebiło się tylko pytanie czarodzieja:

- Gdzie?

Jakby to, że zobaczą miejsce śmierci Sharon, mogło cokolwiek zmienić.

Trupa kobiety znaleziono na terenie uniwersytetu, z dala od budynków, na zacienionej ścieżce biegnącej wzdłuż rzeczki. Na ciało natknęła się para spacerująca tam regularnie z psem.

Ofiara była młoda, piękna nawet po śmierci. Miała jasne włosy ścięte na zapalkę i klasyczne rysy twarzy, jakby stworzyła je dłoń genialnego rzeźbiarza, a nie natura.

Zginęła od jednego precyzyjnego ciosu nożem w plecy. Krwi było mało, więc kiedy tak leżała z bezradnie rozrzuconymi ramionami, lekko uchylonymi ustami i otwartymi oczami, wyglądała na niepokojąco żywą. Nawet te oczy były za mało martwe, za jasne.

Ofiary nie udało się zidentyfikować. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, w ogóle nic osobistego: żadnej torebki, biżuterii. Na ubraniach nie było metek. Odciski palców też na nic się nie przydały.

Miejsce zbrodni oddzielono taśmą, a tam, gdzie leżały zwłoki, postawiono biały namiot ochraniający ślady przed warunkami atmosferycznymi, a zamordowaną przed wzrokiem gapiów.

Tych ostatnich zresztą nie było zbyt wielu. Tylko kilku zaciekawionych studentów prawa i podenerwowanych pracowników uniwersytetu. Zwłoki na terenie uczelni nie wróżyły dobrze na kolejny rok budżetowy.

Prowadzący śledztwo detektyw rozejrzał się z niesmakiem. Nic. Żadnych śladów, żadnych tropów. Nawet trawa wokół zwłok nie była podeptana. Technicy obiecywali wprawdzie, że coś znajdą, ale on wiedział swoje. Tej sprawy po prostu nie da się rozwiązać i już.

Detektyw był niezadowolony, głęboko niezadowolony. Na jego nalanej, żabiej twarzy odbijały się te emocje, potęgując jeszcze jego brzydotę. Wyglądał jak ogromna karykatura wszystkich ropuch tego świata.

Aparycja była w jego wypadku myląca. Za małymi oczkami, podwójnym podbródkiem i okazałym brzuchem tkwił bystry umysł, który już dawno zauważył, że niektóre sprawy są zupełnie inne, niż się wydają. Niewytłumaczalne według powszechnie przyjętych standardów. Ropuch miał swoje podejrzania co do świata: wietrzył w nim jeden wielki kant.

To morderstwo było tylko jednym z przykładów. Niezidentyfikowana ofiara, niezostawiający żadnych śladów sprawca. W prawdziwym świecie nie istniały zbrodnie doskonale, wcześniej czy później prawda wychodziła na jaw. A tu... tu nie było żadnego punktu zaczepienia, i - tego policjant był pewien - nie będzie go, choćby technicy szukali

przez tydzień. A ciało pewnie zniknie z kostnicy, jak to się już parę razy zdarzało. Podobnie przepadną akta sprawy.

Ropucha niepomierne to irytowało.

Miał swoje podejrzenia co do przyczyn tych zdarzeń. Miał swoich podejrzanych. Nie miał dowodów, a jego przypuszczenia nie nadawały się do przedstawienia komukolwiek. Gdyby poszedł z nimi do swoich zwierzchników, byłby na wcześniejszej emeryturze.

To też go irytowało.

Z tej irytacji wyciągnął z kieszeni batonika i zaczął go przeżuwać. Jedzenie na miejscu zbrodni, niekiedy w obecności zmasakrowanych zwłok, było już prawie jego znakiem firmowym. Czuł na sobie lekko przerażone, trochę zniesmaczone spojrzenia kolegów. Niektórzy wciąż nie mogli się jeszcze przyzwyczaić, że słodczyce pomagają mu myśleć.

Detektyw nie zwracał na nich uwagi. Po pierwsze dlatego, że mało go obchodzili inni i ich opinia. Był zgorzkniałym samotnikiem i życzył sobie takim pozostać.

Po drugie, zajęty był obserwowaniem nielicznych gapiów. Szukał wśród nich kogoś... czegoś, co pasowałoby do jego irytujących teorii.

Bingo!

Na tyle daleko, żeby policja się nie czepiała, ale na tyle blisko, aby coś widzieć, stały cztery osoby: dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Cienie rzucane przez drzewa przesłaniały ich twarze, ale z samych sylwetek dawało się wiele wyczytać. To nie byli zwykli ciekawscy.

Jeden z mężczyzn, ubrany w garnitur, stał sztywno wyprostowany, nieruchomy jak posąg, wydawało się, że nawet nie oddycha. Jego towarzysz podtrzymywał szczupłą dziewczynę w ogrodniczkach, która sprawiała wrażenie, jakby nie była w stanie ustać na własnych nogach. Druga kobieta, rudowłosa i obwieszona lśniąca biżuterią, miała dłonie złożone przy twarzy w geście bezbrzeżnego zdumienia i bezradności.

Nie ulegało wątpliwości, że ta zbrodnia była dla nich czymś osobistym.

Policjant obserwował ich ukradkiem przez kilkanaście minut. Jednego z mężczyzn znał, niestety. Ben Watson, wścibski i tajemniczy dupek ze skłonnością do wtykania nosa w nie swoje sprawy. Ta dziewczyna, którą podtrzymywał... Jak ona miała na imię? Jakoś dziwnie, zresztą to nie miało znaczenia. Często widywano ją w towarzystwie Watsona... i innych miejscowych podejrzanych szumowin. Mała nie umiała się trzymać z dala od kłopotów.

Ale jej przynajmniej nikt nie zamordował, na razie. Ta kobieta leżąca przy rzeczce miała mniej szczęścia. Albo, patrząc na to z innej perspektywy, miała masę szczęścia. Jeden cios

nożem prosto w serce. Szybka śmierć. Żadnych śladów walki, pobicia, gwałtu. Mogło być gorzej.

Skończył batonik i schował papierek do kieszeni. Nie wypadło śmiecić. Ludzie patrzyli.

Wydał jeszcze kilka dyspozycji swoim ludziom, aż wreszcie powoli, spokojnym krokiem ruszył w stronę podejrzanego czwórki. Nie bawił się w żadne zakosy, wybrał najprostszą drogę przez trawę. Dla każdego było jasne, dokąd zmierza.

Pierwszy zmył się facet w garniturze, zaraz za nim ruda. Ostatni odszedł Watson, podtrzymując dziewczynę w ogrodniczkach.

Ropuch uśmiechnął się pod nosem. Tak, dokładnie tak, jak oczekiwał. Odwrócił się na pięcie i ruszył w zupełnie przeciwną stronę, ku akademikom. Po grobli z kamieni przeszedł strumyk i już za chwilę był przy tylnym wejściu do jednego z budynków. Przystanął, starając się wyrównać oddech. Już nie te lata, nie ta kondycja.

Dwie pary drzwi prowadzących na klatkę schodową - i te wychodzące na trawnik przed akademikami, i te tylne, za którymi wąska ścieżka zbiegała nad staw - znajdowały się dokładnie naprzeciw siebie. Były też częściowo przeszklone. Przez dwie szyby detektyw miał świetny widok na dziewczynę w ogrodniczkach, która powłócząc nogami, wracała do siebie.

Tak przypuszczał, że tu się pojawi. Kiedy podeszła bliżej, zauważył, że jest bledsza niż zwykle i bardziej przygarbiona. Morderstwo musiało ją nieźle wstrząsnąć. Kiedy otwierała drzwi, nawet nie podniosła głowy. Musiał ją zawołać, żeby w ogóle zauważyła jego obecność.

Na dźwięk głosu policjanta wreszcie spojrzała na coś innego niż chodnik lub podłoga. Ani o jotę nie zmienił się wyraz jej twarzy, kiedy otwierała tylne drzwi i wychodziła na ścieżkę za akademikiem.

- Tabletki na mdłości mi się kończą - szepnął konspiracyjnie ropuch, zadzierając głowę, żeby sprawdzić, czy jakaś wścibska persona nie wygląda przez okno. - Załatw mi następną partię.

Tabletki umożliwiały mu spożywanie z apetytem kanapek nawet na miejscu najstraszliwszych zbrodni. Bez nich jego image twardego sukinsyna runąłby niechybnie. A tego detektyw by nie zniósł. Nie miał rodziny, nie miał przyjaciół poza innymi policjantami, żył swoją pracą. I cieszył się złą opinią, jaką mieli o nim inni.

- Będą jutro - powiedziała apatycznie Małgorzata.

O tym, czym zajmuje się młoda Polka, policjant dowiedział się przypadkiem. To była jedyna korzyść, jaką wyniósł z nieoficjalnej obserwacji Watsona. Dziewczyna miała parszywą pracę, musiał to przyznać. Ale sama sobie była winna. Wpakowała się w to wszystko i ponosiła konsekwencje, przy okazji potwierdzając przypuszczenia ropucha, że

Watson i jego towarzystwo to podejrzane typki. Detektyw czasem marzył, że przyskrzyni ich wszystkich, a z tej małej zrobi świadka koronnego.

Tymczasem korzystał z jej usług bez wahań i wyrzutów sumienia. Byłby głupcem, gdyby nie skorzystał.

- A ten trup? - zapytał nonszalancko. Wiedział, że nawet jeśli coś mu powie, to ta informacja nie będzie się nadawała do umieszczenia w raporcie. Ale to nie było ważne. On chciał po prostu wiedzieć, co się dzieje w jego mieście.

Dziewczyna prawie podskoczyła na samo wspomnienie o morderstwie. Przypominała w tej chwili spłoszoną łanię, przerażoną i bezradną. Ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą, jeśli tak można było nazwać jej zwyczajny, apatyczny i obojętny wyraz twarzy.

- To sprawa branzowa - wyjaśniła krótko. - Niech się pan nie miesza. Zadzwoń, kiedy zlecenie zostanie zrealizowane - dodała jeszcze, zanim wróciła na klatkę schodową i weszła na swoje pierwsze piętro.

Sprawa branzowa... Ropuch przeklął w duchu. Instynkt dobrze mu podpowiadał. Tej zagadki nawet nie ma co próbować wyjaśnić. Ci „branzowcy” mordowali się w jego mieście, jakby należało do nich.

Bardzo, bardzo go to irytowało.

Atmosfera w domu pani Willoughby była do tego stopnia grobowa, że nawet Kasandra i Rashid przestali patrzeć na siebie spode łba. Nie zdarzyło im się to jeszcze nigdy, a przynajmniej w ciągu ostatniego roku.

Tylko kot wróżki był całkowicie obojętny na wydarzenia i żądał uwagi i pieszczot. Nie obchodziły go krachy giełdowe, tajemnicze morderstwa ani kryzysy polityczne. Był kotem i miał swoje prawa, na psi urok! Dlatego nie spodobało mu się, gdy Małgosia po prostu go wyminęła.

Wszedł za nią do domu i teraz krążył pomiędzy swoją panią a jej gośćmi, posykując gniewnie.

- Co jest następne w kolejności? - zapytał Ben, kiedy tylko załatwiaczka usiadła przy kuchennym stole. Kuchnia pani Willoughby zmieniła się w coś w rodzaju bazy operacyjnej, chyba najdziwniejszej, jaką można było sobie wyobrazić. Rzadko kiedy szpiedzy czy agenci siadają przy ogromnym stole, popijają herbatę z malowanych w kwiatki filiżanek i podjadają biszkopty.

Małgorzata podniosła głowę. W akademiku odebrała kilka e-maili w tej sprawie, po drodze do Kasandry wykonała jeszcze parę telefonów. Do niej też kilka osób dzwoniło, choć na szczęście nie Sebastian.

Nie wiedziała jeszcze, jaki jest ostatni krok, ale była coraz bliżej prawdy. Bardzo strasznej prawdy, jak to sobie uświadomiła, myśląc o Sharon. Ten cały proces nie powinien być nazywany zdobywaniem potęgi, ale tworzeniem potwora.

- Nie udało mi się jeszcze ustalić na sto procent, ale chyba strach.

- Strach? - zdziwił się Rashid. - Czemu akurat strach? Serce mieści w sobie najważniejsze uczucia, sumienie wyznacza granice moralności, ale strach? Ktoś, kto staje się coraz potężniejszy, i tak nie ma powodów się bać.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała Małgosia bardziej podłódze niż czytaczowi. - Strach blokuje potęgę. Powstrzymuje od popełniania zbrodni, pozbawia ufności we własne siły. Poza tym prawdziwy potwór ma powody, żeby się bać samego siebie.

- To ostatnie, co czyni człowieka człowiekiem - uzupełnił Ben. - Jeśli to zrobi...

- Wciąż nie mam potwierdzenia, że chodzi właśnie o strach. A nawet jeśli je uzyskam, to nie wiem, jak długo potrwa, zanim ustalę, jak go usunąć. Z sercem było łatwo, plotki o jego usuwaniu słyszeli wszyscy. Z sumieniem poszło trudniej, a teraz... niemożliwe nie istnieje, ale istnieje niewyobrażalnie trudne.

- Co oznacza, że zdobędziesz tę informację - uściślił czarodziej.

- Tak. Zdobędę.

- A wtedy... - wtrąciła się nagle Kasandra. - Co się z nim stanie?

- Będzie najpotężniejszym człowiekiem na ziemi - wyjaśnił cicho Ben. - Nikt nie zdoła go powstrzymać.

Potęga zdobyta w ten sposób zawsze była zła. A Sebastian... on już wcześniej nie był najlepszym z ludzi. Zbyt ambitny, zbyt arogancki, zbyt porywczy. Pełen żalu o to, że czarodziej to w rzeczywistości najbardziej wyśmiewany zawód świata. W jego rękach potęga oznaczała zagładę.

Ben wstał. Pozostała trójka natychmiast odwróciła głowy w jego stronę.

- Ustal, czy to rzeczywiście o strach chodzi - polecił Małgosi. - Ale nie przekazuj mu tej informacji, póki ci nie powiem. I pod żadnym pozorem nie wychodź z domu. Wy też - dodał pod adresem Kasandry i Rashida.

A potem bez żadnych dalszych wyjaśnień zostawił ich i wyszedł.

Sebastian był jego uczniem. Exeter było jego miastem. On miał problem i on go musiał rozwiązać. Za wszelką cenę. To był jego obowiązek.

Dzień dłużył się niemiłosiernie. Małgorzata po raz pierwszy cieszyła się, że ma absorbującą i czasochłonną pracę. Musiała tylko przestać myśleć o tym, że zlecenie, które właśnie realizuje, pozwoli Sebastianowi osiągnąć nieskończoną potęgę.

Niełatwo było o tym zapomnieć, zwłaszcza kiedy Kasandra odrywała się od pasjansa i podchodziła do okna, rzucając przerażone spojrzenie na ulicę.

Rashid nie omieszkął jej od razu wytknąć, że robi zbędne przedstawienie. Przecież i tak nie wiedziała, jak Sebastian wygląda, więc nawet gdyby go zobaczyła, nie wiedziałaby, że to on. Wróżka natychmiast się nastroszyła, wypominając, że może ma wyrok w zawieszeniu, ale jeszcze nie tak dawno praktykowała i NIE ZAPOMNIAŁA, jak rozpoznać ludzi z branży. To był tylko początek długiej kłótni, podczas której Kasandra i czytacz marzeń wytykali sobie nawzajem wszystkie wzajemne urazy, i te dawne, i te wcześniejsze. A było ich naprawdę wiele.

W złości prawie nie zwracali uwagi na Małgosię, która siedziała na sofie z telefonem przy uchu i non stop z kimś rozmawiała. Naprawdę miała dużo do załatwienia.

W tym salonie w otoczeniu setek bibelotów, które zostały po poprzedniej właścicielce, czuła się, jakby prawie była panią Willoughby. Staruszka zwykła tu spędzać całe dni przy herbatce, biszkopcikach i załatwianiu, przesuwając wzrokiem po kiczowatych figurkach, dzbanuszkach, obrazkach. Pokój najbardziej ze wszystkiego przypominał graciarnię wypełnioną przedmiotami słodkimi jak tona cukru. Obicia sofy i foteli, tapety na ścianach, nawet zasłony były w kwiatki. Kasandra nic tu nie zmieniła poza eksmisją wypchanego krokodyla. Zostały po nim tylko dwa haki wbite w sufit.

Zanim Ben Watson zdobył wszystko, co było mu potrzebne do wykonania planu, zapadła noc. Pół dnia spędził na zdobywaniu niezbędnych informacji, drugie pół na przygotowywaniu magicznych przedmiotów. W ciągu kilku godzin osiągnął to, co innym mogło zająć nawet lata.

Nie na darmo niektórzy uważali go za jednego z najzdolniejszych i najpotężniejszych żyjących czarodziejów. Ben był zdolny i potężny. Zamiast, jak to większość czarodziejów, budować własną chwałę, całą swoją moc poświęcał na ochronę słabszych. Tak jak i teraz.

Idąc ciemnymi uliczkami w stronę domu pani Willoughby, rozglądał się czujnie. Było mało prawdopodobne, żeby Sebastian spróbował go zaatakować... Rashid miał rację, czarodzieje byli niewyobrażalnie arogancy. Sebastianowi pewnie nawet nie przyszło do głowy, że ktoś byłby w stanie go powstrzymać.

Bardzo się mylił. Ben miał ze sobą dwa pakunki: w jednym był długi i cienki pokrowiec, a w drugim maleńka, wyłożona od środka gąbką skrzyneczka. Zawierały w sobie dwa przedmioty, które mogły pokonać Sebastiana teraz, póki jeszcze nie było za późno, póki nie zrobił ostatniego kroku.

Oczywiście tym, kto musiał powstrzymać szalonego adepta magii, był Ben. Nawet nie przyszło mu do głowy scedować tego obowiązku na ludzi z Klanu czy kogokolwiek innego.

Jego miasto, jego uczeń, jego obowiązek.

Czarodziej był już na Pennsylvania Road, kiedy poczuł, że ktoś go obserwuje. Nie Sebastian, aura była inna. I nie Joanna... Jej już od dawna nie było nigdzie w pobliżu. Ben skoncentrował się mocniej.

Tak, właśnie jego mógł się tu spodziewać. W końcu popełniono zbrodnię...

W bocznej uliczce nieopodal domu pani Willoughby stał zaparkowany samochód. Nie rzucał się w oczy, tak samo jak jego kierowca, ale czarodziej już od dawna przywykł do obecności upartego policjanta. Ten sam zmysł, który informował go, że w pobliżu jest ktoś z branży, ostrzegł go też przed ropuchem.

Choć „ostrzeżać” nie było właściwym słowem. Mistrz magii nie miał powodu bać się detektywa. Był on uciążliwy, nic poza tym. Policjanta należało się pozbyć, zanim stanie mu się krzywda.

Ben spokojnie doszedł do domu pani Willoughby. Nie było sensu ukrywać przed ropuchem, dokąd idzie, detektyw i tak nie miał szans odkryć prawdy. Mógł tylko chodzić w kółko po własnych śladach.

Czarodziej niekiedy trochę mu współczuł. Przecież obaj chcieli robić dokładnie to samo: chronić swoje miasto. Ben był w tym po prostu o wiele lepszy.

- Masz duże lustro? - zapytał Kasandrę, gdy tylko otworzyła mu drzwi.

- Mam - odparła zaskoczona.

Mag zerknął na stojący w holu zegar. Dochodziła jedenasta. Do północy było jeszcze trochę czasu.

- Przygotujesz wszystko? - spytał stojącą w drzwiach do kuchni Małgosię.

Załatwiaczka zauważyła spojrzenie, jakie rzucił na tarczę zegara.

- Nie pamiętam inkantacji - przyznała. - Mam ją w akademiku nagrany na iPoda.

Magiczne zaklęcia w formie MPtrójek... Ben z trudem powstrzymał uśmiech. Brązowa opinia publiczna miała chyba rację, czarodzieje byli niereformowalnie zacofani. Po co wkuwać zaklęcia nocami, jeśli wystarczy zainwestować w odtwarzacz?

- Nie szkodzi - powiedział mag. - Znam wszystko na pamięć.

Do zebranej w holu grupki dołączył Rashid, domagając się wyjaśnień. To, że ich nie otrzymał, nie poprawiło mu humoru. Załatwiaczka znikła na piętrze prowadzona przez Kasandrę do pokoju, w którym stało największe lustro, a Ben uparł się, że musi pomedytować. Czytaczowi marzeń został do towarzystwa tylko kot wróżki, którego, tak jak i jego właścicielki, nie znosił.

Podczas wzywania lustrzanki w pokoju mogła znajdować się tylko jedna osoba, żeby nie wprowadzać chaosu w liczbie odbić. Małgosia czekała za drzwiami razem z Kasandrą i Rashidem, którzy uparli się przynajmniej widzieć, co się dzieje, skoro nie dane im było wiedzieć. Wszyscy troje tłoczyli się w długim, ciasnym korytarzyku oparci o wyklejane liliową tapetą ściany i spoglądali na swoje zegarki. Czas dłużył się niemiłosiernie.

Pięć minut po tym, jak zegar wybił północ, z pokoju wyszło dwóch Benów.

- Który z was?... - Kas rozejrzała się bezradnie. Obaj mężczyźni wyglądali identycznie, poczawszy od jasnych włosów i błękitnych oczu, a skończywszy na każdej jednej zmarszczce na brązowych spodniach.

Załatwiaczka nie miała takich problemów. Jeden z czarodziejów mrugnął do niej figlarnie. To musiała być lustrzanka.

- Po co ci sobowtór? - zapytał czytacz marzeń.

- Przed domem czatuje policjant - wyjaśnił czarodziej stojący po lewej. - Moje odbicie go stąd odciągnie. Nie chciałbym, żeby zobaczył za dużo albo żeby coś mu się stało.

- A co z Sebastianem? - zaniepokoiła się wróżka. - Czy on nie weźmie... tego... jego za ciebie? Nie skrzywdzi go?

- Czarodzieje nie nabierają się na magię lustrzanek - powiedziała Małgorzata, machając na pożegnanie odbiciu, które najwidoczniej otrzymało już od Bena szczegółowe instrukcje i teraz schodziło na dół.

- A co z Sebastianem? - Rashid wrócił do sedna sprawy.

- Myślę, że dam sobie z nim radę - zapewnił spokojnie czarodziej.

- Jak? - czytacz marzeń i wróżka zadali to pytanie jednocześnie. Tylko Małgosia milczała. Nie wiedziała dokładnie, jak można powstrzymać młodego czarodzieja. Ale podczas całodziennego załatwiania informacji o ostatnim etapie zdobywania potęgi natknęła się na pewne wskazówki. Miała swoje podejrzenia i uznała, że rozsądniej byłoby ich nie ujawniać.

- Później wam wyjaśnię - obiecał Ben. - Teraz muszę porozmawiać z Małgorzatą. Sam - dodał.

Kasandra i Rashid wyglądali na lekko urażonych, ale nie protestowali, gdy czarodziej zaprowadził załatwiaczkę do salonu i zamknął drzwi. Wskazał jej miejsce na sofie, a sam usiadł na fotelu. Przez chwilę nic nie mówił, spoglądał tylko w stronę okna. Małgosia domyśliła się, że czeka, aż lustrzanka odciągnie policjanta.

Po kilku minutach Ben odwrócił wzrok od oświetlonej latarniami ulicy.

- Musisz wywabić Sebastiana - wyjaśnił. - Sprawić, żeby był w określonym miejscu o określonym czasie. Przy jego mocy to niemożliwe, żebym go sam znalazł. Musisz mi pomóc.

- Jak? - Załatwiaczka poczuła się bezradna. Nie miała pojęcia, co może nakłamać młodemu... a właściwie tak potężnemu czarodziejowi. Jednak wyglądało na to, że Ben już sobie wszystko przemyślał.

- Zadzwoń do niego - powiedział. - Powiedz, że masz informację, której potrzebuje, i umów się z nim na spotkanie, najlepiej nad rzeką. O tej porze powinno tam być już pusto.

- Informację mogę mu przekazać przez telefon - zauważyła przytomnie Małgosia. - Po co miałabym się z nim spotykać? Będzie wiedział, że to podstęp.

- Masz rację. - Mistrz magii zmarszczył brwi. Zastanawiał się przez chwilę. - Powiedz, że masz coś dla niego. Coś, co pozwoli mu zrobić trzeci krok.

- Zorientuje się, że kłamię - zaprotestowała załatwiaczka. - To potężny czarodziej, niełatwo takiego nabrać.

- Pomogę ci. Nie zorientuje się. - Ben wyciągnął dłoń. Małgorzata z wahaniem podała mu swoją. Poczuła lekkie mrowienie w czubkach palców, tam gdzie płynęła magia.

Drugą ręką sięgnęła po telefon. Wybrała numer.

- To ja - odezwała się szybko, nie dając Sebastianowi dojść do słowa. - Załatwiaczka. Wykonałam zlecenie i... mam dla ciebie coś jeszcze. Coś, co umożliwi ci zrobienie ostatniego kroku.

W słuchawce usłyszała jakby parsknięcie śmiechem.

- Jaki jest ostatni krok? - zapytał.

- Trzeba pozbyć się strachu - odparła natychmiast Małgosia. - To zakończy przemianę. Musisz pozbyć się strachu, a potem spojrzeć w lustro. - Ścisnęła mocniej dłoń Bena. - Gdy spojrzysz na swoje odbicie, na swoje nowe odbicie, zyskasz całą potęgę.

- A dlaczego TY chcesz mi pomóc? - w jego głosie słychać było ironię.

- Zostało mi jeszcze dziewięć lat kontraktu... Wolałabym je spędzić spokojnie, nie narażając się potężnym ludziom. Nie jestem głupia, wiem, skąd wieje wiatr. Wolę mieć przyjaciół po właściwej stronie.

- Rozsądny argument - przyznał Sebastian.

- Spotkajmy się za pół godziny nad rzeką. Przy zabytkowych działkach - zaproponowała szybko.

- Zgoda. Ale pamiętaj, mała, przerażona dziewczynko, ja nigdy nie będę twoim przyjacielem.

Małgosia wyłączyła telefon. Przez całą rozmowę patrzyła Benowi w oczy i ścisnęła jego dłoń bardzo, bardzo mocno.

- Załatwione - powiedziała, uśmiechając się słabo.

- Dziękuję. - Czarodziej wstał z fotela i sięgnął po swoje pakunki. - Dopilnuj, żeby żadne z nich za mną nie szło. - Wskazał brodą drzwi kuchni, z których dobiegały odgłosy kolejnej kłótni Kasandry i Rashida.

Ani wróżka, ani czytacz marzeń nie przyjęli dobrze informacji, że Ben wyszedł zmierzyć się z Sebastianem i nie raczył żadnemu z nich nic powiedzieć. Jeszcze bardziej rozzłościło ich, że Małgorzacie nie przyszło do głowy dokładnie go wypytać, zanim zniknął. A już do furii doprowadził ich fakt, że żadne z nich, legalnie czy nielegalnie, nie mogło przeczytać myśli załatwiaczki. Pracownicy Korporacji byli odporni na takie inwazje, a użycie jakiegokolwiek formy przymusu, psychicznego czy fizycznego, wiązałoby się ze ściąganiem komanda z ubezpieczalni. Na to żadne z nich nie miało ochoty, zwłaszcza Kasandra, która choć bardziej elastyczna w podejściu do prawa, miała na karku wyrok i za żadne skarby świata nie chciała drugiego procesu.

Oboje popukali się tylko w czoło i przestali rozmawiać z Małgosią. Krążyli od drzwi wyjściowych do kuchni niczym dwa spoglądające na siebie nienawistnie sępy.

Czarodziej wyszedł krótko po północy, a mniej więcej dwie godziny później rozległ się dzwonek do drzwi. Rashid, który był akurat najbliżej, pobiegł otworzyć. Podekscytowana

Kasandra prawie siedziała mu na plecach. Małgorzata odepchnęła kota, któremu kilkanaście minut wcześniej udało się wreszcie skupić na sobie jej uwagę, i wyszła do holu.

W drzwiach stanął Ben. Nie było po nim widać żadnych śladów walki z potężnym przeciwnikiem. Wyglądał dokładnie tak samo jak kilka godzin wcześniej.

Rashid spjrzał na przyjaciela podejrzliwie. Coś mu się nie zgadzało. Spotkać takiego wroga jak Sebastian i wrócić ot tak, bez choćby naddartego rękawa czy plamy na swetrze?!

Za jego plecami wróżka zakryła sobie dłonią usta, aby stłumić krzyk.

- Masz krew na rękach - powiedziała przerażona Kasandra, spoglądając na czarodzieja, jakby prosząc, żeby zaprzeczył.

- Oszalałaś? - zrugął ją Rashid. - On nie ma nic na rękach! Patrz! - Wskazał dłonie Bena. Tak jak i jego ubranie były czyste. A mimo to Kas przesuwiała wzrokiem od stóp czarodzieja aż do czubka jego głowy, jakby cały był unurzany we krwi.

- Jestem wróżką - syknęła do czytacza marzeń. - WIEM, CO WIDZĘ.

Czarodziej nadal tylko stał w drzwiach i milczał, jakby czekając na nieuchronne.

- Zabiłeś go - stwierdziła Kasandra. W jej głosie słychać było mieszaninę zadziwienia, może nawet podziwu, ale też lęk. Oto Ben, którego wszyscy znali, znikł. Zastąpił go ktoś inny. Ktoś, kto miał krew na rękach. Morderca.

- Nie było innego wyjścia - zabrzmiało to tak, jakby próbował desperacko jakoś się usprawiedliwić, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że żadnego usprawiedliwienia nie ma. - Zrobiłem, co było konieczne. Powstrzymałem go.

Wróżka oderwała wzrok od dłoni czarodzieja, swetra, spodni, na których szukała niewidocznych dla innych śladów zbrodni.

- A kto powstrzyma teraz ciebie? - zapytała miękko. - Teraz, kiedy przekroczyłeś granicę? Kto ochroni miasto przed tobą?

Odwróciła się i odeszła w głąb domu, zostawiając Bena za spuszczoną głową.

- Nie słuchaj jej - w głosie Rashida było słychać całą niechęć, jaką odczuwał do Kasandry. - Co ona może wiedzieć o magicznych pojedynkach?! Zabiłeś go... i dobrze. Okolica jest bezpieczna, ty wygrałeś w honorowej walce.

Czytacz marzeń wbijał wzrok w tandetny obrazek ułożony z suszonych kwiatów, jakby jeszcze nie był gotowy, by spojrzeć Benowi w twarz. A szkoda, bo zobaczyłby, jak bardzo czarodziej chce wyjaśnić Rashidowi jego pomyłkę - i jak ciężko mu było do tego się zmusić.

- To nie była honorowa walka - powiedziała powoli Małgosia. Szukając informacji o trzecim kroku, przy okazji dowiedziała się wiele o potędze, jej nosicielach i ich słabych

punktach. - Kogoś, kto zrobił już dwa kroki na tej drodze, nie da się pokonać w uczciwej walce. Kogoś takiego można zabić tylko z zaskoczenia, ciosem... a raczej strzałem w plecy.

Rashid jej nie uwierzył, to było jasne. Ben był najbardziej honorowym, porządnym człowiekiem, jakiego zdarzyło mu się spotkać. Był ostoją dobra, ostatnią osobą, która zrobiłaby coś niewłaściwego. Niemalże wzorem, ideałem: oddany swojej misji, niestrudzony bohater. Ktoś taki nie zachodzi ludzi od tyłu, żeby ich zamordować. Ale zanim czytacz marzeń zdążył zakrzyczeć załatwiaczkę, odezwał się czarodziej:

- Dmuchawka i kryształowe strzałki.

- Kryształowe... - powtórzył Rashid. Wydawał się lekko otępiały.

- Kryształ jest czysty, niewinny, perfekcyjny - wyjaśnił Ben. - Jest przeciwieństwem człowieka bez serca, bez sumienia. Tylko ostrze wykonane z idealnego kryształu mogło zabić Sebastiana. Niełatwo było je zdobyć.

- Załatwiłabym ci takie w godzinę. Wystarczyło zadzwonić - wtrąciła Małgorzata. Ona w przeciwieństwie do czarodzieja i czytacza marzeń nie okazywała żadnych emocji. Nie dlatego, że pozostała obojętna na to wszystko, co się stało, ale ponieważ BEZPIECZNIEJ było pozostać obojętną. Już i tak za bardzo przejmowała się śmiercią Sharon.

- Nie chciałem, żebyś czuła się współodpowiedzialna - odparł czarodziej.

- Dzięki za troskę, ale ja i tak nie jestem za nic odpowiedzialna. Mam to zapisane w kontrakcie. Czasem tylko o tym zapominam.

Wiedziała, jak bardzo Ben jej zazdrościł w tej chwili. Tego, że dziewczyna nie nosi na ramionach tego ciężaru, który jego będzie już zawsze przygniatał. Odrzucił swój honor w imię... w imię honoru właśnie i w swoim własnym mniemaniu zrównał się w ten sposób z Sebastianem. Nóż wbity w plecy druidki, strzałka trafiająca niczego się niespodziewającego młodego adepta - czym jedno różniło się od drugiego?

Koniecznością.

- Rozumiesz - bardziej zapytał, niż stwierdził, czarodziej. Choć nie chodziło mu wcale o zrozumienie, ale o przebaczenie. Tyle że tego nikt nie mógł mu udzielić.

- Rozumiem - przyświadczyła Małgosia. To było wyjątkowo nie fair wymagać od niej zrozumienia i prawie akceptacji morderstwa. Ale do kogo miał się z tym zwrócić, jak nie do załatwiaczki? Ona najlepiej wiedziała, że czasem po prostu trzeba coś zrobić i już. Z tą różnicą, że z niej regulamin Korporacji zdejmował odpowiedzialność za konsekwencje.

Rashid odchrząknął. Przestał już liczyć kwiatki na tapecie, patrzył teraz na nich, jakby nic, ale to nic się nie stało. Świetnie udawał. W końcu był prawdziwym angielskim dżentelmenem.

- Zostawmy to na razie, dobrze? - zaproponował. - Zrobiłeś, co było trzeba, i na tym poprzestańmy. O reszcie najlepiej zapomnieć. Wszyscy potrzebujemy odpoczynku. Powinniśmy wrócić do domów i się przespać.

Małgorzata i Ben w milczeniu skinęli głowami. Pod jednym względem czytacz marzeń miał rację - potrzebowali snu.

Ostatnie pociągnięcie pędzla. Załatwiaczka odetchnęła z ulgą. Szara koperta, jak to zdecydowanie zbyt często bywało, została wsunięta pod jej drzwi niemal w ostatniej chwili, ledwie godzinę przed zachodem słońca. A do tego koń stał kawałek od akademika, pod miejskim więzieniem. Na dojście do niego Małgorzata zmarnowała piętnaście minut i nieźle się przy tym zdyszała. Jakby tego było mało, wzór wymagał precyzji.

Dziewczyna odsunęła się o krok, żeby podziwiać swoje dzieło. Płatanina czerwonych linii na czarnym tle. Labirynt.

Nie próbowała powstrzymać skrzywienia ust. Ostatnio wiadomości stawały się coraz bardziej enigmatyczne. Śmierć Sharon musiała wyrzeć na nie jakiś wpływ.

Małgosia pozamykała puszki z farbami, schowała pędzle. Nawet nie drgnęła, kiedy za jej plecami rozległ się tętent kopyt. Malowany koń gdzieś pogalopował, a ona nawet się za nim nie obejrzała. Zebrała swoje rzeczy i ruszyła z powrotem do akademika. Miała jeszcze dwie godziny do spotkania z Dominikiem. Umówili się w jednym z pubów blisko kampusu na jedno niezobowiązujące piwo. Załatwiaczka była ciekawa, czy tym razem zdąży opróżnić choć pół kufła, zanim praca ją dopadnie.

Może tak, może nie. To nie miało znaczenia. Ważne, że próbowała.

Szła pogrążona we własnych myślach, póki prawie się z kimś nie zderzyła. Podniosła głowę, rzucając jednocześnie przeprosiny. Zamyślony mężczyzna, na którego wpadła, zrobił to samo.

To był Ben.

Uśmiechnęła się do niego uprzejmie jednocześnie na powitanie i pożegnanie. On też się uśmiechnął blado i z wysiłkiem. Małgosia już miała pójść w swoją stronę, gdy nagle poczuła, że musi mu zadać jedno jedyne pytanie.

- Czy... - urwała. Może lepiej było nie pytać.

- ...gdybyś dała mi namiary na tego człowieka, który odzyskał serce, byłoby inaczej? - dokończył za nią Ben. - Czy on mógłby mi pomóc powstrzymać Sebastiana przed podążaniem tą ścieżką? Nie wiem.

Załatwiaczka pokiwała głową.

- A czy... - teraz to Ben się zawahał, ale ciągnął dalej: - Czy gdybyś teraz, wiedząc, co się stało, mogła cofnąć czas i podać mi jego imię, adres, numer telefonu, cokolwiek, zrobiłabyś to?

Małgorzata nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się kilka minut, wreszcie powiedziała cicho, ale pewnie:

- Nie.

Czarodziej skinął głową, dając znak, że przyjmuje jej odpowiedź do wiadomości, i ruszył w swoją stronę. Załatwiaczce nie pozostawało nic innego, jak też sobie pójść. Nie miała zamiaru z puszkami farb w dłoniach sterczeć na środku chodnika całe życie, rozważając własne słowa. W ogóle nie zamierzała ich rozważać.

Szła przed siebie, ale już nie wbijała spojrzenia w chodnik. Nie planowała się z nikim więcej zderzać. Miała nadzieję, że droga do akademika upłynie jej spokojnie i w samotności.

Oczywiście zdążyła przejść najwyżej dwa skrzyżowania, kiedy nagle z ciemności wyłonił się ludzki kształt. I to kształt wyjątkowo atrakcyjny.

Tylko jedna osoba nosiła czerń z taką nonszalancką wytwornością. Tylko jedna osoba miała oczy, w których chciało się utonąć, i usta wręcz nakazujące, by ich dotknąć.

Tak się składało, że ta sama osoba chowała za tymi zmysłowymi wargami parę ostrych kłów i posiadała niesamowity magnetyzm, który na Małgorzatę kompletnie nie działał. Cóż, to był po prostu jeden ze skutków ubocznych jej pracy.

- Wróciłem - oznajmił pogodnie Phillip. - Nie cieszysz się?

Załatwiaczka patrzyła na niego w milczeniu. Nic się nie zmienił. Był przystojny, uwodzicielski, zawsze lekko ironiczny. W kąciku kształtnych ust zabłąkała się kropelka krwi, jedyne świadectwo jego prawdziwej tożsamości.

Małgosia sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. Podeszła o krok bliżej i otarła mu usta. Wampira nie było w mieście od kilku miesięcy, a teraz nagle wrócił - nieświadomy tego, jak wiele się stało i że sam był przyczyną wielu z tych wydarzeń.

- Wszystko się zmieniło - powiedziała smutno załatwiaczka. - Wszystko.

A potem odeszła w stronę kampusu przygarbiona, ze spuszczoną głową. Nie obejrzała się ani razu, chociaż on za nią patrzył. Jeszcze długo czuła na plecach jego wzrok, nawet gdy

skręciła w Pennsylvania Road, gdzie nie mógł już jej widzieć. Wampir przenikał oczami ciemność, ale nie ściany budynków.

Dał sobie spokój. Nie szedł za nią. To dobrze. Załatwiaczka chciała być sama. Ludzie chyba nieświadomie spełnili jej życzenie, bo ulica była pusta. Żadnych studentów wracających z pubu. Żadnych taksówek. Nikogo.

Prawie nikogo. Tam, gdzie tunelem pod ulicą przebiegały tory, ktoś stał. Ktoś, kogo Małgorzata dobrze знаła.

Nie przyspieszyła kroku, wręcz przeciwnie, zwolniła.

Przy murku, spoglądając w dół, na szyny, stała Sharon. Jak zwykle miała na sobie lekkie i zwiewne szaty, jak zwykle włosy miała ostrzyżone prawie do skóry. Jak zawsze była perfekcyjnie piękna.

I martwa.

Janeeyere siedział obok niej, wcale nie wzruszony tym, że jego towarzyszka już nie żyje. A przecież zwierzęta powinny zauważać takie rzeczy.

Bansh na pewno zauważyła. Od śmierci Sharon zdawała się zawsze kręcić w pobliżu druidki. Jakby nagle znalazła swoje miejsce.

Kiedy Małgosia była już bardzo blisko, Sharon odwróciła się. Nic się nie zmieniła, tylko jej oczy... Zwierciadła duszy, jak mówią niektórzy.

Oczy druidki były bez wątpienia martwe.

Załatwiaczka znowu powinna czuć się winna. Miała powody, jeszcze poważniejsze niż ostatnio. Tym razem konsekwencją jej zlecenia była śmierć Sharon. Ale kontrakt zmazywał winy. Jakkolwiek brutalnie by to zabrzmiało, Małgorzata miała zamiar się tego trzymać.

- No i masz swoje zło - powiedziała Małgosia nieco bardziej złośliwie, niż zamierzała.

- Jeszcze nie - rzekła melodyjnie druidka. - Ono jeszcze nie nadeszło. Ale jest coraz bliżej.

ZAPISANE

Każdy z branży wiedział, że horoskopy i wróżby publikowane w gazetach i stawiane przez domorosłych wróżów były nic niewarte. A nieświadomi ludzie, wierząc w ten pseudometafizyczny bełkot, utrudniali sobie i innym życie. Jedną z ofiar tej naiwności, jasnowłosa kobieta paląca papierosa za papierosem, stała teraz przed załatwiaczką, kipiąc oburzeniem, wściekłością i rozczarowaniem. - Poszedł do wróżki! - wykrzykiwała nerwowo. - Powiedziała mu, że nie mamy szans! - ciągnęła, kręcąc się w miejscu. Widać po niej było, że dla ukojenia nerwów najchętniej podjęłaby marsz w tę i z powrotem. Tylko trudno byłoby składać zlecenie z odległości kilku metrów. Kaczki kręcące się wokół stawu spjrzały na kobietę z dezaprobatą. Nie to, że obawiały się skutków biernego palenia, ale ta nerwowa blondynka nie miała ze sobą nic, czym mogłaby je nakarmić.

- A on ze mną zerwał! Na dobre!

Małgorzata pokiwała głową. Wiedziała już, że ta całkiem atrakcyjna trzydziestolatka, aktualnie bardzo nieszczęśliwa, miała na imię Steph. A przyczyną jej przygnębienia była pewna niebranżowa wróżka w średnim wieku, zestaw kart tarota i naiwność narzeczonego.

Tydzień wcześniej mężczyzna odwiedził jakąś madame Josephine, która modulowanym głosem poradziła, żeby unikał jasnowłosych kobiet i przez kilka najbliższych lat skupił się na karierze, a nie na związkach.

Narzeczonemu Stephanie te słowa zapadły głęboko w pamięć. Rozwahał je przez całą noc, a z samego rana zerwał ze swoją dziewczyną i zaczął brać nadgodziny.

Kobieta nie przyjęła dobrze wiadomości o nagłym zerwaniu. Właściwie to przyjęła ją bardzo źle, urządziła okropną scenę, która tylko upewniła mężczyznę, że wróżka miała absolutną rację. Od jasnowłosych kobiet należało się trzymać z daleka.

Madame Josephine zapomniała mu jednak wspomnieć, że jasnowłose kobiety, a przynajmniej ta jedna, są wyjątkowo stałe w uczuciach, uparte i zdeterminowane. Stephanie nie poddała się rozpacz, ale zaczęła aktywnie poszukiwać sposobu, aby coś zrobić ze swoim

byłym narzeczonym. Istotnie, okazał się naiwnym i niewartym jej głupkiem, ale kochała go najbardziej na świecie. Dotarcie do załatwiaczki zajęło Stephanie sześć dni, w ciągu których zdążyła wypalić dwieście szesnaście papierosów. Wcześniej ograniczała się do pół paczki dziennie.

- Załatw, żeby wrócił - zażądała od Małgorzaty. - Żeby usłyszał inną przepowiednię, taką, która mu powie, że będziemy żyć długo i szczęśliwie.

Załatwiaczka skinęła głową i wstała z ławki.

- Zadzwoń, jak zlecenie zostanie zrealizowane - powiedziała, wsadzając ręce do kieszeni ogrodniczek.

Zostawiła zdenerwowaną Steph w towarzystwie kaczek i wróciła do akademika. Na schodach spotkała jednego ze swoich współlokatorów, który rozpoznawszy natychmiast przygarbioną sylwetkę w bluzie i workowatych spodniach, rzucił jej szybkie: „How are you?” i nie czekając na regulaminową i nieszczerą odpowiedź, popędził dalej.

Mieszkańcy piętra Małgosi już dawno zrezygnowali z prób nawiązania z nią rozmów. Ta dziwna Polka i tak nigdy nie miała czasu zamienić z kimkolwiek więcej niż trzy słowa. Zwykle po trzydziestu sekundach dzwoniła jej komórka i dziewczyna musiała gdzieś lecieć. Ktoś wyraził kiedyś przypuszczenie, że może dorabia sobie jako rozchwytywana call-girl, ale koledzy wyśmiali go, bo ogrodniczki i trampki nie pasowały do tego zawodu. Choć po tym, jak nagle wyjechała, trochę się zmieniło. Wróciła jakby spokojniejsza, bardziej skoncentrowana.

Nikomu nie przyszło do głowy, że pod spokojem kryje się ocean problemów. Małgorzata usiłowała znaleźć sposób na wypłatanie się z kontraktu. Każdą wolną chwilę poświęcała na studiowanie swojej umowy i przepisów Korporacji. Z każdym przeczytanym paragrafem coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że nie ma tam żadnej luki.

Ale mimo to szukała dalej. Potrzebowała jakiegoś hobby albo przynajmniej nadziei, że tym, co ją czeka, nie będzie dziewięć lat załatwiania.

No i był jeszcze Dominik. Zawsze cieszył się na jej widok i cierpliwie znosił kolejne randki przerywane telefonami. Twierdził, że jej praca nie stanowi problemu, on może czekać do końca kontraktu, zanim wreszcie uda im się pójść razem do kina i obejrzeć wspólnie więcej niż pół filmu.

Teraz należało zatroszczyć się o to, żeby chwilowo były narzeczony Steph doszedł do podobnych wniosków. Małgosia zamknęła się w swoim pokoju i usiadła na łóżku z notesem na skrzyżowanych nogach. Musiała wymyślić plan.

W zasadzie widziała tylko dwie możliwości. Po pierwsze, mogła zatrudnić drugą wróżkę, żeby wygłosiła konkurencyjne proroctwo. Niestety, facet mógł nie uwierzyć. Niewykluczone, że trzeba by mu było lekko zmodyfikować pamięć, osłabić wspomnienie madame Josephine. Małgorzata nie lubiła się babrać w modyfikacjach wspomnień, zwłaszcza tych już nie całkiem świeżych. Prawie nigdy nie obywało się przy tym bez neurologa.

Istniała też druga opcja: w jakiś sposób cofnąć czas i zmusić madame Josephine do zmodyfikowania przepowiedni albo po prostu podstawić inną wróżkę w jej miejsce. Z tym ostatnim nie byłoby problemu, Kasandra świetnie się nadawała, a solidny przelew z konta Korporacji na pewno by ją przekonał do właściwego zinterpretowania tego, co mówią karty. Ale podróż w czasie...

Podczas gdy załatwiaczka głęboko rozmyślała, jej dłonie spoczywały na notesie z adresami. Gumki recepturki zdjęła już wcześniej, pozwalając upchniętym między okładkami luźnym kartkom lekko się spomiędzy nich wysunąć. Jeden z papierków wypadł całkiem i przylgnął do palca Małgorzaty. To była mała żółta karteczka samoprzylepna. Dziewczyna oderwała ją i z lekkim zaskoczeniem spojrzała na notatkę zapisaną jej własnym charakterem pisma.

Na samej górze widniało imię „Dawid” i chyba profesja: „chodzący-po-czasie”. Nie przypominała sobie spotkania z nikim takim. Jeszcze bardziej zdumiał ją nabazgrany na dole dopisek: „Jestem winna 1 przysługę”. Na pewno sama to napisała, ale kiedy? Nie przypominała sobie niczego takiego.

Poczuła ciekawość. Co też takiego mógł dla niej zrobić ten chodzący-po-czasie, że miała u niego dług? I czy naprawdę był w stanie chodzić po czasie, na przykład wstecz o siedem dni? Coraz bardziej zaintrygowana postanowiła, że załatwi zlecenie Stephanie w ten drugi sposób.

Żeby to zrobić, musiała przede wszystkim sprawdzić, czy ten Dawid naprawdę umiał podróżować w czasie. Sięgnęła po swoją komórkę i wybrała numer.

- Chodzący-po-czasie? - zapytała, gdy usłyszała po drugiej stronie głębokie: „Halo?”.
- Załatwiaczka? - odpowiedział jej rozmówca.
- Znamy się?
- Nie, nie w tym czasie.
- Ale jestem ci winna przysługę. Za co?
- Za uratowanie świata. Chcesz znać szczegóły?

Małgorzata zastanowiła się szybko. Czy chciała wiedzieć? Nie dość miała problemów bez świadomości, że z jakiegoś powodu była powiązana z potencjalną zagładą?

- Nie - zdecydowała się. - Chcę wiedzieć, czy naprawdę potrafisz chodzić po czasie? Jesteś w stanie cofnąć się o tydzień?

- Bez najmniejszego problemu.

- Nie spowoduje to żadnych zawirowań? - upewniła się na wszelki wypadek załatwiaczka. Temat podróży w czasie budził w niej dziwny niepokój. - Wiesz, paradoksu pradziadka albo czegoś takiego...

Dawid roześmiał się. Dziwnie to brzmiało, jakby sztucznie. Jak śmiech kogoś, kto nauczył się śmiać, obserwując, w jaki sposób robią to inni.

- Mówisz zupełnie tak, jakbyś wiedziała, w jakich okolicznościach ostatnio się spotkaliśmy. A jeśli chodzi o twoje pytanie, odpowiedź brzmi: nie. Mnie nie obowiązują prawa fizyki. Mogę się dowolnie cofać albo wybiegać naprzód. Nie spowoduje to żadnych problemów w czasoprzestrzeni. W przeciwieństwie do tradycyjnych wehikułów czasu. - Znowu się zaśmiał.

„...Jakbyś wiedziała, w jakich okolicznościach ostatnio się spotkaliśmy” - powtórzyła w myślach Małgosia. Ten gość albo cierpiał na permanentne deja vu, albo wraz z nim podróżowała już w czasie, w innym czasie i pewnie dlatego nic nie pamięta.

- A możesz kogoś ze sobą zabrać? - Sama myśl o tym, że znowu coś zrobi i zaraz o tym zapomni, wyprowadzała ją z równowagi.

- A masz skafander astronauty?

- Co? - Załatwiaczkę lekko zatkało. Co mieli astronauty do podróży w czasie? Przecież powiedział, że on podróżuje inaczej niż wehikuły czasu... Skafander należało nosić w rękawicy - tym właśnie się przemieszczał?

- Inaczej nie przeżyjesz kroku w przestrzeń kosmiczną - wyjaśnił. - Przemieszczam się w czasie dzięki temu, że wystarczy mi zrobić jeden krok, żeby znaleźć się na horyzoncie zdarzeń.

- To ma coś wspólnego z przestrzenią kosmiczną? - Małgosi coś się zaczęło kojarzyć. Kiedyś chyba o tym czytała... nie, widziała jakiś serial science fiction.

- Horyzont zdarzeń znajduje się na skraju czarnej dziury. W przestrzeni kosmicznej - powiedział z naciskiem.

- Czarna dziura wszystko wsysa - przerwała mu załatwiaczka. To wiedziała na pewno. Z telewizji, rzecz jasna. Każdy szanujący się serial science fiction miał przynajmniej jeden odcinek o czarnej dziurze. A ponieważ kiedyś, przy okazji męczącej ją dwa tygodnie grypy, załatwiaczce zdarzyło się spędzić dziesięć dni przed telewizorem w towarzystwie brazylijskich telenowel, teleturniejów na licencji i powtórek „Star Treka”, w sprawie czarnych

dziur mogła uchodzić za eksperta. W sprawie męskich imion dwuczłonowych zaczynających się od „Juan” też.

- Nie mnie. Ani nikogo, kogo trzymam - uspokoił ją Dawid. - Masz ochotę na podróż w kosmos?

- MAM OCHOTĘ wypłatać się z tego przekłętego kontraktu, a na razie MUSZĘ zrealizować zlecenie, które wymaga cofnięcia się w czasie o tydzień - oznajmiła. - I chyba najlepiej będzie, jeśli zabierzesz mnie ze sobą. I może jeszcze kogoś.

- Zapowiada się cała wycieczka - zażartował. - Kiedy będziesz miała skafandry, zadzwoń. Znajdę dla ciebie wolną chwilę. - Rozłączył się, zanim Małgosia zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Dziwny facet. Sprawiał wrażenie, jakby śmiał się w głębi ducha z żartów zrozumiałych tylko dla siebie. Może tak właśnie było? I najwyraźniej znał załatwiaczkę. Żałowała, że nie wie skąd. To nie było aż takie ważne, ale poczułaby się lepiej. Niestety, jej dobre samopoczucie nie było najważniejszą sprawą na świecie. Ważniejsze było zlecenie Stephanie. A dzięki chodzącemu-po-czasie Małgorzata mogła je stosunkowo szybko zrealizować. Musiała tylko zdobyć dwa skafandry kosmiczne i nakłonić Kasandrę do współpracy. Obie rzeczy powinny być banalnie proste. Z wróżką najlepiej było porozmawiać osobiście, a sprawę skafandrów powinien załatwić jeden e-mail do ważnej szycy w NASA. Małgosia zajęła się pisaniem wiadomości, a brodą jednocześnie podtrzymywała słuchawkę telefonu. Musiała się upewnić, że Kas jest w domu.

- Hallo?

Była. Nie musiała się nawet przedstawiać. Nikt inny nie wymawiał banalnego „hallo” w sposób, który miał oznajmiać rozmówcy: „Ja znam tajemnice tego świata i pozaświata też”.

- Wpadnę za dziesięć minut - oznajmiła Małgorzata. - Mam sprawę do omówienia.

Dokończyła e-maila i wyszła z akademika, starannie zamykając za sobą drzwi do swojego pokoju. Pod metalową plakietką z numerkiem widniała przyklejona pineską kartka z komunikatem: „Proszę nie sprzątać”. Uniwersyteckie sprzątaczkę, gdyby kiedykolwiek zajrzały do środka, byłyby mocno zadziwione. Każdy zresztą byłby zadziwiony. Pokój Małgosi nie przypominał miejsca zamieszkania studentki, tylko kwaterę główną jakiegoś tajnego stowarzyszenia z gatunku tych, które walczą ze złymi rządami ukrywającymi przed szarym ludem straszną prawdę o wszystkim jedno czym. Z tą różnicą, że w przeciwieństwie do członków takich stowarzyszeń załatwiaczka była w stanie w ciągu kilku dni odkryć każdy najbardziej skrywany rządowy sekret. Jeśli tylko wymagało tego zlecenie.

Na korkowej tablicy wiszącej nad biurkiem i na wszystkich ścianach miała poprzyczepiane setki mniejszych i większych kartek. Żadnych zdjęć, same wydruki: regulamin Korporacji, lista spraw do zrobienia, kodeksy honorowe poszczególnych grup branżowych... Masa rzeczy, która wprawiłaby w osłupienie każdego nieświadomego prawdy człowieka.

Małgorzata nie mogła takiego osłupienia ryzykować, więc do jej pokoju nikt nie miał wstępu. Słowo „nikt” było w tym wypadku na tyle elastyczne, żeby pomieścić Phillipa, lustrzanekę, przynajmniej dwoje ludzi z Klanu i ostatnio Dominika.

Wciąż nie udało im się pójść na porządną randkę. Tyle że to już nie miało nic wspólnego z pracą Małgorzaty. Gdyby chciała, przepracowałaby dwa, trzy dni jak szalona i z całą pewnością wygospodarowałaby jeden wolny wieczór na dwa tygodnie. Skoro tego nie zrobiła, to chyba znaczyło, że nie chciała?

Chyba nie chciała. Uczciwiej byłoby mu o tym powiedzieć, ale na to załatwiaczka nie mogła się zdobyć. Potrzebowała Dominika, a właściwie nie jego, tylko świadomości, że ma jakieś nawet nędzne, ale prywatne życie. Że jest coś poza jej pracą.

Dojście do domu pani Willoughby, który od prawie roku wynajmowała Kasandra, zajęło Małgorzacie pięć minut. Na ulicy pełnej szeregowych, wyjętych z jednej formy rezydencji dom poprzedniej załatwiaczki zdecydowanie się wyróżniał. Pełno na nim było wszystkiego: miał dwie wieżyczki, kilka wykuszowych okien, parę witraży w różyczki, a także całkiem okazałych rozmiarów ogród, aktualnie mocno zaniedbany. Wróżka nie miała skłonności do ogrodnictwa, prawdę mówiąc, notorycznie zapominała podlewać roślinki. A one i tak uparcie rosły, korzystając z dobrodziejstwa angielskiego klimatu i częstych deszczy.

Po śmierci pani Willoughby dom odziedziczyła Małgosia. Formalnie budynek należał do niej i gdyby tylko chciała, mogłaby wejść do środka, nie kłopotząc się o takie drobiazgi jak zamki i klucze. Ale odkąd dom wynajmowała Kasandra, załatwiaczka zawsze dzwoniła do drzwi. Tak wypadło.

Wróżka musiała czekać gdzieś blisko wejścia, bo otworzyła natychmiast. Rzuciła jedno szybkie spojrzenie za ramię Małgorzaty, jakby sprawdzając, kogo tym razem dziewczyna przyprowadziła. Ostatnio byli to czytacz marzeń Rashid i czarodziej Ben, a krok za nimi podążały wielkie kłopoty.

Jednak załatwiaczka przyszła sama.

- Nie denerwuj się - powiedziała. - Tym razem to tylko praca.

Kasandra skinęła głową i przesunęła się, wpuszczając Małgorzatę do środka. Rudy kot, którego trzymała w ramionach, nawet nie starał się przymilać do gościa. Dobrze znał

załatwiaczkę i wiedział, że od niej nie ma co oczekiwać zachwyków nad jego urodą i drapania po karku. Głupia dziewczyna była absolutnie nieczuła na prawdziwe piękno, a na coś takiego nawet najlepszy weterynarz nic nie poradzi.

Nawet bez żadnego gestu ze strony wróżki Małgosia wiedziała, że ma iść do kuchni. W tym domu kuchnia była jedynym miejscem, gdzie dało się rozmawiać, wszędzie indziej straszliwe bibeloty pani Willoughby przyciągały uwagę z taką mocą, że człowiek tracił wątek i miał ochotę uciekać w jakieś normalne miejsce, do fast foodu chociażby.

Co jakiś czas Kasandra powtarzała bez przekonania, że kiedyś coś z tym wystrojem wewnątrz zrobi, ale na słowach poprzestawała. Przerobiła tylko jeden pokój na parterze na salon wróżb, a co do reszty, to zazwyczaj twierdziła, że dom pani Willoughby nadawałby się na muzeum ezoteryczne. Biorąc pod uwagę, że w holu stała kolekcja szklanych kul (niektóre miały w środku plastikowe rybki albo kwiaty), a na ścianach toalety wymalowano mapę nieba, miała chyba rację.

Załatwiaczki wystrój wewnątrz nie obchodził, tak jak i sam dom. Nie zamierzała tu mieszkać. Nigdy.

- Słuchaj, Kas... - Małgorzata nie miała czasu na subtelności, preferowała podejście bezpośrednie. Usiadła na najbliższym krześle i od razu przeszła do rzeczy: - Za ile wygłosisz komuś kłamliwą wróżbę?

Kasandra spojrzała na nią, mrużąc zielone oczy. Bardziej niż kiedykolwiek przypominała rudowłosą elfią czarodziejkę, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę jej strój: długą brązową suknię ze złotymi lamówkami. Dobrze wiedziała, że image to co najmniej połowa sukcesu w biznesie. Bardziej ezoterycznie od niej mógł wyglądać tylko ktoś, komu z uszu leciała ektoplazma, a z nosa wylały duchy.

- Co rozumiesz przez kłamliwą wróżbę? - zapytała, sadowiąc się wygodnie naprzeciw Małgosi. Ruda głowa wróżki wbrew pozorom świetnie nadawała się do interesów. Dlatego nie zamierzała się w nic pakować przed ustaleniem warunków kontraktu.

- Spojrzysz dla kogoś w karty, ale nie powiesz mu tego, co w nich wyczytasz, tylko to, co ja ci powiem. Postarasz się, aby wszystko zabrzmiało jak wiarygodna przepowiednia.

Kręgosłup moralny Kasandry zawsze był giętki. Fakt, że miała wyrok w zawieszeniu i jej powrót do legalnego czytania marzeń stał pod znakiem zapytania, tylko dodał mu elastyczności.

- Zlecenie z Korporacji? - upewniła się jeszcze.

- Owszem.

- W takim razie zgoda, ale drogo cię to wyniesie. - Wróżka uśmiechnęła się z satysfakcją. Tylko kilka kłamstw za dużo kasy - to lubiła.

- Dodaj do tego jeszcze jakąś rekompensatę za podróż w czasie - zasugerowała jej załatwiaczka.

- Co? - Kasandra prawie spadła z krzesła. Jakoś odzyskała równowagę, ale jej kot wyładował na podłodze. Nie spodobało mu się to.

- Słyszałaś. - Małgosia sięgnęła do kieszeni. Jej telefon dzwonił. - Musimy się cofnąć o tydzień w czasie, wygłosisz tam te kłamstewka, a potem wrócimy.

Wróżka wydusiła z siebie tylko jedno słowo:

- Jak?

Małgorzaty to pytanie nie zdziwiło. Ludzie z branży byli przyzwyczajeni do różnych nieprawdopodobnych rzeczy, ale koncept podróży w czasie brzmiał zbyt... naukowo jak na ich gust.

- To już mój problem - poinformowała wróżkę załatwiaczka, kiedy skończyła rozmawiać przez komórkę. - Jutro dostarczą tu wielką paczkę. Pokwituj odbiór i daj im duży napiwek. Dolicz go później do rachunku za zlecenie. Jak wszystko dobrze pójdzie, jutro zrobimy sobie małą wycieczkę.

Wyszła, zostawiając oszołomioną Kasandrę na łasce jej kota. Futrzak oburzony tym, że został zignorowany i zrzucony na podłogę, właśnie przy pomocy pazurków domagał się poświęcania mu większej uwagi.

- Skąd wiedziałaś, że przesyłka już dotarła? - zapytała zdziwiona wróżka, otwierając Małgosi drzwi. Od poprzedniego dnia załatwiaczka się nie odzywała, a teraz stanęła na progu domu pani Willoughby w pięć minut po tym, jak odjechał samochód firmy kurierskiej.

- Tracking - poinformowała ją uprzejmie Małgorzata, wchodząc do środka. - Miałam paczkę przez cały czas na oku. Poza tym kurier zadzwonił do mnie, jak tylko ją dostarczyli.

Pokrywa zajmującej cały hol skrzyni była już częściowo otwarta. Sądząc z rumieńców na policzkach, Kasandra musiała się trochę namęczyć, aby zaspokoić swoją ciekawość. Oczywiście ktoś inny poczekałby z tym na Małgosię, w końcu to była jej przesyłka, ale wróżka nie należała do tych innych. Rashid zawsze powtarzał z satysfakcją, że rude są fałszywe. Załatwiaczka miała na ten temat inne zdanie, bo przypadkiem wiedziała, że kolor

włosów Kas jest równie prawdziwy jak jej imię. Wróżka naprawdę nazywała się Kate i była mysią blondynką.

- Co tam jest? - Kasandra dojrzała wprawdzie fragmenty zawartości skrzyni, ale nie była w stanie ich zidentyfikować.

- Skafandry kosmiczne. - Małgorzata złapała za leżący na stoliku młotek i zajęła się wyciąganiem reszty gwoździ z wieka.

- Po co...

- Dla nas - przerwała wróżce załatwiaczka. - Podróż w czasie pociąga za sobą pewne wymogi. Pomóż mi z tą skrzynią, chodzący-po-czasie będzie tu za godzinę.

- Kto...?

Małgosia zostawiła pudło i wyprostowała się.

- Kas, naprawdę chcesz się pchać w fizykę kwantową, z którą on zresztą podobno nie ma nic wspólnego? Jest facet, który chodzi po czasie. Nieważne jak, nieważne dlaczego, ważne, że potrafi i dzięki niemu zrealizuję zlecenie. No i dzięki tobie, rzecz jasna.

- Dzięki moim kłamstwom?

Załatwiaczka sięgnęła do kieszeni ogrodniczek. Wyciągnęła pomięte zdjęcie. Podała je Kasandrze.

- To narzeczony Stephanie. Osiem dni temu odwiedził jakąś madame Josephine, a ta wywróżyła mu kilka rzeczy, których nie powinien był usłyszeć. Masz mu powiedzieć, że jasnowłose kobiety są dla niego najlepsze, a ta, z którą jest zaręczony, jest ósmym cudem świata i będą sobie żyli długo i szczęśliwie. Kropka. Proste, prawda?

- Byłoby proste - stęknęła Kasandra, spychając ze skrzyni pokrywę. - Gdyby nie dochodziła do tego podróż w czasie. Co to za trumny? - zapytała z wyraźnym zdegustowaniem.

Małgorzata zajrzała do skrzyni. Fakt, jej zawartość przypominała dwie trumny w futurystycznym stylu. Może nawet nie trumny, ale komory hibernacyjne.

- Futerały - poprawiła z naciskiem. - To są futerały. Nie sądzisz chyba, że skafandry kosmiczne można ot tak wrzucić do pudełka i przesłać pocztą?

- Raczej nie. - Wróżka pochyliła się i zbliżyła swój piegowaty nosek do kosmicznych sarkofagów. - Jesteś pewna, że tym skafandrom jazda nie zaszkodziła? Nie podziurawiły się albo co?

- Jakby co, wskreszę cię - obiecała nonszalancko Małgorzata. - Korporacja nie może sobie pozwolić na to, żeby zatrudnieni podwykonawcy umierali. Nikt nie chciałby z nami wtedy pracować - starała się, żeby jej ton brzmiał lekko, ale w głębi duszy klęła wróżkę jak

tylko się dało. Czy ona musiała wspominać o takiej możliwości? Nie mogła zatrzymać swoich obaw dla siebie, zamiast dodatkowo infekować nimi załatwiaczkę?

Teraz i Małgosia poczuła się trochę nieswojo. Podróż w czasie - to samo już brzmiało trochę niebezpiecznie, a jeśli wziąć pod uwagę przystanek na horyzoncie zdarzeń...

Ale nic złego nie mogło się stać. W tej rzeczywistości czy w jakiejś innej chodzący-poczasie już raz coś dla niej zrobił. I świat dalej istniał, Małgorzata była żywa, a słońce świeciło na niebie. A poza tym Korporacja traktowała śmierć niemal jak dezercję i wskrzeszała pracowników, zanim ktokolwiek zdążyłby dojść do końca ciemnego tunelu i znaleźć mityczne światelko na jego końcu.

- Wskrzesisz... To jest akurat jasne. - Kasandra nie czuła się chyba uspokojona zapewnieniami załatwiaczki, bo właśnie otwierała zamki jednej ze skrzyń, chcąc najwidoczniej osobiście sprawdzić, czy skafander jest cały. - Ale parę dni temu oglądałam „Obcego 4” i tam była taka strasznie okropna scena, jak przez małą dziurkę próżnia wsysa kosmitę. Siuuup i tyle. Nie chcę tak skończyć, to by bolało jak cholera!

- Nie będzie żadnego „siuuup” - oznajmiła twardo załatwiaczka, starając się przekonać zarówno wróżkę, jak i siebie. Też widziała czwartą część „Obcego”. - A skafandry są na pewno całe. Przecież nie znalazłam ich na bazarze ani nie kupiłam przez Internet! One są z NASA, autentyczne! Atestowane i takie tam.

Kasandra wciąż nie wyglądała na przekonaną. Zajrzała Małgorzacie przez ramię. Skafander był lśniący, ostentacyjnie nowy i na oko koszmarnie niewygodny. Jednak wydawał się szczelny.

Miała nadzieję, że nie tylko się wydawał. Nie miała ochoty zrobić „siuuup”.

- Czuję się jak śniegowy bałwanek - poinformowała załatwiaczkę wróżka, objając się o ściany pokryte tapetą w różyczki.

- Uważaj - syknęła ostrzegawczo Małgosia - bo przebijesz skafander.

- Spokojnie. - Zajęta mizdrzeniem się do lustra Kasandra chwilowo zapomniała o swoich obawach i „Obcym 4”. Bardziej ją denerwowało, że lustro było wąskie, a ona, odkąd założyła skafander, szeroka.

Z ubraniami Kas Małgorzata miała problem za problemem. Najpierw musiała ją przekonać, żeby na jedno popołudnie zrezygnowała z powłóczystych spódnic i znalazła swoje stare dzinsy. Dzinsy, bo samo słowo „dres” byłoby w tym domu obelgą. Wróżka nigdy nie

ubierała się po to, aby jej było wygodnie. W ogóle nie brała pod uwagę, że w jakiegokolwiek sytuacji ma jej być wygodnie. Ubierała się, żeby zrobić odpowiednie wrażenie.

- Jak się dopniemy? - zapytała Kasandra.

Pomagając sobie nawzajem, jakoś dały radę założyć skafandry, ale rękawice i hełmy to była grubsza sprawa. Jak trafnie zauważyła wróżka, obie przypominały bałwanki, zarówno ze względu na wygląd, jak i zręczność ruchów.

- Dawid nam pomoże - stwierdziła z nadzieją załatwiaczka. Chodzący-po-czasie miał szansę być rozwiązaniem większości trapiących ją problemów. Ale nie wszystkich.

Rano, zanim przyszła do wróżki, umówiła się na kawę z Benem. Czarodzieja zdziwił jej telefon i zaproszenie, ale nie odmówił. Od sprawy z Sebastianem nie widywali się zbyt często. Nawet branżowe spotkania trójki fachowców zostały chwilowo zawieszane. Zupełnie jakby wszyscy musieli ochłonać.

Czekając na Bena, Małgosia zamówiła dwie kawy i siadła z nimi przy jednym z drewnianych stołów naprzeciw biblioteki. Jeszcze nie wszyscy studenci wrócili z wakacji, więc zwykle zatłoczony plac świecił pustkami. Oprócz załatwiaczki było tylko kilku zaczytanych doktorantów, wykorzystujących lato na spokojne buszowanie w bibliotece, i jakaś para trzymająca się za ręce i śmiejąca ze swoich własnych żartów.

Kiedy czarodziej wreszcie przyszedł, Małgorzata nie czekała nawet, aż upije pierwszy łyk kawy. Pośpiesznie i najjaśniej jak umiała, wyjaśniła Benowi, kim są chodzący-po-czasie. Pół nocy zbierała informacje i w porównaniu z resztą branży mogła już uchodzić za eksperta w tej dziedzinie.

- Masz szansę. Możesz powstrzymać Sebastiana - zakończyła.

- Nie. - Ben pokręcił głową, uśmiechając się smutno. - Podróż w czasie i ingerencja zawsze pociągają za sobą konsekwencje, nieważne, kto to robi. Spójrz na nich. - Wskazał na roześmianą parę trzymającą się za ręce. - Poznali się wczoraj. Nie jestem wróżką jak Kasandra, ale widzę miłość. Promieniuje z nich. Kto wie, może spędzą ze sobą resztę życia szczęśliwi, razem. Jeśli zmienię przeszłość, nawet tylko te ostatnie tygodnie, oni mogą się nigdy nie spotkać. Oni... albo inni. Nie mam prawa odbierać innym szczęścia tylko dlatego, że ciąży mi moje sumienie. Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za zmianę ich życia, być może na gorsze.

Załatwiaczka spuściła głowę. Spoglądała na drewniany stół. Dlaczego życie było takie... niedopasowane? Zbyt brutalne dla ludzi takich jak czarodziej? Nieodpowiednie dla tych, którzy byli po prostu dobrzy?

- Nie zmieniłeś się - szepnęła. - Nic a nic. Nieważne, co zrobiłeś, wciąż jesteś taki sam. Szkoda. - Podniosła głowę. - Gdybyś się zmienił, byłoby ci łatwiej.

- Naprawdę myślisz, że to, co łatwe, jest najlepsze? - zapytał Ben, unosząc do góry jasne brwi.

- Ciągłe usiłuję wierzyć, że tak. Ale wszystko mi się komplikuje - mruknęła z niezadowoleniem Małgosia, wstając od stołu. Tej nocy znów śniła o pustych czarnych oczach. To była komplikacja, którą zaczynała już uważać za codzienność.

Co więcej, powoli zaczynało do niej docierać, że gdyby te sny przestały ją nawiedzać, byłoby... gorzej. Doszło do tego, że do szczęścia koniecznie potrzebowała koszmarów. Po prostu świetnie!

- Kiedy on przyjdzie? - z zamyślenia wyrwało Małgorzatę pytanie Kasandry. - I kto mu otworzy drzwi? Żadna z nas nie zmieści się w sieni.

- To nie będzie problemem - usłyszały tuż za sobą męski głos.

Odwróciły się obie tak szybko, jak na to pozwalały skafandry. W drzwiach kuchni stał młody mężczyzna. Miał niestarannie przystrzyżone włosy i twarz jak wykutą z kamienia. Takie twarze mieli w filmach psychopatyczni mordercy.

- Chodzący-po-czasie? - upewniła się Małgosia. Miała nadzieję, że to jednak nie jest psychopatyczny morderca, chociaż w razie czego komando z ubezpieczalni pozbyłoby się go w minutę.

- Załatwiaczka? - Dziwny grymas, który wykrzywił jego twarz, musiał być powitalnym uśmiechem.

Małgorzata uważnie zmierzyła go spojrzeniem. Właściwie to nawet nie musiała pytać, skąd wiedziała, że to on. Widocznie jej podświadomość miała odrębne poglądy na to, co dziewczynie się zdarzyło, a co nie. W jakiś sposób pamiętała Dawida, a raczej pamiętała, że go zna.

Stojąca obok niej Kasandra nie mogła oderwać wzroku od obcego mężczyzny, choć nie dlatego, że zachwyciła ją jego uroda. Gapiała się z otwartymi ustami niczym teatralna lalka, której animator zapomniał zamknąć szczękę.

- Czy ty wiesz... - wydusiła z siebie wreszcie. - Czy ty wiesz, jaką ty masz aurę?

- Wiem - uciął krótko chodzący-po-czasie. Jakakolwiek by jego aura była, wołał najwidoczniej zachować informacje o niej dla siebie. Zanim oszołomionej Kas przyszły do głowy kolejne mądre pytania, zareagowała Małgosia.

- Tym razem to nie będzie przysługa - stwierdziła. - Tylko zlecenie dla Korporacji.

Podeszła do stołu kuchennego, gdzie leżał jej notes. Spomiędzy okładek wyciągnęła trzy kartki papieru i kilka zdjęć. Fotografie podała Dawidowi.

- Dom madame Josephine od zewnątrz i od środka. Dowiedziałam się, że wy, chodzący, musicie wiedzieć, jak wygląda miejsce, do którego trzeba się cofnąć.

Dawid kiwnął głową. Pochylił się nad zdjęciami i oglądał je w takim skupieniu, jakby chciał przebić je na wylot spojrzeniem.

Załatwiaczka w milczeniu odczekała, aż skończy, gestem nakazując Kasandrze, żeby też nic nie mówiła, zwłaszcza na temat aury mężczyzny. Wróżka nie wyglądała na zachwyconą, ale nie próbowała się sprzeczać. Tylko wytrzeszczała swoje zielone oczy w wyjątkowo mało wdzięczny sposób. Aura Dawida musiała być rzeczywiście niezwykła, skoro Kas aż zapominała o podtrzymywaniu swojego image'u.

Kiedy tylko chodzący-po-czasie oderwał się wreszcie od zdjęć, Małgorzata podsunęła mu jedną z kartek.

- Dokładny czas. - Miała co do minuty wyliczone, kiedy narieczony Stephanie wszedł do madame Josephine i kiedy od niej wyszedł. - Zakładam, że ty nie potrzebujesz skafandra?

Pokręcił głową.

- I twoje ubranie, a także wszystko, co masz w kieszeniach, nie jest narażone na żadne... skutki uboczne podróży? To dobrze. Gaz obezwładniający - wyjaśniła załatwiaczka, podając mu mały pojemnik. - Nie chcę ryzykować, że podróż jakoś na niego wpłynie. Lepiej będzie, jak schowasz go do kieszeni.

- Po co nam gaz? - zdziwiła się Kasandra.

- Naszym celem jest dom madame Josephine. Nie sędzę, żeby była ona skłonna poczekać grzecznie w kuchni, podczas gdy ty będziesz ją udawała przed klientem - powiedziała lekko zgryźliwie Małgosia.

- A niech mnie... Wszystko masz przemyślane - w głosie wróżki słyhać było podziw. Już długo znała załatwiaczkę, parę razy miała okazję dla niej pracować, ale nigdy nie znała całego planu i nigdy nie postrzegała Małgorzaty jako kogoś, kto metodycznie rozważa realizację każdego zlecenia. Zawsze sądziła, że ona po prostu wszystko... załatwia. I już.

- Taka praca - stwierdziła krótko Małgosia. - I jeszcze jedna sprawa - rozprostowała dwie ostatnie kartki - rachunki. Może się zdarzyć, że po naszym powrocie zapomnę... obie zapomnimy. Wpiszcie kwoty i numery kont.

Oboje zrobili to bez zbędnej zwłoki, nawet wróżka jakoś nie narzekała, że w skafandrze ciężko jej pochylić się nad stołem. Kiedy dwie najważniejsze rubryki, kwota i numer konta, zostały wypełnione, Małgorzata starannie złożyła kartki na cztery i opatrzyła dopiskiem „do

zrealizowania”. Po krótkim namyśle dodała jeszcze notatkę: „Na wypadek, gdybym nie pamiętała: to za podróż w czasie. Detale są zbędne”. Potem wsadziła rachunki do swojego notesu. Była pewna, że jego zawartości nie jest w stanie naruszyć nawet zmiana czasu. Udowodniła to żółta karteczka z numerem telefonu Dawida.

Notesu nie było jak wsadzić pod skafander, projektant tego ubioru nie wziął pod uwagę, że ktoś może potrzebować pliku kartek grubości Biblii. Załatwiaczka rozwiązała ten problem przy pomocy zawieszanej na szyi torebeczki typu „obciach każdego szanującego się turysty”. Torebeczka była żółta i paskudnie odcinała się od delikatnego srebra skafandra. Dziewczynie to nie przeszkadzało. Wątpiła, żeby jakiś latający spodek zbłądził w okolice czarnej dziury tylko po to, żeby pasażerowie mogli krzywić się na jej strój.

- Możemy ruszać - oznajmiła. Głos jej nawet nie drżał, na szczęście.

Dawid bez słowa pomógł jej i Kasandrze dopasować ostatnie elementy kombinezonów. W skrzyni była instrukcja, z której wcześniej obie korzystały, ale chodzący-po-czasie nawet na nią nie spojrzął. Wiedział, co należy robić.

Kiedy już skafandry były kompletne i szczelne, ustawił dwie kobiety obok siebie. Sam stanął za nimi, ujmując każdą z nich za łokieć. A potem zrobił krok w tył, pociągając je ze sobą. Po kilkunastu sekundach popchnął je lekko, dając znać, że mają zrobić krok do przodu.

I było już po wszystkim.

- Czyja widziałam kawałek kosmosu? - zapytała podekscytowana Kasandra, zdejmując przy pomocy Dawida hełm. - Ty też widziałaś? - Spojrzała na Małgosię.

- Nie - ta nie podzielała podniecenia wróżki. Czowała, że chodzący-po-czasie pomaga jej rozluźnić kombinezon, ale wciąż zaciskała powieki. Na wszelki wypadek. - Miałam zamknięte oczy. Przez cały czas.

- Już możesz je otworzyć - zasugerował Dawid, puszczając jej łokieć.

Załatwiaczka z pewnym wahaniem posłuchała. Z ulgą stwierdziła, że wokół nie było niczego, co przypominałoby przestrzeń kosmiczną. Była za to kuchenka, parę garnków, stół - słowem, typowa kuchnia, choć zdecydowanie mniej przytulna od tej w domu pani Willoughby.

- Żałuj - z wróżki niemal kipiał entuzjizm. - To było niesamowite!

- Przeżyję, nie oglądając gwiazd - stwierdziła sucho Małgorzata. - I nie krzycz tak! - Nagle uświadomiła sobie, gdzie są. - Zwabisz tu madame Josephine.

Jakby na potwierdzenie jej słów zza kuchennych drzwi dobiegły czyjeś kroki. Chodzący-po-czasie zareagował najszybciej, stając tuż przy framudze i sięgając po gaz, który dała mu załatwiaczka. Położył palec na ustach i nakazał Kas i Małgosi ciszę.

Madame Josephine gustowała w kwiecistych garsonkach i szalach tkanych złotą nitką. Miała około pięćdziesiątki, farbowane na platynowy blond włosy i zero instynktu samozachowawczego. Zamiast zadzwonić od razu na policję, bezmyślnie podążyła do kuchni, skąd dochodziły tajemnicze głosy. Bardzo się zdziwiła, widząc dwie młode kobiety w srebrnych skafandrach. Nie zdążyła zapytać, czy przybyły z Alfa Centurii, by przynieść ludzkości przesłanie pokoju, bo nagle drogę zastąpił jej całkiem zwyczajnie ubrany mężczyzna. A potem wszystko się rozplynęło.

- Brak wyczucia klienta - skomentowała Kasandra, pochylając się nad nieprzytomną madame Josephine. - Wróżki tak się nie noszą. - Oparła dłonie na swych srebrnych nogawkach i spojrzała na garsonkę kobiety, jakby to był wyjątkowo obrzydliwy robal z obcej planety. - Nie muszę się chyba do niej upodabniać? - zapytała z niepokojem.

- Nie, owiń sobie tylko głowę jej szalem - zasugerowała Małgorzata. - To powinno wystarczyć. No i ściągnij skafander.

- Jasne. - Kasandra nie bez pomocy Dawida pozbyła się kombinezonu. Potem zgodnie z zaleceniem załatwiaczki ukryła swoje rude włosy pod szalem madame Josephine. Dokonawszy tego zabiegu maskowania, wystawiła nos z kuchni i ruszyła na zwiedzanie domku.

- Nie ma nawet pokoju do wróżb! - przez otwarte drzwi doleciał jej zde gustowany okrzyk. - Karty rozkłada na stoliku w salonie!

- Nie wybrzydź, tylko się przygotuj. - Małgosia spojrzała na kiczowaty zegar w różyczki. - Za dwie minuty przyjdzie klient.

- Nie ma strachu. - Wróżka wsadziła głowę do kuchni - Jestem profesjonalistką. Tylko siedźcie cicho - napomniała jeszcze, zamykając drzwi.

Nie musiała im tego dwa razy powtarzać. Chodzący-po-czasie stał oparty o szafki tuż obok nieprzytomnej madame Josephine. W dłoni wciąż trzymał gaz gotów unieszkodliwić kobietę, gdyby się ocknęła. Małgorzata obejrzała sobie uważnie stojące w kuchni krzesła i zdecydowała się na nich nie siadać. Skafander poważnie utrudniał jej ruchy, więc stanęła sobie nieruchomo obok stołu, na którym leżały ich hełmy i rękawice. Kombinezon Kasandry został ostrożnie złożony na podłodze obok gospodyni i wyglądał prawie jak drugie bezwładne ciało, tyle że pozbawione głowy.

Dzwonek do drzwi sprawił, że załatwiaczka zeszywniała. Przez zamknięte drzwi słyszała, jak wróżka wpuszcza narzeczonego Stephanie. Dobiegały ją jego nieśmiałe wyjaśnienia i niemal matczyne, pełne zrozumienia odpowiedzi Kasandry, która dobrze grała swoją rolę. Po chwili głosy ucichły, co oznaczało, że wróżka i jej klient są w salonie. Lada

chwila miało rozpocząć się czytanie przyszłości zapisanej w zużytej talii kart madame Josephine.

Małgosia kilkoma ostrożnymi krokami zbliżyła się do kuchennych drzwi. Chciała mieć pewność, że narzeczony Stephanie usłyszy dokładnie to, co powinien. I sądząc z dobiegających słów Kasandry, usłyszał.

Dwadzieścia minut później zgrzytnęły drzwi wyjściowe, a zadowolona z siebie wróżka dołączyła do załatwiaczki chodzącego-po-czasie.

- Bułka z masłem - oznajmiła. - Powiedziałam wszystko, tak jak chciałaś, prawie się rozplakał ze szczęścia, że już spotkał kobietę swojego życia.

- Świetnie - ucieszyła się Małgorzata. Zlecenie zostało zrealizowane, można było wracać do właściwego czasu. Stephanie pewnie mocno się zdziwi, gdy dostanie wynagrodzenie za coś, czego nie pamięta. - Wkładaj skafander i wynosimy się stąd, madame Josephine zaraz się ocknie.

Owszem, ocknęła się w sam czas, żeby zobaczyć, jak mężczyzna w czarnej kurtce bierze dwie postaci w skafandrach za ręce i razem robią krok w tył, ale zamiast wpaść plecami na stół, znikają.

Nie ulegało wątpliwości, że madame Josephine właśnie dołączyła do dumnego grona ludzi, którzy doświadczyli bliskich spotkań z obcą cywilizacją. Żalowała tylko, że nic nie pamięta, ale przecież jej przypadek nie mógł przebiegać inaczej niż te, którymi chępli się jej znajomi z kursów osiągnięcia mitycznej jedności z wszechświatem: Thaddeus J. Tickelby i Amanda Snow. Teraz, kiedy na następnym dorocznym przyzywaniu energii kosmicznej zaczną rozprawiać o tym, jak to zostali porwani i wykorzystani seksualnie, madame Josephine też będzie miała coś do powiedzenia.

Nawet bardzo duże coś, tylko najpierw koniecznie będzie musiała wspomóc się kilkoma książkami o uprowadzeniach i małych szarych ludzikach. Jej własna pamięć okazała się okrutnie zawodna.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - zainteresowała się Kasandra, spoglądając na porzucone w drzwiach salonu skafandry. Pokój został przez panią Willoughby wypełniony wszelkim możliwym badziewiem, figurkami, obrazkami, stoliczkami, serwetami, ale dwa kombinezony astronautów odstawały od tej kiczowatej eklektyczności.

- Wyrzucić - stwierdziła Małgorzata. W swoim pokoju w akademiku nie miała miejsca na dwa skafandry kosmiczne. Ba, nie miała miejsca nawet na jeden.

- No wiesz co...! - wróżkę zatkało. - Ale to są skafandry kosmiczne! Prawdziwe!

Załatwiaczka wzruszyła ramionami. I co z tego? Miała już do czynienia z dziwniejszymi rzeczami. Magiczne artefakty, okulary z rentgenem w szklach, skaner termiczny do namierzania demonów - wszystko to było w pewnym stopniu imponujące, ale to były tylko rzeczy. Nic, czego nie dałoby się zastąpić, skopiować albo załatwić drugi raz, o ile oczywiście zaszłaby taka potrzeba.

- Weź je, jeśli chcesz. W tym domu jest już tyle gratów, że dwa więcej nie zrobią różnicy. Chociaż nie wiem, jak one się mają do twojego wystroju wnętrza a la salon wróżb.

- A propos wróżb...

Obie odwróciły się w stronę mówiącego. Same nie wiedziały dlaczego, ale zgodnie założyły, że po dostarczeniu ich z powrotem do właściwego czasu Dawid po prostu zniknie. Tymczasem stał pod ścianą, wyglądając wyjątkowo nie na miejscu na tle tapety w różyczki.

- Tak z czystej ciekawości - zapytał. - Czy oni będą żyli długo i szczęśliwie?

Małgosi nie przyszłoby do głowy zapytać o coś takiego. Jakie to miało znaczenie? Steph dostała, co chciała, zlecenie zostało zrealizowane. Ale załatwiaczka odwróciła się z zainteresowaniem do Kasandry, czekając na odpowiedź. Co jej szkodziło się dowiedzieć, tak z ludzkiej ciekawości? Cokolwiek by się stało, i tak nie była za to odpowiedzialna.

- Oni? Gdzie tam! Z kart wynikało, że mają minimalne szanse. - Wróżka pokręciła energicznie głową, wprawiając w drganie swoje rude loki. - Za dwa lata się znienawidzą i zaczną zmieniać nawzajem swoje życie w piekło.

Pieszczotliwie pogładziła leżącą na szafce talię. W tym domu pełno było kart, leżały w każdym pokoju. Kasandra kolekcjonowała je z tą samą namiętnością, z jaką pani Willoughby zbierała te wszystkie kiczowate ohydki. Wróżka miała po temu swoje powody: kochała karty i miała wrażenie, że one kochają ją. Kto by pomyślał, że kiedy straci licencję czytaczkę marzeń, wróżenie zapewni jej godziwy standard życia. Na tyle godziwy, że Rashid zawsze na nią krzywo spoglądał. Uważał, że przestępczyni taka jak Kas powinna żałować i cierpieć, a nie całkiem dobrze sobie radzić. W jednym miał rację: żałowała, ale nigdy w życiu nie przyznałaby się do tego przed nim.

- Naprawdę? - Małgosia spojrzała z zainteresowaniem na karty. Wyglądało na to, że madame Josphine jednak miała rację... Ale Stephanie wiedziała swoje. Miała prawo uczyć się na błędach, przed których popełnieniem los najwidoczniej chciał ją uchronić.

Załatwiaczka nigdy specjalnie nie interesowała się przepowiedniami ani zawodem Kasandry. Korzystała z usług wróżki tylko wtedy, kiedy wymagało tego od niej zlecenie. Ale teraz była ciekawa. Zanim zaczęła pracę w branży, nie wierzyła nawet w prognozy pogody. A ledwie zajęła się załatwianiem, szybko ją uświadomiono, że uznanym sposobem przewidywania przyszłości z dziewięćdziesięciodziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem jest wizyta u jasnovidza. Wróżenie z kart było lekko pogardzaną metodą, a uprawiający ją mieli swoje miejsce już niemal poza branżą. To był zawód w sam raz dla banitki takiej jak Kas.

A jednak okazało się, że karty były coś warte, i to nawet w dłoniach takiej amatorki jak madame Josephine. Kasandra z całym swoim branżowym doświadczeniem musiała być w tym o niebo lepsza.

I nie przepuszczała żadnej okazji, żeby się popisać.

- Potasuj. - Podała Małgorzacie talię. Załatwiaczka zrobiła, jak wróżka kazała. Co jej szkodziło...

Kas z triumfalnym uśmiechem zabrała jej karty. Weszła do kuchni i zaczęła układać je na stole w znany sobie wzór. Po pięciu minutach zmarszczyła brwi nad układem.

- Jeszcze raz - zarządziła, zgarniając kabałę ze stołu. - Nie skoncentrowałaś się.

Kolejne przetasowanie nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Kiedy i za trzecim razem coś poszło nie tak, Kasandra zerwała się z krzesła i pobiegła po inne karty. Jak się okazało, oprócz tarota miała kilkanaście innych zestawów. Wszystkie wetknęła Małgosi. Załatwiaczka posłusznie tasowała jedną talię po drugiej i podawała je wróżce, która z każdą chwilą coraz bardziej traciła rezon.

- Do kitu - oznajmiła wreszcie, z frustracją wpatrując się w pokój, który cały, od stołu po podłogę, usłany był kartami. - Tego się nie da zinterpretować.

- Czego? - zapytała coraz bardziej zaintrygowana Małgorzata. Zdawała sobie sprawę, że aż do zakończenia kontraktu jej przyszłość determinuje nie los, ale Korporacja. Coś o tym słyszała... Załatwiacze nie mieli co liczyć na pomoc wróżek. Póki trwał kontrakt, ich przyszłość była lekko... sfiksowana. Pod kątem pracy, rzecz jasna. A mimo to Kasandra coś wyczytała w kartach.

- Z każdej talii wychodzi ci ten sam motyw, kompletnie pokręcony. Gdybym koniecznie, ale to koniecznie musiała coś odczytać, powiedziałabym, że widzę tu dwa elementy.

- Jakie? - Może i przyszłość Małgorzaty była chwilowo nieinterpretowalna, ale co jej szkodziło sprawdzić? Mogła przecież usłyszeć coś miłego, coś, co umili jej kolejne lata pracy i wciąż bezowocne wysiłki mające wypłatać ją z kontraktu.

Kasandra pochyliła się nad kartami, marszcząc w skupieniu blade nos. Widać było po niej, jak bardzo jest niezadowolona. Kiedy jej kot ośmielił się wejść do kuchni i podeptać kilka kart, ofuknęła go wściekle.

- Serce albo jego brak, trudno to jednoznacznie określić, i koniec czegoś wielkiego, może świata - oznajmiła wreszcie. Po tonie jej głosu można było poznać, że te nieinterpretowalne zjawiska napęłniają ją niechęcią. Karty miały kochać wróżkę, a nie psuć jej ten mały pokaz.

- Brakujące serce i koniec świata. Ciekawy układ - zauważył Dawid. Stał w drzwiach i z naukowym zainteresowaniem spoglądał na setki kart leżących wokół niego.

Załatwiaczka milczała. Patrzyła na wszystkie te papierowe obrazki, które podobno znały jej terażniejszość i przeszłość, i zastanawiała się, dlaczego nie jest jej ani zimno, ani gorąco. Dlaczego nie czuje lęku, obawy, zniechęcenia. Czemu nie pojawia się niedowierzenie, zaprzeczenie ani zaskoczenie.

Dlaczego to wszystko jest takie naturalne.

Poczuła zmieszanie, ale nie z powodu tego, co właśnie powiedziała jej wróżka. Niepewność wywoływał w niej jej własny spokój, z jakim to przyjmowała. To, że w głębi duszy uważała to wszystko za właściwe.

Musiała zwariować.

Z westchnieniem oderwała wzrok od kart i podniosła głowę. Niemal natychmiast napotkała spojrzenie chodzącego-po-czasie. Patrzył na nią tak, jakby... Nagle sobie to uświadomiła, on WIEDZIAŁ. Nie musiała się nawet zastanawiać, jak to było możliwe, przecież Dawid mógł swobodnie podróżować po czasie i przestrzeni. Niewykluczone, że znał wszystkie tajemnice świata, a na pewno znał tajemnicę Małgorzaty.

- Nie mam pojęcia, co to może oznaczać - podrapała się w głowę zrezygnowana Kasandra. Trudno, musiała przyznać się do porażki. Dobrze przynajmniej, że Rashida przy tym nie było, bo jego uśmiech by nie zniosła. Nie musiała się też martwić, że Małgosia powtórzy czytaczowi marzeń, co zaszło. Załatwiaczka umiała być dyskretna.

- Po prostu czeka mnie wielka miłość. - Małgorzata nonszalancko wzruszyła ramionami. Ironia i sarkazm wydawały się bezpiecznym wyjściem z sytuacji. - Super. Przynajmniej wiem, że po zakończeniu kontraktu coś jeszcze mnie w życiu czeka.

- To nie miłość, tylko serce - upierała się wróżka. Może nie wiedziała, co zrobić z tym, co wyczytała, ale z pewnością wiedziała, co było zapisane w kartach.

- Jedno i to samo - uświadomiła ją Małgosia. - Jak nie wierzysz, przeczytaj sobie w słowniku symboli popkultury. Muszę lecieć - stwierdziła nagle, zerkając na zegarek. - Dzięki za pomoc i do zobaczenia.

Zostawiła Kasandrę nad kartami i spokojnym krokiem ruszyła do drzwi wyjściowych. Dawid, przez cały czas milczący, poszedł za nią.

- Kłamczucha - szepnął, kiedy byli już w ogródku i gdy był pewien, że wróżka ich już nie usłyszy.

Załatwiaczka rzuciła mu kose spojrzenie. Nie miała teraz ochoty z nikim rozmawiać. Nie o tym, co wróżka wyczytała w kartach.

- Co ty możesz wiedzieć...

Chodzący-po-czasie tylko się uśmiechnął w ten sam dziwny, nienaturalny sposób.

- Nie przyszło ci do głowy, że masz jedyną być może szansę wypłatać się z kontraktu? - powiedział konwersacyjnym tonem. - Mogę się bez problemu cofnąć o rok, powstrzymać cię przed podpisaniem kontraktu albo nawet przed wyciągnięciem pieska pani Willoughby ze stawu. Pomyśl, gdybyś tego nie zrobiła, nie zostałabyś jej spadkobierczynią.

- Co ty byś z tego miał? - zapytała natychmiast Małgorzata. - Gdybym nie została załatwiaczką, nie mogłabym oddać ci tej jednej przysługi, którą już ci jestem winna, a który to dług niewątpliwie przetrwałby zawirowania czasowe. Nie mogłabym też dać ci nic w zamian za zmianę mojego życia.

Dawid wyduł lekko wargi.

- Może... jestem w nastroju do robienia dobrych uczynków?

Małgosia zatrzymała się. Spojrzała na chodzącego-po-czasie. Szybko i gwałtownie rozważyła jego słowa.

- Możesz sprawić, że nigdy nie zostanę załatwiaczką - bardziej stwierdziła, niż zapytała. - To wszystko nigdy się nie zdarzy.

Skinął głową.

- Nic się nie zdarzy, prawda? Nigdy nie poznam... - urwała. Ben nie złoży jej pierwszego zlecenia. Phillip nie będzie jej rozśmieszał w chłodne zimowe wieczory. Nie będzie Joanny ani Sebastiana. Nie będzie żadnych zleceń. Komando półtrolli z Dominikiem na czele nie uratuje jej przed kłopotliwym klientem. Nie będzie musiała wchodzić do Domu Klanu, żeby odzyskać usunięte serce. Nigdy nie spotka...

- Będzie tak, jakby ostatni rok nie istniał - potwierdził Dawid. - Przeżyjesz go od nowa.

Załatwiaczka uśmiechnęła się smutno. Przez jedną chwilę czuła się wolna, widziała szansę wypłatania się z kontraktu. Ale potem uświadomiła sobie, że nie chce, nie może tego zrobić. Nie w taki sposób.

- Nie. Są rzeczy, których nie mogę stracić.

- Ludzie, nie rzeczy - poprawił ją chodzący. Był wręcz irytująco drobiazgowy w ubieraniu jej życia w słowa.

- Skąd wiesz? - zainteresowała się Małgorzata. Spotkała tego człowieka pierwszy... no, właściwie drugi raz w życiu, a rozmawiała z nim jak z psychoanalitykiem, i to takim, któremu od dziesięciu lat leżała na kozetce i który znał ją lepiej od niej samej.

- Bywam tu, tam, w przeszłości, przyszłości. Wiem, że rzeczy się nie liczą. Liczą się ludzie. - W jego słowach pobrzmiewał dziwny smutek ukryty głęboko pod zimną skorupą, ale Małgosia nie zwróciła na to uwagi. Zbyt była pochłonięta myślą, która nagle pojawiła się w jej głowie.

- Znasz... moją przyszłość?

Potwierdził.

Załatwiaczka odruchowo uniosła dłoń, żeby odsunąć niesforny kosmyk włosów z szyi. Zawsze tak robiła, kiedy się denerwowała. A teraz była bardzo zdenerwowana. Czuła się, jakby stała przed wyrocznią delficką, mała i nieważna wobec niezmierzonej wiedzy. Myślała tylko o tym, czy odważy się zadać oczywiste pytanie.

- Jaka będzie? - wyrzuciła z siebie.

- Taka, jaką ją stworzysz - stwierdził spokojnie chodzący-po-czasie. - Wierz mi, nic nie jest przesądzone. Ani to, co będzie, ani to, co było.

- Świetnie - prychnęła gorzko Małgorzata. Przez kilka sekund miała nadzieję, że usłyszy obietnicę lepszego życia, które czeka na nią po zakończeniu albo po wypłataniu się z kontraktu. Wtedy miałyby już nie nadzieję, ale pewność. A za to wiele by dała. - Więc na tym świecie nie ma nic pewnego?

- Coś jest - powiedział Dawid.

Małgosia spojrzała na niego pytająco.

- Ludzkie serca - wyjaśnił, spuszczaając głowę, by napotkać jej spojrzenie. - O ile oczywiście ktoś je ma.

Uśmiechnął się i nagle cofnął o krok. I już go nie było. Przynajmniej w tym miejscu i czasie.

PRECEDENS TWARDOWSKIEGO

Załatwiaczka doszła do wniosku, że prześladowają ją faceci w czerni. Najpierw Alan, człowiek, który wyrzekł się swojego serca i desperacko pragnął je odzyskać. Potem Sebastian, który z kolei chciał się swojego serca pozbyć. Nie wspominając o Phillipie, który dla odmiany miał wszystkie kilkusetletnie organy na miejscu i wołał, żeby tam zostały.

Wszyscy oni ubierali się na czarno. Tak jak mężczyzna, który teraz stał przed Małgorzatą. Jego czerń była jednak ekstremalna. Facet nie ograniczył się tylko do czarnych spodni, koszuli i butów. Miał czarne włosy, pomalowane na czarno usta i paznokcie, czarny eyeliner na oczach i tatuaże wykonane czarnym tuszem. Uwagę Małgosi zwróciły zwłaszcza trzy szóstki na wierzchu dłoni. To z pewnością nie był ktoś, kto pomaga staruszkom przechodzić przez ulice.

W „Spragnionym Wielbłądzie” najczęściej zbierało się towarzystwo harleyowców i miłośników metalu, ale rzadko widywało się tu kogoś aż tak otwarcie satanistycznego.

Ani załatwiaczce, ani innym klientom to ekstremum nie przeszkadzało, ale Małgorzata zaczęła się lekko martwić, kiedy facet w czerni podszedł do jej stolika.

Siedziała sama pod oknem w towarzystwie kufła piwa i teoretycznie czekała na Dominika. Dobrze wiedziała, że półtroll skończy swoją zmianę dopiero za godzinę i nie ma szans, by się wcześniej wyrwał. Ale zanim przyjdzie, mogła popracować. Załatwianie miało to do siebie, że można je było wykonywać wszędzie. Wystarczał telefon i notes, okazyjnie komputer podłączony do Internetu. Komputer był zresztą osobistym kaprysem Małgosi. Odbierać i wysyłać e-maile mogła ze swojego telefonu, ale nie lubiła tego robić. Klawiatura była obrzydliwie mała.

Gdy świeciło słońce, załatwiaczka siadywała na ławce w parku, w towarzystwie kaczek, albo szła nad rzekę. Kiedy padał deszcz, zostawał jej tylko akademik albo puby.

W ciągu dnia nie były ani za głośne, ani zbyt zatłoczone. Małgorzacie to bardzo pasowało. Nie przychodziła tam w końcu dla towarzystwa, tylko dla zmiany otoczenia. Załatwianie nad kuflem piwa było jakby mniej męczące.

Tym razem zrobiła wyjątek i poszła do pubu późnym popołudniem, kiedy powoli zaczynali się tam zbierać ludzie. Zrobiła tak ze względu na spotkanie z Dominikiem. Przed przyjściem półtrolla musiała się jeszcze uporać z jednym zleceniem i tym bardziej nie chciała. ani nie potrzebowała towarzystwa. Do tego jakikolwiek facet wpraszający się do jej stolika byłby wyjątkowo niewygodnym dodatkiem, biorąc pod uwagę, że za mniej więcej pięćdziesiąt sześć minut miał się pojawić Dominik zadowolony, że mają kolejną randkę.

Małgosia, poczynając od dnia wyjazdu do Polski, nie była już co do tych kolejnych spotkań taka przekonana. Prawdę mówiąc, ostatnio zaczęła być pewna, że przeciąganie sprawy z półtrollem jest dużym, dużym błędem. Kilka razy zastanawiała się, jak by zareagował na wieść, że karty nie wróżą im wspólnej przyszłości, nieważne, jak entuzjastycznie on byłby do tej wizji nastawiony. Jeśli kiedykolwiek miałyby mu o tym powiedzieć, to miała nadzieję, że nie usłyszy pytania, z kim to karty wróżą JEJ przyszłość.

Wymyślenie jakiegoś wiarygodnego kłamstwa było chyba jedynym możliwym rozwiązaniem. To naprawdę żalony sposób zrywania znajomości - bo przecież nie można nazwać związkami sytuacji, kiedy nie udało im się dokończyć ani jednej randki. I był jeszcze jeden problem: Małgorzata wcale nie chciała niczego zrywać. Karty kartami, przyszłość przyszłością, ale aktualnie jednym z nielicznych pewnych elementów w jej życiu był właśnie Dominik, który twardo obstawał przy tym, że nie przeszkadza mu jej koszmarny zawód i kolejne przerwane pracą randki.

Zazwyczaj nikt załatwiaczki nie zaczepiał. Może i półtora roku wcześniej Małgosia była Miss Studentek, ale teraz zmieniła się w bladą, niestarannie uczesaną dziewczynę w ogrodniczkach, bez śladu makijażu na twarzy. Może powinna chociaż użyć pudru, przecież miała w perspektywie randkę, ale Dominikowi było chyba wszystko jedno.

Marzenie każdej kobiety: znaleźć mężczyznę, którego będzie zachwycać w każdym stroju i w każdej chwili, w życiu Małgorzaty stało się faktem. Jednak faktem raniącym jej dumę.

„Mógłby się choć trochę przejąć, a nie być tak cholernie tolerancyjny” - pomyślała i to ją zastanowiło jeszcze bardziej.

Jeszcze miesiąc temu nie miała takich myśli.

Nie zdążyła jednak zabrnąć dalej w podobne rozważania, bo ów prawdopodobny satanista zatrzymał się przy jej stoliku. Załatwiaczka podniosła głowę, starając się przybrać wyjątkowo kwaśny i niezadowolony wyraz twarzy. Niech facet spada...

Nie spadł.

Zrobił za to minę, za którą powinni go od razu zamknąć w psychiatryku albo zatrudnić w teatrze mimów. Kto by pomyślał, że ludzka twarz jest aż tak elastyczna.

- Chcę podpisać cyrograf - rzucił, błyskając gniewnie białkami oczu. Całkiem sprawnie mu to wychodziło, musiał długo ćwiczyć przed lustrem.

- To nie u mnie - uświadomiła mu Małgosia. - W tym celu musisz dogadać się z diabłem.

- Doprawdy wiele rzeczy można było o jej wyglądzie powiedzieć, ale kozich kopytek, ogona i rogów nie posiadała.

- Z demonem ciemności - poprawił ją ów człowiek interesu, krzywiąc się w sposób ściągnięty z teledysków darkmetalowych.

- Zły adres. - Pochyliła się z powrotem nad swoim notesem. To jasne, że ten monokolorystyczny osobnik chciał złożyć zlecenie. Jednak nie wypowiedział formułki.

Takich niedoszłych zleceniodawców Małgorzata uwielbiała.

Fakt, że facet nie umiał złożyć zlecenia, był dla niej źródłem ogromnej satysfakcji. Póki nie ubrał swojego żądania we właściwe słowa, nie miała obowiązku nic robić. Ba, mogła spokojnie udawać, że nie ma absolutnie pojęcia, o co mu chodzi.

Zbity z tropu satanista zaczął się lekko wiercić. Był pewien, że rozmawia z załatwiaczką, która raz-dwa spełni jego życzenie, a nie z dziewczyną, która być może zaraz wezwie policję i oskarży go o nękanie.

Jego ukrytego pod czarną czupryną mózgu nie nawiedziła żadna odkrywczą myśl, więc w końcu sobie poszedł.

Małgosia spuściła głowę i zajęła się swoim notesem. Przez jakieś pięć minut miała spokój. Potem znów ktoś podszedł do jej stolika. Małgorzata nawet nie drgnęła, słysząc charakterystyczne odkaszlnięcie. Doszła do wniosku, że jeśli zignoruje natręta, to on sobie pójdzie w cholerę albo jeszcze dalej.

Nic z tych rzeczy.

Już nie odkasływanie, ale powtarzający się kilka razy charkot utrudniał jej koncentrację. W takich warunkach nie mogła pracować. Gwałtownie podniosła głowę, gotowa splawić intruza w najbardziej brutalnych słowach.

Facet w czerni nie był teraz sam. Towarzyszyła mu panienka, też w czerni. Poza tym, że była ewidentnie innej płci, różniła się od swojego kolegi tylko mniej widocznymi tatuażami, za to makijażu miała więcej. To ona odkaszliwała.

- Załatw nam - zaczęła z emfazą, kiedy zorientowała się, że Małgosia wreszcie zwróciła na nich uwagę - możliwość podpisania cyrografu z demonem ciemności.

Małgorzata mentalnie przeklęła wszystkich ludzi w czerni, bieli i w innych kolorach. Już się cieszyła, że cudem uniknie zlecenia, a tu taki pech. Smak wolności i smak zwycięstwa nad tym kretynem handlującym własną duszą wyparował.

Załatwiaczka spojrzała wilkiem na mroczną parę.

- Zadzwoń, jak znajdę demona - rzuciła z niechęcią i wróciła do pracy. Nici z wieczoru z Dominikiem... A co jeszcze bardziej wkurzające, była tak blisko wymigania się od zlecenia, odniesienia małego prywatnego zwycięstwa nad Korporacją. Zawsze to coś, skoro na wymarzone wielkie zwycięstwo jeszcze musiała długo czekać.

Sataniści dalej czekali diabli wiedzą na co. Co prawda bez odchrząkiwania, ale i tak ich obecność nie była Małgosi na rękę. Miała parę telefonów do wykonania, w tym jeden prywatny. Nie życzyła sobie publiczności, nawet jeśli wiedziała, że rozmowa z Dominikiem będzie krótka, kulturalna i bezosobowa. Ona powie mu, że musi pracować, on jej, że szkoda, ale trudno, spotkają się przy następnej okazji. I koniec.

Niewiele jak na dwoje ludzi (człowieka i półczłowieka, konkretniej), którzy spotykają się od kilku miesięcy.

- Czego? - zapytała niezyczliwie, spoglądając na czarną dwójkę.

- To... wszystko? - zapytała niepewnie dziewczyna.

- A czego byście jeszcze chcieli? Zlecenie przyjęte, zadzwonię, jak je zrealizuję. A teraz chciałabym wrócić do pracy. Nie tylko wy macie jakieś sprawy do załatwienia.

Nie musiała uśmiechać się do zleceniodawców - to był jeden z plusów jej koszmarnej pracy. Mogła się krzywić i wspinać na wyżyny nieuprzejmości, bo regulamin nic nie wspominał o standardach obsługi klienta.

Natychmiast przypomniawszy sobie zleceniodawcę, dla którego była uprzejma, ba, nawet miła, bo uznała, że w jego wypadku chamstwo może ją zbyt wiele kosztować. A może wcale nie chodziło o to, że urażony mógłby jej narobić kłopotów? Od jakiegoś czasu nie była już tego taka pewna. Co noc podczas tej swojej nędznej dwugodzinnej drzemki spoglądała w puste ciemne oczy i w piekła, jakie się za nimi kryły. Co noc błagała, żeby wyniósł się z jej myśli, z jej snów. Nie chciała go tam.

Ale to, czego chciała, najwyraźniej się nie liczyło.

Dwoje kandydatów na potępieńców stało nadal przy jej stoliku, tyle że cała pewność siebie z nich uleciała, nawet z dziewczyny, która zdawała się być mózgiem operacji. Małgorzata nie miała pojęcia, jak zdaniem tej pary powinno wyglądać spotkanie z załatwiaczką, ale cieszyła się, że sprawiła im zawód.

Mimo to kontynuowanie pracy w pubie było już raczej niemożliwe. Nie z dwoma hebanowymi posagami przed nosem.

Krzywiąc się ostentacyjnie, Małgosia zamknęła notes i schowała go do kieszeni. Dopła piwo i już była gotowa do wyjścia. Kiedy mijali satanistów, odwrócili się za załatwiaczką jak uczepieni do niej na sznurku.

- A numer telefonu? - zapytała dziewczyna w czerni. Jej głos zabrzmiał niemal żałośnie, prosząco. Przypominała małe dziecko, które wciąż ma gasnącą nadzieję, że dostanie wymarzoną zabawkę.

- Jaki numer telefonu?

- Nasz - odpowiedziała prawie bezradnie. Niczym nieszczęsny Kopciuszek, który wciąż nie może uwierzyć, że księżę z bajki postanowił go spławić z powodu kogoś bardziej interesującego. - Przecież masz zadzwonić...

- Nie musicie mi dawać waszego numeru telefonu - oznajmiła z wyższością Małgorzata, rzucając spojrzenie, które powinno ich wprowadzić w kompleks niższości rozmiaru Rowu Mariańskiego. - Pracuję dla Korporacji, a Korporacja wie wszystko.

To było kłamstwo, choć nie takie znowu okropne. Korporacja nie wiedziała co prawda wszystkiego, ale dysponowała środkami, które pozwalały jej się wszystkiego dowiedzieć. Małgosia nie miała czasu ani zamiaru tłumaczyć nikomu tej subtelnej różnicy.

Miała telefon do wykonania.

Tak jak przypuszczała, Dominik wykazał pełne zrozumienie. Prawdziwy ideał.

W ciągu roku swojej pracy dla Korporacji Małgorzata załatwiała wiele skomplikowanych zleceń, ale w kontakt z siłami nieczystymi jeszcze nie wchodziła. Nie miała pojęcia, od czego zacząć. Coś jej mówiło, że potrzebna będzie kreda, pentagram, może nawet ziemia z cmentarza. Do tego biała koza i czarny kogut - albo może na odwrót. Tyle dobrego, że załatwiaczka nie musiała się martwić o inkantację czy zaklęcie, jakie należało powiedzieć. Wystarczyło odpalić branżowy program P2P i ściągnąć MPtrójkę.

Najpierw należało ustalić, jak można sprowadzić demona do tego świata. Podczas gdy wyszukiwarka wyświetlała jej listę inkantacji do ściągnięcia, Małgosia przytrzymała komórkę brodą i wybrała numer Bena Watsona.

- Cześć, to ja - powiedziała. Jakaś część jej chciała zapytać: „Jak się czujesz?”, „Co słyszałeś?”, „Czy wszystko w porządku?”, ale załatwiaczka zdusiła to pragnienie. To była

rozmowa służbowa. Tylko i wyłącznie. - Kto w branży zajmuje się przyzywaniem demonów, sił ciemności, takich tam?

- Nikt porządny - odparł czarodziej. Nie zaskoczyło go ani to, że od razu przeszła do rzeczy, ani to, o co pytała. Zdażył się już przyzwyczać. - Żaden szanujący się czarodziej nie przyłoży do czegoś takiego ręki.

- Dzięki. - Małgosia natychmiast się rozłączyła. Porządnym, szanującym się czarodziejów było strasznie mało, załatwiaczka rozumiała to o wiele lepiej niż Ben. On miał złudzenia co do swoich kolegów po fachu. Ona wiedziała, że dowcipy takie jak: „Czy czarodziej byłby skłonny sprzedać duszę diabłu? Tylko jeśli diabeł zapewniłby duszy cotygodniową konsultację u piekielnego stylisty”, zawierały w sobie nie tylko ziarno, ale całe pole prawdy.

Musiała znaleźć jakiegoś czarodzieja o wątpliwej reputacji, zapewne przy okazji zamienić z nim parę słów i szybko odskoczyć, zanim ego maga ją zmiążdży.

Szkoda, że nie było jakiegoś sposobu mniej uszkadzającego jej dobre samopoczucie.

Nagle coś przyszło załatwiaczce do głowy. Wampiry to przecież bestie, demony, dzieci ciemności, czy jak je tam zwać. Powinny mieć jakieś kontakty wśród sił nieczystych. Warto było przynajmniej spróbować. Wybrała numer Phillipa.

- Skupujesz dusze? - zapytała, gdy tylko odebrał. Udało jej się go zaskoczyć.

- Co?

- Dusze. No wiesz, cyrograf podpisany własną krwią, takie sprawy.

- Jedyna krew, z jaką chcę mieć do czynienia, to ta sącząca się z żyły na szyi pięknej kobiety - oznajmił stanowczo. - A skoro już o jedzeniu mowa... przeszkodziłaś.

- Przepraszam. - Małgorzata ze wszystkich sił starała się wypchnąć ze swojej wyobraźni obraz, jaki w niej zobaczyła. Phillip był w końcu wampirem, więc doprawdy łatwo było sobie wyobrazić, co za posiłek mu właśnie przerwała.

Lubiła Phillipa, ale miała też świadomość, że jej sympatia jest wyjątkowym przykładem hipokryzji - dobrze zdawała sobie sprawę, co wampir robi nocami. Napęłniało ją to odrazą i obrzydzeniem, więc próbowała o tym nie pamiętać. Umyślnie koncentrowała się na tym, że Phillip - o ile akurat nieprzyssany do czyjejś żyły czy tętnicy - był cudownym, dowcipnym, czarującym facetem. W dodatku obłędnie atrakcyjnym, ale jego magnetyzmu nie dane było Małgorzacie doświadczyć. Załatwiaczy uodporniono na urok wampirów i wszelkie inne próby wpływu na ich wolną wolę. Korporacja lubiła mieć monopol w tej dziedzinie.

Małgosia mogła odczekać z godzinę albo dwie, aż Phillip skończy *posiłek*, ale zdecydowała się tego nie robić. Nie miała pojęcia, ile trwa opróżnianie dorosłej kobiety z

krwi, i nie była to wiedza jej marzeń. Już wolała zmusić się do rozmowy z nadętym czarodziejem. Tę rozmowę powinien lekko ułatwić fakt, że czarodzieje byli nie tylko nadęci, egoistyczni i aroganccy. Byli też chciwi. Utrzymanie image'u i wszystkie zbytki i luksusy, których nie zwykli sobie odmawiać, sporo kosztowały. Jakoś musieli na to zarobić, a Małgorzata była skłonna sporo zapłacić. W końcu Korporacja rozliczała ją z efektywności, a nie z gospodarności.

Ze znalezieniem maga, który nie był ani porządny, ani szanujący się, poradziłoby sobie nawet dziecko. Wystarczyło załatwić sobie listę magów, na których miał oko Trybunał. Potem należało ją porównać z listą z ubezpieczalni. Czarodzieje zadający się z potencjalnie niebezpiecznymi stworzeniami płacili wyższe składki i jeszcze specjalny dodatek za nadzwyczajną dyskrecję.

Kiedy zestawienie było już gotowe, Małgosia wydrukowała je i położyła listę nad swoim otwartym notesem. Technika i logika nie mogły jej więcej pomóc, teraz należało zdać się na magię.

Podniosła rękę, tak żeby jej dłoń znalazła się nad kartką. Rozczapierzyła palce i skupiła się na zleceniu. Notes i leżąca na nim kartka rozbłysły różowawym światłem. Blask przez chwilę był bardzo intensywny, po czym zaczął przygasać. Wreszcie świeciło się już tylko jedno nazwisko na liście.

Załatwiaczka sięgnęła po telefon.

Osobliwa mieszanina chciwości i arogancji, jaką prezentował czarodziej, utrudniała trochę konwersację. Facet nie był pewien, czy powinien załatwiaczkę potraktować z pogardą, czy może wręcz przeciwnie, podlizywać się na wszelkie sposoby, żeby zapewnić sobie wysokie honorarium.

Po godzinie obustronnych męczarni w końcu każde z nich dostało to, co chciało: czarodziej potwierdzenie przelewu, a Małgorzata faks z opisem rytuału przywołującego demona. I nie były to jakieś tam starożytne teksty, tylko gotowy przepis przetłumaczony na angielski i ładnie przepisany na komputerze Ariałem czternastką.

Sam rytuał okazał się na szczęście mało skomplikowany, a konieczna inkantacja była jedną z tych, które Małgorzata już wcześniej ściągnęła z Internetu. Niestety, do przyzwania demona konieczne było wyrysowanie czy raczej usypanie odpowiednich symboli za pomocą

specjalnego proszku. Ale sama receptura mieszanki sprawiła, że Małgosi wyrwało się kilka bardzo brzydkich słów.

Jak już przestała kląć, sięgnęła po telefon. Należało się wziąć do roboty. Jej dostawcy byli w stanie dostarczyć jej większość składników, przynajmniej tych z dziedziny alchemii i zielarstwa. Musiała też zadzwonić do Klanu, aby ktoś wybrał się na cmentarz po kilka innych niezbędnych ingrediencji. Załatwiaczka była prawie pewna, że wszystko, co potrzebne, trafi do niej w ciągu maksymalnie czternastu godzin. To dałoby jej cały następny dzień na przygotowanie proszku, a w nocy mogłaby wezwać demona i mieć sprawę z głową.

Tak, to był dobry plan. Wymagał tylko uzupełnienia o jeden szczegół: należało jeszcze zadzwonić do Dominika i zapytać, czy jest wolny popojutrze wieczorem.

Dziewczyna już dawno odkryła, że wbrew wszystkiemu, co twierdziła tak zwana prasa kobieca, randka nie zajac, nie ucieknie. Przynajmniej nie przed nią.

Jedynym ze składników, który Małgosia postanowiła nabyć osobiście, był świeży stek. Do najbliższego rzeźnika miała tylko kilka minut drogi piechotą. Choć mogłaby zamówić mięso przez Internet czy telefon, szkoda byłoby nie wykorzystać okazji do wyrwania się z akademika na świeże powietrze.

Przez całą noc kurierzy dostarczali jej kolejne paczki i nad ranem miała już prawie wszystko. Pokwitowała ostatnią przesyłkę, zawierającą to, co zgodnie z jej wskazówkami ludzie z Klanu wykopali na cmentarzu, a potem poszła na zakupy.

Pogoda wciąż nie była najlepsza i Małgorzata zaczęła się martwić, czy przypadkiem w nocy nie zacznie padać. Gdyby tak się stało, niewykluczone, że musiałyby odłożyć przyzywanie demona. Deszcz zgasiłby świece, a świece były niezbędnym elementem każdego, najgłępszego nawet rytuału. Załatwiaczka zastanowiła się przelotnie, kiedy wreszcie ktoś przetestuje procedurę z latarkami zamiast ogarków.

Kupiła stek i miała już wracać, kiedy po drugiej stronie ulicy zauważyła Bena Watsona. Wychodził właśnie ze sklepu zoologicznego. Pewnie potrzebował karmnika dla ptaków lub czegoś podobnego. To było w stylu Bena dbać o małe zwierzątka żyjące na jego terenie.

Czarodziej nie zauważył Małgosi, musiała podbiec kawałek, żeby go dogonić. Klepnęła go w ramię i jak tylko się odwrócił, od razu przeszła do rzeczy.

- Mam zlecenie od dwojga idiotów, którzy chcą sprzedać swoje dusze - powiedziała. Ben za punkt honoru poczytywał sobie troskę o okolicę i lubił wiedzieć, co się dzieje. Na pewno

należało go uprzedzić. - Mam im załatwić możliwość podpisania cyrografu. Nie zdziw się, jak ci jutro coś rogatego i ogoniastego przejdzie pod oknem.

- Zdobyłaś przepis na wezwanie demona? - upewnił się czarodziej. Dobrze wiedział, że Małgorzata musi zrealizować zlecenie. Ale uprzedziła go o tym i to się liczyło. Taka drobna branzowa grzeczność. - To nie jest dobra magia - ostrzegł.

- To jest magia, która pozwoli mi zrealizować zlecenie - odparła załatwiaczka. - Nie podoba mi się ta zabawa w Fausta, ale co zrobić? - Wyciągnęła z kieszeni zadrukowaną kartkę. - Nie miałam pojęcia, że aż tyle rzeczy jest potrzebnych do jednego rytuału - stwierdziła, spoglądając na listę. - Aż się zaczynam dziwić, że komukolwiek kiedykolwiek udało się sprzedać własną duszę!

Czarodziej wziął od niej spis i przestudiował go dokładnie.

- Masz już wszystko?

- Ostatni element. - Małgosia uniosła do góry torbę z kawałkiem mięsa. - Zmieszam z całą resztą i jak dobrze pójdzie, dziś w nocy go przywołam. Rzucę mu tych idiotów na pożarcie, a jutro... będę miała wolne. - W ostatniej chwili ugryzła się w język. Miała zamiar powiedzieć „jutro pójdę na randkę”. Błąd, duży błąd, bo jak podejrzewała w głębi duszy, Ben ciągle jeszcze bolał nad stratą Joanny. Stratą, w której Małgorzata odegrała niebagatelną rolę, niestety.

- Uprzedź mnie, kiedy podpiszą cyrograf - poprosił czarodziej, oddając jej kartkę. - Chcę mieć pewność, że i demon, i ci... idioci wyniosą się z miasta, nie robiąc większych szkód.

- Jasne - obiecała Małgosia. - Załatwione.

Fakt, że obyło się bez kozy, koguta czy jakiegokolwiek żywego zwierzęcia, sprawił Małgorzacie ogromną ulgę. Ze zdobyciem potrzebnych rzeczy nie miała większego problemu, w końcu musiała je sobie tylko załatwić. Trochę większą trudność sprawiło jej zmieszanie ich zgodnie z przepisem. Z braku lepszego miejsca postanowiła to zrobić w kuchni akademika.

Rzadko tam zaglądała, więc jej współlokatorzy mocno się zdziwili, kiedy wparowała do niej z wielką łyżką, jeszcze większym garem i dwiema torbami dziwacznych substancji, prawdopodobnie niespożywczych. Kiedy Małgorzata wsypywała wszystko do garnka, mieszając i co chwila spoglądając na kartkę z przepisem, nie mogli się powstrzymać, żeby nie zerkać jej przez ramię. Kilka razy pytali nawet ze zgrozą w głosie, czy to będzie ten słynny *beegosh* z zepsutej kapusty, polska potrawa narodowa.

Na szczęście to, co miała w garnku, nie śmierdziało zanadto, chociaż załatwiaczka przygotowała się na taką ewentualność. Miała maskę przeciwgazową i była gotowa jej użyć. Kiedy wreszcie wszystkie składniki się połączyły, wystudziła powstałą breję i przelała do miksera. Potem trzeba było tylko jeszcze poczekać, aż wszystko wyschnie na wiór. Małgosia zdecydowała, że do procesu suszenia może podejść twórczo, i wynajęła jedno z łóżek w pobliskim solarium. W ten sposób udało jej się przygotować proszek w jeden dzień.

Garnkiem, łyżką i mikserem zajął się ktoś z Klanu. Sprzęty, które były użyte do przygotowania proszku na demony, nie nadawały się już do gotowania czegokolwiek innego. Trzeba je było zniszczyć.

Przepis na przyzywanie demonów nakazywał śmiałkowi udać się najlepiej na rozstaje dróg. Ale skoro w dzisiejszych czasach nie ma już rozstajów, tylko skrzyżowania, Małgorzata skorzystała z drugiej wskazówki: „lub w inne odludne a przestronne miejsce”. Zdecydowała się pójść w górę rzeki, tej samej, nad którą znaleziono ciało Sharon. Miejsca wystarczyłoby tam nawet dla demona giganta. Centrum miasta i wszystkie puby były po drugiej stronie kampusu, więc istniało małe prawdopodobieństwo, że napatoczy się ktoś niepowołany. Na szczęście nie padało, ale załatwiaczka na wszelki wypadek zabrała ze sobą wielki parasol. W plecaku niosła magiczny proszek, świece, zapalniczkę, iPod'a ze zgraną inkantacją i małe głośniki. Miała wątpliwości, czy zaklęcie odsłuchiwane przez słuchawki, nawet podkręcone do maksimum, będzie miało odpowiednią moc.

Nad rzeką Małgosia odwróciła się, żeby sprawdzić, czy przez korony drzew nikt nie dojrzy, co robi. Wyjęła z kieszeni rysunek z symbolami i zajęła się przygotowywaniem rytuału. Przepis mówił o świecach, ale nie w fazie przygotowań, więc przy nanoszeniu na trawnik magicznych rysunków przyświecała sobie latarką. Śpieszyła się, bo gdyby nagle spadł deszcz, całe jej wysiłki szlag by trafił. Świece by zgasły, a proszek spłynął do rzeki, gdzie niewątpliwie otrulby rybki i kaczki.

Kiedy krąg, pentagram i cała reszta były już gotowe, Małgorzata zapaliła ustawione w strategicznych miejscach świece, zgasła latarkę i zaczęła odtwarzać inkantację.

MPtrójka się skończyła, a nic się nie stało. Zdenerwowana załatwiaczka już miała zadzwonić do czarodzieja, który jej podał przepis. Chciała złożyć mu skórę, na razie przez łącze satelitarne, a jakby się stawał, zawsze zostawał jej drugi telefon, do Klanu. Właśnie sięgała po komórkę, kiedy nagle wyrysowane proszkiem symbole rozbłysły jasnym światłem. Małgosia dała spokój telefonowi i sięgnęła do plecaka po małą gaśnicę. Ją też zabrała, w końcu jako profesjonalistka pomyślała o przepisach przeciwpożarowych.

Proszek spalił się całkiem. Małgorzata już miała podejść bliżej i profilaktycznie potraktować pogorzelnisko gaśnicą. Nagle zamarła, bo zorientowała się, że pomiędzy ledwo rozpraszającymi ciemność świecami coś jest. Coś dużego, czego z pewnością wcześniej tam nie było.

Załatwiaczka upuściła gaśnicę i rzuciła się do plecaka po latarkę. Puściła snop jasnego światła, żeby sprawdzić, jaką bestię przyzwała.

Co do tego, że stoi przed nią demon, siła nieczysta i takie tam, była absolutnie pewna. Nic, co nie było demonem, siłą nieczystą i takimi tam, nie miało prawa tak wyglądać.

Maszkaron miał ze cztery metry wzrostu i na oko tyle samo miał wszerz. Ogromne łapska zakończone szponiastymi palcami ciągnęły mu się po ziemi. Prosto z barków wyrastała lekko podłużna głowa przypominająca kozłą czaszkę, wyposażona na jednym końcu w wielki pysk, a na drugim w dwa rogi. Gdzieś pomiędzy lśniło czworo oczu pozbawionych źrenic i powiek. Całość była ohydnie czerwonawa, z nielicznymi plamami czerni i fioleto.

To coś patrzyło na Małgorzatę. Chcąc nie chcąc musiała stanąć na wysokości zadania. W końcu i tak nie miała szans na ucieczkę, bestia na pewno by ją dopadła, a zaraz po bestii dopadłaby ją kontrola z Korporacji zwabiona tym, że już drugie zlecenie nie zostało wykonane, i to znowu z winy załatwiaczki. Jak nic miałyby przewalone na resztę kontraktu.

- Małgorzata Brzeska, załatwiaczka - przedstawiła się Małgosia. Demon demonem, ale ona wezwała go służbowo. Zresztą bestia może i była przerażająca, ale Małgorzata jakoś wątpiła, żeby jej obraz prześladował ją w snach. Jej sny były już zajęte przez kogoś innego.

- Korporacja - stwierdził demon. Jego głos przypominał zgrzyt ostrza na szkle, był tylko odrobinę bardziej nieprzyjemny. Ale załatwiaczka poczuła ulgę. Przynajmniej stwór wiedział, czym jest Korporacja.

- Mam zlecenie - wyjaśniła. Rozmowa z piekielną istotą, jakby to była pogawędka o pogodzie, okazała się zaskakująco łatwa. Nie takie rzeczy już robiła... Nie, takie nie. Inne. Obiektywnie równie przerażające. - Dwoje ludzi chciało, żebym skontaktowała ich z kimś, kto kupi ich dusze. Chcą podpisać cyrografy.

Demon rozejrzał się wokoło, najwyraźniej w poszukiwaniu jej zleceniodawców.

- Nie ma ich tu - powiedziała pośpiesznie Małgosia. - Mam się z nimi spotkać, dopiero gdy będę pewna, że znalazłam im demona, któremu będą mogli sprzedać dusze.

- W południe - oznajmiła bestia. - Tam, gdzie będziesz ty. Ludzie to nie problem. Nie zauważą - dodała, jakby czytając w myślach załatwiaczki. Małgorzata zastanawiała się, gdzie wyznaczyć miejsce spotkania, skoro miał przyjść tam również stwór o gabarytach przyczepy kempingowej.

Demon znikł. Na łące została tylko załatwiaczka i dogasające świece.

Małgosia na wszelki wypadek potraktowała trawę gaśnicą. Nie chodziło już nawet o pożar, po prostu piana bardzo dobrze niszczyła wszelkie ślady. Wśród białych smug nikt nie mógł się dopatrzeć symboli mistycznych. To była tylko dodatkowa ostrożność, bo na telefon Małgorzaty czekali ludzie z Klanu gotowi wymienić przed świtem ten kawałek trawnika.

Załatwiaczka zebrała swoje rzeczy do plecaka i ruszyła z powrotem do akademika. Zamiast wrócić najkrótszą drogą, wzdłuż rzeki, zdecydowała się pójść naokoło, przez pobliskie ulice obrosnięte małymi ceglanyimi domkami. Idąc, jednocześnie wykonywała telefony. Najpierw do Klanu. Potem do satanistów - w bazie danych Korporacji ich numer pojawił się w chwili, gdy złożyli zlecenie - a wreszcie do Bena.

W końcu został tylko jeden telefon - do Dominika. Już miała wybrać numer, kiedy nagle się zawahała. Stała na środku pustej ulicy z komórką w wyciągniętej dłoni. Miała wrażenie, że noc nagle zrobiła się wyjątkowo duszna, a małe domki suną ku niej z obu stron jak ceglane ślimaki. Przez chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje, przecież to był jej teren, to nawet była jej pora.

Nocne spacerowanie po mieście na samym początku lekko przerażały Małgorzatę. Owszem, miała wykupione ubezpieczenie od nagłej napaści, ale trochę potrwało, zanim się przyzwyczaiła do tej myśli. A poza tym Exeter było jednym z najbezpieczniejszych miast w całej Wielkiej Brytanii. Zaledwie kilka razy zdarzyły się sytuacje, kiedy Małgosia musiała wezwać komando półtrolli na pomoc, ale zawsze była to sprawa branżowa, nigdy nie napadł na nią ktoś zwyczajny.

Z czasem załatwiaczka polubiła nocną ciszę, ulice, na których nikogo nie było, rzędy identycznych domków bez choćby jednego oświetlonego okna. Miasto było wtedy takie spokojne, że aż zwalniała kroku, żeby jej pośpiech nie przeszkadzał śpiącemu Exeter.

Niestety, cisza i spokój w końcu nieuchronnie sprawiały, że człowiek przestawał zwracać uwagę na otoczenie, a zaczynał słuchać siebie. Kiedy nadchodził taki moment, Małgorzata zawsze przyspieszała kroku. W swoim wnętrzu nie znalazłaby spokoju, którego tak potrzebowała.

A teraz wyglądało na to, że jej nastrój niepewności, podenerwowania i wątpliwości zaczął promieniować na okolicę.

Małgosia nabrała powietrza w płuca. Wiedziała, co się z nią dzieje. Atak paniki. Ostatnio zaczęły jej się zdarzać, jakby miała za mało kłopotów. Kolejna komplikacja w jej poplątanym życiu. Załatwiaczka dużo by dała, żeby ktoś wyprostował wszystkie poplątane nitki.

Jeśli ktokolwiek słuchał jej niewypowiedzianej prośby, zareagował w wyjątkowo przewrotny sposób. Małgorzata poczuła, że coś ją szturcha na wysokości kolana. Spojrzała w dół. To Janeeyere stał przy niej i machał ogonem. Tuż za psem przeżyła swój koci grzbiet Bansh. A skoro była tu ta dwójka...

Dziewczyna podniosła głowę. Sharon była już naprawdę blisko. Stąpała bezgłośnie i tylko dlatego Małgosia nie zauważyła jej wcześniej. Wyglądało na to, że druidka ma do niej sprawę - szła prosto w stronę załatwiaczki. Ta czekała cierpliwie. Nie było sensu się odzywać, póki Sharon nie powiedziała tego, co miała do powiedzenia. Tak za życia, jak po śmierci ta kobieta mówiła zagadkami. Niczym prawdziwa, porządna wyrocznia.

Druidka zatrzymała się wreszcie zaledwie o kilka centymetrów od Małgorzaty. Jej jasne oczy spoczęły na twarzy dziewczyny.

- Jest ci ciężko - stwierdziła Sharon. Ona nigdy nie pytała, bo nie miała o co. Jeśli istniał ktoś, kto naprawdę wiedział wszystko, to była to ona. Żywa czy martwa, niosła ze sobą mądrość całego świata.

- Dam sobie radę - uspokoiła ją Małgosia. Tylko kogo chciała o tym przekonać, druidkę czy siebie? Raczej siebie samą, bo zdawała sobie sprawę, że Sharon jest odporna na wszystkie argumenty. Nie było sensu przekonywać o czymkolwiek kogoś, kto i tak znał całą prawdę. - Jest już coraz lepiej. Ta praca mnie nie zniszczy. Poradzę sobie z tym.

- Nie musisz. - Głos Sharon był melodyjny jak zawsze. - Nie musisz radzić sobie z życiem sama. Przecież nie jesteś sama. - Poglądziła załatwiaczkę po policzku i odeszła. Jak zwykle kroczyła lekko jak piękna zjawą, a jej stopy wydawały się nie dotykać chodnika. Może zresztą tak było, w końcu czy zmarli mogli chodzić po ziemi? Janeeyere i Bansh pobiegli za nią, psie pazury zastępowały po asfalcie, kocie łapy nie wydały żadnego dźwięku.

Małgorzata też miała już odejść, kiedy usłyszała stukot kopyt. Z uliczki, którą nadeszła druidka, wybiegł gipsowy koń. Kłusem podążał za Sharon.

Był cały czarny, a na boku miał wymalowane ogromne białe koło. W samym jego środku widniało oddane z anatomiczną precyzją małe serce. Naprawdę maleńkie.

Koń przebiegł obok Małgosi i niebawem znikł we mgle. Załatwiaczka została sama.

Ale nie była sama. Na końcu świata albo gdzieś w jego pobliżu małe sklonowane serce, wciąż jeszcze niegotowe, by cokolwiek czuć, biło dokładnie tym samym rytmem co to w piersi dziewczyny.

I to miało podnieść ją na duchu?

Skoro ludzie - zdaniem demona - nie mieli być problemem, Małgorzata postanowiła się nimi nie przejmować. I to do tego stopnia, że umówiła się z satanistami o jedenastej pięćdziesiąt pięć pod pomnikiem w samym centrum miasta. Była ciekawa, jak tłum przechodniów na głównej ulicy zareaguje na piekielne stworzenie. Prawdę mówiąc, nie mogła się doczekać, żeby to zobaczyć.

Myśl o wielkiej bestii, która wolno kroczy High Street, rozdeptując samochody i rozbijając łapami witryny sklepów, była nader zajmująca i pozwalała załatwiaczce zapomnieć o nocnym spotkaniu z Sharon i snach, które ją potem nawiedziły.

Małgosia usiadła na ławce tuż pod lustrzanym pomnikiem. Satanistów jeszcze nie było. Miała nadzieję, że przyjdą punktualnie. W końcu nie oczekiwali chyba, że w razie ich spóźnienia demon poczeka. Zdaniem załatwiaczki podaż na dusze z pewnością przekraczała popyt. Ale z drugiej strony jej zdanie o ludzkości jako takiej już dawno zostało wypaczone przez doświadczenia, jakie zdobyła podczas pierwszego roku swojej pracy. Myślała o swoich bliźnich jak najgorzej - i, niestety, często miała rację. Ich wady wychodziły na wierzch, zwłaszcza kiedy składali zlecenia.

Sataniści poza pogardą dla większości kolorów mieli jeszcze jedną nie najlepszą cechę: nie byli punktualni. Co prawda przyszli tylko trzy minuty po czasie, ale Małgorzata zdążyła już rozważyć, co powie demonowi, kiedy przyjdzie kupić dusze, których nie ma kto sprzedać.

- Spóźniliście się - wytknęła na powitanie.

Dziewczyna i chłopak zerknęli na boki. Wokół było pełno ludzi, ale nikt nie patrzył w ich stronę znaczącym spojrzeniem czerwonych oczu.

- Gdzie demon? - zapytała satanistka.

- Będzie tu za jakąś minutę.

Oboje zrobili taką samą zdziwioną minę. Najwyraźniej ich wyobrażenie o podpisywaniu cyrografów nie zakładało umawiania się z bestią piekielną na konkretną, i to jeszcze dzienną godzinę. Kiedy do nich zadzwoniła w nocy, byli wyraźnie rozczarowani, że nie wzywa ich już, zaraz, w dodatku na cmentarz.

Załatwiaczka miała gdzieś ich zawiedzione oczekiwania. Na cmentarzach w nocy było zimno. Wiedziała o tym najlepiej, bo nieraz zdarzyło jej się tam pętać o tej porze.

Nagle ziemia dosłownie zadrżała. Wszyscy przechodnie podskoczyli, manekiny na wystawach zadrżały, przejeżdżający autobus niebezpiecznie się przechylił. A potem wszystko wróciło do normy, ludzie podążali za swoimi sprawami jak gdyby nigdy nic. Aż do następnego wstrząsu.

- Co się dzieje? - zapytała podejrzliwie czarno ubrana dziewczyna. Ulica drżała rytmicznie, wstrząs po wstrząsie, za każdym razem prawie przewracając przechodniów, ale nikt zdawał się tego nie dostrzegać.

Wyjątkiem byli oni troje.

- Bestia nadchodzi - wyjaśniła Małgorzata. Siedziała na ławce na tyle pewnie, że udawało jej się utrzymać równowagę przy kolejnych wstrząsach. Sataniści natomiast z trudem stali na nogach.

- Ale ci ludzie...

- To potężny demon. Jeśli nie chce zostać zauważony, to nie zostanie.

- Ale ulica... - znów zaczęła dziewczyna satanisty, wyraźnie odważniejsza z ich dwójki.

Miała rację. Wstrząsanie wszystkim i wszystkimi dokoła nie kwalifikowało się na listę najdyskretniejszych wejść wszech czasów.

- Przypuszczam - powiedziała po chwili namysłu Małgosia - że on jest po prostu dość ciężki.

Coś o takich rozmiarach musiało przecież dużo ważyć, a jeśli jeszcze wziąć pod uwagę wielkość jego rogów... Ziemia miała pełne prawo się trząść i dwójka sprzedawców własnych dusz miała okazję zobaczyć dlaczego. Od strony kampusu nadchodził demon.

Jego skóra pokryta czymś na kształt drobnej łuski lśniła w słońcu. Lśniła też ślina, która kapiała mu z niedomkniętej, bo przeładowanej wielkimi zębami paszczy.

Bestia szła pewnie przed siebie, mijając podskakujących przy każdym jej kroku ludzi. Nie zwracała na nich uwagi, a oni na nią. Zupełnie jakby poruszali się na dwóch różnych płaszczyznach rzeczywistości.

Satanistom opadły szczęki. Chłopakowi nie udało się utrzymać równowagi i runął do tyłu. Był tak zszokowany widokiem demona, że zapomniał jęknąć z bólu, gdy jego pośladki zetknęły się z chodnikiem. Dziewczyna trzymała się lepiej, ale tylko dlatego, że biały puder skrywał jej nagle pobladłą twarz. Prawdopodobnie w tej właśnie chwili zadawała sobie desperackie pytanie: „Co myśmy zrobili?!”.

Małgorzata uśmiechnęła się pod nosem. Wejście demona nie zawiodło jej oczekiwań, nawet lekko je przerosło. Czuła się jak widz oglądający film, którego budżet na efekty specjalne sięgał setek milionów dolarów. Co prawda w kinie z reguły mniej trzęsło, ale i widoki nie były aż tak zajmujące.

Demon doszedł wreszcie do pomnika. Jego czworo oczu spoczęło na załatwiacze.

- To oni. - Małgosia uczyniła głową ruch w kierunku satanistów. - Zlecenie zrealizowane - dodała pod adresem mrocznej pary.

Jej rola właściwie już się skończyła, ale postanowiła zostać jeszcze i zobaczyć, co będzie dalej. Poza tym zauważyła Bena stojącego po drugiej stronie ulicy pod wystawą sklepową. Oprócz Małgorzaty i jej zleceniodawców tylko on widział bestię i nie spuszczał jej z oczu. Pilnował, żeby demon nie narobił kłopotu w jego mieście. Więc i załatwiaczka wołała przypilnować, żeby Ben i stwór piekielny nie rozpoczęli przypadkiem zbyt gorącej dyskusji.

Czworo oczu demona przesunęło się na czarną dwójkę. Oboje patrzyli na niego jak zahipnotyzowani.

- Chcecie sprzedać dusze. Za co?

Chłopak skrzywił się boleśnie i zakrył uszy. Cóż, głos demona do najprzyjemniejszych nie należał. Dziewczyna była od niego odważniejsza i jak przypuszczała Małgosia, bardziej rozgarnięta. Wyglądało na to, że to ona będzie prowadziła rozmowę. Nie zważając na wyraźne przerażenie swojego towarzysza, wyprostowała się i nabrała powietrza w płuca.

- Chcemy sławy. Chcemy uznania. Chcemy, żeby nasz zespół podpisał kontrakt z wytwórną.

Załatwiaczka przez chwilę myślała, że z wrażenia spadnie z ławki. Oni chcieli SŁAWY? Nie przyszło im do głowy, by po prostu zgłosić się do jakiegoś reality show? A jak nie, to powiedzieć Małgorzacie, aby im to załatwiła? Musieli od razu podpisywać cyrografy?

Zaraz potem tknęła ją druga myśl, bardziej cyniczna i pełna niezdrowej ciekawości: ciekawe, ilu muzyków sprzedało swoje dusze?

Demon przez chwilę milczał. Wyglądało na to, że się zastanawiał.

- Zgoda - powiedział wreszcie. - Dwie dusze. Sława. Uznanie. Kiedy wymiana?

- Co? - dziewczyna nie zrozumiała, o co on pyta. Przecież mieli dokonać transakcji tu i teraz. Odwróciła się do Małgosi, szukając u niej wyjaśnienia. Demon też przekreślił swój pysk w stronę załatwiaczki. Wyglądało na to, że nie miała wyjścia, musiała wziąć udział w negocjacjach.

- On chce powiedzieć - zaczęła ostrożnie, zerkając w stronę bestii, by upewnić się, czy wszystko właściwie rozumiała - że nie będzie czekał z zabraniami waszych dusz, aż umrzecie. Chce je wcześniej. W określonym miejscu - dodała nagle olśniona. Pan Twardowski. Karczma „Rzym”. Ciekawe, czy Twardowski też korzystał z pomocy załatwiacza?

Demon skinął łbem na znak, że wszystko dobrze wytłumaczyła. Może się Małgosi tylko wydawało, ale chyba zanim odwrócił głowę do swoich potencjalnych łupów, spoglądał dłuższą chwilę na załatwiaczkę. Strasznie przenikliwie.

Zresztą co ją to obchodziło? Mógł sobie patrzeć. Nie zamierzała sprzedawać duszy, nie było też szans, żeby ktoś ją zabrał Małgosi podstępem. Dusza dziewczyny, tak jak i wolność, była jeszcze przez dziewięć lat własnością Korporacji.

Satanistka rozważała przez dłuższą chwilę to, co usłyszała. Potem pochyliła się ku swojemu towarzyszowi i odbyła z nim cichą, szeptaną naradę. Małgosia nie słyszała, o czym mówią, ale była prawie pewna, że demon jest w stanie ich bez wysiłku podsłuchać. Pewnie to robił.

Dziewczyna w czerni wreszcie się wyprostowała, odrzucając na plecy swoje długie, ufarbowane na heban włosy.

- Na końcu świata. Oddamy ci dusze, gdy znajdziemy się na końcu świata - oznajmiła godnie. Załatwiaczka musiała przyznać, że pomysł był niezły. W końcu kto wiedział, gdzie jest koniec świata?

- Za daleko. Gdzieś w jego pobliżu - zaproponował smętnie demon. Wydawało się, że jest rozczarowany, choć w przypadku istoty o tak dziwacznej fizjonomii ciężko było coś stwierdzić na podstawie wyrazu pyska. Ale wielkie ramiona opadły jakby niżej, a cała postać trochę się skurczyła.

- Niech będzie - zgodziła się satanistka z lekkim uśmiechem triumfu na uszminkowanych na czarno ustach.

Małgosia całe te targi przeczekała w milczeniu, siedząc nieruchomo na ławce. W pobliżu końca świata... Jakby słyszała własne słowa wypowiedziane ponad miesiąc temu w przerobionym na izolatkę pokoju w otoczonym różami domku w małym niemieckim miasteczku. Dziwnie było słyszeć tę samą frazę z ust kogoś innego. Kiedy sama ją wygłaszała, nie przypuszczała jeszcze, że mówi do kogoś, kto będzie prześladował ją w snach i na jawie. Teraz, gdy spała, widziała jego oczy. Jeśli nie spała, nieustająco ktoś jej o nim przypominał, świadomie lub przypadkiem. Sebastian, Sharon, Kasandra, Dawid... a teraz jeszcze satanistka do spółki z demonem.

- Gdzie mamy podpisać? - zapytała dziewczyna.

- Bez podpisu - oznajmił demon. - Tylko krew. - Wyciągnął w ich stronę jedną ze swoich szponiastych łap. Na ogromnej dłoni spoczywało coś, co wyglądało jak dwie fiołki ze szpiczastymi, przypominającymi igły nakrętkami. - Powiedz umowę. Utozcz krwi.

- Macie powiedzieć coś w stylu: „W zamian za sławę i kontrakt z wytwórnią jakąś tam oddam swoją duszę w chwili, gdy znajdę się w pobliżu końca świata”. A potem trzeba nakłuć tą igłą palec, tak żeby krew ściekła do fiołki - podsunęła Małgorzata. Świat branży i demonów

najwyraźniej opierał się na tej samej zasadzie: na potędze formuły. Nietrudno jej było się domyślić, czego demon oczekuje od tej dwójki.

Mroczna para natychmiast posłuchała, chociaż chłopak odwrócił wzrok, kiedy przyszło do nakłuwania palca. Oboje zażyczyli sobie kontraktu z jakąś wytwórnią w Londynie.

- To wszystko? - zapytała satanistka, oddając demonowi fiolki.

Bestia skinęła głową.

- W takim razie jedziemy do Londynu. Cześć - rzuciła do Małgosi i podtrzymując za ramię swojego kompana, odeszła.

Demon nie obejrzał się za nimi. Opuścił wielką łapę, w której trzymał pełne fiolki, tak że znowu zwieszała się wzdłuż jego niekształtnego korpusu.

- A ten? - spytał, wciągając nozdrzami powietrze. Co najmniej dwoje z jego czworga ślepi zezowało w stronę stojącego pod sklepem Bena. Skoro mag widział demona, było chyba też jasne, że demon wyczuwał maga.

- To lokalny czarodziej - wyjaśniła załatwiaczka. - Pilnuje. Nie chce kłopotów na swoim terenie.

Piekielny stwór kiwnął łbem, odwrócił się i powłócząc wielkimi łapami po chodniku, ruszył w stronę kampusu. Z każdym jego krokiem ludzie, psy i wózki podskakiwały. I oczywiście nikt tego nie zauważał.

Kiedy bestia znikła z pola widzenia, Ben przestał udawać, że interesuje go konfekcja damska i podszedł do siedzącej na ławce Małgosi.

- Już po wszystkim? - zapytał z troską.

Załatwiaczka skinęła głową.

- Transakcja została przeprowadzona bez zakłóceń - w jej głosie zabrzmiała nutka sarkazmu. - Teraz nasi młodzi przyjaciele będą podbijać świat... Mają zespół najpewniej deathmetalowy i najwyraźniej ich kariera utknęła w martwym punkcie... W każdym razie będą podbijać świat, zaczynając od jakiejś londyńskiej wytwórni płytowej, a bestia z piekieł poszła z powrotem do piekieł. Załatwione.

- To dobrze.

- Sprytni są - dodała z mimowolnym podziwem Małgorzata. - Umówili się z demonem, że oddadzą mu dusze w pobliżu końca świata.

- Jada do Londynu, tak? - zapytał ją nagle Ben.

- Tak. A co to ma do rzeczy? - zdziwiła się.

- „The World’s End” - wyjaśnił, uśmiechając się ni to gorzko, ni to ironicznie. - Pub. Około trzydzieści minut jazdy od Exeter w stronę Londynu. Okolice końca świata są bliżej, niż ktokolwiek przypuszcza. Z tobą wszystko w porządku?

Jego słowa zrobiły na załatwiacze większe wrażenie, niż mógł przypuszczać. Przez chwilę wlepiła w niego zszokowane spojrzenie. A potem nagle z jej twarzy znikło zaskoczenie, jej szaroniebieskie oczy przestały przypominać porcelanowe spodki, a ramiona opadły w dół, jakby uwalniając się od napięcia.

Jej serce biło tym samym rytmem co pięć minut wcześniej. Małgorzacie przez ułamek sekundy wydawało się, że jeśli opuści powieki i zacznie nasłuchiwać, usłyszy drugie bicie, słabe echo jej własnego.

- Kto by pomyślał - powiedziała powoli, spoglądając w ślad za samochodem, który już dawno znikł z pola widzenia. - Kto by pomyślał, że koniec świata jest tak blisko.

PODWÓJNE UBEZPIECZENIE

Mgła za oknem zdawała się żyć własnym życiem. Sposób, w jaki przemykała pomiędzy budynkami, kładła się na bruku i otulała zimnymi ramionami drzewa, sugerował przemyślane działanie. W jej poczynaniach widać było czułość, z jaką podchodziła do wszelkich przeszkód na swojej drodze, uwodząc je i przeciągając na swoją stronę. Domy, drzewa, nawet znaki drogowe nie należały już do pospolitej rzeczywistości, ale dołączały do świata cieni. A wszystko za sprawą angielskiej mgły.

Załatwiaczka zaparzyła sobie herbatę i dołała do niej soku malinowego. Mgła, magiczna czy nie, była zimna, a Małgorzata nie miała czasu na przeziębienie. Popijając słodki napój, wyglądała przez okno na skrytą pod zamglonym płaszczem ulicę. Noc nie zdążyła jeszcze odejść i paliły się latarnie. Ich klosze, otoczone przez niezwykle opary, przypominały złote bombki na niewidocznej choince - pięknie wyglądały, ale nie dawały ani odrobiny światła.

Mimo to jeśli tylko ktoś wpatrywał się w mgłę wystarczająco uważnie, tak jak to robiła załatwiaczka, i tak jak ona wiedział, czego wypatrywać, mógł dojrzeć samotnego przechodnia, bardziej podobnego do zjawy niż do człowieka. Mgła otaczała tę postać gęstym płaszczem, jakby tuląc się do niej.

Małgorzata pośpiesznie dopiła herbatę, jedną ręką chwyciła kurtkę, drugą przygotowaną wcześniej miskę z psią karmą. Zaczął się kolejny dzień pracy.

W opuszczaniu akademika o najdziwniejszych porach dnia i nocy miała już wprawę. Minęło ledwie kilka minut, nim wypadła na ulicę. Po przechodniu nie było już nawet śladu, a gęsta mgła ograniczała widoczność do trzech metrów. Załatwiaczka nie miała zamiaru zapuszczać się w labirynt oparów. Po co iść gdziekolwiek, skoro wystarczy poczekać? Ale nawet tego nie musiała robić, bo poczuła szturchnięcie w okolicy kolana. Obok niej stał już Janeeyere, stary pies pasterski, i czekał na swój posiłek. Małgosia postawiła miskę na ziemi i rozejrzała się w poszukiwaniu Sharon.

Druidka tylko pozornie była panią Janeeyere. Ani ona nie była niczyją właścicielką, ani pies niczyją własnością. Po prostu włączyli się razem po ulicach. Tym bardziej trudno było oczekiwać od Sharon, że będzie zawsze pamiętała o czymś tak przyziemnym jak karmienie zwierzaka. Karmę załatwiała Małgorzata, jak zresztą większość rzeczy. Taką miała parszywą pracę.

Sharon wyłoniła się z mgły, zupełnie jakby jeszcze przed chwilą wcale nie istniała, a teraz stworzyły ją zimne opary. Jeszcze mgnienie oka wcześniej wokół nie było nikogo, a nagle mgła rozplynęła się, przepuszczając kobietę.

Całą sobą druidka pasowała do takiej sennej pogody. Była wysoka i szczupła, a brązowa szata, którą zawsze nosiła, wisiała na niej jak na strachu na wróble. Ubranie było zdecydowanie zbyt lekkie jak na zimny poranek, ale ona zdawała się nie czuć takich drobiazgów jak temperatura. Nawet nie miała gęszej skórki. Na jej twarzy próżno było szukać jakiegokolwiek oznaki, że kobieta w ogóle jest świadoma świata wokół siebie. Jej rysy przypominały rysy posagu: oczy, nos, usta - wszystko miało idealne proporcje, było z nich klasyczne piękno. Obcięte na zapalkę włosy odsłaniały wysokie czoło.

Prawie nic nie wskazywało na to, że Sharon jest martwa.

- Nadchodzi - powiedziała. Jej głos, choć dźwięczny i mocny, nie zakłócał ciszy przedświt.

- Co nadchodzi? - Małgorzata dobrze wiedziała, że nie chodzi o coś czy kogoś, kto wyłoni się zaraz z mgły. Druidka wieszczyła, choć jak zwykle ciężko było zrozumieć jej przepowiednię. Załatwiaczka czasem miała wrażenie, że Sharon wcale nie zależy, żeby podzielić się z innymi swoją wiedzą na temat przyszłości. Ona po prostu wspominała o tym czasami, tak jak inni rozmawiali o pogodzie.

- Zobaczysz. - Na twarzy druidki pojawił się smutny uśmiech. - Ty na pewno zobaczysz. Będzie źle. Już niedługo. - Sharon patrzyła w mgłę, jakby tam właśnie rozgrywała się przyszłość. - Pamiętasz wielkie zło?

Małgosia zmarszczyła z niepokojem brwi. W jej zmęczonych, podkrążonych oczach pojawiła się czujność. Skoro wieszczka mówiła, że będzie źle, to będzie bardzo źle.

Do tego to „wielkie zło”... Druidka już raz o nim wspomniała, krótko przed swoją śmiercią. Małgosia początkowo była pewna, że Sharon miała na myśli swoje morderstwo i dążenia Sebastiana do zyskania wielkiej potęgi, ale wieszczka wkrótce potem sama zaprzeczyła takiej interpretacji. A więc czymkolwiek było „wielkie zło”, wciąż jeszcze nie nadeszło. Jednak było już coraz bliżej.

Z północy nadleciał zefirek, rozganiając mgłę. Małgorzata odgarnęła włosy z twarzy. Nie miała czasu się uczesać, ale w kieszeni powinna mieć spinkę. Zaczęła jej szukać. Tymczasem Janeeyere skończył jeść i spokojnie zanurzył się w odchodzącą mgłę. Sharon poszła za nim, zostawiając załatwiaczkę samą, z pustą miską i niepokojem w duszy.

- Tylko tyle powiedziała? Jak zwykle.

W jednej z małych kafejek otwartych już w porze porannej kawy przy stoliku pod oknem siedziała oryginalna grupka klientów. Gdyby wybrali stolik pod ścianą, w głębi sali, może pozostaliby niezauważeni, ale oni musieli widzieć, co dzieje się na ulicach. Pilnowali świata i siebie.

Było ich troje: dwóch mężczyzn i kobieta. Ona najbardziej rzucała się w oczy: ciepła bluza, luźne ogrodniczki z mnóstwem kieszeni i trampki. Jej sięgające ramion włosy rzadko widywały grzebień, jeszcze rzadziej fryzjera, za to regularnie stykały się z farbą w kolorze oberżyny. Tego ostatniego zabiegu załatwiaczka nie umiała sobie odmówić: może i była zaniedbana, ale przynajmniej miała na głowie swój ulubiony kolor.

Małgosia, jak zwykle zmęczona, póležała na stoliku, wciągając w nozdrza zapach swojej gorącej czekolady unoszący się znad filiżanki. Zbyt mało miała wolnych chwil na odpoczynek, żeby nie rozkoszować się każdą, nawet najmniejszą z nich.

Naprzeciw niej siedział młody mistrz magii. Czarodziej zawsze ubierał się na brązowo lub beżowo, miał też krótką jasną brodę. Bił z niego spokój kogoś, kto akceptuje świat takim, jakim on jest, i wie, że sam też jest przez niego akceptowany. I choć Ben Watson wyglądał na o wiele bardziej zadbanego niż Małgorzata, to daleko mu było do schludności trzeciego uczestnika tego spotkania.

Ten stanowił klasyczny przykład prawdziwego dżentelmena, od drogiego garnituru począwszy, przez filiżankę z herbatą i mlekiem, a kończąc na lekko znudzonym wyrazie twarzy. Rashid był prawdopodobnie najbardziej narcystycznym czytaczem marzeń w promieniu tysiąca kilometrów i choć w życiu by się do tego nie przyznał, przykładał do swojego wyglądu niemal tak wielką wagę jak Kasandra. Oboje, choć różnili się w poglądach na większość kwestii, zgodnie uważali, że ileś tam procent sukcesu to odpowiedni image. To właśnie Rashid wyraził pełne protekcyjnego pobłażania niezadowolenie z lakoniczności Sharon.

- Przepowiednie nie mogą być konkretne - zwrócił mu uwagę czarodziej znad swojego kubka z kawą. - Przyszłość nigdy nie jest do końca określona, musi pozostać możliwość jej interpretacji.

- Nie powiedziała tyle, żeby się to dało zinterpretować - przypomniała Małgorzata. Wiedziała, że ani Ben, ani Rashid nic nie poradzą na słowa druidki. Ale w przeciwieństwie do dziewczyny oni mieli czas, żeby zainteresować się bezpieczeństwem okolicy i uważać na nadchodzące zło.

Skoro wieszczka twierdziła, że zbliża się coś niedobrego, to na pewno tak było. Ale do obowiązków Małgosi nie należało zwalczanie zła czy zapobieganie mu, chyba że ktoś by jej to zlecił. Kiedy dostała licencję załatwiaczki, nie przypuszczała, że właśnie spieprzyła sobie życie na dziesięć lat. Tyle trwał kontrakt. Dziesięć lat załatwiania najbardziej nieprawdopodobnych zleceń dla każdego, kto wypowiedział formułę: „Załatw mi...”.

Mimo chronicznego zmęczenia, zniechęcenia i poczucia, że marnuje sobie życie, Małgorzata miała całkiem dobre serce, choć aktualnie ukryte pod stosem zmartwień. Nie chciała, by stało się coś strasznego. Wystarczyło, że świat sam w sobie potrafił być straszny, straszni bywali też zleceniodawcy, a im nie mogła odmówić. Kontrakt tego zabraniał. Dlatego opowiedziała o przepowiedni ludziom, którzy być może potrafili to zło powstrzymać. No i wybrała właśnie ich dwóch, bo miała pewność, że nie zrobią jej tego świństwa i nie powiedzą: „Ty to załatw”.

Miłość czarodzieja do okolicy gwarantowała, że przejmie się przepowiednią Sharon. I zrobi wszystko, żeby powstrzymać zbliżające się zło. Naprawdę wszystko.

Do podobnego wniosku doszedł także Rashid. Widząc zmarszczkę niepokoju na czole Bena, uznał, że skoro mag postanowił unicestwić to zło, on w związku z tym nie musi się już przejmować. Był przecież niezmiernie zajęтым człowiekiem interesu i gdyby zaczął szukać jakiejś mitycznej groźby, z pewnością spóźniłby się na któreś z ważnych spotkań. Prawdę mówiąc, jeśli chciał zdążyć do swojego eleganckiego gabinetu przed pierwszym klientem, to musiał już iść. Wstał, zapinając guziki kosztownej i nienagannie skrojonej marynarki.

- Mam klienta umówionego na dziewiątą - powiedział. - Ale jeśli spotkam Sharon, spróbuję ją zagadnąć, może uda mi się dowiedzieć coś więcej.

Dla całej trójki było jasne, że z druidki nikomu nie uda się wyciągnąć czegoś, czego ona nie chciała zdradzić. Ale czytacz marzeń musiał rzucić coś konstruktywnego na do widzenia, był przecież profesjonalistą.

Czarodziej i załatwiaczka skinęli Rashidowi głowami. Ben odwrócił się do Małgorzaty i już otwierał usta, kiedy niczym syrena okrętowa zabrzmiała melodia z „Upiora w operze” w

wersji na telefon komórkowy. Dziewczyna pogrzebała w przepastnych kieszeniach, aż wreszcie wydobyla z jednej z nich źródło straszliwego dźwięku. Drugą ręką sięgnęła po swoją filiżankę, uniosła ją do ust i jednym haustem dopiła czekoladę.

- Praca - mruknęła niewyraźnie do czarodzieja, trochę na usprawiedliwienie, trochę na pożegnanie. I tak miała całą godzinę wolną, zdążyła zjeść śniadanie i wypić swoją poranną czekoladę. To więcej niż zwykle. Praca załatwiaczki trwała dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, dwanaście miesięcy w roku, przez dziesięć lat. Spełniony koszmar, nad którym Małgosia bardzo powoli przejmowała kontrolę. Wciąż nie na tyle, żeby się obudzić, ale wystarczająco, żeby już nie krzyczeć przez sen.

Małgorzata zostawiła Bena w kawiarni i wyszła na ulicę, rozmawiając już ze zleceniodawcą. Na promenadzie minęła gipsowego konia, dziwaczną niby-rzeźbę wędrującą po całym Exeter.

Był cały czarny, naturalnej wielkości, zastygły w paradnej pozie. W dodatku nieznanymi malarz, widocznie nieusatisfakcjonowany w dążeniu do tandety, starannie wymalował rumakowi ogromne neonowożółte białka oczu, a dwiema czarnymi kreskami dodał do nich źrenice. Załatwiaczka zerknęła na konia spode łba. Jakby mało było przepowiedni Sharon, on też zwiastował coś niedobrego. Ale tym nie miała już czasu się martwić. Znalazł ją kolejny zleceniodawca i, co było dość typowe i niesamowicie irytujące, chciał złożyć zlecenie osobiście. Co mógł mieć tak ważnego do powiedzenia, żeby zabierać Małgosi resztki wiecznie kurczącego się czasu?!

Kolejny dzień próbował odegnać noc, ale mgła bardzo mu w tym przeszkadzała. Zajmowała każde miejsce, z którego wycofywał się mrok, i nie wpuszczała tam światła. Tworzyła sobie nową przestrzeń zawieszoną w próżni pomiędzy nocą a porankiem.

W tej próżni poruszali się ludzie. Cień i światło przemykały po ich zastygłych twarzach, ciemnych mundurach i białych czapkach. Choć w rzeczywistości ich ruchy były szybkie i zdecydowane, przez gęste opary zdawali się chodzić niczym postacie ze starego filmu odtwarzanego powoli, klatka po klatce.

Pośród tego odrealnionego świata jeden człowiek stał nieruchomo. Jego tęga, przysadzista sylwetka zdawała się być obrazą dla subtelnej gry światła i cienia, no i on też wcale nie zamierzał krzywić ust w poetyckich zachwytach. Każdy, kto tak jak on wyglądał na ucłowieczoną ropuchę, musiał być do szpiku kości boleśnie zwyczajny. Na twarz

mężczyzny, nalaną, niemal pozbawioną podbródka i czerwoną od zbyt częstego przeglądania się w dnie szklaneczki do whisky, wypłynęła wręcz złośliwa satysfakcja. Zupełnie jakby czekał, aż nastrojowa mgła wkrótce straci rezon, podobnie jak tracą go prawie wszyscy na widok gliniarza.

Pomiędzy kręcącymi się wokół policjantami przemknął ktoś umiejętnie kroczący po granicy światła i cienia, tak że mundurowi nie dostrzegli go i nie zdołali zatrzymać.

- Inspektorze - odezwał się. W jego głosie nie było ani uniżoności, ani rozkazu. To był głos kogoś, kto wierzy w równość wszelkich istot na świecie, w ich prawo do wolności i odrębności. Oprócz ideologów Greenpeace tylko jeden denerwujący człowiek mówił w taki denerwujący sposób.

Ropuch odwrócił się powoli. Doskonale wiedział, kto za nim stoi, i daleki był od radości z widoku tej osoby.

- Niektórzy nigdy nie śpią, prawda? - Obrzucił przybysza niechętnym spojrzeniem. Już miał nadzieję, że przynajmniej o tak wczesnej godzinie będzie spokój, ale nie. Nie tylko wścibskie emerytki muszą wszędzie wtykać swój nos niezależnie od pory dnia czy nocy. Ten facet także.

Detektyw nie znosił ludzi pokroju Bena Watsona. W hrabstwie Devon istniało kilkanaście, czy może nawet kilkadziesiąt Towarzystw Przyjaciół Historii, Fauny, Flory, Architektury, Dzieci, Rzemiosła, Meteorologii, Kotów, Psów, Owiec, Bezpieczeństwa. Watson należał do nich wszystkich. Na domiar złego duża część tych komitetów obywatelskich, niewątpliwie pod wpływem swojego członka wywrotowca, uważała za swoje prawo, przywilej i obowiązek patrzenie wszelkim funkcjonariuszom publicznym na ręce, możliwie z bliskiej odległości. Ropuch nie miał nic przeciwko zaniepokojonym obywatelom kontrolującym administrację publiczną, radę miejską czy nawet parlament, ale żeby banda laików pchała się na jego policyjne podwórko... Tego ścierpieć nie mógł. Sam najlepiej wiedział, jak wykonywać swoją pracę, i żadne paniusie z kółka parafialnego i ich natchniony goguś nie powinni przeszkadzać podczas jego śledztwa.

A jakby mało było głupiego idealizmu i zacięcia społecznikowskiego Watsona, facet był zamieszany w te „branżowe” sprawy. A każde przestępstwo, które choć zahaczało o „branżę”, kończyło się umorzeniem z braku dowodów. Ropuch wiedział, że coś jest grane, nie wiedział tylko co. I nie mógł się dowiedzieć, bo wszyscy umoczeni trzymali gęby na kłódkę. Policjant próbował prowadzić śledztwo na własną rękę, ale nic mu się nie udało ustalić. Podejrzani najzwyczajniej w świecie wymykali mu się z rąk i robili to niemal mimochodem, bez żadnego wysiłku. To raniło dumę policjanta niemal tak bardzo jak wścibstwo Bena.

- Podobno popełniono poważne przestępstwo? - Watson nie miał zamiaru wdawać się w blahe dyskusje. Był tu, ponieważ dowiedział się, że spokój jego okolicy został naruszony. Jako wiceprezes stowarzyszenia „Bezpieczne Exeter”, ale też jako lokalny czarodziej, musiał sprawdzić, co zakłóciło równowagę. Zwłaszcza że miał w pamięci wczorajszą przepowiednię Sharon.

- Poważne. - Ropuch zmarszczył brwi. - Tak, można powiedzieć, że to poważne przestępstwo.

Stał dalej z rękami w kieszeniach, lekko kiwając się na piętach, i nie przejawiał chęci udzielenia wścibskiemu obywatelowi żadnych wyjaśnień więcej. Patrzył się tylko tępo w mgłę, czekając, aż natręt sobie pójdzie. Jednak nawet tak otwarta wrogość nie była w stanie powstrzymać Watsona od sprawdzenia, co stało się w jego ukochanym mieście. Wyminął detektywa i zanim policjanci zdążyli dostrzec intruza, już stał nad głowami techników i patrzył na ciało.

Chłopak leżał na bruku, dokładnie pod wymalowanym na jednym ze ślepych okien portretem Francisa Drake'a. Mógł mieć dwadzieścia kilka lat. Był wysoki, szczupły, przydługie włosy chował pod brązową czapkę. Jego pomarańczowy T-shirt zupełnie nie pasował do czerwonej miazgi w miejscu szyi. Ben poświęcił tylko jedno spojrzenie całemu ciału - jeszcze niedawno młodemu, ubranemu w trampki, bluzę i bojówki - a potem skupił wzrok na ranie.

Była ogromna i postrzępiona, zupełnie jakby coś czy ktoś wyszarpał kawał gardła, rozrywając mięśnie, żyły i tętnice. Ale wokół rozlewało się bardzo niewiele krwi, zaledwie kilka plam.

Za ramieniem maga wynurzył się z mgły ropuch.

- Taaaak - powiedział, przeciągając celowo samogłoskę. - Poważne przestępstwo. Więc może zabrałbyś stąd tylek i pozwolił nam pracować?

Ben dziwnie łatwo go posłuchał. Rzucił jeszcze spojrzenie na twarz chłopaka, na jego szyję i odszedł w kierunku High Street, znikając w porannych oparach.

Inspektor był zaskoczony, że tak łatwo pozbył się tego nawiedzonego wariata. Watson był zwykle upierdliwy jak komar i niezniszczalny jak karaluch. A tym razem... Detektyw doszedł do wniosku, że pewnie żołądek odmówił mu posłuszeństwa. Tak, to musiało być to. W końcu ta zbrodnia każdego by przyprawiła o mdłości. Poza, rzecz jasna, takim starym policyjnym wygą jak on.

To, że żelazny żołądek zawdzięczał tabletkom uzyskiwanym od załatwiaczki, było słodką tajemnicą ropucha. Tajemnicą, którą nie zamierzał się z nikim dzielić.

- Hej, wy tam! - Odwrócił się do funkcjonariuszy. - Ma ktoś termos z herbatą? Albo kanapkę? I niech któryś uciszy tego kota!

Zwierzak od godziny miauczał przeraźliwie gdzieś w okolicy. W tej mgle trudno było go złapać, więc nie pozostało nic innego, jak pozwolić mu oplakiwać zmarłego.

Czarodziej wbrew podejrzeniom ropucha nie poszedł wymiotować w krzaki ani raczyć się mocną kawą, piwem czy whisky. Szybkim krokiem podążył w górę Pennsylvania Road, mijając pogrążone w mocnym porannym śnie małe identyczne domki. W niektórych oknach już paliło się światło, wskazując, którzy nieszczęśni mieszkańcy musieli zdążyć na dziewiątą do pracy.

Ben minął całodobowy sklep, wymieniając szybkie pozdrowienie ze stojącym przy wejściu sprzedawcą. Tacy jak on, patrzący na świat zza kontuaru o różnych porach dnia i nocy, nie do końca może wiedzieli, co dzieje się pod powierzchnią Exeter, ale mieli swoje podejrzenia. Jednak nigdy o nich nie mówili, tak było wygodniej dla wszystkich.

Studenci z definicji nie należeli do rannych ptaszków i kampus był jeszcze ciemny. Watson, choć rzadko tu przychodził, bez problemu znalazł właściwy akademik. Zamki w drzwiach na klatkę schodową i tych na piętro nie stanowiły dla niego przeszkody. W końcu był czarodziejem.

Kilka szybkich kroków doprowadziło go przez obskurny korytarz do właściwych drzwi. Zapukał niecierpliwie i od razu wszedł.

Pokoik był nieduży, ze ścianami z nieotynkowanej cegły. Buroniebieska wykładzina nosiła ślady intensywnego użytkowania, w tym przypalania przez kolejne pokolenia studentów. Tuż przy drzwiach stało biurko usłane stosem dokumentów z pieczęciami Korporacji, nad nim wisiały półki zastawione kilkudziesięcioma flakonami, fiolkami, pudełkami. Obok nich samotnie leżała książka z biblioteki. Małgorzata wciąż usiłowała studiować, z uporem godnym lepszej sprawy upychając jakoś wykłady w swoim wypełnionym załatwianiem życia. Dawało jej to chyba poczucie, że po zakończeniu kontraktu coś na nią jeszcze czeka.

Naprzeciw biurka stała szafa, przez jej niedomknięte drzwi widać było wiszące na wieszakach bluzy i ogrodniczki. Obok na łóżku siedziała Małgosia. Była rozczochrana, miała podkrążone oczy, ale w jej przypadku to o niczym nie świadczyło.

- Obudziłem cię? - zapytał na wszelki wypadek Ben.

- Rzadko sypiam - odparła kwaśno. Dopiero teraz zauważył, że na kolanach trzyma swój notes. Kartki jeszcze lekko świeciły, kiedy go zamykała i naciągała na okładkę gumki recepturki. - Co jest? - Nie zwracała sobie głowy zbędnymi powitaniem i całym tym niepotrzebnym towarzyskim belkotem. Wiedziała, że czarodziej by do niej nie przyszedł z byle powodu.

- Stało się coś złego. - Ben przysunął sobie krzesło.

Małgorzata nie była tym ani zaskoczona, ani przejęta. Sharon przepowiedziała wielkie zło, a w jej przepowiednie należało wierzyć. A więc zło nadeszło - żadna niespodzianka. Świat był w końcu złym miejscem.

Załatwiaczka wepchnęła notatnik do kieszeni ogrodniczek i wstała z łóżka.

- A konkretnie? - Spod sterty papierów wyciągnęła butelkę wody mineralnej.

- Popelniono morderstwo.

Dziewczyna spojrzała na niego z ukosa.

- No to co? Wszędzie się mordują.

Zdawała sobie sprawę, że jej słowa brzmią wyjątkowo okrutnie i bezdusznie, ale nie miała wyjścia. Nie mogła się wszystkim przejmować. Nie, jeśli chciała zachować zdrowie psychiczne, i to bez pomocy farmaceutyków. Bezwiednie spojrzała na kolekcję medykamentów stojących na półce nad biurkiem. Od prawie dwóch miesięcy nie zażyła ani jednej tabletki. Ktoś jej kiedyś powiedział, że te leki zniszczą jej organizm.

- Wiem, że Exeter to jedno z najbezpieczniejszych miejsc w Anglii, ale bądźmy realistami...

- To nie było zwykłe morderstwo - sprostował Ben. - To było dzieło wygłodniałego wampira.

Małgosia natychmiast odwróciła wzrok od swoich tabletek.

- Nasi by nie...

- Tutejsze wampiry - poprawił ją z naciskiem Watson. Nie życzył sobie jakichkolwiek powiązań z tymi dziećmi ciemności. - Nie robią takich rzeczy. A przynajmniej nie robiły do tej pory. Podpisały pakt.

- Myślisz, że przyjechał ktoś nowy? - zapytała załatwiaczka, choć bez szczególnego zainteresowania. Obce wampiry jako takie Małgorzacie nie przeszkadzały. Pod warunkiem, że nie miały dla niej zleceń.

- Na pewno - stwierdził stanowczo czarodziej. Przez chwilę milczał, po czym nagle podniósł głowę i spojrzał dziewczynie prosto w oczy. - Załatw mi namiary na mordercę.

Na twarzy Małgosi nie drgnął nawet jeden mięsień, nic nie zdradzało, o czym teraz myśli. A myślała o Sebastianie, o tym, jak Ben go powstrzymał, i o tym, jak być może powstrzyma tego nowego wampira.

- Zadzwoń - powiedziała krótko.

Czarodziejowi to wystarczyło. Skinął jej głową na pożegnanie i wyszedł. Kiedy opuszczał akademik, minął w drzwiach wchodzących policjantów. Gdyby nie to, że był bardzo zdenerwowany, zwróciłby może na nich baczniejszą uwagę. Ale w sytuacji, kiedy po mieście szalał głodny wampir, pewnie na hemoglobinowym głodzie, pijackie wybryki studentów nie zaprzętały jego uwagi.

Załatwiaczka wyrzuciła do kosza wszystkie fiolki z lekami. Zbiór, który miała na półce, wystarczyłby, żeby uszczęśliwić każdego chemika, narkomana czy producenta odżywek. Było tu wszystko, co tylko ludzki i nieludzki umysł mógł stworzyć, żeby podnieść wydajność organizmu i zwalczyć różne bezużyteczne nawyki, jak sen czy odżywianie. Dzięki tym substancjom Małgorzata jako tako przetrzymała pierwszy rok swojej pracy.

Jednak przez ostatnie kilka tygodni nie zażyła ani tabletki. Nawet kiedy zginęła Sharon. Nawet kiedy Ben stanął w drzwiach domu pani Willoughby z krwią na rękach. Nawet wtedy, gdy uświadomiła sobie, jak blisko jest koniec świata.

A teraz naprawdę, ale to naprawdę potrzebowała czegoś na uspokojenie. Mimo to nie zaczęła grzebać w koszu. Dobrze wiedziała, że ta sama osoba, która kiedyś przypominała jej o szkodliwości leków, pewnego dnia rozliczy ją z każdego zażytego farmaceutyku.

To, że Ben nagle złożył jej zlecenie, tylko z pozoru wyglądało na wbicie noża w plecy. Owszem, doskonale wiedział, jak ona nienawidzi swojej pracy i jak koszmarne jest zawałona robotą, ale byli profesjonalistami, nie przyjaciółmi. Liczyła się tylko praca. Pracą Bena było utrzymanie spokoju w Exeter, jej zadaniem - wypełnianie zleceń.

Tym, co wyprowadziło Małgosię z równowagi, była świadomość, po co potrzebne mu są te informacje. Regulamin mówił, że załatwiacze nie ponoszą odpowiedzialności za skutki swoich zleceń. Mimo wszystko poczuła się jak płatny morderca...

Nie, czarodziej nie zrobiłby tego. Nie wciągnąłby jej w morderstwo. A przynajmniej ten dawny Ben by tak nie postąpił. Co do tego nowego - tego, który zabił Sebastiana - Małgorzata nie była już taka pewna.

I to ją przerażało.

Żeby załatwić zlecenie czarodzieja, nie musiała sięgać po swój notes. Numer, którego potrzebowała, był zapisany w pamięci jej komórki.

Musiała odczekać kilkanaście sygnałów, zanim ktoś wreszcie odebrał.

- To ja - powiedziała. - Muszę się z tobą spotkać. Teraz.

Jej rozmówca nie był zachwycony, ale Małgosi to wcale nie obeszło. Miała na głowie trzy inne zlecenia, w tym jedno naprawdę koszmarnie. Ciągle się zastanawiała, skąd pewna firma farmaceutyczna wytrzasnęła jej adres. Pocieszające było tylko, że na pewno zatrzymają dane załatwiaczki dla siebie. Żaden szanujący się biznesmen nie zdradziłby w końcu nikomu, w którym kurniku kura znosi złote jajka.

Kiedy zamykała drzwi pokoju, zauważyła w sąsiednim korytarzu policjantów. Rozmawiali z jej współlokatorami. Małgorzata przystanęła na chwilę. Śpieszyło jej się strasznie, jak zwykle zresztą, ale wolała sprawdzić, o co chodzi. Z mieszkańcami sąsiednich pokoi nie utrzymywała zbyt ożywionych kontaktów. Odkąd podpisała kontrakt, widywała znajomych z akademika tak rzadko, że prawie przestała wierzyć w istnienie niektórych z nich. Oni pewnie też mieli ją za ducha nawiedzającego pierwsze piętro.

Ale najwyraźniej nie wszyscy jednak o niej zapomnieli. Pomiedzy policjantami przecisnął się Ed, rzucając im przepraszające spojrzenie i mrużąc pod nosem coś o wyjściu do toalety. Funkcjonariusze jakoś przeżyli jego odejście, zajęci byli lekko osłupiałym Olivierem i opartą o ścianę Mariną, po której twarzy przemykały różne stadia szoku i hysterii. Ed strącił z nosa własne okulary, a potem, idąc w stronę Małgorzaty, nadepnął na nie. Za to Marina właśnie dostała jakichś drgawek.

Małgosia zaczęła się trochę niepokoić. Mało miała teraz do czynienia z tymi ludźmi, ale przez te dwa miesiące przed rozpoczęciem kontraktu zdążyła ich trochę polubić. Poza tym byli dla niej mili - nie dziwaczyli i nie składali na nią zażaleń do administracji. A mogli, choćby z powodu wizyt podejrzanych osobników. Załatwiaczka miała więc nadzieję, że nie stało się nic poważnego. Już otwierała usta, żeby zapytać o to Eda, ale on upewnił się szybko, czy stróże prawa nie patrzą, złapał dziewczynę za łokieć i wciągnął ją do toalety. Starannie zamknął za sobą drzwi.

- Kevin nie żyje - powiedział. - Zamordowano go w nocy.

Nie wyglądało to na jeden z jego żartów, w każdym razie nie nastąpił po nim zwyczajowy wybuch śmiechu. A skoro Ed stracił chęć do żartów, to znaczyło, że sprawy były naprawdę poważne. Czerwona żarówka w toalecie, wkręcona kiedyś przez Eda ze znanych tylko jemu powodów, dodawała jego słowom upiornej oprawy.

Jakie były szanse, żeby w spokojnym mieście jednej nocy zamordowano dwie osoby i żeby o obu przypadkach załatwiaczka dowiedziała się prawie jednocześnie?...

- Przegryzione albo przecięte gardło? - upewniła się.

Ed wyglądał na zszokowanego. Przez chwilę w jego niebieskich oczach świeciła iskierka niepokoju, ale zaraz zgasła. Nie, ta dziwaczna Polka mogła robić różne dziwne rzeczy, ale nie to. I na pewno nie zrobiłaby krzywdy Kevinowi.

- Skąd wiesz? - zapytał, przeczesując dłonią swoje rude włosy.

- Dowiaduję się o takich rzeczach - odpowiedziała wymijająco załatwiaczka. Nie chciała mu wyjaśniać meandrów swojej przekłętej pracy ani tym bardziej wspominać, że ma właśnie wytropić mordercę jego najlepszego przyjaciela. Jeszcze by Edowi przyszło do głowy coś głupiego. - Przykro mi z powodu Kevina, ale teraz muszę iść. Lepiej, żeby policja się mnie nie czepiała.

- Chcą porozmawiać z wszystkimi z naszego piętra - wyjaśnił chłopak.

- Nie ze mną. - Małgosia ostrożnie uchyliła drzwi i wyrzała na korytarz. - Jeśli mnie tylko nie zobaczą...

Miała swoje sposoby na unikanie zainteresowania władz, jak zresztą cała Korporacja. Musiała tylko wymknąć się z akademika, zanim policjanci ją zauważą. Wtedy mogła być spokojna, że glinom nawet nie przyjdzie do głowy zapukać do drzwi jej pokoju, miała na taką okoliczność załatwione ubezpieczenie.

Zdażyła tylko zerknąć na zewnątrz i dostrzec plecy funkcjonariusza, kiedy Ed zatrzaskał drzwi, prawie przycinając jej nos.

- Zwariowałeś?! - Dziewczyna w ostatniej chwili przypomniała sobie, że nie może głośno mówić, więc wyda: z siebie tylko przerażony szept. Takie zachowanie było o jej miłego i życzliwego współlokatora niepodobne, no chyba że akurat przesadził z piwem. Z drugiej strony śmierć przyjaciela miała prawo nim wstrząsnąć.

- Wiem, że zajmujesz się czymś dziwnym, nieważne czym konkretnie - wyrzucił z siebie niecierpliwym, przyciszonym głosem Ed. - I myślę, że potrafisz wskrzesić Kevin. Zrób to... - urwał, najwyraźniej szukając w myślach właściwej frazy. Nie zdażył jej wypowiedzieć, bo Małgosia w panice przycisnęła mu dłoń do ust.

- Nigdy, przenigdy nie wypowiadaj formułek! - zażądała gwałtownie. No tak, za dużo się wokół niej działo, żeby współlokatorzy nie zaczęli wyciągać wniosków! Szkoda tylko, że były to wnioski właściwe. Jeszcze tylko tego brakowało, aby przez nią któreś z nich wpakowało się w bagno. - Nawet nie wiesz, ile by cię to kosztowało!

Usługi załatwiaczy były teoretycznie bezpłatne, nie wolno im było pobierać za nie żadnego wynagrodzenia, nawet wziąć kwiatka od wdzięcznego zleceniodawcy. To właśnie kusilo klientów najbardziej: mogli zlecić wszystko, a wykonawca nie żądał od nich nic. Naiwnie myśleli, że skoro załatwiacze nie pobierają opłat, to ich nie ma. Jakby na tym świecie mogło być coś za darmo...

Małgosia zastanowiła się szybko. Nie było szans, żeby Ed zrezygnował z próby przywrócenia Kevina do życia, widziała to w jego twarzy. W niebieskich oczach pojawiła się determinacja większa, niż kiedy zgłębiał zagadki swojej ukochanej fizyki. Gdyby go teraz tak zostawiła, jak nic uparłby się i szukał tak długo, aż znalazłby formułkę. Wtedy nie byłoby wyjścia, musiałyby przyjąć i zaksięgować zlecenie.

- Dobra, niech będzie - powiedziała. - Wskreszę go, odwrócę śmierć, nie wiem jeszcze, co zrobię, ale za parę dni będzie z powrotem z nami. Ale nieoficjalnie! Nie waż się składać zlecenia, jasne? - Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przez cały czas zakrywała mu usta dłonią tak mocno, że czuła pod palcami zęby chłopaka. Zabrała rękę i cofnęła się pod przeciwległą ścianę. - Zgoda?

Kiwnął głową. Jakby nie dość było śmierci Kevina, zszokował go jej nagły wybuch. Normalnie Małgorzata była cicha, spokojna i wiecznie zmęczona, jeśli w ogóle była, rzecz jasna. Najczęściej widywali ją w charakterze cienia przemykającego korytarzami. W jej zachowaniu, wyglądzie nie było śladu po wesolej, pięknej dziewczynie, która kilkanaście miesięcy wcześniej przyjechała z Polski na stypendium. Odkąd zaczęła tę... pracę, zmieniła się nie do poznania.

Stojąca naprzeciw niego załatwiaczka tymczasem już zastanawiała się, jak rozwiązać ten problem. Kilka miesięcy w Korporacji przyzwyczało ją do szybkiego planowania.

- Będziemy potrzebować ciała - stwierdziła. - Jak niby inaczej mam go ożywić? - dodała, widząc wyraz twarzy Eda. Czego on się spodziewał, że ona pstryknie palcami i już? Jasne, przecież tak powinna działać magia. Do nikogo nie docierało, że te wszystkie sztuczki w filmach to nic innego jak czarny PR. - Nie wiesz, gdzie w Exeter jest kostnica? - zapytała jeszcze na wszelki wypadek.

Ed tylko pokręcił głową.

- Trudno. Są tacy, co wiedzą. - Ponownie uchyliła drzwi. Policjantów nie było już na korytarzu, ale z kuchni dochodziły odgłosy rozmowy. Widocznie przesłuchanie przeniosło się w wygodniejsze miejsce.

Nie było już obaw, że funkcjonariusze ją zauważą i zaczną niewygodne dociekania. Wobec tego Małgosia spokojnie wyszła z toalety.

- Jak się uda, to jeszcze dziś dostarczą ciało - powiedziała, wyciągając z kieszeni komórkę. Z pamięci wystukała numer dyspozytora taksówek.

- Tutaj? - Ed zamarł z jedną ręką na klamce przy drzwiach swojego pokoju. Ratowanie przyjaciela to jedno, ale zadawanie się z jego trupem... cóż, to nie była ciekawa perspektywa.

- A gdzie? - Załatwiaczka popukała się w czoło telefonem. - Trzeba go jak najszybciej zabrać z kostnicy!

- Ale tutaj? Co my tu z nim zrobimy?

- Połóżcie do łóżka? Nie wiem, miejsca jest dosyć! Jak się uda, to jeszcze dziś wieczorem go ożywię.

Przemknęła korytarzem w stronę drzwi. Taksówka miała być pod akademikiem za minutę.

- A jak dziś się nie uda? - dobiegło ją pytanie Eda.

- To załatwię czwartą lodówkę! - odkrzyknęła, wybiegając na klatkę schodową. Miała umówione spotkanie z kimś, kto bardzo sobie cenił punktualność. Trochę dziwne podejście jak na kogoś, kto ma przed sobą całą wieczność.

Taksówka już czekała. Kierowca był chyba nowy, bo kiedy rzuciła: „Pod Dom, Który Się Poruszył”, radośnie stwierdził: „Zwiedzanie, co?”. Małgosia nie zawracała sobie głowy odpowiedzią. Większość taksówkarzy w mieście już ją знаła i wiedziała, że lepiej o nic nie pytać. Kierowcy mieli pracę, która siłą rzeczy pchała ich na granicę pomiędzy tym, co powszechnie uznawane za normalne, a tą drugą stroną życia. Nawet jeśli domyślali się, kim jest zmęczona dziewczyna w ogrodniczkach, to mieli dość rozsądku, żeby nie dociekać. Jeśli ten nowy jeszcze tego nie wiedział, to starsi koledzy szybko mu wyjaśnią. Załatwiaczka nie miała na to czasu.

Wyciągnęła z kieszeni wypchany notes. Był gruby, do tego jeszcze dodatkowo wypełniony luźnymi kartkami, kopertami, wizytówkami. W całości trzymały go tylko dwie gumki recepturki, jedna czerwona, druga niebieska. Małgosia ostrożnie zsunęła obie, tak żeby nie rozsypać papierów po całym tylnym siedzeniu. W swoim zeszycie miała może kilka milionów nazwisk, telefonów, adresów. Sama nie do końca wiedziała czyich.

Tym razem nie musiała sięgać do starych metod wyszukiwania. Wiedziała, kogo potrzebuje. Wystarczyło przybliżyć dłoń do grzbietu notesu, a mała wizytówka w kolorze ecru sama wsunęła się w jej palce.

Załatwiaczka wystukała na komórce numer. Czekając na połączenie, włożyła wizytówkę z powrotem między okładki zeszytu i naciągnęła na niego gumki. Samochód dojeżdżał już do West Street, więc czas było wysiadać. Dobrze się złożyło, lepiej, żeby taksówkarz nowicjusz

nie usłyszał jej rozmowy. Nie czekając, aż kierowca sprawdzi licznik, Małgosia wcisnęła mu w rękę banknot pięciofuntowy i wysiadła. W słuchawce, którą trzymała przy uchu, rozległ się trzask świadczący, że ktoś wreszcie odebrał dzwoniący uparcie od kilku minut telefon.

- Mam dla was zlecenie. Półoficjalne - powiedziała bez wstępów. W tym wypadku „półoficjalne” oznaczało, że rachunek zostanie wysłany na adres Korporacji, ale wyszczególniona na nim usługa nie będzie miała nic wspólnego z tą rzeczywiście wykonaną. Przez rok swojej pracy Małgorzata opanowała podstawy kreatywnej księgowości i nie miała oporów, żeby z tej nowej umiejętności korzystać. Szybko streściła rozmówcy sytuację, zbliżając się już do Preston Street. Kiedyś, dawno temu, pełno tu było rzeźniczych jatek. Bruk musiał wyglądać nader interesująco i jeszcze ciekawiej pachnieć. Teraz po sklepach rzeźników nie zostało ani śladu, ale Phillip uważał, że mimo wszystko jest to wręcz uroczy zbieg okoliczności. Kupił jeden z ceglanych domów i twierdził, że nie wyprowadziłby się stąd za nic w świecie. Tu - jak twierdził - nadal był dobry, krwisty mikroklimat.

Kiedy Małgosia zadzwoniła do drzwi, otworzyła je blada dziewczyna wystrojona, jakby właśnie wychodziła do nocnego klubu. Czy też konkretniej, jakby poprzedniego wieczoru była w nocnym klubie. Wciąż miała idealny makijaż i fryzurę, Phillip był pod tym względem koszmarnym esteta. Nieważne, noc czy dzień, nieważne, czy przed chwilą ktoś jej wypił pół litra krwi, kobieta musiała wyglądać idealnie. Ta w drzwiach była prawie idealna. Wrażenie psuło tylko nieprzytomne spojrzenie i coś jakby zadrapanie na kształtnej szyi.

Załatwiaczka wyminęła ją bez słowa. Z tą dziewczyną, tak jak i z innymi, nie było sensu rozmawiać. Jeśli cokolwiek miały do powiedzenia, to najwyżej: „Panu nie wolno przeszkadzać”. Póki Phillip nie zwolnił ich spod swojego uroku, przypominały manekiny. Poza tym zadawanie się z nimi dłużej niż kilka sekund mogło wywołać u Małgorzaty ukłucie wyrzutów sumienia. W końcu nie robiła nic, by biednym ofiarom pomóc.

Na schodach minęła jeszcze jedną ślicznotkę, automatycznym ruchem pudrującą nos. Nie było w tej czynności ani krzty zaangażowania, dziewczyna zachowywała się niczym robot wykonujący polecenie. Niemal żałośnie.

Załatwiaczka szybko odwróciła wzrok i wbiegła na górę. Drogę do ulubionego pokoju Phillipa dobrze знаła, nie musiała pytać o nią żadnej z niewolnic krwiopijcy, zresztą z tych nieprzytomnych widm i tak byłoby trudno wydusić jakąś sensowną odpowiedź.

Niektóre wampiry lubowały się w zamkach na uboczu albo przynajmniej w porządnym piwnicach. Phillip był inny. Przede wszystkim nienawidził wsi, prowincji, zadupia, czy jak by to nazwać. Lubił miasto, ludzi, ruch. Część wampirów rzeczywiście preferowała wielkomiejski styl życia, ale od nich też się różnił - przede wszystkim tym, że wybrał Exeter.

Jak twierdził, odpowiadała mu tutejsza pogoda i obecność uniwersytetu, choć Małgorzata była zdania, że chodzi raczej o obecność studentek. Ale nie mówiła tego głośno. Jej układy z Phillipem były skomplikowane. Na pewno nie czysto służbowe jak w przypadku Bena. Trudno też powiedzieć, że przyjaźnili się prywatnie. Po prostu się znali, może nawet trochę lubili, chociaż tak naprawdę nigdy nie mieli czasu na dłuższą rozmowę. Czasem wampir miał jakieś zlecenie, ale nigdy nie było to coś strasznie koszmarnego, co przyprawiłoby załatwiaczkę o dodatkowy ból głowy z przepracowania albo o kaca moralnego. Z reguły potrzebował zwyczajnych rzeczy, jak krem chroniący od słońca czy szyby z supermocnym filtrem UV.

Te szyby miał wstawione w całym domu. Dzięki nim nie musiał w dzień zaciągać zasłon, wystarczało, że nie otwierał okien. Z tego powodu jego lokum nie przypominało typowej ciemnej nory wampira. Było w nim dużo światła, a przez przyciemniane szkło można było wyrzeć na ulicę i zobaczyć idących nią ludzi.

To oczywiście nie oznaczało, że Phillip zrezygnował z nocnego trybu życia. Aż tak ekscentryczny nie był.

- Obudziłaś mnie - zgłosił pretensję, gdy Małgosia, nie pukając, weszła do jego gabinetu, jak lubił ten pokój nazywać.

W pomieszczeniu nie było prawie żadnych mebli poza dwoma białymi fotelami, niskim stolikiem i stojącym pod ścianą antycznym barkiem. Pół drugiej ściany zajmowało wielkie akwarium pełne egzotycznych wodorostów. Żadna z pływających w nim ryb nie była drapieżna. Wampir nie znosił konkurencji, zwłaszcza we własnym domu.

Choć w tej chwili na bestię nie wyglądał. Był wyraźnie zaspany, ciemne, sięgające do ramion włosy miał rozczochrane, a niedopiętą czarną koszulę i spodnie wymięte niemal do granic możliwości. Bose stopy oparł na stoliku, w dłoni trzymał filiżankę z czymś, co w większości było zapewne kawą.

- Napijesz się? - zapytał załatwiaczki. - Możesz dostać bez wkładki, dziewczyny robią. - Machnął ręką w stronę drzwi na korytarz, gdzie dwie zahipnotyzowane kobiety pewnie nadal automatycznie poprawiały swój wygląd.

Małgosia pokręciła głową i usiadła na wolnym fotelu. Jak na snobistyczny mebel był zaskakująco wygodny.

Wampir spojrział na nią krytycznie znad filiżanki, którą już podnosił do ust.

- Wyglądasz beznadziejnie. Jak zwykle - dodał z naganą.

Jego słowa nie obeszły załatwiaczki. Dobrze wiedziała, jak wygląda, i dobrze wiedziała, że przez najbliższe osiem lat, dziesięć miesięcy i sześć dni nic na to nie będzie mogła poradzić. Chyba że jakimś cudem uda jej się zerwać kontrakt.

Poza tym wypominanie jej zaniedbania było utartym rytuałem. Phillip wielokrotnie powtarzał, że kiedyś i ją zahipnotyzuje, tylko po to, by skłonić do ubrania się w coś bardziej kobiecego niż ogrodniczki i do zrobienia makijażu. Oboje wiedzieli, że to tylko żarty. Po pierwsze, Małgosia miała wykupione ubezpieczenie od takich przypadków. A po drugie, Korporacja nie lubiła, kiedy ktoś dopuszczał się czegokolwiek, co można by zakwalifikować jako naruszenie nietykalności osobistej załatwiaczy. Bynajmniej nie z troski o pracowników - po prostu ciężko było przed upływem kontraktu znaleźć następnego frajera na zwalniane stanowisko. Poza tym jeszcze by się okazało, że po zahipnotyzowaniu przez wampira trzeba będzie załatwiaczkę wysłać chociażby do sanatorium... Takim praktykom Korporacja mówiła stanowcze nie.

- W nocy wampir kogoś zamordował - zaczęła bez wstępów Małgosia. Nie miała czasu na subtelności, jak zwykle zresztą.

- A, na Gandy Street? - Phillip upił łyk ze swojej filiżanki. - Wiedziałem, że to za brudno wygląda, ale niektórzy to po prostu barbarzyńcy. - Skrzywił się z estetycznym potępieniem.

Gandy Street... O tym załatwiaczka nie wiedziała. Zanotowała w pamięci, że trzeba będzie się tam wybrać. Jeśli Kevin miał wrócić pomiędzy żywych, to należało zatrzeć ślady jego śmierci.

- To ktoś nowy, prawda? - zapytała.

Phillip spojrzał na nią badawczo znad parującego napoju. Jego oczy bywały niekiedy przerażające, po nich szybciej niż po zębach dawało się poznać, że ta istota ma niewiele wspólnego z człowiekiem. Małgorzaty to nie ruszało, ale na panienkach z nocnych klubów robiło piorunujące wrażenie.

- Skąd to zainteresowanie?

- Mam zlecenie. Muszę namierzyć mordercę - wyjaśniła.

Wampir bywał nieznośny, ale nie był świnią. Wiedział, jak koszmarną pracę ma załatwiaczka i jak bardzo jej nienawidzi. Jeśli tylko był w stanie ułatwić Małgosi życie, było bardzo możliwe, że to zrobi.

- Dopiero co padł trup... a już ktoś chce dopaść sprawcy... - zamyślił się Phillip. - Kto jest aż taki szybki?

- Domyśl się - mruknęła dziewczyna. Nie obowiązywała jej dyskrecja wobec zleceniodawców, mogła równie dobrze powiedzieć wprost, tylko po co? Odpowiedź i tak była oczywista.

- Nasz święty obrońca tutejszej ziemi - westchnął wampir. Zajrzał do filiżanki, szukając ostatnich kropel kawy. Na próżno. Naczynie było już puste. - Na pewno aż rwie się do ukarania tego, kto skaził krwią jego ukochane miasto. Dlaczego miałbym wystawiać kogoś z mojego rodzaju na gniew wariata?

- I tak się dowiem - przypomniała z lekkim wyrzutem załatwiaczka. Bez pomocy wampira zdobywanie informacji trwałoby o wiele dłużej. Jednak zdobyć by zdobyła, obojętnie, czy na tym czy na innym świecie. Tylko że ona naprawdę nie miała czasu.

Phillip o tym wiedział. Gdyby którykolwiek inny załatwiacz zapytał wampira o wydarzenia poprzedniej nocy, nawet nie zadałby sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Ale skoro pytała Małgosia... Z Małgorzatą sprawy się miały inaczej.

- Dawn Harper - powiedział. - Znajdziesz ją w uniwersyteckiej bazie danych.

- Dzięki. - Dziewczyna wstała z fotela.

- Nie ma za co - ziewnął Phillip. Cóż, Dawn Harper była już skreślona. Watson nie miał zwyczaju odpuszczać komukolwiek, kto zbrukał jego cudowne miasto. Nie było to jednak dla wampira powodem do zbyt wielkiego zmartwienia. Dawn Harper nie liczyła się dla niego, a w każdym razie nie na tyle, by sięgnął po telefon i uprzedził ją, że za chwilę będzie miała na głowie mistrza magii. Zamiast tego przeciągnął się niczym przerośnięty kot. Trzask drzwi na dole świadczył o tym, że Małgosia właśnie wyszła. Wampir mógł z powrotem położyć się spać, tylko po co, skoro miał przed sobą cały piękny dzień?

Gwizdnął przez zaciśnięte zęby. Do gabinetu zaraz weszła jedna z zahipnotyzowanych dziewczyn. W jej szeroko otwartych, nieprzytomnych oczach pojawił się wyraz psiego posłuszeństwa.

- Na początek więcej kawy - zadysponował Phillip. Tak, miał przed sobą cały piękny dzień.

Zaraz po wyjściu na Preston Street Małgorzata wyciągnęła z kieszeni komórkę. Wybrała ten sam numer co poprzednio. Tym razem nie musiała długo czekać, żeby ktoś odebrał.

- Gandy Street - rzuciła. - Ktoś musi tam posprzątać.

Nie chodziło, rzecz jasna, o zwykle zmycie krwi z chodnika. Na ulicy nie mógł pozostać nawet ślad po tym, że kogokolwiek tam zamordowano. Rzecz trudna, ale do zrobienia, jeśli tylko zabrali się za nią właściwi ludzie. Załatwiaczka nie tylko wiedziała, gdzie znaleźć takich ludzi - większość z nich była jej winna przysługę.

Nie zadzwoniła po taksówkę. Dojście piechotą na Gandy Street zajęłoby piętnaście minut, akurat dość, żeby skontrolować, jak Klan wyczyścił miejsce zbrodni. W zasadzie można było na nich polegać, ale dla dobra Kevina wolała sprawdzić. W końcu gdyby chłopak był znów żywy, jednak oficjalnie martwy, jak przekonałby dziekanat, żeby go nie skreślali z listy studentów? Nigdy nie zrobiłby dyplomu i zamiast maklerem, jak zamierzał, zostałby co najwyżej zombiakiem w „Nawiedzonym domu” jakiegoś wesołego miasteczka.

Droga na miejsce zbrodni nie była bynajmniej spacerkiem dla przyjemności. Małgorzata przez cały czas trzymała komórkę przy uchu, na przemian załatwiając zaległe zlecenia i starając się zdobyć wszystko, co jest potrzebne do wskrzeszenia umarłego. To nieoficjalne zadanie było o wiele prostsze - kiedyś już miała zlecenie na wskrzeszenie, teraz wystarczyło tylko znaleźć w notesie zapisany numer. Zanim załatwiaczka doszła do miejsca zbrodni, sprawa powrotu Kevina do świata żywych została prawie załatwiona.

Na High Street było na razie pusto, za wcześnie na zakupy. Małgosia minęła centrum handlowe i zwolniła kroku. Nie miała zamiaru wchodzić w Gandy Street, tylko tam zerknąć.

Szara uliczka jeszcze spała, jak i większość miasta. Z wymalowanych na ślepych oknach portretów spoglądały twarze dawno zmarłych mężczyzn. Pod ścianą naprzeciw nich pochrapywał bezdomny skrzypek, tuląc do siebie futerał instrumentu. Po krwi, policyjnej taśmie, czymkolwiek, co przypominałoby, że kilka godzin temu zginął tu człowiek, nie było nawet śladu.

Załatwiaczka zatrzymała się przy wylocie uliczki i obrzuciła bruk uważnym spojrzeniem. Ani śladu krwi. Tylko zwyczajny poranny brud chodników. No i ten kloszard...

Skrzypek otworzył nagle jedno oko i spod przybrudzonej czapki łypnął na Małgorzatę. Miał straszne spojrzenie szaleńca, do tego solidnie skacowanego. Dziewczyna nawet nie mrugnęła, popatrzyła tylko na niego przez chwilę, a potem odeszła przygarbiona, wygrzebując z kieszeni komórkę.

Pod ścianą siedział nie jakiś zwyczajny bezdomny, tylko człowiek z Klanu. Rozpoznała go, gdy tylko odsłonił zapuchniętą gębę. Dla ludzi żyjących na pograniczu światów twarze tych z Klanu świeciły jak magiczne latarnie, trudno było je przeoczyć. Nosili swoje stygmaty niczym powód do dumy. Może zresztą był to dobry powód? Małgosia nie miała siły ani czasu, by osądzać innych. Wystarczało jej, że ci inni byli użyteczni. A Klan z pewnością był.

Idąc w stronę kampusu, wybrała mechanicznie kolejny numer. Nie zdążyła wcisnąć ostatniego klawisza, bo jej telefon zawibrował, wygrywając przy okazji melodyjkę z „Upiora w operze”. Pocieszające było, że nie dzwonił kolejny zleceniodawca, tylko Ed.

- Przywieźli... - zaczął i urwał. Pewnie nie mógł się zdecydować, czy lepiej powiedzieć „ciało”, czy „Kevina”.

- Połóżcie go gdzieś. - Załatwiaczka rozłączyła się. Nie miała teraz głowy do takich drobiazgów jak miejsce chwilowego spoczynku chłopaka. Musiała zdobyć wszystko, co niezbędne, by go wskrzesić. I musiała sprawdzić, czy Dawn Harper zasługuje na to, by zginąć z ręki Bena.

Być sędzią czyjegoś losu to straszliwa rzecz. Po raz kolejny Małgosia pożałowała, że zrezygnowała z leków. Przydałoby jej się w tej chwili kilka tabletek na uspokojenie.

Mimo wszystko zlecenie musiała wykonać. Ale mogła przed dostarczeniem Benowi żądanych informacji ostrzec Dawn Harper. Wiedziała, że Phillip tego nie zrobi. Skoro podał jej nazwisko wampirzycy, to uznał, że można ją spisać na straty. I niezbyt go obchodziło, co się z nią stanie.

Jednak Małgosia dobrze wiedziała, jaki los czeka krwiopijczynię. Wszystko było w jej rękach. I chętnie zamieniłaby to „wszystko” na jedną fiolkę tabletek uspokajających. Ale obiecała sobie, że z nimi skończy. Dla siebie. Dla NIEGO.

Jeszcze prawie dziewięć lat kontraktu.

Jeszcze co najmniej cztery lata, zanim sklonowane serce urośnie i przejmie wszystkie funkcje.

Po raz pierwszy dziewczyna miała poczucie, że coś na nią czeka po zakończeniu umowy. Jakieś prawdziwe życie. Przyszłość. Uczucie.

To dlatego tylko Alan tak ją niepokoił. Kiedy usunięto serce Sebastianowi, fakt, bała się go, ale nic poza tym. Mogła działać jak profesjonalistka, a kiedy Ben skończył z tym psychopatą, mogła myśleć o nim lub nie myśleć, zupełnie jak o pogodzie. Nie wzbudzał w niej tego niepokoju, który zawsze czuła w obecności Alana. Dopiero niedawno wszystko zrozumiała, wszystko zaczęło się układać. Nie niepokoił jej człowiek bez serca. Niepokoiło ją, że ktoś taki może pojawić się w jej życiu. Ktoś, kto nic nie czuje, kto nawet nie pamięta, jak czuć.

Teraz już wiedziała, dlaczego nagle w samolocie lecącym do Polski coś kazało jej zaraz, natychmiast sprawdzić, czy operacja się udała i czy Alan ma nowe serce. Nie dbała wtedy o niego, dbała o siebie. To jej było potrzebne jego serce.

Zrozumiała, dlaczego Sharon wymalowała na gipsowym koniu linię ozdobioną małymi serduszkami. To małe sklonowane serce było tym, co dawało Małgorzacie siłę, żeby czekać na koniec kontraktu. A czekając, przekopywać się przez kolejne tomy przepisów Korporacji w poszukiwaniu jakiejś furtki, którą mogłaby się wymknąć wcześniej.

Odkąd sobie to uświadomiła, przestały ją prześladować w snach puste czarne oczy człowieka bez serca. Alan miał już serce, jego oczy były brązowe i o nich teraz śniła. I tak pewnie miało być przez najbliższe cztery lata, zanim serce urośnie.

Nie wiedziała, czy uda jej się wypłatać z kontraktu. Ale wiedziała, że niezależnie od tego za cztery lata stanie w drzwiach pubu „The World’s End” i spotka tam swoją prawdziwą miłość. Na to było warto czekać.

Warto było zacisnąć zęby i podejmować decyzje, których wcale nie chciała podejmować. Tak jak tę, czy pozwolić żyć Dawn Harper.

Najpierw musiała ustalić, kim wampirzyca jest i gdzie ją można znaleźć. To nie było trudne. Wystarczyło przez komórkę połączyć się z Internetem i sprawdzić uniwersytecką bazę danych.

Dawn Harper, studentka biologii z USA, mieszkała dwa akademiki od Małgosi.

Załatwiaczka zmarszczyła brwi. Wampirzyca studiowała? To niemożliwe, wykłady były przecież w ciągu dnia, chyba że...

Phillip składał masę zleceń. Małgorzata nie pamiętała ich wszystkich, ale była pewna, że kilka miesięcy wcześniej załatwiła mu eksperymentalne serum przeciwsłoneczne. Dawn mogła, rzecz jasna, zdobyć specyfik na własną rękę, ale Małgosia dobrze pamiętała, po jakich trudach dotarła do producentów. O wiele bardziej prawdopodobne, że Phillip podzielił się swoim zapasem z młodą wampirzycą. Musiał mieć w tym jakiś swój interes.

Wyciągnięcie z wampira czegoś, czego sam nie chciał zdradzić, było prawie niemożliwe, w każdym razie niemożliwe dla kogoś, kto chciał z Phillipem pozostać w przyjaźni. Małgorzacie pozostawało wycisnąć informacje z Dawn Harper, i to najszybciej jak się dało. Właśnie dlatego zawróciła i skręciła w Gandy Street. W bardziej reprezentacyjnej części ulicy, nad sklepem z biżuterią i ceramiką, miał swój gabinet czytacz marzeń.

Biuro Rashida było tak samo wymuskane jak on sam i konsekwentnie utrzymane w angielskim stylu. Umeblował je starannie odnowionymi antykami wygrzebanymi na aukcjach i targowiskach, a na ścianach wisiały pejzaże przedstawiające tradycyjną angielską wieś. Był też, rzecz jasna, portret królowej. W poczekalni za eleganckim biurkiem siedziała nawet Rashidowa wersja panny Moneypenny w bladuróżowym kostiumie i z mocno uczernionymi rzęsami.

Na załatwiacze ani wewnątrz, ani sekretarka nie robiły wrażenia. Nie mogła nie zauważyć, że na jej widok panna Moneypenny zacisnęła lekko wargi. Sekretarka Rashida wciąż z trudem godziła się z istnieniem branży, zwłaszcza gdy ta co jakiś czas sięgała swoimi brudnymi mackami w stronę jej szefa. Do ozdobionej różową opaską główki nie docierało chyba, że czytacz marzeń też jest częścią branży, nieważne, że zazwyczaj pracuje dla zwykłych ludzi.

- Pilne - rzuciła Małgosia pod adresem Moneypenny. - Jest ktoś u niego?

Sekretarka pokręciła głową i sięgnęła do interkomu, żeby uprzedzić szefa o przyjściu Małgosi. Załatwiaczka cierpliwie zaczekała, aż kobieta to zrobi. Z Benem zawsze było łatwiej, po prostu do niego przychodziła. Do niej też zlecniodawcy po prostu przychodzili, bez żadnego szacunku dla pory dnia, nocy czy jej planów. Ale Rashid miał sekretarkę i lubił formalności.

Dopiero kiedy panna Moneypenny uczyniła dłonią zapraszający gest, Małgorzata weszła do gabinetu czytacza marzeń. To pomieszczenie w porównaniu z poczekalnią nie wyglądało imponująco. Ściany były kremowe i puste, a na dywanie ustawiono tylko leżankę, dwa fotele i biurko ze skórzanym obrotowym krzesłem. Rashid znał się na swoim fachu i dobrze wiedział, w jakich warunkach najłatwiej czytać ludzkie marzenia. Oczywiście potrafił przeczytać kogoś nawet na środku sklepu czy zatłoczonej ulicy, ale to było o wiele bardziej męczące i skomplikowane.

Małgosia usiadła na jednym z wygodnych foteli naprzeciw Rashida. Czytacz marzeń rozparł się wygodnie za swoim absolutnie pustym biurkiem.

- Co jest? - zapytał.

- Sprawa półoficjalna. Płatne ekstra. Przeczytasz mi wampira - powiedziała bez wstępów Małgorzata.

- Czytanie wampirów jest niemożliwe - oznajmił lekko protekcyjnie Rashid.

- Jest bardzo trudne. Jest zabronione. Ale nie jest niemożliwe - sprostowała Małgosia. - Sprawdziłam - dodała, zanim czytacz marzeń zdążył zaprotestować. - Wiesz, że jestem w stanie dowiedzieć się wszystkiego.

- Etyka...

- Oboje dobrze wiemy, że w przypadku usług dla Korporacji wszyscy zawieszają etykę.

Czytacz marzeń nie wyglądał na zachwyconego jej słowami.

- Konsekwencje... - zaczął, składając swoje wypięłgnowane dłonie w dystyngowaną piramidkę.

- W przypadku zleceń dla Korporacji nie ma mowy o konsekwencjach - przypomniała niecierpliwie załatwiaczka.

Z Kasandrą poszłoby jej łatwiej, wróżce wystarczyło zaproponować wystarczająco wysokie honorarium, a pozbywała się wszystkich obaw i skrupułów. Niestety, nie była aż tak dobra w czytaniu marzeń jak Rashid. Próba poznania myśli wampirzycy mogłaby się skończyć dla niej tragicznie.

- Jeśli nawet ktokolwiek się dowie, załatwię, żeby nie było kłopotów. Wiesz, że potrafię. Załatwiłam Kas skrócenie wyroku.

Na te słowa czytacz marzeń drgnął. Pewnie się od dawna zastanawiał, kto pomógł jego byłej koleżance po fachu, za którą, delikatnie mówiąc, nie przepadał.

- Nie musisz się martwić o konsekwencje - ciągnęła Małgosia. - A poza tym chodzi o Bena.

To przykuło uwagę Rashida. Wcześniej spoglądał na załatwiaczkę jak na uciążliwego, niechcianego petenta. Teraz się skupił.

- Zabito studenta na Gandy Street.

Czytacz marzeń wstał gwałtownie i podszedł do okna wychodzącego na ulicę.

- Nie ma śladu...

- Mam zlecenie na zatuszowanie sprawy - skłamała natychmiast Małgorzata. - Chłopaka zagryziono. Ktoś wypił mu całą krew.

- Phillip? - zapytał ostrożnie Rashid. Nie znał wampira tak dobrze jak Małgosia, ale wiedział, że takie brudne morderstwa nie są w jego stylu. Poza tym Phillip nie mordował. Wypijał tylko trochę krwi i wypuszczał swoje ofiary żywe, żeby zbytnio nie drażnić Bena. Ale była jeszcze sprawa Joanny...

- Nie. Wampirzyca ze Stanów. Ben zlecił mi zdobycie namiarów na nią. - Załatwiaczka nie musiała mówić nic więcej. Czytacz marzeń dobrze wiedział, jak to interpretować.

- I...?

- Phillip jej nie ostrzeże. Ja mogę. Jeśli warto - dodała niepewnie. Zanim zaczęła tę pracę, każde życie było dla niej bezcenne. Ale załatwianie nauczyło ją, że albo zmieni poglądy na dziesięć lat, albo zwariuje.

- A czego chcesz ode mnie? - Rashid już się opanował, był znowu czujny i zdystansowany jak zawsze.

- Żebyś mi powiedział, co siedzi w jej głowie.

Kampus uniwersytecki był obficie zaopatrzone w bary, puby i wszystko inne, czego studenci potrzebowali do szczęścia. Małgosia rzadko bywała w tych lokalach, bo nie miała czasu. A Rashid nie bywał w nich nigdy, bo były za mało wyrafinowane. Nie umywały się atmosferą do tych w centrum.

„Ram”, największy pub w samym centrum kampusu, miał niezbyt wyrafinowany wystrój, drewniane krzesła i ławy, a na ścianach ekrany, na których leciały teledyski odtwarzane z boom boxu. Ruch zaczynał się tu wcześniej niż w innych lokalach, studenci wpadali niezależnie od pory dnia na wieczorne piwo albo popołudniową przekąskę.

Konieczność spożycia lunchu w takim miejscu nie zachwyciła czytacza marzeń. Nie osłodził mu cierpień estetycznych nawet fakt, że jedli na rachunek Korporacji. No bo też coś! TAKI rachunek to sam by mógł zapłacić, jak Korporacja ma interes, to niech zaprosi do Hiltona.

Załatwiaczka wybrała stolik w najdalszym końcu sali, z widokiem na drzwi wejściowe. Z tego miejsca mogli swobodnie patrzeć na wchodzących, nie będąc zauważonymi. Zgodnie z informacjami, jakie udało się zdobyć Małgorzacie, Dawn Harper była tu dziś z kimś umówiona.

Ustalenie tego nie było takie trudne. Wampirzyca namiętnie używała telefonu komórkowego, wystarczyło tylko zdobyć kopie jej ostatnich SMS-ów. To Małgosia mogła załatwić w ciągu pięciu minut.

Rashid ostentacyjnie marszczył nos nad swoją rybą z frytkami, kiedy załatwiaczka nagle przestała podskubywać swoje nachos i złapała go za ramię.

- To ona - szepnęła.

Czytacz marzeń oderwał się od frytek i podniósł głowę, spoglądając na osobę, która właśnie weszła.

Dawn Harper nie przypominała wampira z horroru. Była niska, ostrzyżona na zapałkę i chodziła w śmieszny sposób, lekko kołysząc się na boki. Miała na sobie zieloną bluzę z kapturem i napisem „Exeter University”. Kiedy weszła do baru, przywitała się z kilkunastoma osobami. Wyglądało na to, że zdążyła już ponawiać znajomości.

Kevin często bywał w „Ram”. Małgosia nie mogła się nie zastanawiać, czy to właśnie tu spotkał Amerykankę i czy ona właśnie w tym pubie szuka nowych ofiar. Jeśli tak... jeśli tak, to chyba najlepiej byłoby nie przeszkadzać Benowi.

Wampirzyca zajęła miejsce pod oknem, tyłem do sali. Musiała być beztraska albo bardzo pewna siebie. Phillip nigdy by nie usiadł tak, żeby ktoś mógł mu stanąć za plecami.

Wampirzyca widocznie nie miała jego doświadczenia albo z dala od swojego kraju czuła się anonimowa. To był szczęśliwy zbieg okoliczności.

Rashid odsunął talerz.

- Przeczytam ją i znikamy - oznajmił. - Zjem sobie lunch w jakiejś porządnej restauracji.

Małgosia skinęła głową. Jedzenie w „Ram” było całkiem niezłe, ale dla czytacza marzeń liczyło się nie tylko, co je, ale też gdzie.

Odsunęła się od Rashida, żeby go przypadkiem nie potrącić. Czytanie marzeń było czynnością wymagającą skupienia, zwłaszcza jeśli czytało się kogoś nieświadomego, wbrew jego woli. Dodatkowo utrudniał sprawę fakt, że Dawn była wampirem. Umysły nieumarłych działały inaczej niż ludzkie. Zagłębianie się w nie prawie bolało.

Rashid wbił nieruchome spojrzenie w przestrzeń. Nie musiał patrzeć na obiekt. Skoro nie było szans na to, żeby wampirzyca spojrzała mu w oczy, nie miało to sensu. Skupiał się na jej myślach. Na jego gładkim czole pojawiła się zmarszczka, potem kropelki potu. Jasnobrązowa skóra przybrała niezdrowy żółtawy odcień. Czytacz marzeń zdawał się w ogóle nie oddychać, jego klatka piersiowa zastygła w bezruchu, a kształtne usta nagle stały się blade i spierzchnięte.

Minęło może z dziesięć minut, nim Rashid wreszcie nabrał powietrza. Na oślep sięgnął ręką i jeszcze dalej odsunął talerz z rybą i frytkami. Chwilę potem w tym miejscu na stole spoczęło jego czoło.

Załatwiaczka cierpliwie czekała, aż czytacz marzeń ochłonie. Wiedziała, że póki Rashid nie dojdzie do siebie, nic z niego nie wyciągnie. Najprościej byłoby wysłać go do gabinetu, żeby zgrał marzenia wampirzycy na płytę. Ale po pierwsze, Małgorzaty nie obchodziło, o czym myślała Dawn, chciała tylko wiedzieć, czy krwiopijczyni jest zagrożeniem. A po drugie, po co produkować kolejne dowody przestępstwa, zwłaszcza gdy jeszcze nie tak dawno usuwało się wcześniejsze?

Wreszcie Rashid podniósł głowę. Miał przekrwione i zażawione oczy.

- Jego śmierć była dla niej rozkoszą - powiedział lekko ochrypłym głosem.

- To nie był przypadek? - upewniła się Małgosia. - Nie poniosło jej podczas posiłku?

Czytacz wciąż jeszcze nie mógł uspokoić oddechu. To, co wyczytał w myślach Dawn, musiało nim mocno wstrząsnąć. Z trudem się wyprostował. Rozluźnił krawat i niecierpliwym gestem prawie rozerwał kołnierzyk swojej kosztownej koszuli.

- Nie - wyrzucił z siebie. - Ona jest szalona. Myśli tylko o krwi. Zasmakowała w niej... chce więcej... Marzy o jej smaku... Bawi się zabijaniem...

Wstał nagle i pobiegł w stronę toalet. Na szczęście Dawn nie zwróciła na niego uwagi. Małgorzata wolnym krokiem ruszyła za Rashidem. Miała nadzieję, że ona też nie zostanie zauważona. W drzwiach z tabliczką „Gents” minęła jakiegoś studenta, który obrzucił dziewczynę zdziwionym spojrzeniem. Załatwiaczka go zignorowała. Weszła do męskiej toalety.

Jej wnętrze nie różniło się specjalnie od damskiej, miało tak samo wyblakłe żółte ściany, nawet było tam duże lustro. Tyle że pod jedną ze ścian umocowano rząd pisuarów. Nikt przy nich nie stał, ale drzwi jednej z kabin, tej najbliższej wejścia, były zamknięte.

- Rashid?

W kabinie ktoś spuścił wodę. W otwartych drzwiach stanął czytacz marzeń wycierający chusteczką usta.

- Ona jest potworem - rzucił. Podszedł do umywalki, odkręcił wodę i nabrał jej dłonią. Podczas gdy płukał usta, Małgosia oparła się plecami o ścianę obok lustra.

- A więc mam pozwolić Benowi ją zabić?

- Tak - głos czytacza marzeń był twardy i niewzruszony. - Pozwól mu.

- To twój przyjaciel - zauważyła bezradnie Małgosia, okręcając sobie wokół palców niesforny kosmyk włosów. Nie wiedziała, co więcej może powiedzieć. „To twój przyjaciel. Nie powinieneś przypadkiem martwić się o to, żeby nie zabijał ludzi?” „To twój przyjaciel. Chcesz, żeby miał więcej krwi na rękach?” Wydawało jej się, że Rashida powinien martwić los Bena, to, co się z czarodziejem stało. On już nie był tym samym człowiekiem. Dalej chciał chronić okolicę za wszelką cenę, ale zmienił się wymiar poświęceń, jakie w imię tej ochrony ponosił. Nie poświęcał już tylko siebie, swojego czasu, zdrowia. Poświęcał życie innych. Zupełnie jakby ta sprawa z Sebastianem pokazała mu nową drogę, którą teraz bez wahania podążał.

- To mój przyjaciel - zgodził się Rashid, poprawiając kołnierzyk koszuli - który jest mordercą. Nie sądzisz, że jedyne, co możemy zrobić, to wykorzystać ten fakt? Dawn Harper jest zagrożeniem. Ben chce ją usunąć. Wszystko, co my musimy zrobić, to nie stawać mu na drodze. Wampirzyca zniknie, miasto będzie bezpieczne, a my będziemy mieli czyste sumienie.

Małgosia wlepiała w niego przerażone spojrzenie błękitnych oczu. Nie знаła czytacza marzeń zbyt dobrze, był dla niej tylko kolegą z branży. Zawsze miała go za egocentrycznego karierowicza, który z wręcz pedantyczną skłonnością dba o przestrzeganie zasad, choć z dość niskich pobudek: Rashid nie martwił się o moralność i prawo, martwił się o swoją reputację.

Ona była dla niego najważniejsza, ale załatwiaczka nie podejrzewała go o aż taką... obojętność. I to jeszcze w stosunku do Bena.

- Ja będę miała czyste sumienie - powiedziała cicho. - Ale tylko dlatego, że Korporacja zwalnia mnie z odpowiedzialności. A ty? - Poczuli się nagle winna, że go w to wciągnęła. Zrzuciła mu na barki część swojego ciężaru.

- O mnie nie musisz się martwić - zapewnił ją spokojnie czytacz marzeń. - Ben mówił, że i tak za bardzo już się przejmujesz. Pozwól działać się życiu, nic nie poradzisz. - Przejrzał się w lustrze, wygładził zmarszczki na garniturze, otarł usta i wyszedł bez pożegnania.

Małgorzata została sama. Wyplątała z palców zabłąkany kosmyk włosów w kolorze oberżyny i sięgnęła do kieszeni po telefon. Numer Bena miała zapisany w pamięci.

- Dawn Harper - powiedziała do słuchawki. - Studentka z USA. Studiuje biologię, jest odporna na światło słoneczne. Zlecenie zostało wykonane.

Dalszy los Dawn nie był już sprawą Małgosi. Wypchnęła ze swoich myśli wampirycę o kaczkowatym chodzie i zajęła się jej ostatnią ofiarą.

Kiedy zaczynała pracę jako załatwiaczka, uważała, że wskrzeszanie ludzi jest niemożliwe. Później, gdy przekonała się, że niemożliwe nie istnieje, myślała, że przywracanie do życia jest bardzo trudne. Ale już wkrótce przyszło pierwsze zlecenie na wskrzeszenie i przekonała się, że w tym wypadku, jak i w każdym innym, praktyka czyni mistrza.

Pozostawała tylko jedna marginalna trudność - Małgorzacie nigdy wcześniej nie zdarzało się wskrzeszać ofiary wampira. Kiedy już dochodziła do akademika, zadzwonił jej telefon. Rozmówca nie miał dla niej dobrych wieści: wampir nie należał do tej samej kategorii przyczyn zgonu co choroba czy wypadek. Udział krwio pijcy w zejściu oznaczał nieuchronne komplikacje, a komplikacji przy zleceniach załatwiaczka nie lubiła najbardziej na świecie.

Weszła na swoje piętro w pochmurnym nastroju. Skierowała się prosto do kuchni, przypuszczając, że tam zastanie współlokatorów, zapewne rozstrojonych wydarzeniami. Ale to, co zobaczyła po otwarciu drzwi, przeszło wszelkie jej oczekiwania.

W kuchni panowała dosłownie grobowa atmosfera. Żaluzje były zaciągnięte, kilkanaście poustawianych gdzie się dało świeczek (w tym trzy różowe tortowe) paliło się chwiejnymi płomieniami. Nie było na tyle ciemno, żeby robiły jakiegokolwiek wrażenie, więc równie dobrze mogłoby ich nie być. Marina, wciąż nienaturalnie blada, wyłamywała sobie palce. Siedzący na krześle przy jednej z lodówek Olivier zużywał, sądząc z oparów śmierdzącego

dymu, drugą albo trzecią paczkę papierosów. Jeden Kevin, jako że aktualnie nieżywy, leżał sobie na stole kuchennym z szyją okrytą ścierką i zachowywał spokój.

- Zwariowaliście? - wyrwało się Małgosi. Trup współlokatora na stole, na którym załatwiacze zdarzało się jadać posiłki, to było za dużo. - Nie mogliście go położyć w jego pokoju?

- To nie byłoby właściwe - oznajmiła Marina, na chwilę wrywając się z odrętwienia.

Małgorzata nie wiedziała, co powiedzieć. Przyszło jej do głowy, że już po wszystkim będzie musiała zadzwonić po kogoś z Klanu, żeby zdezynfekował całą kuchnię. Zresztą chyba nawet po takim czyszczeniu nie mogłaby się przemóc, żeby cokolwiek tu kiedykolwiek zjeść.

- Byli posłańcy? - zapytała.

- Byli. - Ed, dotąd najwyraźniej zagrzebany w bezpiecznym schronieniu swojego pokoju na końcu korytarza, dołączył do reszty towarzystwa. - Postawiliśmy paczki w schowku.

Załatwiaczka cofnęła się o krok, wyminęła Eda i zajrzała do małego pomieszczenia gospodarczego, w którym stała deska do prasowania i odkurzacz. Pomiędzy nimi jedno na drugim leżało pięć tekturowych pudełek, każde opatrzone bazgrałem nieczytelnym dla większości śmiertelników. Dziewczyna wiedziała dobrze, że te mazgaje to nie litery łacińskiego alfabetu, ani nawet cyrylicy, ale półmagiczne symbole. Wybrała drugie pudełko od góry i podała je Edowi.

- Zastapcie tym te świece urodzinowe. Najlepiej zróbcie krąg wokół Kevina. Ja muszę wydrukować wzór. - Poszła do swojego pokoju i wróciła po dziesięciu minutach z kartką w dłoni. Schemat symboli, jaki miała zachowany w komputerze, w tym wypadku nie wystarczał. Musiała ściągnąć z Sieci nowy.

Olivier i Ed zdążyli już zapalić świece. Marina dalej stała pod ścianą, pozornie zupełnie oderwana od rzeczywistości.

- Myślicie, że on chce wrócić? - zapytała, gdy Małgosia zajęła się odpakowywaniem kolejnego pudełka.

- Mam zorganizować medium, żeby go zapytało? - odburknęła załatwiaczka. - Jeśli tak, to muszę załatwić jeszcze jedną lodówkę. Porządnych mediów jest może z dziesięć na całym świecie, potrwa, zanim któreś tu ściągnę.

- Nie, nie - zaprotestował Olivier, z wrażenia prawie upuszczając papierosa. Myśl, że upchnięty w lodówce Kevin miałby spędzić w kuchni jeszcze kilka dni, nieźle nim wstrząsnęła. - Ożyw go i już.

Ed pokiwał rudą głową.

- Jak mu się nie będzie podobało, to zawsze przecież będzie się mógł zabić - dodał rozsądnie.

To się Małgorzacie nie spodobało. Nie po to załatwiała chłopakowi powrót z zaświatów, żeby potem znów się zabił... Ale cóż, łatwiej było go wskrzesić, niż ściągnąć medium i zapytać, gdzie jest lepiej: w Exeter czy na końcu ciemnego tunelu.

Małgosia wyjęła z pudełka kilka lśniących flamastrów i zajęła się nanoszeniem na podłogę wokół Kevina i na jego ciało symboli z kartki. Nieraz już robota załatwiaczki zmuszała ją do prac plastycznych, ale tym razem musiała dbać, by każdy znak był wyrysowany za pomocą innego pisaka.

Ed i Olivier obserwowali ją w milczeniu. Wyglądało na to, że już otrząsnęli się z szoku i teraz traktowali całą sprawę w sposób poznawczy. W końcu w stanie nietrzeźwym obu zdarzało się robić dziwniejsze, a nawet obrzydliwsze rzeczy. Za to z Mariną wciąż nie było najlepiej. Jej blada twarz otoczona czarnymi włosami wyglądała bardziej trupio niż policzki Kevina. Gdyby nie to, że dziewczyna jeszcze oddychała, można by ją wziąć za drugie zwłoki.

Ale oprócz Małgosi nikt tego nie zauważył, bo Kevin skupiał na sobie całą uwagę. Dopiero dzwonek do drzwi oderwał od niego spojrzenia chłopaków.

- Nie otwieramy - zarządził Ed.

- Otwieramy - poprawiła załatwiaczka. - To chirurg plastyczny. Niech ktoś go wpuści.

Olivier bez słowa zgasił papierosa i wyszedł z kuchni. Po chwili wrócił w towarzystwie niewysokiego, pulchnego facecika, wyraźnie zasapanego. Gość miał na sobie szary garnitur i taszczył wypchaną torbę lekarską.

- To ten? - zapytał, wskazując leżącego na stole Kevina.

- Ten. - Małgorzata wręczyła mu trzecie pudełko. - Ma rozerwane gardło, proszę coś z tym zrobić.

- On będzie... - zaczął Olivier, przeczesując swoje przydługie brązowe włosy.

- Przecież nie przywrócę go do życia z dziurą pod brodą - mruknęła załatwiaczka. Zaczynała mieć drobne obawy. Skoro jej współlokatorzy już wybrzydiali, to jak przyjmą komplikacje spowodowane dość niecodzienną przyczyną śmierci Kevina. Jednak tym postanowiła martwić się później. Na razie miała zaległe zlecenia. Zostawiła Eda i Oliviera, przykazała im zająć się otepiałą Mariną i wróciła do swojego pokoju.

Chirurg zapukał do jej drzwi, kiedy już zaczynało się ściemniać.

- Gotowe - powiedział.

- Rachunek proszę wysłać do mnie z wypisaną tylko kwotą i numerem konta - poleciła załatwiaczka. Lekarz skinął głową. Rozumiał, co oznacza kreatywna księgowość.

Małgosia zamknęła starannie swój pokój i poszła do kuchni. Jej współlokatorzy już tam byli.

- W ogóle nie widać, co się stało - stwierdził z podziwem Olivier, pochylając się nad Kevinem.

- I już wygląda jak żywy - dodał Ed. - Czy ty go... teraz?

- Nie, jeszcze nie. Najpierw trzeba go zakonserwować - zaczęła Małgorzata. No a potem musiała im powiedzieć o drobnej komplikacji...

- Co? - jęknął Ed. Olivier zaklął po francusku i wypadł z kuchni. Za chwilę trzasnęły za nim drzwi od toalety. Tylko Marina stała nieruchomo oparta o lodówkę. Teraz, kiedy stan Kevina wizualnie się polepszył, to ona wyglądała jak jedyny trup w tym pomieszczeniu.

- Źle robimy - powiedziała.

- Transfuzja krwi nic mu nie pomoże, bo nawet jeśli po niej ożyje, to jako wampir. Muszę z niego zrobić zombie, tylko takiego lepszej jakości - wyjaśniła cierpliwie Małgorzata, ignorując westchnienia współlokatorki. Nie za bardzo podobała jej się taka perspektywa, ale to był jedyny sposób, żeby Kevin powrócił do życia i nie czuł głodu krwi. Zombie wbrew powszechnej opinii nie przypominały krwiożerczych potworów. Po prostu czasami przesadzały z drinkami. Musiały pić dużo alkoholu, żeby zachować ciało w dobrym stanie. Owszem, mogłyby równie dobrze pić formalinę, ale wtedy śmierdziałoby im z ust, lub perfumy, jednak to za drogo wychodziło. No ale niezależnie od trunku, kiedy ktoś co noc wychodzi na popijawę, może łatwo przeholować i zacząć zachowywać się jak bestia z horroru.

Przez kilka minut Ed przetrawiał informację. Wreszcie dość niepewnym gestem poprawił swoje okulary.

- Czyli wampir to gorzej niż zombie? - zapytał.

- Aktualnie dużo gorzej - stwierdziła załatwiaczka.

Na jakiś czas w Exeter skończy się okres ochronny dla wampirów, to pewne. Ben będzie miał je wszystkie na oku. Dla świeżego, jeszcze niedoświadczonego krwio pijcy też nie zrobi wyjątku. Gdyby Kevinowi zdarzyło się kogoś przypadkiem zabić, ściągnąłby na siebie gniew czarodzieja. A zombie to prawie ludzie, więc inna sprawa.

- Będzie taki mokry i oślizły jak w filmach? - Ed wciąż był nieufny i pełen rezerwy. Niewątpliwie chciał, żeby Kevin wrócił do życia, ale... Właśnie, widział coraz więcej „ale”.

- No co ty! - oburzyła się Małgosia. - Takie mokre są obrzydliwe. Zrobimy go na sucho.

Pralnia mieściła się w tym samym budynku co portiernia, pizzeria i wydział skarg, trzy minuty drogi od akademików. Zamykano ją o jedenastej trzydzieści. Godzinę później ostatni portier kończył swoją zmianę. Małgorzata uparła się poczekać, aż odjedzie. Dobrze знаła uniwersyteckich portierów i wiedziała, że ich ciekawość graniczy niemal ze wścibstwem.

Kiedy wreszcie jego samochód zniknął za zakrętem, ożywieńca i jego przyjaciół mogli zauważyć już tylko klienci pizzerii, ale nimi nie należało się przejmować. Większość była w stanie dalekim od trzeźwości, a pozostali nie widzieliby nic dziwnego w dwóch studentach prowadzących między sobą trzeciego, najwyraźniej nieprzytomnego. A że za nimi szły dwie dziewczyny, jedna całkiem świeża, a druga upita, tyle że na smutno? To też rzecz ludzka.

- *Merde!* Nie mogę uwierzyć, że nosimy trupa - jęknął Olivier, opierając Kevina o ścianę pralni.

Ed poprawił okulary na nosie.

- Nie ma ani śladu po stężeniu pośmiertnym - stwierdził z naukową ciekawością, lustrując przyjaciela wzrokiem. Kevin wyglądał, jakby żył, miał nawet rumieńce na policzkach, z tym że wyraz jego twarzy daleki był od inteligencji.

- Przecież nie przywrócę go do życia całego zeszywniałego - mruknęła Małgosia, otwierając drzwi do pralni. Już dawno załatwiła sobie klucze, głównie po to, żeby móc bez przeszkód z niej korzystać w takich godzinach, jakie jej odpowiadały.

Weszli do wąskiego pomieszczenia. Pod jedną ścianą stało dziesięć pralek, pod drugą tyle samo ogromnych suszarek ustawionych w dwóch rzędach, jeden na drugim. Załatwiaczka uchyliła drzwiczki do jednej z nich.

- Wsadźcie go tu.

Suszarka była naprawdę pojemna. Kevin ze swoim metrem osiemdziesiąt sześć wzrostu zmieścił się w niej bez problemu i zostało nawet jeszcze trochę miejsca. Małgorzata wyciągnęła z jednej z kieszeni kartkę i flamastry. Dziesięć minut zajęło jej ozdobienie rysunkami drzwiczek i całego przodu suszarki. Kiedy skończyła, odpakowała przyniesione ze sobą czwarte pudełko. Jego zawartość przypominała zestaw przypraw: małe woreczki pełne pachnących mieszanek ziołowych. Na woreczkach były numerki. W przypadku zwykłego wskrzeszenia należało się trzymać kolejności sugerowanej przez producenta, ale z zombie sprawa nie była taka prosta. Na brzegu kartki z symbolami Małgosia wypisała sobie nowy,

właściwy porządek. Zaczęła od woreczka z numerem osiemnaście, trójki, siódemki i dwunastki w ogóle nie zużyła.

- Gotowe - oznajmiła wreszcie. Zamknęła drzwiczki suszarki.

Ed z namaszczeniem wsunął monetę jednofuntową w podajnik. Wystarczyło jeszcze tylko wcisnąć „start” i suszarka ruszyła.

Już tylko pół godziny dzieliło Kevina od powrotu do życia.

Te pół godziny czwórka reanimatorów spędziła w raczej nerwowej atmosferze. Olivier usiadł na jednej z pralek i pracowicie ignorował zakaz palenia, co chwila szepcząc coś w swoim ojczystym języku. Ed, który przewidująco przyniósł ze sobą książkę, stał pod ścianą i usiłował ją czytać. Bardziej niż Kevin rozpraszała go Marina, która zajęła miejsce na podłodze dokładnie naprzeciw suszarki i patrzyła na obracający się bęben. Gdyby komukolwiek w pralni było teraz do śmiechu, zapewne powiedziałby, że dziewczyna próbuje autohipnozy.

Małgorzata nie zwracała na nich uwagi, zajęła się zaległymi zleceniami. Od pracy oderwał ją dopiero krzyk Mariny:

- Łypnął na mnie! Łypnął na mnie okiem!

Olivier i Ed natychmiast rzucili się sprawdzić, czy Kevin rzeczywiście łypie. Załatwiaczka zerknęła na wyświetlacz suszarki. Wskazywał, że do końca programu zostało jeszcze pięć minut. Kevin miał już pełne prawo łypać.

Do łypania okiem szybko dołączyły bardziej zaawansowane ruchy i kiedy bęben wreszcie przestał się kręcić, chłopak wylazł z maszyny o własnych siłach, choć trochę chwiejnie.

- Musiałem się strasznie zalać - stwierdził, zerkając do wnętrza suszarki. - Mogliście mi wybić taki pomysł z głowy.

Ed, Olivier i Marina siedzieli na podłodze z zadartymi głowami i wpatrywali się w górującego nad nimi Kevina. Olivierowi z otwartych ust zwisał papieros, a popiół spadał mu na szarą bluzę.

- Głodny jestem - oznajmił odkrywczym ożywieniem, wciąż zbyt oszołomiony, żeby zauważyć dziwne zachowanie współlokatorów.

Cała siedząca na podłodze trójka wzdrygnęła się. Przecież wszyscy wiedzą, co jedzą zombie...

- Pizzeria jest jeszcze czynna - wtrąciła Małgosia.

- Racja - ucieszył się Kevin i wyszedł z pralni. Załatwiaczka spojrzała karcąco na swoich współlokatorów.

- Telewizja kłamie, pogódźcie się z tym wreszcie. I idźcie go pilnować. Parę godzin potrwa, zanim oprzytomnieje, wtedy mu wszystko wyjaśnię. Nikogo nie zabije, nikogo nie zeżre.

Ed pierwszy podniósł się i ruszył do wyjścia. Małgorzata zatrzymała go jeszcze na chwilę.

- To jest ważne. - Podała mu małą, oprawioną w tekturę książeczkę. - Dzielne dawki alkoholu. W ciągu doby nie może wypić mniej, niż tu jest napisane, ale nie powinien też przekroczyć górnej granicy. Chyba że chcecie mieć filmowego, krwiożerczego zombie na piętrze.

Uznała, że jej współlokatorzy potraktują ostrzeżenie poważnie i jej obecność nie jest już niezbędna. Podczas gdy oni poszli za Kevinem do pizzerii, załatwiaczka chusteczką higieniczną starła z suszarki wszelkie ślady okultyzmu. Potem wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Kiedy wracała do akademika, przez okno pizzerii zobaczyła Kevina entuzjastycznie pochłaniającego pizzę. Marina, Olivier i Ed siedzieli wokół niego, patrząc, jak je. Nie, raczej patrząc, jak ŻRE. I nie wyglądali na wzruszonych powrotem przyjaciela z martwych. Najwyraźniej obawiali się, czy pizza mu do szczęścia wystarczy.

Co ta telewizja robiła z ludźmi!

Małgosia uśmiechnęła się mimowolnie. Wreszcie dzięki swojej pracy zrobiła coś dobrego. Już miała wrócić do akademika i uciąć sobie zasłużoną dwugodzinną drzemkę, kiedy kątem oka zauważyła jakby łunę unoszącą się nad kampusem, a konkretniej, nad wzgórzem, gdzie stał najwyższy, dziesięciopiętrowy budynek.

Przystanąła gwałtownie. Przez chwilę myślała, że ma halucynacje, ale nie, siedziba wydziału fizyki naprawdę płonęła. Czy może raczej migotała w dziwny sposób. Ktoś spoza branży mógłby to uznać za pożar, ale załatwiaczka była pewna, że rozpoznaje efekty działania potężnej magii. W promieniu dwustu kilometrów była tylko jedna osoba zdolna do wyzwolenia takiej energii.

Ben.

Dziewczynie przychodził do głowy tylko jeden powód, dla którego czarodziej sięgnąłby po tak zaawansowaną i mało dyskretną magię.

Można było przyjąć, że Dawn Harper nie stanowiła już dla nikogo zagrożenia.

Migotliwa zorza znikła niemal w mgnieniu oka. Ben musiał z powrotem spętać moc, żeby nikogo nie zdziwiło niewyjaśnione zjawisko. Pewnie teraz dzwonił po Klan, zlecając mu

pozbycie się tego, co zostało po wampirzycy, i uprzątnięcie bałaganu, jakiego niewątpliwie oboje narobili.

Nie zastanawiając się, Małgorzata skrzyła w lewo, w stronę biblioteki uniwersyteckiej. Tamtędy prowadziła najkrótsza droga do domu czarodzieja. I tam Małgosia go spotkała.

- Już po wszystkim? - zapytała.

Skinął głową. Wyglądał jakoś dziwnie, jakby starzej. W świetle latarni jego jasne włosy wydawały się posiwiałe, a broda nie czyniła już z niego wojowniczego wikinga, tylko wiekowego mędrca.

- Ten chłopak z Gandy Street żyje... w pewnym sensie - powiedziała załatwiaczka. Czuła, że powinna jakoś rozluźnić atmosferę. Powiedzieć o czymś dobrym. - Nie mogłam go wskrzesić, bo zostałby wampirem. Zrobiłam z niego zombie.

Ben wciąż milczał. Małgorzacie robiło się coraz bardziej nieswojo. Stała i próbowała pocieszyć mordercę. Nie mogła po prostu odejść.

- Dobrze zrobiłeś - szepnęła. Przypomniała sobie, jak zareagował Rashid na marzenia Dawn. - Ona była zagrożeniem. Potworem.

- Nie ona - wreszcie odezwał się Ben. Głos miał dziwnie ochryply i nieobecny. - Ona była tylko pionkiem. To wszystko wina Phillipa.

Małgosia zeszywniała. Jej dłoń nieświadomie powędrowała w górę, do kosmyków włosów, które wymknęły się z niestarannie upiętego koka.

- Phillip nikogo nie zabija. Uznaje... zasadę pokojowego współistnienia - sprostowała. Zorientowała się, że

mówi bardzo wolno i ostrożnie, z rozmysłem dobierając właściwe słowa. Od tych słów mogło wiele zależeć.

- Sprawdziłem - powiedział szorstko czarodziej. - To Phillip ją tu ściągnął. Działa na forach internetowych dla wampirów. Przekonuje ich o „walorach smakowych” brytyjskiej krwi. Ta mała przyjechała tu na wycieczkę kulinarną. A on ją ściągnął! Kto wie, kogo jeszcze przekonał do przyjazdu i „uczutowania” na miejscowej krwi. Tam - wskazał głową wydział fizyki, najwyższy budynek na całym kampusie - ta mała złapała jakiegoś Niemca. Zawlokła go na górę, żeby móc się napić w spokoju! Ta kreatura miała chyba zamiar skosztować całej Europy! Załatwiaczka milczała. Myliła się, od jej słów nic nie zależało. Nie mogła bronić Phillipa - bardzo prawdopodobne, że zrobił to, o co Ben go oskarżał. Bardziej niż bardzo prawdopodobne. Nic zaskakującego: wampir był przecież tylko bestią, może i czarującą, ale potworem. Może nie powinna o tym zapominać.

- I co teraz? - zapytała cicho, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- Zamierzam go powstrzymać - oznajmił czarodziej.

Odszedł, nie oglądając się ani nie zatrzymując. Małgosia została na ulicy sama, jeśli nie liczyć jej własnych ponurych myśli i Garetha, lokalnego śmierciaka, który pogwizdując, przeszedł drugą stroną ulicy.

Nie lubili się z załatwiaczką.

Małgosia odczekała, aż obaj, Ben i Gareth, znikną jej całkiem z: oczu. Dopiero wtedy sięgnęła po telefon. Wybrała numer Phillipa.

- Sprowadziłeś tu Dawn - powiedziała, gdy tylko usłyszała w słuchawce jego zirytowany głos. Pewnie znowu przerwała mu posiłek.

- On wie? - wampir niemal od razu otrząsnął się z irytacji i zniecierpliwienia. Teraz był poważny.

- Wyjedź z miasta - zasugerowała Małgorzata.

Nie widziała twarzy Phillipa, ale mogła sobie wyobrazić, jak się krzywi z niechęcią. Nawet ten grymas nie odbierał mu drapieżnej urody.

- Czy to coś zmieni? Przecież któregoś dnia wrócę... a Watson będzie tu czekał.

- Ben chce chronić miasto. Wyjedź, znajdź sobie inne miejsce - nie ustępowała załatwiaczka. Wampir był bestią, to prawda, ale był też jej przyjacielem. Tak jak czarodziej. „Nie” - poprawiła się w myślach. Żaden z nich nie był jej przyjacielem. Byli tylko kolegami z branży. A jej nie obowiązywała żadna lojalność wobec nikogo. Miała bezmyślnie załatwiać zlecenia, nie martwić się o innych.

Odpowiedział jej głęboki, zmysłowy śmiech Phillipa.

- Nie mam złudzeń. Tu nie chodzi o małą Dawn, tylko o śliczną Joannę. Zabrałem mu ją i zmieniłem w wampira. Oddałem mu ją taką, jakiej już nie mógł kochać. Nie, jeśli pozostałby wierny swoim zasadom. - Roześmiał się w wyjątkowo cyniczny sposób.

- Wiedziałeś, że ona... - Małgosia urwała w pół zdania.

- Tak. I dlatego tak bardzo chciałem ją mieć. Każde działanie ma swoje konsekwencje, przecież wiesz. Tylko ty i twoi koledzy z Korporacji jesteście z nich zwolnieni. Wszyscy inni ponoszą konsekwencje swoich wyborów. Tak jak ja i tak jak nasz drogi obrońca uciśnionych. Oboje wiemy, że Ben Watson oszalał - ciągnął. - Co do tego nie ma wątpliwości, idealisci już tak mają. Od kiedy dowiedziałem się, że zabił swojego ucznia, wiedziałem, że kiedyś postanowi zniszczyć i mnie. I prawdę mówiąc, nie mogę się spotkania z nim doczekać. - Zakończył połączenie.

Małgorzata schowała telefon do kieszeni. No tak, tylko wiekowy wampir mógł postrzegać walkę na śmierć i życie jako rozrywkę. Dla Bena była to chyba swego rodzaju kruczata, okazja, żeby wreszcie walczyć ze znieawidzonymi potworami.

I pewnie Joanna miała z tym wszystkim wiele wspólnego.

Załatwiaczka zastanawiała się, co zrobić, gdy nagle w jej głowie szczęknęła jakaś profesjonalna zapadka, uruchomiła korporacyjny trybik i do dziewczyny dotarło, że cała ta sprawa tak naprawdę jej nie dotyczy. Nie miała już zlecenia na utrzymywanie spokoju w Exeter. Nie miała żadnego zlecenia dotyczącego zbliżającej się konfrontacji. Wcale nie musiała ostrzegać Phillipa, a już w żadnym razie nie mogła zrobić nic więcej, nie opowiadając się po którejś ze stron.

Podjęła więc najtrudniejszą decyzję: postanowiła nie robić nic. Świat wokół niej zaczął się zmieniać na gorsze, ale ona musiała tylko to wszystko przeczekać. Cztery lata dojrzewania serca. Prawie dziewięć lat kontraktu. Czas podobno leczy rany.

Kiedy mijiała pizzerię w drodze powrotnej do akademika, usłyszała tętent kopyt. Ulicą przebiegł gipsowy koń, szczerząc drwiąco zęby. Cały był wymalowany w czarno-białą kratę, a na boku miał wzorek z idących zombie, które wyglądały jak wyjęte z jakiejś kreskówki: zielone i z wyciągniętymi przed siebie ramionami.

Koń zawrócił przy pizzerii i przebiegł obok Małgosi jeszcze raz, tym razem pokazując drugi bok. Tam widniał znak drogi jednokierunkowej. Drogi, z której nie można było zawrócić.

Dziewczyna poczuła, że coś ją trąca w kolano. Spojrzała w dół na czarny nos Janeeyere. Skoro pies tu był, to w pobliżu musiała kręcić się reszta wesołej gromady.

Rzeczywiście, Bansh spacerowała dostojnie wzdłuż ściany najbliższego akademika. A Sharon... Małgosia odwróciła się na pięcie. Kroków druidki nie było słyhać, mogła każdego zająć od tyłu niezauważona.

- I masz swoje złe wydarzenie - rzuciła załatwiaczka, spoglądając prosto w piękną, martwą twarz.

Sharon pokręciła delikatnie głową.

- Nie - powiedziała. - Jeszcze nie. Ale jutro... jutro wszystko się zacznie. - Położyła Małgorzacie dłoń na ramieniu jakby na pocieszenie i odeszła. Po kilku minutach znikła wraz ze swoją świtą we mgle, której jeszcze przed chwilą wcale nie było.

Sen był taki sam co zawsze. Ciemność, pustka i para brązowych oczu lśniących tuż przed nią. Zawsze kiedy te oczy się zbliżały, Małgosia się budziła. Tak było i teraz. Automatycznie spojrzała na jeden z wiszących na ścianie zegarów. Wskazywał dziesiątą.

To było niemożliwe. Odkąd znowu zaczęła sypiać, nigdy nie zmrużyła oka na dłużej niż dwie godziny. Od co najmniej roku nie zdarzyło jej się przespać aż siedmiu. Jednak inne zegary też to potwierdzały.

Małgorzata pośpiesznie ubrała się i umyła zęby. Przed wyjściem z akademika zajrzała jeszcze do kuchni. Kevin siedział na krześle wpatrzony w ekran telewizora, na którym w rytm muzyki kołysały się skąpo ubrane modelki. Miał taki sam wyraz twarzy jak zawsze, kiedy widział piękne kobiety, więc można było przyjąć, że wszystko w porządku. Załatwiaczka musiała z nim jeszcze odbyć poważną, uświadamiającą rozmowę, ale to mogło z kwadrans poczekać. Najpierw musiała odebrać pocztę. Listonosz przyjeżdżał zawsze o ósmej rano i zazwyczaj Małgosia mijała się z nim w drzwiach, kiedy szła odebrać swoje listy.

Pocztę dla studentów mieszkających w akademikach dostarczano na portiernię. Małgorzata regularnie, codziennie, odbierała swoją na wypadek, gdyby ktoś zdecydował się nadesłać jej w ten sposób zlecenie. Nie musiała już nawet przeliterowywać portierom swojego nazwiska, poznawali ją od razu i natychmiast wręczali gruby plik listów, żartując przy tym, że musi być bardzo popularną dziewczyną.

Załatwiaczka nigdy nie komentowała ich uwag, uśmiechała się tylko i zabierała swoją pocztę, przeglądając ją w drodze do akademika. Podobnie zrobiła i teraz. Była już prawie pod drzwiami swego pokoju, kiedy dwie koperty przyciągnęły jej uwagę. Obie zostały zaadresowane ręcznie, pismem ludzi, których dobrze знаła. Weszła do pokoju, rzuciła pozostałe listy na biurko i usiadła na łóżku. Rozdarła szybko koperty i przeczytała wiadomości. Raz, drugi, trzeci, żeby wszystko dobrze zrozumieć i upewnić się, że to nie sen, tylko straszna, straszliwa prawda.

Siedząc na łóżku z jednym listem w każdej ręce, miała ochotę kłąć, wyć, krzyczeć. Ale nie mogła.

Miała mało czasu i dwa poważne zlecenia do zrealizowania.

Rozmowa z Kevinem musiała na razie poczekać.

Wieczorem znowu pojawiała się mgła. W tej części kraju rzadko się to zdarzało i ropuch przypuszczał, że ta cała „branża” ma coś z tym wspólnego. Jakby nie wystarczyło anomalii

pogodowych, na własne oczy widział, jak chłopak który niecałe dwa dni wcześniej leżał martwy na Gardy Street, teraz kupował wino.

Ktoś inny uznałby to za przywidzenie, ale detektyw wiedział swoje. To był TEN SAM chłopak. Towarzyszyło mu troje studentów i gdyby policjant miał jakiegokolwiek wątpliwości, rozwiąłoby je jedno spojrzenie na nich. Wyraźnie czuli się nieswojo w towarzystwie kolegi, a jednocześnie zdawali się go traktować, jakby był ze szkła. Jakby cudem wrócił z martwych.

Wszystkie akta w sprawie zabójstwa na Gandy Street zniknęły, tak samo zebrane dowody. Na ulicy nie było śladu po tym, że coś się stało.

„Branża” znowu wsadziła nos w nie swoje sprawy. Coraz bardziej denerwowało to inspektora. Podejrzewał, że Watson ma z tym wszystkim coś wspólnego. Dlatego zaparkował auto nieopodal jego domu i czekał.

Było już po północy, kiedy facet wyszedł. Zamknął za sobą drzwi, rozejrzał się i ruszył wprost na ropucha. Policjant nie miał zamiaru uciekać. Wsiadł z samochodu i już otwierał usta, żeby zażądać wyjaśnień, kiedy w świetle latarni dostrzegł twarz Watsona. To już nie była łagodna, troskliwa twarz wielkiego, dobrego wikinga. W chwilę później policjanta ogarnęła ciemność.

Tej nocy załatwiaczka nie mogła spać. Długo trwało, zanim skończyła realizować dwa zlecenia, które przyszły z poranną pocztą. Kiedy wreszcie wszystko było gotowe, do jednej z kopert przykleiła taśmą klejącą mały flakonik. Na drugiej nabazgrała długopisem nazwisko i numer telefonu. Obie koperty schowała do kieszeni bluzy, jedną do lewej, drugą do prawej.

Przed wyjściem owinęła sobie jeszcze szalik wokół szyi. Noc była chłodna, a ona miała przed sobą długie oczekiwanie. Może ktoś inny czułby ekscytację na myśl o pojedynku gigantów, jakiego będzie świadkiem, ale nie Małgosia. Ona usiłowała myśleć tylko o ciepłych brązowych oczach, które będą na nią czekały tam, gdzie kończy się świat.

Albo w pobliżu.

Mgła otuliła miasto tak szczelnie, że nie było nic widać dalej niż na wyciągnięcie ręki. Tylko niemal w samym centrum, nad rzeką, wokół małej dolinki ze świetnie zachowanymi ruinami średniowiecznego mostu, opar zostawił wolną przestrzeń. Wyglądała jak ring

otoczony niewidzialnym sznurem. W przejrzystym powietrzu dokładnie widać było dziwny blask, który migotał pod mostem.

Na granicy mgły stały dwie kobiety, jedna wysoka, w zwiewnych szatach, druga średniego wzrostu, skulona z zimna, a może z innego powodu. Towarzyszył im pies pasterski grzecznie siedzący przy ich stopach. Tylko kotka koloru kawy z mlekiem odważyła się podejść bliżej. Siedziała na moście, na samym jego skraju, i spoglądała w skupieniu w dół.

- To potrwa - powiedziała cicho Małgosia.

Sharon skinęła głową.

- To jest dopiero początek - oznajmiła łagodnie, odwracając się od mostu i od walczących pod nim mężczyzn. Odeszła, a razem z nią Janeeyere.

Bansh została. Jej miejsce było tam, gdzie ktoś umierał.

Nad ranem mgła znikła tak nagle, jak się pojawiła. Razem z nią znikła Bansh. Nie była już potrzebna.

Ben wyszedł spod jednego ze średniowiecznych filarów. Oddychał ciężko, niepewnie stawiał stopy. Pojedynek z wampirem niemal go wyczerpał. Kilka razy czarodziej był blisko przegranej. Spodziewał się tego, wiedział, że może zginąć albo - co gorsza - skończyć jako wampir, zmienić się w krwio pijęcę pozbawionego zasad. Mimo to musiał zaryzykować. Dla bezpieczeństwa miasta, dla bezpieczeństwa swojej ziemi.

Chociaż minęła już czwarta rano, nad rzeką Exe wciąż jeszcze było ciemno. Latarnie oświetlały okolicę tylko na tyle, że mag mógł dostrzec samotną postać stojącą na chodniku obok mostu. Zgarbione plecy, rozciągnięta bluza i ręce jak zwykle ukryte w przepastnych kieszeniach nie pozostawiały wątpliwości, kto czekał na wynik walki. Ben wspiął się po trawiastym zboczu, aż dotarł do miejsca, gdzie stała załatwiaczka.

- Załatwione - rzucił, przechodząc obok.

Małgorzata nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na niego, a potem przeniosła wzrok w dół, na ruiny średniowiecznego mostu. Jakby wcale nie zauważyła Bena.

Czarodziej czuł, że powinien coś powiedzieć, wyjaśnić jej, chociaż przecież rozumiała. Ale nie miał siły, by przystanąć na chwilę i zacząć rozmowę. Powlókł się w górę, w stronę centrum, zdrętwiałymi ze zmęczenia palcami wygrzebując z kieszeni komórkę. Taksówka była w tej chwili szczytem jego marzeń.

Dopóki Ben nie znikł za rogiem West i Fore Street, załatwiaczka stała bez ruchu na brzegu starego, wyschniętego koryta rzeki. Potem ostrożnie zeszła na dół. Znalezienie miejsca, gdzie zginął wampir, nie było trudne. Trawa jeszcze się tliła, migając miejscami delikatnym niebieskawym płomieniem jak z kuchenki gazowej. Małgorzata zdeptała starannie ostatnie płomyki, systematycznie stawiając stopę obok stopy. Kiedy po ogniu nie było już ani śladu, stanęła nad tym, co zostało z Phillipa - skrawkiem wypalanej ziemi. Na jej twarzy nie było widać smutku ani żalu. Powoli wyciągnęła z lewej kieszeni bluzy białą kopertę i przyklejony do niej flakonik z lekko lśniącem czerwonym płynem. Wylała wszystko na spaloną trawę aż do ostatniej kropli. Potem schowała kopertę z fiolką z powrotem do kieszeni i czekała.

Przez chwilę nic się nie działo, ale to było tylko złudzenie. Wśród popiołów pojawiły się iskry, najpierw małe i niedostrzegalne, potem coraz większe, aż w końcu buchnął ogromny płomień, rosnący i przybierający coraz wyraźniejszy kształt. Kształt palącego się człowieka.

Niczym na przewijanym wstecz filmie płomień ustąpiły miejsca ubrani, skórze i włosom. Spalone ciało odzyskało swój pierwotny wygląd. W końcu ogień całkiem zgasł. Po wypalanej trawie nie było już śladu. Znowu się zazieleniła. A w samym centrum nieistniejącego pogorzelska stał Phillip, cały, nietknięty i tak zdrowy, jak to tylko możliwe w przypadku wampira.

- Załatwione - powiedziała obojętnym głosem Małgosia.

Uśmiechnął się do niej.

- Wiedziałem, że zamówienie ubezpieczenia od unicestwienia to niezły pomysł.

Dziewczyna tylko pokiwała głową. Prawą dłoń wciąż trzymała w kieszeni, tam gdzie miała drugi list. Nie tylko Phillip zdecydował się na zabezpieczenie. Na białej, złożonej w pół kartce starannym pismem Ben wypisał swoje zlecenie:

W razie gdybym został wampirem, zlecam niezwłoczne skontaktowanie się z najbliższym przebywającym łowcą nieumarłych i przekazanie mu załączonej prośby o moją eksterminację wraz z czekiem pokrywającym koszty podróży i ewentualne wydatki usługodawcy.

W razie gdyby Phillip przeżył, zlecam niezwłoczne kontaktowanie się z najbliższym przebywającym łowcą nieumarłych i przekazanie mu załączonej prośby o eksterminację Phillipa wraz z czekiem pokrywającym koszty podróży i ewentualne wydatki usługodawcy.

Podczas gdy zadowolony z własnej przebiegłości wampir energicznym krokiem podążał w stronę Preston Street, Małgosia sięgnęła po telefon. Wybrała numer, ten sam, który niestarannie wypisała wcześniej na kopercie ze zleceniem Bena. Po ósmym sygnale wreszcie ktoś odebrał.

- Jestem z Korporacji - zaczęła Małgorzata. - Mam panu przekazać wiadomość...

KONIEC